

JACK HIGGINS

LOT ORŁÓW

Mojej żonie Denise,

za ogromną pomoc,

jakiej udzieliła mi

przy pisaniu tej książki.

Oprócz wielu innych zalet,

które masz, jesteś również

nadzwyczajnym pilotem...

Kanał La Manche

1997

Kiedy straciliśmy prawy silnik, wiedziałem, że mamy kłopoty, ale cała ta wyprawa od początku źle się zapowiadała.

Od kilku dni byliśmy z żoną w naszym domu na Jersey, na Wyspach Normandzkich, gdy otrzymałem telefoniczną wiadomość, że pewien hollywoodzki producent jest poważnie zainteresowany sfilmowaniem jednej z moich książek. Oznaczało to, że musimy jak najszybciej wrócić do naszego domu w Chichester, a stamtąd do Londynu. Zadzwoiłem do firmy lotniczej, z której usług zazwyczaj korzystałem, ale nie mieli żadnego wolnego samolotu. Obiecali jednak zobaczyć, co się da zrobić. Znaleźli mi cessnę 310 z Granville na wybrzeżu Bretanii i podstarzałego pilota, niejakiego Duponta. Żebracy nie mają wyboru, więc bez wahania zarezerwowałem lot, ponieważ prognoza meteorologiczna nie była zła i chcieliśmy jak najszybciej mieć podróż za sobą. Usiadłem z tyłu, ale trzystadziesiątka ma podwójne stery, więc moja żona jako doświadczony pilot usiadła na prawym przednim fotelu. I dzięki Bogu.

Wyspy Normandzkie i kanał La Manche często nawiedzają mgły, które pojawiają się niewiarygodnie szybko i natychmiast wszystko zasłaniają. Tak właśnie stało się tego ranka. Wystartowaliśmy z Jersey przy dobrej pogodzie, lecz w ciągu dziesięciu minut mgła spowiła wyspę, zasłaniając nie tylko wybrzeże Francji, ale także Guernsey.

Kierowaliśmy się ku południowym brzegom Anglii, do Southampton. Dupont na oko dobiegał sześćdziesiątki, miał siwe włosy i lekką nadwagę. Obserwując go przy pracy, zauważyłem, że pot spływa mu po twarzy.

Denise włożyła słuchawki i podała mi zapasowe, a ja je podłączyłem. Przez chwilę pilotowała samolot, bo Dupont rozmawiał z wieżą kontroli lotów, potem przejął stery, ona zaś odwróciła się do mnie.

- Jesteśmy na tysiącu ośmiuset metrach. Na dole paskudna mgła. Southampton wykluczone, tak samo jak wszystkie inne lotniska na wschodzie. Próbujemy Bournemouth, ale nie wygląda to najlepiej.

Uniknąwszy jako dziecko śmierci od bomb podkładanych przez Ira na Shankill w Belfaście, a później wyszedłszy cało z paru niebezpiecznych sytuacji podczas służby wojskowej, nauczyłem się przyjmować życie takim, jakim jest. Uśmiechnąłem się mimo huku silników, ufając umiejętnościom mojej żony, znalazłem półlitrową butelkę szampana Moet Chandon, który przewidująco umieścili w barku, po czym nalałem go do plastikowej szklanki. Zawsze uważałem, że najważniejsze to zachować spokój. Tym razem miało mi to przyjść z trudem.

Zgasł nam prawy silnik. Przez jedną, zapierającą dech w piersiach chwilę tryskał z niego pióropusz czarnego dymu, a potem zniknął. Dupont wpadł w panikę, walcząc ze sterami. Gorączkowo wyrównywał kurs, lecz bez powodzenia. Zaczęliśmy opadać. Przerażony, zaczął krzyczeć po francusku do kontroli lotów w Bournemouth, lecz moja żona uciszyła go machnięciem ręki i spokojnie, rzeczowo przejęła dowodzenie.

- Paliwa starczy nam mniej więcej na godzinę - zgłosiła. - Macie jakieś propozycje?

Na wieży kontrolnej w Bournemouth akurat miała dyżur kobieta i jej głos był równie spokojny.

- Niczego nie gwarantuję, ale najlepsza będzie dla was Kornwalia. Mgła nie jest tam tak gęsta jak tu. Cold Harbour, mały port rybacki opodal Lizard Point. Znajdziecie tam stary pas startowy Rafu z drugiej wojny światowej. Nieczynny od lat, ale nadający się do użytku. Przekażę wiadomość wszystkim służbom ratowniczym. Powodzenia.

Przez następne dwadzieścia minut zeszliśmy na tysiąc metrów i z trudem utrzymywaliśmy łączność radiową, często przerywaną przez zakłócenia. Mgła zgęstniała, a potem lunął deszcz. Dupont sprawiał wrażenie jeszcze bardziej przerażonego, a twarz miał już wyraźnie zroszoną potem. W pewnej chwili znów zatrajkotał po francusku i Denise ponownie podjęła rozmowę z wieżą. Usłyszeliśmy chór niewyraźnych głosów, donośne trzaski, po czym samolot zaczęło gwałtownie rzucać - wlecieliśmy w sam środek burzy.

Denise bardzo opanowanym głosem podała naszą pozycję.

- Możliwe Mayday. Podchodzę do lądowania na pasie startowym Cold Harbour.

Nagle szumy ucichły i usłyszeliśmy głośno i wyraźnie:

- Tu Royal National Lifeboat Institution, [Królewskie Narodowe Towarzystwo Łodzi Ratunkowych.] Cold Harbour. Mówi Zec Acland. Nie ma mowy o lądowaniu tutaj, dziewczyno. Nie widzę nawet mojej wyciągniętej ręki.

Dla Duponta była to ostatnia kropla, która przepełniła czarę. Jęknął, zadygotał i głowa opadła mu na bok. Samolot zanurkował, ale Denise przejęła stery i stopniowo wyrównała lot. Przechyliłem się i pomacałem tętnicę szyjną pilota.

- Jest tętno, ale słabe. Wygląda mi to na atak serca.

Odepchnąłem go od Denise. Powiedziała spokojnie:

- Wyjmij spod jego fotela kamizelkę ratunkową i załóż mu ją, a sam włóż drugą.

Przestawiła trzystadziestkę na pilota automatycznego i też wciągnęła kamizelkę. Zająłem się Dupontem, a potem wcisnąłem się w swoją.

- Będziemy pływać?

- Chyba nie mamy wyboru.

Wróciła na sterowanie ręczne. Próbowałem zażartować; taka drobna słabostka.

- Przecież jest marzec. Za zimno na kąpiel.

- Zamknij się! To nie żarty - ucięła i znów wezwała lotnisko, gdy zaczęliśmy opadać. - Rnli, Cold Harbour. Będę musiała wodować. Pilot chyba dostał ataku serca.

Znów usłyszeliśmy ten tubalny głos.

- Wiesz, co robisz, dziewczyno?

- Tak. Mam jeszcze jednego pasażera.

- Zawiadomiłem już zespół Royal Navy Air Sea Rescue, [Powietrzne Ratownictwo Morskie Marynarki Królewskiej.] ale w tej ich łupince niewiele mogą zrobić. Łódź ratownicza z Cold Harbour już wyszła w morze. Jestem na pokładzie. Podaj mi jak najdokładniej waszą pozycję.

Na szczęście samolot był wyposażony w Gps, satelitarny system geopozycyjny, z którego odczytała współrzędne.

- Schodzę - powiedziała.

- Na Boga, dziewczyno, masz jaja. Będziemy tam, bez obawy.

Żona często rozmawia ze mną o lataniu, więc zdawałem sobie sprawę z problemów związanych z wodowaniem na morzu lekką, dwusilnikową maszyną. Należy podchodzić do lądowania ze schowanym podwoziem, na włączonych hamulcach aerodynamicznych i nie tracąc mocy, co jest raczej trudne przy jednym zepsutym silniku.

Przy słabym wietrze i małych falach trzeba lądować pod wiatr; przy silnych podmuchach i grzywaczach, równoległe do nich. Tymczasem nie wiedzieliśmy, co nas czeka na dole. Mieliśmy zerową widoczność.

Denise zmniejszyła ciąg silnika i zaczęliśmy opadać. Obserwowałem wysokościomierz. Trzysta, potem sto osiemdziesiąt metrów. Nic - ni cholery - a potem kilkadziesiąt metrów niżej mgła rozstąpiła się, zobaczyliśmy morze i niewielkie fale i Denise wylądowała pod wiatr.

Sądzę, że w tym momencie okazała się naprawdę wspaniałym pilotem. Samolot odbił się od fal, prześlizgnął po powierzchni wody i znieruchomiał. Wstrząs był silny, ale Denise natychmiast otworzyła drzwi.

- Wyciągnij go! - zawołała i szybko wyszła na skrzydło.

Przechyliłem się, odpiąłem pas Duponta, a potem wypchnąłem głową naprzód przez drzwi. Podtrzymała go, ześlizgnęła się ze skrzydła do wody i pociągnęła nieprzytomnego pilota za sobą.

Potem ja zsunąłem się po skrzydle. Pamiętałem, że kiedyś pokazywała mi dane statystyczne dotyczące wodowania na morzu. Samolot przeważnie tonie w ciągu dziewięćdziesięciu sekund.

Denise trzymała Duponta i oboje unosili się na wodzie w swych żółtych kamizelkach ratunkowych. Już odpływałem od tonącego samolotu, gdy krzyknęła:

- O Boże, Tarquin tam został!

To wymaga krótkiego wyjaśnienia. Tarquin był misiem, ale unikalnym. Kiedy znaleźliśmy go siedzącego na półce antykwariatu w Brighton, miał na głowie skórzaną pilotkę, lotnicze buty i niebieski kombinezon Royal Flying Corps z pierwszej wojny z insygniami sił powietrznych obu wojen światowych. Jego pyszczek przybrał dość enigmatyczny wyraz, w czym nie było niczego dziwnego, gdyż - jak poinformował nas sprzedawca - wylatał wiele godzin podczas bitwy o Anglię z poprzednim właścicielem, pilotem myśliwca. Bardzo romantyczna opowieść, ale byłem skłonny w nią uwierzyć, a moja żona przyjęła ją bez zastrzeżeń, bo miś wyglądał na takiego, który wiele przeżył i widział. Stał się jej maskotką i często zabierała go w powietrze. Nie było mowy, aby zostawić go na pastwę losu.

Umieściliśmy go w tylnej części kabiny, w reklamówce z supermarketu. Nie wahałem się - zawróciłem, chwyciłem kłamkę tylnych drzwi, otworzyłem je i wyjąłem Tarquina z jego workiem.

- Chodź, stary, popływamy sobie - mruknąłem.

Boże, woda wżerała się zimnem w kości jak kwas i była równie zabójcza. O tej porze roku nie da się długo pływać po kanale La Manche, o czym przekonało się wielu pilotów Raf-u i Luftwaffe.

Trzymałem Duponta i Tarquina, a Denise trzymała się mnie.

- Wspaniałe lądowanie - powiedziałem. - Zrobiło na mnie wrażenie.

- Umrzemy? - zapytała, krztusząc się morską wodą.

- Nie sądzę - odparłem. - Obejrzyj się.

Zrobiła to i zobaczyła jak duch wyłaniającą się z mgły łódź ratowniczą Rnli klasy Tyne. Załoga w żółtych sztormiakach i pomarańczowych kamizelkach ratunkowych stała przy relingu. Łódź podeszła do nas i trzech marynarze wyskoczyli za burtę.

Rzucił mi się w oczy jakiś stary człowiek przechylony przez reling. Jak nic miał osiemdziesiątkę na karku, siwe włosy i białą brodę, a przemówił tym samym silnym głosem, który słyszeliśmy przez radio. Zec Acland.

- Na Boga, udało ci się, dziewczyno!

- Na to wygląda! - odkrzyknęła Denise.

Wciągnęli nas na pokład - a potem wydarzyła się najdziwniejsza rzecz pod słońcem. Acland z niedowierzaniem spojrzął na mokrego misia, którego trzymałem w ramionach.

- Wielki Boże, to Tarquin. Skąd go pan wziął?

Siedzieliśmy z Denise na ławce w głównej kabinie, owinięci kocami, popijając herbatę z termosu, podczas gdy dwaj członkowie załogi zajmowali się leżącym na podłodze Dupontem. Zec Acland siedział naprzeciwko nas i przyglądał się nam. Wyjął starą srebrną piersiówkę, wyciągnął rękę i nalał nam do kubków.

- Rum - wyjaśnił. - Dobrze wam robi.

Wszedł inny mężczyzna, ciemnowłosa, energiczna, młodsza wersja Aclanda.

- To mój syn, Simeon, sternik tej łodzi, która nazywa się "Lady Carter".

Simeon uśmiechnął się.

- Miło widzieć was całych. Dobrze wiedzieć, że na coś możemy się przydać.

Łatwo mogłem sobie wyobrazić, co czuł - na jednostkach Rnli pływają ochotnicy nie otrzymujący żadnego wynagrodzenia. Jeden z dwóch członków załogi kłęczących nad Dupontem umocował mu maskę tlenową i spojrzął na nas.

- Jeszcze go nie straciliśmy, ale nie jest dobrze.

- W Cold Harbour już ląduje helikopter - poinformował Simeon Acland. - Zaraz zabierze was na łono cywilizacji.

Zerknąłem na Denise. Skrzywiła się, więc powiedziałem:

- Szczerze mówiąc, mieliśmy piekielnie ciężki dzień. Nasz przyjaciel Dupont musi iść do szpitala, to oczywiste, ale może moja żona i ja moglibyśmy zatrzymać się tu gdzieś na noc?

Simeon roześmiał się.

- No cóż, trafiliście we właściwe miejsce. Mój ojciec jest właścicielem gospody "Pod Wisielcem". Przeważnie ma tam jedno czy dwa wolne miejsca.

Odwrócił się i zauważył przemoczonego misia na ławce obok ojca.

- A to co?

- To Tarquin - rzekł Zec Acland.

Twarz Simeona przybrała dziwny wyraz.

- Chcesz powiedzieć...? Rany boskie, wcale nie kłamałeś, stary łobuzie. On naprawdę istniał. Przez te wszystkie lata sądziłem, że go wymyśliłeś.

Podniósł niedźwiadka, z którego pociekła woda.

- Jest przemoczony.

- Nie ma obawy - uspokoił go Zec Acland. - Wyschnie. Bywał już mokry.

To wszystko było bardzo intrygujące i już miałem zacząć drażnić temat, kiedy moja żona dostała gwałtownego ataku choroby morskiej po połknięciu sporej ilości słonej wody. Zaledwie kilka minut później mnie również zmoгло, ale oboje doszliśmy do siebie, zanim łódź okrążyła przylądek i ujraliśmy wejście do zatoki, a dalej lesistą dolinę.

Zobaczyłem stojący wśród drzew dwór z szarego kamienia, najwyżej kilkanaście chat, przystań i kilka wyciągniętych na brzeg łodzi rybackich. "Lady Carter" podpłynęła do przystani, dwaj czy trzej rybacy podeszli i rzucili nam cumy, wyłączono silniki, a wtedy pozostała tylko cisza, mgła i siąpiący deszcz.

Nagle usłyszeliśmy narastający warkot.

- Oto i helikopter - rzekł Simeon. Wskazał na Duponta. - Trzeba go zanieść na lądowisko.

- Dobrze, chłopcze - odparł stary Acland. - Ja zajmę się tą dwójką. Przyda im się gorąca kąpiel i porządny obiad.

Podniósł Tarquina.

- I wyjaśnienia - dodałem. - Bardzo chcielibyśmy je usłyszeć.

- Usłyszycie - powiedział. - Obiecuję.

Do tej pory zdążyli już położyć Duponta na nosze; wynieśli go, a my poszliśmy za nimi.

Jak dowiedzieliśmy się później, całą tę miejscowość wybudował w połowie osiemnastego wieku sir William Chevely - chaty, port, przystań, wszystko. Sir Chevely miał opinię przemysłowca, a port rybacki stanowił tylko przykrywkę dla innej działalności. Pub "Pod Wisielcem" miał mocne okiennice i ściany z grubych bali. Zdecydowanie nie wyglądał na dom postawiony w czasach króla Jerzego.

Zec wprowadził nas do środka, gdzie za barem stała matrona imieniem Betsy, która

natychmiast zajęła się Denise i zabrała ją na górę. Ja zostałem z Zecem w starej izbie o zaparowanych oknach. Siedziałem przy huczącym na kominku ogniu i rozkoszowałem się bardzo dużą szklaneczką whisky Bushmills.

Posadził Tarquina na półce opodal kominka.

- Niech sobie przeschnie.

Wyjął paczkę papierosów i wyciągnął jednego.

- Ten misiek jest dla pana ważny? - spytałem.

- Och tak - skinął głową. - I nie tylko dla mnie. Bardziej, niż mógłby pan sądzić.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

Potrząsnął głową.

- Później, kiedy wróci pańska żona. Niezła z niej dziewczyna. Sporo młodsza od pana.

- O dwadzieścia pięć lat - przyznałem się. - Ale jesteśmy razem od piętnastu, więc jakoś się z tym oswoiliśmy.

- Trzeba cieszyć się każdym dniem - rzekł. - Nauczyłem się tego na wojnie. Wielu wtedy umierało.

- Był pan w marynarce?

- Tylko przez pierwszy rok, potem z powrotem zrobili mnie sternikiem na łodzi ratowniczej. W tamtych czasach było to zajęcie na cały etat. Storpedowane okręty, piloci pływający w kanale. Nie, nie brałem udziału w prawdziwej wojnie na morzu.

Jak odkryłem później, te słowa dawały całkowicie fałszywy obraz człowieka, który przez rok pływania we flocie otrzymał Distinguished Service Medal, [ustanowione w 1914 r. odznaczenie brytyjskie przyznawane za wybitne zasługi marynarzom i podoficerom marynarki wojennej.] Krzyż Jerzego, [Krzyż Jerzego - wprowadzone w 1914 r. przez króla Jerzego V wznowienie Distinguished Service Cross (Dsc), Krzyża Służby Wybitnej, odznaczenia za szczególne zasługi dla armii brytyjskiej ustanowionego w 1901 r. przez króla Edwarda VII.] Mbe [Krzyż Wojskowy ustanowiony w 1914 r., przyznawany w armii brytyjskiej i lotnictwie oficerom i wyższym oficerom za męstwo.] oraz cztery złote medale za wybitne zasługi dla tej szacownej instytucji.

- Szylt na gospodzie przedstawia młodzieńca powieszzonego za nogę - powiedziałem. - To figura z tarota, prawda? Zdaje się, że oznacza odrodzenie.

- Ach tak, Julie Legrande namalowała go podczas wojny. Była gospodynią w dworku i prowadziła pub. Musieliśmy odnowić go po latach, ale nadal jest taki, jak namalowała go Julie.

- Francuzka?

- Uciekła przed Niemcami. - Wstał. - Czas, żeby i pan wziął kąpiel. Czym się pan zajmuje?

- Jestem powieściopisarzem - odparłem.

- Powinienem pana znać?

Podaliśmy mu nazwisko, a on roześmiał się.

- No, to chyba powinienem. Dzięki panu przetrwałem jedną czy dwie kiepskie noce. Miło mi pana poznać. A teraz, proszę wybaczyć...

Wstał i wyszedł.

Siedziałem tam i rozmyślałem. Tajemnica za tajemnicą. Wyjaśnienie powinno być interesujące.

Zjedliśmy obiad w rogu baru - morski okoń, młode ziemniaki z sałatką - i opróżniliśmy z Zecem oraz Simeonem butelkę lodowato zimnego chablis. Oboje z Denise mieliśmy na sobie dzinsy i swetry dostarczone przez obsługę. W barze siedziało jeszcze ośmiu rybaków, a trzech z nich należeli do załogi łodzi ratowniczej. Na kominku żywo płonął ogień, deszcz tłukł w szyby, a Tarquin lekko parował.

- Kiedy byłem dzieckiem, ojciec opowiadał mi o Tarquinie, latającym niedźwiadku - odezwał się Simeon. - Zawsze myślałem, że to bajka.

- A więc teraz w końcu poznałeś prawdę - rzekł Zec. - Na przyszłość słuchaj mnie, chłopcze. Gdzie go znaleźliście? - zwrócił się do Denise.

- W antykwariacie w Brighton, w zeszłym roku - wyjaśniła. - Powiedziano nam, że latał razem z właścicielem podczas bitwy o Anglię, ale nie mieli na to żadnego dowodu. Zawsze intrygowało mnie to, że obok baretki Raf-u nosi odznakę Royal Flying Corps z czasów pierwszej wojny światowej.

- I powinno - odparł Zec. - Wtedy pierwszy raz ruszył na wojnę z ojcem chłopca.

Zapadła cisza. Denise spytała ostrożnie:

- Z ojcem chłopca?

- Dawno temu, w tysiąc dziewięćset siedemnastym we Francji, ale na razie nie mówmy o tym. - Skinął na Simeona. - Jeszcze jedną butelkę.

Simeon posłusznie poszedł do baru, a Zec powiedział:

- Ostatni raz widziałem Tarquina w czterdziestym czwartym. W drodze do okupowanej Francji. A potem, po tylu latach nagle pojawia się na półce antykwariatu w Brighton.

Otworzył papierośnicę, wyjął papierosa, a moja żona spytała:

- Czy mógłby mnie pan poczęstować?

Podał jej papierosa i ogień, a ona wygodnie oparła się w fotelu.

- Zdaje się, że Tarquin to pański stary znajomy?

- Można tak powiedzieć. Już raz wyciągałem go z kanału. W czterdziestym trzecim. Spadł z hurricane'em. To były wspaniałe myśliwce. Straciły więcej Szkopów niż spitfire'y. - Zamyślił się, a kiedy Simeon wrócił z drugą butelką chablis, zapytał: - To był Harry, czy Max? Nigdy nie wiedzieliśmy.

Simeon odstawił tacę.

- Dobrze się czujesz, tato? - zapytał z troską.

- Kto, ja? - uśmiechnął się Zec Acland. - Czy ktoś nie napisał książki o pewnym Francuzie, który powąchał coś czy skosztował i nagle wróciły mu wszystkie wspomnienia?

- Marcel Proust - odpowiedziała Denise.

- Do licha, właśnie tak poczułem się przez tego miśka. Przywołał wszystkie wspomnienia.

Miał łzy w oczach.

Simeon nalał mu wina.

- No, tato, napij się. Nie wpadaj w zły humor.

- W mojej sypialni. Czerwone pudełko w trzeciej szufladzie od góry. Przynieś mi je, chłopcze.

Simeon posłusznie poszedł.

Zec podłożył do ognia kolejne polano, a kiedy Simeon wrócił ze szkatułką, Zec umieścił ją na stole i otworzył. Ukazały się papiery i fotografie.

- Niektóre widziałeś, chłopcze - powiedział do syna. - A niektórych nie.

Podał zdjęcie Denise: zatoka Cold Harbour, przycumowana łódź, znacznie starszy model, na jej pokładzie Simeon w marynarskiej czapce zsuniętej na tył głowy. Simeon - i nie Simeon.

- Byłem wtedy całkiem przystojny - mruknął Zec.

Denise nachyliła się i pocałowała go w policzek.

- Nadal pan jest.

- Ejże, nie zaczynaj czegoś, czego nie możesz skończyć, dziewczyno - zaśmiał się, a potem podawał nam fotografie, jedną po drugiej, wszystkie czarno-białe.

Pub wyglądał tak samo. Jedno ze zdjęć ukazywało siwowłosego oficera, ujmująco brzydkiego, na oko sześćdziesięcioletniego, w okularach o stalowych oprawkach.

- Brygadier Munro - objaśnił Zec. - Dougal Munro przed wojną był profesorem Oksfordu, a potem pracował w wywiadzie. Wówczas nazywano ten wydział Special Operations Executive. [Placówka badawcza powołana przez Churchilla do współpracy z Office of Strategic Service, Oss, amerykańskim Biurem Służb Strategicznych (poprzednik Cia).] Soe. To był pomysł Churchilla. "Niech Europa stanie w ogniu", powiedział, i tak też się stało. Przerzucali tajnych agentów do Francji i innych krajów. Wykwaterowali wszystkich mieszkańców z Cold Harbour. Zmienili to miejsce w tajną bazę.

Rozlał wino, a Simeon rzekł:

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś, tato.

- Ponieważ my wszyscy tutaj musieliśmy podpisać zobowiązanie o przestrzeganiu tajemnicy państwowej.

Wytrząsnął z pudełka kolejne zdjęcia. Jakaś kobieta z brygadierem Munro.

- To Julia Legrande. Jak już mówiłem, była gospodynią w dworku i prowadziła ten pub.

Następna fotografia ukazywała Munro i jakiegoś oficera, kapitana z baretką Mc [Military Cross, Krzyż Wojskowy ustanowiony w 1914 r., przyznawany w armii brytyjskiej i lotnictwie oficerom i wyższym oficerom za męstwo.] i laską w dłoni.

- To Jack Carter, adiutant Munro. Stracił nogę pod Dunkierką.

Przerzucił jeszcze kilka, aż doszedł do dużej brązowej koperty. Zawahał się, a potem otworzył ją.

- Przestrzeganie tajemnicy państwowej... Do licha, mam już osiemdziesiąt osiem lat.

Jeżeli poprzednie zdjęcia były interesujące, to te okazały się wprost zaskakujące. Jedno z nich ukazywało stojący na pasie startowym nocny myśliwiec Junkers 88S z wyraźnie widocznym hitlerowskim krzyżem na kadłubie i swastyką na ogonie. Mechanik nosił czarny kombinezon Luftwaffe. Obok stał samolot zwiadowczy Fieseler Storch. Dalej dwa hangary.

- A cóż to takiego, do licha? - zapytałem.

- Tutejszy pas startowy. Tak, w Cold Harbour. Nocne loty nad Francję, takie rzeczy. Przechytrzało się wroga, udając go.

- Zdaje się, że to niezbyt korzystne, jeśli wpadło się w ręce nieprzyjaciela - zauważyła Denise.

- Pewny pluton egzekucyjny. Oczywiście, tamci także wykorzystywali w ten sposób zdobyczny sprzęt Raf-u.

Podał jej następne zdjęcie.

- Lysander. Paskudnie wygląda, ale mógł lądować i startować na zaoranym polu.

Ujęcie przedstawiało lysandera, jakiegoś oficera i młodą kobietę. Lotnik nosił amerykański mundur, naszywki podpułkownika i rząd baretek. Dostrzegłem Dso [Distinguished Service Order, Order Służby Wybitnej, przyznawany oficerom formacji brytyjskich za zasługi na polu walki.] i Dfc, [Distinguished Flying Cross, Krzyż Wybitnej Służby w Lotnictwie. Szczególne wyróżnienie dla lotników Raf-u, stanowi bowiem odmianę DFC, przyznawaną w okresie II wojny światowej tylko oficerom tej formacji. Od 1940 r. na każdym egzemplarzu grawerowano datę nadania.] lecz naprawdę intrygujący był fakt, że na lewej piersi bluzy polowego munduru miał skrzydełka Raf-u.

- Kim on był? - zapytałem.

Odpowiedź zabrzmiała dość niezwykle.

- Chyba Harry, a może Max. Nigdy nie byłem pewny.

Znów ta dziwna uwaga. Simeon był zaskoczony tak samo jak ja. Już miałem poprosić o wyjaśnienie, kiedy wtrąciła się Denise.

- A ta młoda kobieta?

- Och, to Molly... Molly Sobel, siostrzenica Munro. Jej matka była Angielką, a ojciec amerykańskim generałem. Mądra dziewczyna. Lekarka. Przed wojną studiowała w Anglii, a podczas nalotów pracowała w Londynie. Przylatywała stamtąd z Munro, kiedy potrzebny był lekarz. Rozumiecie, wszystko to było tajemnicą.

Najwyraźniej zawędrował myślami w jakieś odległe, sobie tylko znane miejsce. Milczeliśmy. Ogień trzaskał, deszcz bębnił o szyby, mężczyźni przy barze gwarzyli ściszonymi głosami.

- Dobrze się czujesz, tato? - zapytał Simeon.

- Nigdy nie czułem się lepiej, ale przydałaby mi się szklaneczka rumu. Dzisiaj zrzucam z piersi ciężar, tajemnicę noszoną przez wiele lat. - Pogroził pięścią Tarquinowi. - Wszystko przez ciebie,

przeklęty niedźwiedziu.

Simeon wstał i podszedł do baru. Tarquin, wciąż lekko parując, siedział nieruchomo, obojętny jak zawsze.

- Słuchaj, tato, nie wiem, o co w tym chodzi, ale może nie powinieneś... - zaczął wyraźnie zatroskany Simeon.

Denise ponownie wtrąciła się, wyciągając rękę i kładąc ją na ramieniu Zeca.

- Nie, zostaw go, Simeonie. Myślę, że musi to z siebie wyrzucić.

Mocno uściskał jej dłoń i uśmiechnął się.

- Na Boga, mówiłem, że z ciebie kawał kobiety, dziewczyno.

Jakby odzyskał siły.

- Dobrze - powiedziała. - Ten pilot, Amerykanin? Mówił pan, że to Harry lub Max?

- Zgadza się.

- To nie ma sensu.

- Dobry Boże, dziewczyno, ma ogromny sens. - Odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się, a potem otworzył następną kopertę. - Byli niezwykli. Bardzo, bardzo niezwykli.

Wyjął duże odbitki, znów czarno-białe. Na pierwszej był porucznik Raf-u stojący przy myśliwcu Hurricane. Tego samego mężczyznę widzieliśmy wcześniej w amerykańskim mundurze.

- Jankes w Raf-ie - wyjaśnił Zec. - Było ich kilkuset, zanim Ameryka przystąpiła do wojny po ataku na Pearl Harbor pod koniec czterdziestego pierwszego.

- Wygląda na zmęczonego - orzekła Denise, oddając mu fotografię.

- No, nic dziwnego. Zdjęcie zrobiono we wrześniu czterdziestego roku, podczas bitwy o Anglię, tuż po tym, jak otrzymał drugi Dfc. Latał dla Finów, kiedy walczyli z Rosjanami, a jak przegrali, przedostał się do Anglii i wstąpił do Raf-u. W tym czasie niechętnie spoglądano na Jankesów, bo Ameryka zachowywała neutralność, ale jakiś urzędnik wziął Harry'ego za Fina, więc go przyjęli.

- Harry'ego? - spytała ostrożnie Denise.

- Harry Kelso. Pochodził z Bostonu. - Zec wyjął kolejną dużą odbitkę; znów Kelso w amerykańskim mundurze. - To w czterdziestym czwartym.

Zdumiewająca liczba odznaczeń. Dwukrotnie Dso, wielokrotnie Dfc, francuski Croix de

Guerre, [Croix du Guerre - Krzyż Wojenny. Francuskie odznaczenie od 1915 r. przyznawane oficerom i cywilom za waleczne czyny w okresie wojny.] Legia Honorowa, [Legia Honorowa - najwyższe odznaczenie francuskie, ustanowione przez Napoleona w 1802 r. Przyznawane w 5 klasach. Najwyższą może otrzymać tylko głowa państwa.] fiński Złoty Krzyż Męstwa. [Złoty Krzyż Męstwa - ma również swój odpowiednik kanadyjski.]

- Niewiarygodne. Bardzo interesuję się drugą wojną światową i nigdy o nim nie słyszałem.

- To oczywiste. Dzięki temu urzędnikowi przez dłuższy czas uchodził za Fina, a poza tym, jak już mówiłem, były i inne powody. Konieczność przestrzegania tajemnicy państwowej.

- Dlaczego? - dopytywała się Denise.

Zec Acland wyjął z koperty nowe zdjęcie i położył je na stole jak w mistrzowsko wyreżyserowanym spektaklu.

- Dlatego - rzekł.

To zdjęcie było kolorowe i znów ukazywało Kelso w mundurze, tyle że tym razem niemieckim. Nosił wysokie buty i niebieskoszare, wygodne bryczesy z dużymi kieszeniami na mapy. W krótkiej lotniczej kurtce z żółtymi wyłogami wyglądał zabójczo. Na lewej piersi nosił srebrną odznakę pilota, nad nią Krzyż Żelazny Pierwszej Klasy, [

Krzyż Żelazny - Eisernes Kreuz, odznaczenie ustanowione w 1813 r. przez króla Prus Fryderyka Wilhelma III za zasługi w walce z nieprzyjacielem. Przyznawany był w 3 klasach, również w czasie wojny francusko-pruskiej i I wojny światowej. W 1939 r. Hitler dodał mu swastykę i uczynił z niego order.] a na szyi Krzyż Rycerski z Dębowymi Liśćmi. [Krzyż Rycerski z Dębowymi Liśćmi był, podobnie jak ten z Mieczami i Brylantami, hitlerowską modyfikacją przyznawanego wcześniej odznaczenia pruskiego.]

- Nic nie rozumiem - powiedziała Denise.

- To całkiem proste - odparł Zec Acland. - To dał mi Munro. Pozostałe zdjęcia Jankesa w Rafie? Był na nich Harry. Na tym jest Jankes służący w Luftwaffe, jego brat bliźniak, Max. Ojciec Amerykanin, a matka Niemka, w dodatku baronowa. I tak Max, starszy o dziesięć minut, został baronem Maxem von Halderem. W Luftwaffe nazywano go Czarnym Baronem.

Odłożył zdjęcia.

- Jeśli chcecie, powiem wam tyle, ile będę mógł. - Uśmiechnął się. - Mógłby pan napisać o tym książkę.

Znowu uśmiechnął się.

- I tak nikt by w to nie uwierzył.

Zanim skończył, bar opustoszał, Betsy zamknęła drzwi za ostatnimi gośćmi i bez słowa przyniosła nam tacę z herbatą. Zdaje się, że Simeon był równie zdumiony jak Denise i ja.

I znów to Denise zapytała:

- A więc to cała prawda?

- Jasne, że nie, dziewczyno - zaśmiał się stary. - Brakuje wielu kawałków łamigłówek. Chodzi mi o przebieg wydarzeń po niemieckiej stronie. U nich też było to ściśle tajne. Nie mam pojęcia, co się tam działo. Mimo to, taki bystry facet jak pan mógłby pociągnąć za odpowiednie sznurki.

- Być może.

- No cóż - mruknął, wstając. - Idę spać, a żona Simeona na pewno zachodzi w głowę, co się stało.

Pocałował Denise w policzek.

- Spokojnych snów, dziewczyno. Zasłużyłaś na nie.

Wyszedł. Simeon uklonił się i poszedł za nim. Siedzieliśmy przy ogniu, milcząc, a potem Denise powiedziała:

- Właśnie coś przyszło mi do głowy. Służąc w wojsku, przez jakiś czas byłeś w Niemczech. Wspominałeś mi o dawnych znajomych z tego okresu. Czy jeden z nich nie był w policji?

- W pewnym sensie. Był w gestapo.

Nie była zaszokowana. W końcu tamta wojna toczyła się pół wieku temu, jeszcze przed jej narodzeniem.

- A więc masz jakiś punkt zaczepienia.

- Zobaczymy - odparłem i podniosłem ją z ławy. - Czas spać.

Pokój był mały, z dwoma łózkami. Leżałem w nim, nie mogąc zasnąć, słysząc tylko cichy oddech Denise, patrząc w ciemność i wspominając. To było dawno temu - piekielnie dawno.

Moje związki z Niemcami były dość nieskomplikowane. Podczas służby wojskowej w Royal Horse Guards [Królewska Gwardia Konna.] w czasach tak zwanej zimnej wojny, byłem z armią okupacyjną w Berlinie. Częściej zresztą patrolowałem w pojazdach zwiadowczych lub dżipach granicę z Niemcami Wschodnimi.

Rejon, który patrolowaliśmy, tak bardzo przypominał wrzosowiska Yorkshire, że zawsze spodziewałem się zobaczyć Heathcliffa i Kathy wychodzących z mgły, śnieżycy lub deszczu, ponieważ mogę z przekonaniem stwierdzić, iż słowo "surowy" bardzo umiarkowanie opisuje tamtejszy klimat.

W tamtych czasach granica była praktycznie otwarta, więc w ramach działań profilaktycznych mieliśmy powstrzymać falę uchodźców próbujących przedostać się na zachód, jak również czarnorynkowe gangi, zazwyczaj złożone z byłych esesmanów, którzy działali z terenu Niemiec Wschodnich, gdzie znaleźli schronienie.

Po przeciwnej stronie stały oddziały syberyjskiej piechoty; twardzi, doborowi żołnierze, więc od czasu do czasu dochodziło do wymiany ognia. Nazywaliśmy to wojną światową numer dwa i pół, ale czas mijał szybko, po czym nagle odsyłano cię do domu i demobilizowano. Amerykańscy żołnierze za robienie tego samego w swoim sektorze dostawali po trzy medale. My ani jednego!

Wróciwszy do Leeds, miałem się różnych kiepskich zajęć, aż otrzymałem urzędowe zawiadomienie, przypominające, że jeszcze przez dziesięć lat pozostaję rezerwistą. Proponowano mi, żebym wstąpił do Territorial Army [Armia Terytorialna, powstała w 1921 r. ochotnicza armia obrony W. Brytanii, ale działała również na terenie Zjednoczonego Królestwa. W czasie bitwy o Anglię pełniła funkcję obrony przeciwlotniczej, brała również udział w walkach o Tobruk. Po wojnie regularna armia rezerwowa.] i zostałem niedzielnym żołnierzem. Kiedy odkryłem, że w ten sposób można trochę zarobić, skorzystałem z propozycji - szczególnie, że zastanawiałem się nad podjęciem pracy w Londynie. Był tam regiment Territorial Army nazywany Artists Rifles, który Ministerstwo Wojny przekształciło w 21. Sas. [Service Activity System, System Służby Czynnej.]

Kiedy wybuchły zamieszki na Malajach, wielu jego członków zgłosiło się do Malayan Scouts, który w 1952 stał się regularną jednostką wojskową - 22. Sas.

Szukając w Londynie pracy, zgłosiłem się z papierami do 21. Sas i zostałem entuzjastycznie przyjęty jako były podoficer Guards. Wypełniłem kilka papierków, przeszedłem obowiązkowe badania lekarskie, aż w końcu stanąłem przed majorem Wilsonem, chociaż w świetle tego, co

wydarzyło się później, wątpię, czy było to jego prawdziwe nazwisko.

- Podpiszcie tu, plutonowy - powiedział i podsunął mi formularz.

- A co podpisuję?

- Zobowiązanie o przestrzeganiu tajemnicy państwowej - uśmiechnął się czarująco. - Widzicie, to tego rodzaju jednostka.

Zawahałem się, ale podpisałem.

- Dobrze.

Wziął ode mnie formularz i starannie osuszył bibułą mój podpis.

- Czy mam stawić się w sobotę? - zapytałem.

- Nie, jeszcze nie. Najpierw musimy załatwić drobne formalności. Będziemy w kontakcie.

Znowu uśmiechnął się, więc dałem spokój i wyszedłem.

Jakieś dwa tygodnie później zadzwonił do firmy ubezpieczeniowej w Leeds, w której wówczas pracowałem, proponując spotkanie w winiarni Yatesa, w centrum miasta. Siedzieliśmy w kącie, zajadając pieczeń z groszkiem i popijając jasnym piwem, przy którym przekazał mi złe wieści. Byłem zdziwiony, widząc go w Yorkshire, ale nie wyjaśnił mi powodów swojej wizyty.

- Rzecz w tym, że nie nadaje się pan do Sas. Badanie wykazało, że źle pan widzi na lewe oko. Chociaż nie rozgłasza pan tego faktu, nosi okulary.

- Hmm, w Horse Guards nie mieli żadnych obiekcji. Byłem członkiem drużyny strzeleckiej na zawodach w Bisley. A także strzelcem wyborowym. Mam odznakę.

- Tak, wiemy o tym. Co najmniej dwaj Rosjanie po wschodniemieckiej stronie granicy mogliby to poświadczyć... a przynajmniej ich ciała. Z drugiej strony, dostał się pan do Guards tylko dlatego, że jakiś głupi urzędnik zapomniał wypełnić w aktach rubryki badania okulistycznego, a taki regiment jak Guards nigdy nie przyznaje się do błędów.

- A więc nic z tego?

- Obawiam się, że tak. Naprawdę szkoda. Ma pan takie interesujące powiązania. Ten wujek, sierżant sztabowy w kwaterze głównej w Hamburgu. Wspaniałe osiągnięcia. Schwytany przed Dunkierką, czterokrotnie uciekał z obozów jenieckich, zesłany do Auschwitz wraz z innymi alianckimi jeńcami, których uznano za niebezpiecznych. Dwie trzecie z nich umarło.

- Tak, wiem.

- Oczywiście, zatrzymali go w dowództwie w Hamburgu ze względu na doskonałą znajomość niemieckiego. O ile wiem, poślubił Niemkę owdowiałą podczas wojny.

- Cóż, miłość nie zna granic - odparłem.

- Tak sędzę. Hmm, interesująca rodzina, tak samo jak pan. Urodzony w Anglii, w rodzinie irlandzko-szkockiej, wychowany w Shankill w Belfaście. Nazywają tę dzielnicę Orange Prod.

- I co z tego?

- Ale wychowywany także przez katolickiego kuzyna matki w Crossmaglen. Ci ludzie to prawdziwi republikanie. Musi pan mieć fascynujące kontakty.

- A więc to tak - powiedziałem ostrożnie. - Czy jest coś, czego pan o mnie nie wie?

- Nie - uśmiechnął się tym anielskim uśmiechem. - Jesteśmy bardzo dokładni.

Wstał.

- Muszę iść. Przykro mi, że tak wyszło.

Sięgnął po prochowiec.

- Jeszcze jedno. Proszę nie zapominać, że podpisał pan zobowiązanie o przestrzeganiu tajemnicy państwowej. Za jego naruszenie grozi kara więzienia.

Byłem szczerze zdumiony.

- A jakie to ma teraz znaczenie? Przecież wasz regiment mnie nie chce.

Już odchodził, ale znów się odwrócił.

- I proszę nie zapomnieć, że jest pan tylko czasowo przeniesiony do rezerwy. W każdej chwili może pan zostać powołany ponownie.

Najbardziej interesujące były moje powiązania z Niemcami, o których nie wspomniał, ale sam o nich nie wiedziałem aż do pięćdziesiątego drugiego roku. Żona mojego wuja miała siostrzeńca, niejakiego Konrada Strassera - a przynajmniej tak brzmiało jedno z kilku nazwisk, jakimi się posługiwał. Poznali mnie z nim niemieccy krewni mojego wuja w Hamburgu, na przyjęciu w St. Pauli.

Konrad był niski, ciemnowłosy i energiczny, zawsze uśmiechnięty. Miał trzydzieści dwa lata i stopień starszego inspektora Wydziału Kryminalnego hamburskiej policji. Staliśmy w kącie, wśród gwarnego tłumu gości.

- Dobrze się bawiłeś na granicy? - zapytał.

- Nie wtedy, jak padał śnieg.

- W Rosji bywało gorzej.

- Służyłeś tam w wojsku?

- Nie, w gestapo. Tylko krótko, dzięki Bogu, polując na łajdaków kradnących armijne dostawy.

Łagodnie mówiąc, byłem wstrząśnięty.

- Gestapo?

Uśmiechnął się.

- Pozwól, że uzupełnię twoją edukację. Gestapo potrzebowało dobrych i doświadczonych detektywów. Penetrowali wszystkie oddziały policji w całych Niemczech i brali, kogo chcieli. Dlatego przeszło połowa pracowników gestapo nawet nie należała do Nsdap, wśród nich i ja. Kiedy wcielili mnie w czterdziestym roku, miałem dwadzieścia jeden lat. Nie było wyboru.

Uwierzyłem mu natychmiast, a późniejsze wydarzenia dowiodły, że mówił prawdę. W każdym razie lubiłem go.

W pięćdziesiątym czwartym w moim życiu ponownie pojawił się Wilson. Pracowałem wtedy jako zwykły urzędnik w Leeds, nadal pisząc dość kiepskie powieści, których nie chciało żadne wydawnictwo. Miałem zaległy czterotygodniowy urlop i postanowiłem spędzić dwa tygodnie w Berlinie, ponieważ zamieszkał tam mój wuj, czasowo przydzielony do dowództwa armii.

Telefon od Wilsona zaskoczył mnie. Znow winiarnia Yatesa, na dole, w kącie. Tym razem zamówił kanapki z szynką, oczywiście wyprodukowaną w Yorkshire i bez kości.

- Ta praca w Electricity Generating Authority musi być trochę nudna.

- To prawda - przyznałem. - Jednak pracuję tylko godzinę dziennie. Potem siedzę za biurkiem i piszę.

- Owszem, ale bez specjalnych sukcesów - przypomniał mi brutalnie. Po chwili dodał: - Berlin powinien być miłym urozmaiceniem.

- Może powie mi pan, o co do diabła chodzi?

- O Berlin - rzekł. - Zamierza pan zatrzymać się u wuja na tydzień, licząc od następnego

wtorku. Chcielibyśmy, żeby pan coś dla nas zrobił.

Siedząc w dobrze mi znanym otoczeniu winiarni Yatesa w Leeds i słysząc stłumiony szum uliczny na City Square, uznałem to za najdziwniejszą propozycję, jaką kiedykolwiek mi złożono.

- Słuchaj pan - powiedziałem. - Chciałem wstąpić do dwudziestej pierwszej Sas, ale stwierdziliście, że nie pozwala mi na to wada wzroku i nie przyjęliście mnie, prawda?

- To nie jest takie proste, stary. Niech przypomnę: podpisał pan zobowiązanie o przestrzeganiu tajemnicy państwowej i nadal pozostaje pan oficerem rezerwy.

- Chce pan powiedzieć, że nie mam wyboru?

- Chcę rzec, że jesteś nasz, synu.

Wyjął z walizeczki kopertę.

- Kiedy będzie pan w Berlinie, zrobi pan sobie wycieczkę autobusem do wschodniej strefy. Wszystkie szczegóły są w środku. Pojedzie pan pod wskazany adres, odbierze kopertę i przywiezie pan ją.

- To szaleństwo - zaprotestowałem. - Po pierwsze, z czasów służby w Berlinie pamiętam, że nie przejdę na wschodnią stronę na angielskim paszporcie.

- Owszem, mój drogi, jednak irlandzkie pochodzenie zapewnia nie tylko brytyjski, ale także irlandzki paszport. Znajdzie go pan w kopercie. Człowiek z irlandzkim paszportem może udać się bez wizy wszędzie, nawet do Chin.

Wstał i uśmiechnął się.

- Wszystko jest w środku. Jasno i prosto.

- A kiedy stamtąd wrócę?

- O wszystko już zadbano.

Odszedł, przeciskając się przez zatłoczony w porze lunchu lokal, a ja nagle uświadomiłem sobie, że wcale nie chciałem zapytać, kiedy wrócę, tylko czy stamtąd wrócę.

Pierwszą niespodzianką, jaka czekała mnie w Berlinie, było to, że mój wuj został znów przeniesiony do Hamburga, o czym poinformowała mnie jego gospodyni.

Była starą, zniszczoną życiem kobietą.

- Jest pan jego siostrzeńcem - powiedziała. - Kazał mi pana wpuścić.

Tak też zrobiła. Mieszkanie było skromnie umeblowane, bez wyrazu. Postawiłem bagaż, rozejrzałem się i ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzyłem je, po czym ujrzałem stojącego w progu Konrada Strassera.

- Dobrze wyglądasz - skostatował.

Znalazł butelkę wódki i nalał do kieliszków.

- A więc wybierasz się pozwiedzać wschodnią stronę, chłopcze?

- Najwyraźniej jesteś dobrze poinformowany.

- Owszem, można tak powiedzieć.

Przełknąłem wódkę.

- Co detektyw z Hamburga robi w Berlinie?

- Przeniosłem się tu w zeszłym roku. Pracuję dla Bnd, zachodnioniemieckiego wywiadu. Wydziału zwanego Urzędem Ochrony Konstytucji. Naszym głównym zadaniem jest powstrzymanie komunistycznej infiltracji tej części kraju.

- A więc?

Nalał sobie drugi kieliszek.

- Przejedziesz dziś po południu w autobusie Germanic Tours. Zostaw tutaj brytyjski paszport, weź tylko irlandzki.

- Słuchaj, o co tu chodzi? - zapytałem. - I jak ty się w to wplątałeś?

- To bez znaczenia. Liczy się tylko to, że zostałeś kurierem dwudziestej pierwszej Sas.

- Rany boskie, przecież mnie odrzucili.

- No, niezupełnie. To znacznie bardziej skomplikowane. Słyszałeś kiedyś to stare powiedzonko Ira? "Jak raz wszedłeś, już nie wyjdiesz"?

Byłem zdumiony, ale zdołałem jeszcze zapytać:

- Tylko co ty masz z tym wszystkim wspólnego?

Wyjął z portfela kawałek papieru i podał mi go.

- To schematyczny plan miasta ukazujący położenie baru Heiniego. Gdyby sprawy przybrały kiepski obrót, idź tam. Powiedz barmanowi, że nie jesteś zadowolony z zakwaterowania i

natychmiast chcesz się przeprowadzić. Mów po angielsku.

- A cóż to ma znaczyć?

- Ktoś po ciebie przyjdzie. Oczywiście, jeśli wszystko dobrze pójdzie, wrócisz tym samym autobusem, ale żyjemy na bardzo niedoskonałym świecie.

- Jesteś w to wmieszany - stwierdziłem. - Najpierw ten Wilson, potem nieobecność wuja, a teraz pojawiaasz się ty. Co się, do diabła, dzieje?

Nagle pomyślałem o moim biurku w biurze w Leeds, o sali balowej "Astorii" w piątkowe wieczory, o dziewczynach w bawełnianych sukienkach. Co ja tu robię?

- Jesteś muchą w pajęczynie, jak ja byłem w gestapo. Zostałeś schwytyany. Niespodziewanie, ale nie masz już odwrotu. - Dopił sznapsa i ruszył do wyjścia. - Jestem po twojej stronie, chłopcze, pamiętaj o tym.

Zamknął za sobą drzwi i już go nie było.

Autobus przewiózł nas przez Checkpoint Charlie szybko i gładko. W środku siedzieli turyści z całego świata. Po drugiej stronie sprawdziła nas straż graniczna. W moim przypadku obejrzeliby wize turystyczną oraz irlandzki paszport. Żadnych problemów.

Później, podczas lunchu w bardzo staromodnej hotelowej restauracji, przewodniczka z naciskiem przypominała, że gdyby ktoś się zgubił, powinien dotrzeć do hotelu, spod którego o piątej odjedzie autobus.

Moje instrukcje znalezione w brązowej kopercie nakazywały mi stawić się w punkcie docelowym o czwartej. Wytrzymałem dwie nudne godziny, po czym o trzeciej trzydzieści odłączyłem się od wycieczki, w samą porę łapiąc taksówkę.

W tym czasie w Nrd obowiązywały zabawne przepisy. Kościołowi pozwalano działać, ale członek partii komunistycznej nie mógł być wierzący - to zniweczyłoby wszelkie perspektywy kariery zawodowej. W rezultacie wiernych było bardzo niewiele.

Kościół Świętego Imienia najwidoczniej pamiętał lepsze czasy. Był zimny, wilgotny i zaniedbany. Brakowało nawet świec. Trzy staruszki siedziały, czekając przed konfesjonałem, a między ławkami modlił się mężczyzna w brązowym prochowcu. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami usiadłem opodal. W końcu przyszła moja kolej i podszedłem do konfesjonału.

Po drugiej stronie kratki usłyszałem cichy szmer.

- Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłem.

Powiedziałem to po angielsku.

- Czym, mój synu?

Powtórzyłem, zgodnie z instrukcją.

- Jestem tu tylko jako posłaniec Boga.

- Zatem czyń Boże dzieło.

Pod kratką przesunięto kopertę. Zapadła cisza, po czym po drugiej stronie zgasło światło. Wziąłem kopertę i wyszedłem.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim zorientowałem się, że śledzi mnie mężczyzna w brązowym prochowcu. Szybko nadchodził zmierzch, zaczął padać deszcz i bezskutecznie rozglądałem się za taksówką. Szybkim krokiem ruszyłem przed siebie. Mijałem kolejne ulice, kierowałem się ku Szprewie, usiłując przypomnieć sobie miasto zapamiętane z dawnych dni, ale oglądałem się na każdym rogu i wciąż widziałem go za sobą.

Skręciwszy w wąską uliczkę, pobiegłem pędem i nagle zobaczyłem rzekę. Miąłem rząd walących się magazynów, a potem uskoczyłem w bramę. Po kilku minutach przebiegł obok mnie. Oczekałem chwilę - cisza, tylko głośny plusk deszczu - po czym opuściłem kryjówkę i poszedłem nabrzeżem.

- Halt! Stój i nie ruszaj się!

Wyłonił się zza rogu. W lewej ręce trzymał walthera Ppk i podchodził do mnie.

- No nie, a cóż to ma znaczyć? - zapytałem po angielsku, urażonym tonem.

Podszedł bliżej.

- Nie wciskaj mi kitu. Obaj wiemy, co tam robiłeś. Od tygodni obserwowałem kościół i tego starego drania.

Wtedy popełnił błąd, bo podszedł dostatecznie blisko, by uderzyć mnie w twarz. Złapałem go za prawy przegub, przycisnąłem lewe ramię do boku i przytrzymałem. Raz nacisnął spust; szamotaliśmy się na skraju nabrzeża. Obróciłem lufę walthera. Broń wypaliła ponownie i mężczyzna krzyknął, nadal nie wypuszczając jej z ręki, po czym runął w ciemną toń rzeki. Odwróciłem się i pobiegłem, jakby ścigały mnie wszystkie ogary piekieł. Kiedy dotarłem do hotelu, autobus już odjechał.

Godzinę później odnalazłem bar Heiniego. Do tego czasu zrobiło się już całkiem ciemno. Bar, zgodnie z oczekiwaniami, o tak wczesnej porze był całkiem pusty. Barman był starym, groźnie wyglądającym człowiekiem o stalowosiwych włosach, z blizną przecinającą policzek aż do pustego

oczodołu. Zamówiłem koniak.

- Słuchaj pan - powiedziałem po angielsku - nie jestem zadowolony z zakwaterowania i muszę natychmiast się przeprowadzić.

Wydawało mi się to zupełnie zwariowane, lecz ku mojemu zdumieniu skinął głową i odpowiedział również po angielsku.

- W porządku, niech pan siada przy oknie. Dziś wieczorem mamy gulasz jagnięcy. Przyniosę panu porcję. Dam znać, kiedy przyjdzie czas ruszać.

Zjadłem gulasz, wypłem parę kieliszków, a potem nagle przyszedł zabrać naczynia. Do tej pory w barze siedziało już kilku klientów.

- Niech pan przejdzie przez ulicę na nabrzeże, gdzie stoją dźwigi. Czarna limuzyna, volkswagen. Niech pan nie płaci, po prostu jedzie.

Zrobiłem, jak kazał, przeszedłem w deszczu przez ulicę i znalazłem volkswagena. To dziwne, ale wcale nie zaskoczył mnie widok Konrada Strassera za kierownicą.

- Jedźmy - zakomenderował.

Wsiadłem.

- Cóż to, specjalne traktowanie?

- Postanowiłem przyjechać osobiście. Jakie miałeś wyniki na granicy? Dwóch Rosjan? No cóż, teraz jesteś asem. Dziś wieczorem w Szprewie wylądował agent Stasi.

Stasi była wschodnioniemiecką służbą bezpieczeństwa.

- Nie pozostawił mi wyboru.

- Niczego innego nie należało oczekiwać.

Jechaliśmy labiryntem ulic.

- Czy twoje pojawienie się jest zgodne z planem?

- Niezupełnie.

- Powiedziałbym, że to dość ryzykowne.

- No cóż, w pewnym sensie należysz do rodziny. Widzisz, to rodzinna sprawa. Ty, granica, twój wuj i ja, stary gestapowiec. Czasem mamy jeszcze możliwość wyboru. Ja miałem dziś wieczorem i przyjechałem po ciebie. Wracamy przez posterunek na bocznej ulicy. Stoi tam znajomy sierżant. Połóż się i śpij.

Podał mi butelkę.

- Koniak. Nalej sobie.

Kilka minut później przejechaliśmy w ulewnym deszczu przez obszar, na którym wyburzono wszystkie domy, tworząc ziemię niczyją, odgrodzoną od zachodu zwojami drutu kolczastego. Oczywiście, wtedy jeszcze nie było muru berlińskiego. Tylko czerwono-biały szlaban, dwaj wopiści w pelerynach Wehrmachtu, z karabinami. Położyłem się na tylnym siedzeniu i zamknąłem oczy.

Konrad zahamował, po czym stanął, a jeden ze strażników, sierżant, podszedł do samochodu.

- Tam i z powrotem, Konradzie - zauważył. - Kim jest twój przyjaciel?

- To mój kuzyn z Irlandii. - Konrad podał mój irlandzki paszport. - Zalał się w pestkę.

Zapach dobrego koniaku potwierdzał prawdziwość jego słów.

- Mam te amerykańskie papierosy, o które prosiłeś. Marlboro. Obawiam się, że zdołałem załatwić tylko tysiąc sztuk.

- Mój Boże! - westchnął sierżant, oddał mój paszport i wziął podane mu przez Konrada pięć kartonów. - Przyjeżdżaj znowu.

Szlaban uniósł się i wjechaliśmy w jasne światła Berlina Zachodniego.

W mieszkaniu wuja Konrad nalał sobie whisky i wyciągnął rękę.

- Daj mi kopertę.

Tak też zrobiłem.

- Co w niej jest?

- Nie musisz wiedzieć.

Już miałem się obruszyć, ale doszedłem do wniosku, że ma rację.

- Słuchaj - powiedziałem - miałem zamiar zapytać cię o to wcześniej. Mówiłeś, że jestem kurierem Sas-u. Zadanie zlecił mi major Wilson, tymczasem dziwnym zbiegiem okoliczności pojawiłeś się ty. Dlaczego?

- To nie jest zbieg okoliczności. Dorośnij wreszcie! Wszystko pasuje jak w układance. Pozwól, że wyjaśnię ci kilka rzeczy. Dwudziesta pierwsza Sas składa się z niedzielnych żołnierzy, od

prawników po taksówkarzy i przedstawicieli wszelkich innych zawodów. Ludzi mówiących wszelkimi możliwymi językami. Podczas gdy dwudziesta druga saS strzela do Chińczyków na Malajach lub Arabów w Omanie i robi tym podobne rzeczy, ludzie z dwudziestki jedyinki pracują na zlecenie, tak jak ty. Jechałeś do Berlina, o czym wiedziano. Byłeś użyteczny.

- I łatwy do spisania na straty?

- Właśnie. A ponadto przypadkiem mogłeś liczyć na wsparcie z mojej strony.

- Prawdopodobnie uratowałeś mi życie.

- Och, poradziłbyś sobie - zaśmiał się. - Za kilka dni wrócisz na swój ulubiony dancing, podrywać dziewczyny, które nie będą nawet podejrzewały, jaki z ciebie twardy facet.

- A więc to koniec? Mam po prostu wracać?

- Dokładnie tak. Wilson będzie bardzo zadowolony.

Dopił szkocką.

- Wyświadczyć mi jednak przysługę. Nie wracaj do Berlina. Następnym razem będą na ciebie czekali.

Podszedł do drzwi i otworzył je.

- A będzie następny raz? - zapytałem.

- Jak już mówiłem, dwudziestkajedyinka wykorzystuje ludzi w specjalnych sytuacjach, do jakich najlepiej się nadają. Kto wie?

Na chwilę spoważniał.

- Odrzucili cię, ale tylko pozornie. Nie dostaniesz munduru, beretu ani odznaki z napisem "Odważny zwycięzca".

- Jednak nie dadzą mi spokoju?

- Obawiam się, że nie. Uważaj na siebie - rzucił jeszcze i poszedł.

Miał rację. Minął dłuższy czas, bywałem bezrobotny, potem miałem się rozmaitych zajęć, ukończyłem college i uniwersytet, ożeniłem się, odnosiłem sukcesy w pracy nauczycielskiej oraz literackiej. Dopiero kiedy na początku lat siedemdziesiątych w Ulsterze wybuchły poważne rozruchy, o których napisałem poczytną książkę, ponownie zobaczyłem Wilsona. Sądząc po mundurze, był już pułkownikiem w szeregach Royal Army Service Corps, chociaż miałem co do tego poważne wątpliwości.

Siedzieliśmy w barze ekskluzywnego hotelu na przedmieściach Leeds i wznosił szampanem toast za sukces mojej powieści.

- Bardzo dobrze się pan spisał. Wspaniała książka i taka autentyczna.

- Miło mi słyszeć, że się panu podobała.

- Zupełnie inna od tych knotów płodzonych przez reporterów telewizyjnych i im podobnych. Bardzo powierzchownych, podczas gdy pan... No, pan naprawdę rozumie Irlandczyków i nie ma w tym nic dziwnego. Mówię o Orange Prod, ale i o katolickich powiązaniach. To niezwykle użyteczne.

Miałem uczucie déjà vu - znów przypominał mi się Berlin.

- Czego chcecie? - zapytałem ostrożnie.

- Nic wielkiego. W przyszłym tygodniu pojawi się pan w Dublinie, rozdawać autografy, wystąpić w telewizji?

- I co z tego?

- Bardzo by nam pomogło, gdyby pan spotkał się tam z kilkoma ludźmi.

- Prawie dwadzieścia lat temu spotkałem się dla was z kimś w Berlinie i o mało nie odstrzelono mi głowy.

- Drobną przesadą. O ile pamiętam, oberwał ktoś inny - uśmiechnął się Wilson. - To ciekawe, że nie miał pan z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia, tak samo jak z tymi Rosjanami.

- Tamci potraktowaliby mnie gorzej - odparłem. - Sami zaczęli. - Wyjąłem papierosy i zapaliłem. - I co mam zrobić, powtórzyć to przedstawienie, tylko tym razem nad Liffey zamiast nad Szprewą?

- Bynajmniej. Żadnych karkołomnych wyczynów. Będzie pan tylko emisariuszem. Porozmawia pan z kilkoma osobami, to wszystko.

Uświadomiłem sobie, że na myśl o tym czuję dreszcz emocji.

- Zapomnieliście, że już dawno temu odsłużyłem moje dziesięć lat jako rezerwista.

- Oczywiście, ale podpisał pan zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy państwowej, kiedy ubiegał się pan o przyjęcie do dwudziestej pierwszej Sas.

- Do której mnie nie przyjęto.

- No cóż, jak już kiedyś wspominałem, to trochę bardziej skomplikowane.

- Chce pan powiedzieć, że jak raz wszedłeś, to już nie wyjdiesz? - zdusiłem papierosa. -

Konrad mówił mi o tym w Berlinie. Jak się ma? Nie widziałem go od jakiegoś czasu.

- Świetnie - odparł. - Jest bardzo aktywny. Rozumiem, że będzie pan z nami współpracował?

- Chyba nie mam wyboru, prawda?

Opróżnił kieliszek.

- Nie ma powodu do obaw. To łatwizna.

Żadnych karkołomnych wyczynów? Łatwizna? Pięć podróży dla tego drania, bomby, strzelaniny, szkło na ulicach, zbyt wiele paskudnych nocy w Belfaście, aż do tego pamiętnego dnia, kiedy ludzie z bronią w kieszeniach odprowadzili mnie na lotnisko i poradzili, żebym nigdy nie wracał. Nie zrobiłem tego przez całe lata i - co ciekawe - więcej nie usłyszałem o Wilsonie, przynajmniej dosłownie, bo spojrzał na mnie kiedyś ze zdjęcia w dziale nekrologów "Daily Telegraph", tyle że był już wtedy brygadierem, nie pułkownikiem i wcale nie nazywał się Wilson...

Świt nad kornwalijskim wybrzeżem przyniósł tumany mgły, gdy stałem na balkoniku pokoju gospody "Pod Wisielcem". Miałem za sobą długą noc wspomnień. Moja żona jeszcze spała, gdy ubrałem się cicho i zszedłem do baru. Oczywiście, miała rację. Powinienem wykorzystać moje niemieckie kontakty, a to oznaczało Konrada Strassera. Nie rozmawiałem z nim od kilku lat. Po śmierci mojego wuja i jego niemieckiej żony nasze stosunki rozluźniły się, ale nadal miałem numer jego telefonu w notesie z najważniejszymi adresami. Wilgotnym, lecz nadal nadającym się do użytku. Wyjąłem go. W tym momencie otworzyły się kuchenne drzwi i wyrzwał z nich Zec Acland.

- Wcześniej na nogach.

- Pan też.

- W moim wieku nie śpi się długo. Właśnie zaparzyłem dzbanek herbaty.

- Zaraz przyjdę. Chciałbym zadzwonić. Do Hamburga. Proszę doliczyć mi to do rachunku.

- Hamburg. Ciekawe. Tam też jest wcześniej.

- To także stary człowiek. On też pewnie nie sypia długo.

Acland wrócił do kuchni, ja usiadłem na barowym stołku, wyjąłem notes i wykręciłem numer. Gdy telefon dzwonił, myślałem o Konradzie, urodzonym w dwudziestym roku, a więc mającym siedemdziesiąt siedem lat. Wiedziałem, że jego żona nie żyje. Córka mieszkała w Australii.

Ktoś podniósł słuchawkę i rzekł szorstko po niemiecku:

- A któż to, do licha?

- Twój irlandzki kuzyn - powiedziałem po angielsku. - Jaka dziś rano pogoda w Hamburgu?

Mieszkał w Blankanese.

- Na rzece mgła i kilka łódek.

Roześmiał się, mówiąc do mnie "chłopcze", jak zawsze.

- Miło cię słyszeć, chłopcze. Mam nadzieję, że skończyłeś już z tymi irlandzkimi bzdurami.

- Zdecydowanie. Jestem już znacznie starszy, pamiętasz?

- Tak, oczywiście, a pamiętam też, że kiedy poznałeś swoją obecną żonę i powiedziałeś mi, że jest od ciebie dwadzieścia pięć lat młodsza, dałem wam najwyżej rok.

- Owszem, a to było piętnaście lat temu.

- Jak widać nawet stary gestapowiec czasem się myli.

Dostał okropnego ataku kaszlu. Zaczekałem, aż mu przejdzie, a potem zapytałem:

- Jesteś zdrowy?

- Jasne. Krew i żelazo, to my, Niemcy. Czy twoja żona wciąż jest Cudowną Kobietą? Wyścigi formuły jeden, nurkowanie, pilotowanie samolotów?

- Wczoraj naprawdę była Cudowną Kobietą - odparłem. - Uratowała nas oboje.

- Opowiedz mi o tym.

Zrobiłem to. Kiedy skończyłem, westchnął:

- Mój Boże, co za kobieta.

- To niedopowiedzenie. Czasami jednak doprowadza człowieka do szału.

- A przez resztę czasu?

- Jest absolutnie wspaniała.

Znów się rozkaszał, a potem spytał:

- O cóż więc chodzi? Taki nieoczekiwany telefon o bladym świetle.

- Potrzebna mi twoja ekspertyza. Natknąłem się na zdumiewającą historię. Dwaj bracia bliźniacy, urodzeni w tysiąc dziewięćset osiemnastym, Harry i Max Kelso. Ojciec Amerykanin,

matka baronowa Elsa von Halder.

Chrząknął.

- Pruska arystokracja, ci Halderowie.

- Bliźniacy zostali rozdzieleni. Harry, młodszy, pozostał w Stanach z bogatym dziadkiem, który zapłacił matce, żeby w trzydziestym wróciła z Maxem do Niemiec, kiedy jej mąż zginął w wypadku samochodowym. Max, jako starszy, automatycznie został baronem von Halder.

- Słyszałem to nazwisko.

- Z pewnością. Czarny Baron, as Luftwaffe. Jego brat, Harry, również był lotnikiem. Latał dla Finów przeciw Roskom, a potem był Jankesem w Raf-ie. Bitwa o Anglię i tak dalej. Więcej medali, niż potrafiłbyś zliczyć.

Zapadła cisza.

- Co za historia. Dlaczego więc żaden z nich nie stał się jedną z legendarnych postaci drugiej wojny światowej?

- Ponieważ z jakiegoś powodu to ściśle tajne.

- Po tylu latach?

- Rozmawiałem ze starcem, który ma osiemdziesiąt osiem lat i jest mu wszystko jedno, więc podał mi wiele faktów, ale nie znam niemieckiej wersji wydarzeń. Pomyślałem, że jako stary gestapowiec mógłbyś mieć dostęp do takich akt. Rzecz jasna, zrozumiem, gdybyś nie mógł.

- Co masz na myśli, mówiąc "nie mógł"? - Znow zaczął kaszleć. - To mi się podoba. Wspaniała historia.

Mogłaby mi pomóc odzyskać sens życia, choć to akurat nie ma znaczenia. Niewiele mi go pozostało. Rak płuc.

Boże, zabolalo mnie to, bo bardzo lubilem tego człowieka.

- Jezu, Konradzie, daj sobie spokój.

- A dlaczego? Będę się świetnie bawił. Jestem stary i chory, więc mało mnie obchodzi klauzula "ściśle tajne". Co za ubaw... Po tak długiej służbie wywiadowczej mogę ujawnić wszelkie brudy i nie przejmować się niczym. Wyświadczasz mi przysługę. Podaj mi tylko jeszcze kilka faktów o tym Czarnym Baronie, a wezmę się do roboty.

Chwilę później zapach smażonego boczku zwabił mnie do kuchni, gdzie Zec robił kanapki. Usiadłem na końcu stołu, piłem herbatę, w której można by postawić łyżeczkę, zjadłem kanapki i czułem się znakomicie.

- Rozmowa była owocna? - zapytał.

- Och tak - odparłem. - Dzwoniłem do krewnego. Jeśli ktoś może dowiedzieć się czegoś o działaniach Maxa Kelso po niemieckiej stronie, to tylko on.

- Jest pan tego pewien?

- Całkowicie. On jest bardzo podobny do pana, Zec. Siedemdziesiąt siedem lat, widział już wszystko, ma odpowiednie powiązania. - Nalałem sobie kolejny kubek herbaty. - Podczas wojny był w gestapo.

O mało nie spadł z krzesła ze śmiechu.

- Dobry Boże.

- Powiedział mi pan wszystko, co pan wie? - zapytałem.

- Jasne, że nie. Zobaczymy, co pan wygrzebie, a potem uzupełnimy brakujące fragmenty. - Wstał. - Muszę sprawdzić beczki z piwem. Zobaczymy się później.

Po śniadaniu poszedłem na koniec pomostu, zapaliłem papierosa i patrzyłem w mgłę, rozmyślając o tym wszystkim. Denise pojawiła się dziesięć minut później, w za dużym swetrze i dżinsach, najwidoczniej męskich. Przyniosła dwa kubki kawy.

- Pomyślałam, że napijesz się łyk. Rozmawiałam z aeroklubem Goodwood. Leci po nas Bernie Smith.

- To dobrze. - Upiłem łyk i objąłem ją w tali. - Dzięki!

- Kiepska noc?

- Wspomnienia z Niemiec. Sprawy, o jakich nic nie wiesz. Granica, dawno, dawno temu. Zamieszki w Irlandii. Myślałem o tym bez końca. - Zawahałem się. - Wspomniałaś o moim kuzynie z Hamburga, tym, który był w gestapo.

- I co?

- Zadzwoń do niego rano. Wciąż mieszka w Hamburgu. Jego przeszłość daje mu dostęp do takich akt.

- Pomoże?

Westchnąłem.

- Z prawdziwą przyjemnością. Okazuje się, że ma raka płuc. Powiedział, że dzięki temu odzyska sens życia, chociaż zapewne nie na długo.

Uścisnęła mnie.

- Na pewno czujesz się okropnie.

Czy czułem się okropnie?

- Wracajmy do pubu - zaproponowałem. - Przyda ci się śniadanie. Konrad coś znajdzie. Gestapo było sprawną organizacją.

Rzeczywiście, wspaniale się spisał i umarł sześć miesięcy później. Złożywszy to, co odkrył i co powiedział mi Zec, a także wyniki moich własnych poszukiwań, otrzymaliśmy tę opowieść - prawdziwą i niezwykłą historię braci Kelso.

Początek

1917

3

Sierpień 1917. Trzy tysiące trzysta metrów nad linią francuskiego frontu Jack Kelso był najszcześniejszym z ludzi. Dwudziestopięcioletni dziedzic jednej z najszacowniejszych i najbogatszych bostońskich rodzin, mógł teraz kończyć Harvard, tymczasem już drugi rok latał w brytyjskich Royal Flying Corps.

Leciał myśliwcem Bristol, jednym z najlepszych samolotów bojowych pierwszej wojny, z

dodatkowym miejscem z tyłu przeznaczonym dla strzelca-observatora. Jego sierżant, który dzień wcześniej oberwał odłamkiem szrapnela, leżał w szpitalu, a Kelso - zapalczywy pilot mający na koncie Military Cross i piętnaście niemieckich samolotów - bez pozwolenia wystartował sam. No, niezupełnie, gdyż na dnie kabiny siedział miś Tarquin w skórzanej pilotce i lotniczej kurtce.

Kelso postukał go po łebku.

- Dobry chłopak - powiedział. - Nie zawiedz mnie.

W tym czasie brytyjskie Ministerstwo Wojny zakazywało jeszcze używania spadochronów, twierdząc, iż robią z lotników tchórzy. Jack Kelso - realista, a także bardzo bogaty człowiek - siedział na najnowszym modelu takiego sprzętu, stanowiącym jego prywatną własność.

Był realistą również w kilku innych sprawach. Zawsze strzeż się ataku od strony słońca. Nigdy nie przelatuj nad frontem na wysokości mniejszej niż trzy tysiące trzysta metrów.

Wielki von Richthofen zestrzelił kiedyś cztery bristole jednego dnia i nie bez powodu. Pilot miał z przodu zamocowany na stałe karabin maszynowy Vickersa. Obserwator z tyłu dysponował dwoma obrotowymi lewisami, co oznaczało, że całe strzelanie spoczywało na jego barkach. Po kilku niepowodzeniach tacy piloci jak Kelso odkryli, że ten samolot jest tak zwrotny, że można go pilotować jak jednomiejscową maszynę.

Tego ranka pogoda była kiepska, wietrzna i dżdżysta, z gęstymi burzowymi chmurami. Kelso nawet nie zdążył zauważyć samolotu, który przerwał jego szczęśliwą passę. Nagły huk, cień po prawej i seria z karabinu maszynowego przeszła kadłub bristolą, kula trafiła go w lewą nogę, a potem wpadł w bezpieczne objęcia gęstej chmury.

Zawrócił ku brytyjskim liniom, opadając najpierw na dwa, a potem na tysiąc osiemset metrów. Czuł smród spaleniźny. Na tysiącu z silnika trysnęły płomienie. Przez moment dostrzegł w dole okopy, pola bitewne Flandrii. Czas skakać. Rozpiął pas, podniósł Tarquina i wepchnął go pod gruby skórzany płaszcz, obrócił bristolą na plecy i wyskoczył. Opadł na trzysta metrów, pociągnął za sznur i leciał na spadochronie.

Wylądował w wypełnionym do połowy wodą leju po pocisku, nie wiedząc, czy znalazł się po niemieckiej, czy brytyjskiej stronie frontu, ale dopisało mu szczęście. Po kilku minutach dotarł do niego patrol uzbrojonych w karabiny żołnierzy w oblepionych błotem mundurach.

- Nie strzelać, jestem brytyjskim lotnikiem! - zawołał Kelso.

W pobliżu trzasnęła seria z karabinu maszynowego. Gdy dwaj żołnierze odpinali jego spadochron, sierżant zapalił papierosa i włożył mu go do ust.

- Masz zabawny akcent, kapitanie - stwierdził wyraźnym cockneyem.

- Amerykański - wyjaśnił Kelso.

- No, długo trwało, zanim się tu zjawiliście - rzekł sierżant. - Czekamy na was od tysiąc

dziewięćset czternastego.

Szpital polowy mieścił się w starym francuskim zamczku otoczonym pięknym parkiem. Droga z linii frontu była długa i ryzykowna, lecz Jack Kelso stracił przytomność po zastrzyku morfiny podanym przez sanitariusza. Ocknął się w świetle ze snu: mały pokój, biała pościel, otwarte drzwi na taras. Spróbował usiąść, ale krzyknął z bólu, podciągnął więc kołdrę, by zobaczyć grubo obandażowaną nogę. Otworzyły się drzwi i weszła młoda pielęgniarka w fartuchu Czerwonego Krzyża. Miała blond włosy, wyrazistą twarz, zielone oczy i wyglądała na dwadzieścia parę lat. Była najpiękniejszą istotą, jaką Jack Kelso widział w życiu, toteż zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

- Nie, niech pan leży spokojnie - powiedziała, popychając go na poduszki i poprawiając pościel.

Do pokoju wszedł pułkownik noszący insygnia korpusu medycznego.

- Jakiś problem, baronowo?

- Nie. Jest po prostu oszołomiony.

- Nie możemy na to pozwolić - rzekł pułkownik. - Wyjęliśmy ci z nogi naprawdę dużą kulę, synu. Chyba potrzebny ci jeszcze jeden zastrzyk morfiny.

Wyszedł, a ona napełniła strzykawkę i chwyciła prawą rękę Kelso.

- Pani akcent. Jest pani Niemką, a on nazwał panią baronową.

- To użyteczne, kiedy zajmuję się pilotami Luftwaffe.

Chciała odejść, ale złapał ją za rękę.

- Nie dbam o to, kim pani jest, o ile pani obieca, że wyjdzie tylko za mnie, baronowo - rzekł sennie. - Gdzie Tarquin?

- Pyta pan o misia?

- To nie jest zwyczajny miś. Zestrzeliłem piętnaście samolotów i zawsze mi towarzyszył. Przynosi mi szczęście.

- No cóż, jest tam, na toaletce.

I był. Jack Kelso zauważył go wreszcie.

- Cześć, kolego - mruknął i zapadł w sen.

Baronowa Elsa von Halder utknęła w Paryżu na początku wojny. Miała dwadzieścia dwa lata, ojca generała poległego nad Sommą, pochodziła z dobrej pruskiej rodziny mieszkającej w podupadłym dworku i była bez grosza. W miarę jak płynęły dni, Kelso opowiadał jej o swoim dostatnim życiu w Stanach i odkryli, że coś ich łączy: oboje stracili matki w tysiąc dziewięćset szesnastym, w obu przypadkach na skutek choroby nowotworowej.

Trzy tygodnie po przybyciu do szpitala, siedząc w fotelu na tarasie z dobrym widokiem na trawnik i opalających się tam, rannych oficerów, Kelso patrzył, jak szła w jego kierunku, przystając od czasu do czasu, żeby zamienić z kimś kilka słów. Niosła paczuszkę, którą mu wręczyła.

- Poczta polowa.

- Otwórz - poprosił, a ona spełniła jego życzenie.

W środku było skórzane pudełeczko i list.

- No, Jack, to z dowództwa. Zostałeś odznaczony Distinguished Service Order.

Wyjęła order i pokazała mu go.

- Nie cieszysz się?

- Pewnie. Ale mam już kilka medali - odparł. - Nie mam tylko ciebie.

Chwycił ją za rękę.

- Wyjdź za mnie, Elso. Wiesz, że będę prosił, dopóki się nie zgodzisz.

Wiedziała o tym i usłyszała swój głos:

- A co z twoim ojcem? Czy nie powinieneś najpierw z nim porozmawiać?

- List do Stanów i z powrotem idzie za długo. Ponadto, oprócz licznych zalet, które posiada, mój ojciec jest snobem. Pokocha cię, bostońska śmietanka towarzyska także, więc nie ma na co czekać. Jest tu kapelan polowy. Może w każdej chwili połączyć nas węzłem małżeńskim.

- Och, Jack, jesteś takim miłym człowiekiem... takim miłym.

- Niemcy przegrają wojnę, Elso. Wszystko, do czego wtedy wrócisz, to podupadła posiadłość i kłopoty finansowe. Zaopiekuję się tobą, obiecuję. - Wziął ją za rękę. - No, będzie dobrze. Zaufaj mi.

Tak też zrobiła i dwa dni później wzięli ślub. Przecież miał rację: nie miała do czego wracać.

Ich miesiąc miodowy w Paryżu upłynął miło, choć nie jak w najgorętszym romansie; ale on dobrze wiedział, że nie poślubiła go z miłości. Wyraźnie kulał na zranioną nogę, która wymagała

dalszego leczenia, więc żona umieściła go w szpitalu Czerwonego Krzyża w Paryżu. Bardzo szybko zaszła w ciążę, toteż Kelso nalegał, aby wyjechała do Stanów.

- Nasze dziecko musi urodzić się w domu. Nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów.

- Ty też mógłbyś pojechać, Jack. Twoja noga jeszcze nie jest sprawna i pytałam pułkownika Carstairsa. Powiedział, że zwolniliby cię, gdybyś o to poprosił.

- Co zrobiłaś? Elso, nigdy więcej tego nie rób! - Przez chwilę wyglądał jak zupełnie inny człowiek, jak wojownik, który zestrzelił piętnaście niemieckich myśliwców... a potem uśmiechnął się i znów był ujmującym Jackiem Kelso. - Nadal trzeba wygrać wojnę, ukochana, a teraz, kiedy przystąpiła do niej Ameryka, nie potrwa to długo. Będzie ci tam dobrze. A mój ojciec będzie zachwycony.

Zrobiła, jak kazał - popłynęła do Ameryki, gdzie Abe Kelso rzeczywiście powitał ją entuzjastycznie. Odniosła ogromny sukces na arenie towarzyskiej i nic nie było dla niej zbyt dobre, szczególnie kiedy urodziła bliźnięta - dwóch chłopców. Starszego nazwała Max, po jej ojcu; drugiego Harry, po ojcu Abego.

Na zachodnim froncie Jack Kelso otrzymał tę telegraficzną wiadomość. Nadal latał w Royal Flying Corps, gdzie postanowił zostać, zamiast dołączyć do Amerykanów. Jako jeden z nielicznych ocalałych weteranów - w tym ostatnim roku wojny straty po obu stronach były wyjątkowo wysokie - miał już stopień podpułkownika.

Chudy, wymizerowany, przedwcześnie postarzały Jack Kelso, jeszcze w mundurze, wkrótce po przybyciu do Bostonu stał w dziecinnyim pokoju i patrzył na śpiących chłopców. Elsa została w drzwiach, z lekkim przestraszonym patrzac na przybysza.

- Wspaniale - powiedział. - Wyglądają wspaniale. Chodźmy na dół.

Abe Kelso stał przy kominku pięknego salonu. Był wyższy niż Jack, miał ciemniejsze włosy, ale te same rysy.

- Na Boga, Jack! - rzekł, podnosząc dwa kieliszki z szampanem i podając je im. - Jeszcze nigdy nie widziałem tylu medali.

- Sterta blachy.

Jego syn jednym haustem wypił szampan.

- Ciężki był ten ostatni rok? - pytał Abe, nalewając mu ponownie.

- Wystarczająco ciężki, ale nie dałem się zabić. Wszyscy inni tak, ale nie ja. - Jack Kelso

uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- To straszne, co mówisz - powiedziała jego żona.

- Racja, straszne. - Zapalił papierosa. - Widzę, że chłopcy mają jasne włosy. Prawie białe.

Wydmuchnął dym.

- Są w połowie Niemcami.

- To nie ich wina - rzekł. - Nawiasem mówiąc, wiecie, ile mam zestrzeleń? Czterdzieści osiem.

Wtedy zrozumiała, jak bardzo zmieniła go wojna, ale to Abe powiedział z wymuszoną radością:

- Co teraz zamierzasz robić, Jack? Wrócić na Harvard i skończyć studia prawnicze? Potem mógłbyś rozpocząć pracę w firmie.

- Chyba żartujesz. Mam dwadzieścia trzy lata i jeśli policzyć ostrzeliwanie okopów z karabinu maszynowego, zabiłem setki ludzi. Harvard jest wykluczony, firma także. Mam fundusz powierniczy, który zostawiła mi matka. Zamierzam się zabawić.

Opróżnił kieliszek.

- Wybaczcie mi, muszę się wykapać.

Wyszedł, kulejąc. Abe Kelso dołał synowej szampana.

- Słuchaj, moja droga, on wiele przeszedł. Musimy mu to wybaczyć.

- Nie przepraszaj za niego - poprosiła, odstawiając kieliszek. - To nie jest człowiek, za którego wyszłam. On nadal pozostał w tych przeklętych okopach. Nigdy z nich nie wyszedł.

Niewiele minęła się z prawdą, gdyż w następnych latach Jack Kelso postępował tak, jakby nie dbał o to, czy żyje, czy umrze. Zasłynął sukcesami odniesionymi na wyścigach samochodowych. Wciąż latał i trzykrotnie lądował awaryjnie. Wykorzystywał nawet swój jacht do przemykania wódki podczas prohibicji i potrafił wypić naprawdę dużo.

Mimo wszystko trzeba przyznać, iż zawsze dobrze traktował małżonkę. Ze swej strony Elsa grała rolę dobrej żony, eleganckiej pani domu i oddanej matki. Dla Maxa i Harry'ego zawsze była Mutti, nauczyła ich francuskiego i niemieckiego, a oni bardzo ją kochali, choć jeszcze większym uczuciem darzyli wiecznie pijanego bohatera wojennego.

Udało mu się kupić myśliwiec Bristol, który trzymał na przedmieściach Bostonu w małym aeroklubie, którego właścicielem był inny as lotniczy z czasów Rfc, niejaki Rocky Farson. Chłopcy mieli dziesięć lat, kiedy Jack posadził ich w tylnej kabinie i zabrał w powietrze. Nazwał to prezentem urodzinowym. Chłopcom bardzo się spodobało, a Elsa zagroziła, że od niego odejdzie,

jeśli zrobi to jeszcze raz.

Abe, jak zawsze, próbował załagodzić konflikt, stając po jej stronie, ponieważ Jack był ciągle pijany, ale nie miał na niego wpływu, gdyż syn miał własne pieniądze.

Nadszedł rok tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy, potem dwudziesty dziewiąty. Rozczarowanej nie tylko małżeństwem, ale i Ameryką Elsie pozostała jedynie szczerą przyjaźń z Abem i miłość do chłopców. Oczywiście, byli bardzo do siebie podobni: jasnowłosi i zielonoccy, o wydatnych kościach policzkowych, identycznych głosach i ruchach. Nie mieli żadnych znamion ani innych znaków szczególnych, po których można by ich odróżnić. Najczęściej nawet ona tego nie potrafiła, tak samo jak Abe. Nieustannie udawali jeden drugiego, oszukując wszystkich. Byli bardzo zżyci ze sobą, a spierali się tylko o to, do kogo należy Tarquin. Nigdy nie przejmowali się tym, że Max jako starszy o dziesięć minut był prawowitym baronem von Halder.

W lecie trzydziestego roku doszło do tragedii. Jack Kelso zginął, kiedy Bentley wypadł z górskiej drogi w Kolorado i eksplodował. Jego szczątki sprowadzono do Bostonu, gdzie Abe, będący już członkiem Kongresu, zajął się ceremonią pogrzebową. Uczestniczyło w niej wielu liczących się ludzi, nawet sam prezydent, a obaj bliźniacy w czarnych garniturach stali po obu stronach matki. Wydawali się dziwnie nieruchomi, niemal zastygli, a także starsi, niż byli naprawdę.

Później, kiedy wszyscy żałobnicy opuścili już wielki dom, elegancko wyglądająca w czerni Elsa usiadła w salonie przy otwartych drzwiach na taras i popijała brandy. Abe stał przy kominku.

- Co teraz? - zapytał. - Kiepskie perspektywy.

- Nie dla mnie - odparła. - Ja zrobiłam swoje. Przez całe lata byłam dobrą żoną, Abe, i wiele znosiłam. Chcę wrócić do Niemiec.

- Z czego będziesz żyła? Przepuścił większość spadku po matce. Przykro mi to mówić, ale dobrze wiesz, że w testamencie nie zostawił ci wiele, Elso.

- Tak, wiem - powiedziała. - Ty jednak masz miliony. Więcej, niż ci potrzeba. Mógłbyś mi pomóc, Abe.

- Rozumiem.

- Abe, zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Pozwól mi wrócić do domu. Odbudowałabym moją posiadłość i świetność naszej rodziny.

- I zabrała ze sobą moich wnuków? - potrząsnął głową. - Nie zniósłbym tego.

- Ale to także moi synowie i należą do matki. Poza tym Max... Max jest baronem von Halder. Nie możesz mu tego odebrać, Abe, to nie byłoby słuszne. Nie byłoby sprawiedliwe. Proszę, Abe, błagam cię.

Abe Kelso przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, pogrążony w żalu i smutku. W końcu przemówił.

- Jak wiesz, często martwiłem się tym, co się stanie, kiedy Max będzie dość duży, aby przyjąć tytuł. Czy wyjedzie stąd i zostawi nas wszystkich? Zawsze myślałem, że zostało jeszcze kilka lat, zanim do tego dojdzie, ale... - Urwał i westchnął. - Skoro jednak Jack nie żyje, a ty chcesz wyjechać, niewiele nam zostało, prawda? - Uśmiechnął się smutno. - Masz rację, Elso, Max zasługuje na tę szansę. I ty także, za to, że przez tyle lat znosiłaś wybryki Jacka. Tak więc pomogę ci. Tylko pod jednym warunkiem. - Jego głos stał się silny i stanowczy. - Harry zostanie tutaj. Nie oddam obu moich wnuków. Na to nie mogę się zgodzić. Dam ci tyle, ile trzeba na odnowienie posiadłości von Halderów, ale Harry pozostanie ze mną. Zgoda?

Nawet się nie spierała.

- Zgoda, Abe.

- Dobrze. Później uzgodnimy szczegóły odwiedzin, kształcenia i tak dalej. Teraz niepokoi mnie tylko to, jak zareagują chłopcy.

- Porozmawiam z nimi.

- Nie, pozwól, że ja to zrobię. Poproś, żeby przyszli do mojego gabinetu, dobrze?

Późnym wieczorem, przed kolacją, kiedy zeszła do salonu, Max i Harry byli zadziwiająco spokojni, ale zawsze tacy byli: chłodni, zamknięci w sobie, zrównoważeni, z dystansem do wszystkiego. Chociaż kochali matkę, zdawali sobie sprawę, jaką jest egoistką, tak więc taki obrót spraw specjalnie ich nie zaskoczył. Ucałowała ich obu.

- Dziadek powiedział wam?

- Oczywiście. Zrozumieli - rzekł Abe. - Przyjęli to zadziwiająco dobrze. Jedyne problem to, w którym posiadaniu znajdzie się Tarquin, ale on zostanie tutaj. Ten miś siedział na dnie kabiny podczas wszystkich lotów Jacka. - Na chwilę pogrążył się w rozmyśleniach, a potem wyprostował plecy. - Szampana - zaordynował. - Każdemu po pół kieliszka. Jesteście już dość duzi. Wypijmy za nasze zdrowie. Tak czy inaczej, zawsze będziemy razem,

Chłopcy nic nie powiedzieli, po prostu wypili szampana, jak zawsze zbyt dojrzały jak na swój wiek i nieodgadnieni jak miś Tarquin.

Niemcy, do których wróciła Elsa von Halder, były zupełnie inne niż te z jej wspomnień - bezrobocie, zamieszki uliczne, rosnąca w siłę partia nazistowska - ale miała pieniądze Abego, więc posłała Maxa do szkoły i zajęła się odnawianiem posiadłości von Halderów. Oczywiście, weszła w kręgi berlińskich wyższych sfer. Jeden z dawnych przyjaciół jej ojca, as lotnictwa, Hermann Goring,

stał się znaczącą postacią w partii nazistowskiej, przyjacielem Hitlera. Ponieważ był arystokratą, wszystkie drzwi stały przed nim otworem, a Elsa - piękna, bogata i również z arystokratycznego rodu - okazała się cenną zdobyczą dla jego partii. Poznała wszystkich - Hitlera, Goebbelsa, von Ribbentropa - i stanowiła ozdobę wszelkich przyjęć.

Hitler doszedł do władzy w trzydziestym trzecim roku, a w trzydziestym czwartym Elsa pozwoliła Maxowi pojechać do Ameryki i zostać przez sześć miesięcy z dziadkiem i bratem, który uczył się w szkole średniej. Abe nie posiadał się z radości na widok Maxa. Natomiast bracia traktowali się tak, jakby wcale ich nie rozdzielono. Na urodziny Abe zrobił im szczególny prezent. Zabrał ich na lotnisko, z którego korzystał ich ojciec, a tam spotkali Rocky'ego Farsona, starszego i grubszego, ale wciąż sprawnego asa lotnictwa z zachodniego frontu.

- Rocky udzieli wam paru lekcji - rzekł Abe. - Wiem, że macie dopiero po szesnaście lat, ale co z tego. Tylko nic nie mówcie matce.

Rocky Farson latał z nimi na starym dwupłatowcu Gresham. Ktoś powiększył tylną kabinę, aby pomieścić worki z pocztą, tak więc było tam dość miejsca dla obu chłopców. Oczywiście uczył ich także indywidualnie i odkrył, że są urodzonymi pilotami, tak samo jak ich ojciec. I tak samo jak on zawsze zabierali ze sobą Tarquina.

Rocky nauczył ich znacznie więcej niż przeciętnego pilota prywatnego samolotu. Dawał im lekcje walk lotniczych. "Zawsze strzeż się wroga w słońcu. Nigdy nie schodź poniżej trzech tysięcy trzystu metrów. Nigdy nie leć prosto i równo dłużej jak trzydzieści sekund" - to były jego ulubione powiedzonka.

Abe, który obserwował, jak latają, pewnego dnia powiedział do Rocky'ego, kiedy wylądowali:

- Do licha, Rocky, to tak jakbyś przygotowywał ich na wojnę.

- A kto wie, senatorze? - odparł Rocky, gdyż Abe był już członkiem Senatu. - Kto wie?

Szło im tak dobrze, że Rocky za pieniądze senatora kupił dwa szkoleniowe dwupłatowce Curtisa i latał po kolei z Maxem i Harrym, ucząc ich wciąż nowych rzeczy.

Podczas pierwszej wojny światowej wielki niemiecki as lotnictwa, Hans Immelmann, wymyślił wspaniały manewr, który pozwalał mu w walce powietrznej dwukrotnie strzelić do wroga, samemu tylko raz wystawiając się na strzał. Słynny immelman, należący do kanonu podstawowych umiejętności na zachodnim froncie, dziś został praktycznie zapomniany zarówno w Us Air Corps, jak w Raf-ie.

Nurkowało się na wroga, robiło półbeczkę i przelatywało z powrotem, szesnaście metrów nad nim. Zanim skończyli lekcje z Rockym, obaj chłopcy doskonale opanowali tę sztukę.

- Są zadziwiający, zadziwiający - rzekł Abe do Rocky'ego w kantine na lotnisku.

- W dawnych czasach byliby asami. To zabawa dla młodych, senatorze. Znałem facetów z Flying Corps, którzy w wieku dwudziestu jeden lat mieli po cztery medale i byli majorami. To tak

samo jak ze sportem. Albo ma się talent, albo nie, a ci bliźniacy go mają, niech mi pan wierzy.

Chłopcy stali przy barze, cicho rozmawiając i pijąc sok pomarańczowy.

- Pewnie ma pan rację, ale co z tego? - spytał obserwujący ich Abe. - Słyszałem pogłoski, ale nie będzie następnej wojny. Zadbamy o to.

- Mam nadzieję, senatorze - rzekł Rocky, lecz nigdy nie przekonał się, jak była płonna.

Odnowił starego bristola, kiedy jednak go oblatywał, maszyna straciła sterowność na wysokości stu sześćdziesięciu metrów.

Podczas pogrzebu stojący z boku Abe spojrział na obu chłopców i z ukłuciem żalu przypomniał sobie, że tak samo wyglądali na pogrzebie ojca: nieprzeniknieni, zamknięci w sobie, dalecy. Ten widok budził w nim jakieś złe przeczucia. Nic jednak nie można było na to poradzić, a tydzień później razem z Harrym odwieźli Maxa do Nowego Jorku i odprowadzili na pokład płynącej do Southampton w Anglii "Queen Mary", która stanowiła jego pierwszy przystanek w drodze powrotnej do Trzeciej Rzeszy.

Europa

1934-1941

4

Max siedział z matką na tarasie ich wiejskiego domu i opowiadał jej o wszystkim - o lataniu, naprawdę o wszystkim - pokazywał zdjęcia swoje i Harry'ego w strojach lotników, ze stojącym za nimi samolotem.

- Będę latać, Mutti. To umiem robić dobrze.

Patrząc na niego, widziała męża i chociaż niechętnie, zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła zrobić.

- Masz szesnaście lat, Max. Jesteś jeszcze młody.

- Mógłbym zapisać się do aeroklubu w Berlinie. Znasz Goringa. On mógłby to załatwić.

Tak też się stało. Max przybył tam w asyście Goringa i baronowej, po czym, mimo wątpliwości komendanta, podstawiono mu dwupłatowego heinkla. Był przy tym również dwudziestotrzyletni podporucznik, Adolf Galland, który pewnego dnia miał zostać generałem Luftwaffe.

- Poradzisz sobie z nim, chłopcze? - zapytał.

- Cóż, mój ojciec we Flying Corps zestrzelił co najmniej czterdzieści osiem takich maszyn. Myślę, że sobie poradzę.

Galland wybuchnął śmiechem, po czym zagryzł cygaretkę.

- Polecę za tobą. Zobaczymy.

Pokaz, jaki potem dali, zaparł dech w piersiach nawet Goringowi. Galland ani na chwilę nie zdołał strząsnąć z ogona Maxa, który następnie wykończył go immelmanem. Podporucznik wykonał podejście do lądowania, a chłopiec poszedł w jego ślady.

Stojąc obok mercedesa, Goring skinął na lokaja, który podał kawior i szampana.

- Przypomniałem sobie dni mojej młodości, baronowo. Ten chłopiec to geniusz.

Goring bynajmniej nie okazywał fałszywej skromności, gdyż w swoim czasie był wielkim pilotem i przed nikim nie musiał się tłumaczyć.

Podeszli do nich Max i Galland. Podporucznik był wyraźnie podekscytowany.

- Fantastyczne. Gdzie się tego nauczyłeś, chłopcze?

Max wyjaśnił, a Galland tylko kręcił głową. Tego wieczoru dołączył do Goringa, von Ribbentropa, Elsy i Maxa, którzy jedli kolację w hotelu "Adlon". Szampan płynął strumieniem.

- I co zrobimy z tym małym? - zwrócił się Goring do Gallanda.

- Dopiero w przyszłym roku kończy siedemnaście lat - odparł Galland. - Czy mogę coś zaproponować?

- Oczywiście.

- Poślijmy go do szkoły kadetów w Berlinie, żeby wszystko było załatwione oficjalnie. Niech lata w aeroklubie. A w przyszłym roku, kiedy ukończy siedemnaście lat, otrzyma stopień podporucznika Luftwaffe.

- Podoba mi się ten pomysł - kiwnął głową Goring i spytał Maxa: - A tobie, baronie?

- Jest w porządku - odparł po angielsku Max Kelso; jego amerykańskie pochodzenie często dawało o sobie znać.

- Nie będzie żadnych problemów w związku z tym, że mój syn miał ojca Amerykanina? - chciała wiedzieć Elsa.

- Żadnych. Czy nie znasz nowych praw ogłoszonych przez Hitlera? - rzekł Goring. - Baron może być traktowany wyłącznie jako obywatel Trzeciej Rzeszy.

- Jest tylko jeden problem - wtrącił Galland.

- A jaki? - spytał Goring.

- Nalegam, aby koniecznie nauczył mnie kilku sztuczek, szczególnie tego immelmana.

- Hmm, ja również mógłbym pana tego nauczyć - odparł Goring - ale jestem przekonany, że baron uczyni to z przyjemnością. Prawda, Max? - zapytał, po raz pierwszy zwracając się do chłopca po imieniu.

- Szkoda, że nie ma tu mojego brata bliźniaka, poruczniku Galland. Dalibyśmy panu popalić.

- O nie - odparł Galland. - Teraz już wiedziałbym, czego oczekiwać. Jest pan nadzwyczajny, baronie, proszę wierzyć. I proszę, mów mi Dolfo.

Tak zaczęła się niezwykła przyjaźń.

W Ameryce Harry poszedł do Groton, gdzie miał problemy z dyscypliną, ponieważ latanie było jego obsesją i nie chciał rezygnować z weekendów w powietrzu. Wpływy Abego Kelso pomogły oczywiście, tak więc Harry skończył szkołę i wstąpił do Harvardu w tym samym czasie, gdy jego brat został podporucznikiem Luftwaffe.

Bezlitosna potęga Trzeciej Rzeszy nieustannie rosła i zmieniała równowagę sił w Europie. Nikt w Wielkiej Brytanii nie chciał konfliktu - wspomnienia nieprzeliczonych ofiar pierwszej wojny światowej nazbyt żywo tkwiły jeszcze w pamięci. Harry zgłębiał wiedzę uniwersytecką, Europa pogrążała się w faszyzmie, a świat stał na uboczu.

Potem wybuchła wojna domowa w Hiszpanii, na którą ruszyli Galland i Max, by

przeprowadzać dwupłatowce He-51 przez linię frontu. Max odbył dwieście osiemdziesiąt lotów bojowych, wrócił do domu w trzydziestym ósmym roku z Krzyżem Żelaznym Drugiej Klasy i został awansowany do stopnia porucznika.

Przez jakiś czas pracował w Berlinie, gdzie był ozdobą tamtejszych kręgów towarzyskich - często widywano go z matką - oraz ulubieńcem Goringa, który stał się już wszechmocny. A potem była Polska.

Podczas dwudziestosiedmiodniowego Blitzkriegu, który zniszczył ten kraj, Max Kelso utrwalił swoją legendę, zestrzelił dwadzieścia samolotów, dostał Krzyż Żelazny Pierwszej Klasy i awans na kapitana. Podczas "dziwnej wojny" z Wielką Brytanią i Francją znów znalazł się w berlińskim garnizonie.

W tych pełnych euforii dniach, gdy Niemcy trzymały Europę w garści, wszystko wydawało się możliwe. Matka Maxa należała do śmietanki towarzyskiej Berlina, a Max stworzył własny image. Żadnych białych marynarek, nic szczególnego. Zawsze występował w mundurze polowym: bryczesy, lotnicza kurtka, furażerka zwana Schiff i wszystkie medale. Goebbels, ten niski, kulawy minister propagandy, uwielbiał to. Max i jego piękna matka pojawiali się na najważniejszych uroczystościach z udziałem Goringa, a nawet Hitlera. Chłopakowi nadano przydomek Czarnego Barona. Od czasu do czasu w jego życiu przewijała się jakaś kobieta, ale nic poważnego. Wyróżniał się z tłumu swą posępną twarzą i jasnoblond czupryną, nie opowiadał się po niczyjej stronie - nie był nazistą. Był pilotem myśliwca, to wszystko.

Natomiast Harry, właśnie kończący Harvard, wiódł nudne życie. Abe usiłował skłonić go do nawiązania interesujących kontaktów z córkami z bogatych rodzin, ale on, tak samo jak jego brat, trzymał się na uboczu. Wojna w Europie rozpoczęła się we wrześniu. W listopadzie trzydziestego dziewiątego Harry wszedł do salonu. Abe siedział przy kominku z plikiem gazet.

- Zrób sobie drinka - powiedział Abe. - Przyda ci się.

Harry, mający wtedy dwadzieścia dwa lata, nalał sobie szkockiej z wodą i dołączył do dziadka.

- O co ten raban?

Abe podał mu pierwszą gazetę ze zbliżeniem ponurej, nieprzeniknionej twarzy pod czapką Luftwaffe, potem drugą - egzemplarz "Signal", organu niemieckich sił zbrojnych.

- Czarny Baron - mruknął.

Max w lotniczym stroju i z papierosem w ręce, stał obok Me-109 i rozmawiał z odzianym w czarny kombinezon mechanikiem Luftwaffe.

- Ma już medale - rzekł Harry. - Czy to nie wspaniale? Tak samo jak tato.

- Za Hiszpanię i Polskę - wyjaśnił Abe. - Jezu, Harry, dzięki Bogu, że nazywają go baronem von Halder, a nie Maxem Kelso. Wyobrażasz sobie, jak by to wyglądało na okładce tygodnika "Life"? Mój wnuk hitlerowcem?

- On nie jest hitlerowcem - zaprzeczył Harry. - Jest pilotem. On jest tam, a my tu.

Odłożył gazetę. Abe zastanawiał się, o czym myśli, ale Harry - jak zwykle - nie zdradzał się ze swoimi uczuciami, chociaż w jego oczach pojawił się dziwny błysk.

- Dawno nie było wiadomości od Mutti - stwierdził.

- I nie będzie. Wciąż kontaktuję się z ludźmi z Departamentu Stanu. Trzecia Rzesza uszczelniła granice.

- Spodziewałem się tego. Napijesz się jeszcze?

- Pewnie, czemu nie. - Abe sięgnął po cygaro. - Co za cholerny galimatias, Harry. Zajmą Francję i Anglię. Czy jest jakieś wyjście z tej sytuacji?

- Och, zawsze się jakieś znajdzie - odparł Harry Kelso i nalał sobie whisky.

- Harry, czas, żebyśmy porozmawiali poważnie. Zeszłej wiosny skończyłeś z wyróżnieniem studia, a od tego czasu zajmujesz się tylko lataniem i wyścigami samochodowymi, zupełnie jak twój ojciec. Co zamierzasz robić? Co ze studiami prawniczymi?

Harry uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Studia prawnicze? Czy słyszałeś, że dziś rano Rosjanie zaatakowali Finlandię? - Pociągnął łyk trunku. - Finowie bardzo potrzebują pilotów i chętnie przyjmą ochotników z zagranicy. Już zarezerwowałem miejsce w samolocie do Szwecji.

Abe był przerażony.

- Nie możesz. Do licha, Harry, przecież to nie twoja wojna.

- Teraz już tak - odparł Harry Kelso i dopił swoją whisky.

Wojna rosyjsko-fińska od początku była przegrana. Panowała okropna pogoda, a cały kraj pokrywał śnieg. Fińskie wojska, szczególnie oddziały narciarzy, dzielnie walczyły z przeważającymi siłami wroga, ale nieustannie musiały się cofać.

Samoloty obu walczących stron okazały się przestarzałe. Najnowocześniejszymi maszynami, jakie mieli Rosjanie, było kilka Fw-190, które Hitler sprezentował Stalinowi w dowód przyjaźni

między Niemcami a Rosją.

Harry Kelso szybko zdobył sławę na angielskim gloucesterze gladiatorze, dwupłacie z otwartą kabiną, maszynie podobnej do tych, jakich używano podczas pierwszej wojny światowej. Kiepskie wyposażenie przeciwko Fw-190, ale nadzwyczajne umiejętności za każdym razem pozwalały mu wyjść cało z opresji, a poza tym zawsze - jak z jego ojcem podczas pierwszej wojny - Tarquin siedział na podłodze kabiny w wodoszczelnym worku, nabytym przez Harry'ego w Sztokholmie.

Szczęście uśmiechnęło się do niego, kiedy fińskie lotnictwo dostało z Wielkiej Brytanii sześć myśliwców Hurricane. Stanowiło to prawdziwy prezent od losu, jeśli wziąć pod uwagę ogromne zapotrzebowanie Raf-u na te maszyny. Zaliczanemu już do asów Harry'emu przydzielono jeden z dwóch hurricane'ów, które otrzymała jego eskadra. Tydzień później dostali ze Szwecji jeszcze dwa Me-109.

W okropnych warunkach atmosferycznych, w śnieżycy i zawiei, latał na przemian na obu typach maszyn, został awansowany do stopnia kapitana i szybko powiększał swoją liczbę zestrzeleń.

Fotograf tygodnika "Life" przybył do Finlandii zrobić reportaż o wojnie i ze zdumieniem odkrył tam wnuka senatora Kelso i usłyszał o jego wyczynach. To były prawdziwe rewelacje, gdyż Abe został liczącym się politykiem, a także członkiem gabinetu cieni Franklina D. Roosevelta.

I tak Abe ponownie ujrzał zdjęcie wnuka w gazecie; tym razem Harry'ego w ocieplanym kombinezonie, stojącego na śniegu obok Me-109. Wyglądał na starszego o dziesięć lat i trzymał pod pachą Tarquina.

Abe przeczytał o czynach Harry'ego z dumą, ale także ze smutkiem.

- Mówiłem ci, Harry, to nie twoja wojna - powiedział cicho. - Kiedy to się skończy?

A jednak, w głębi serca wiedział, że Ameryka przystąpi do tej wojny. Nie dziś, nie jutro, ale nadejdzie ten dzień.

Elsa von Halder piła kawę w saloniku swej wiejskiej rezydencji, kiedy przybył Max. Wszedł jak zwykle w lotniczym mundurze, trzymając w ręku aktówkę. Postawił ją na podłodze.

- Mutti, wyglądasz cudownie.

Wstała i objęła go.

- Co za wspaniała niespodzianka. Na jak długo?

- Trzy dni.

- A potem?

- Zobaczymy.

Podeszła do barku i naląła czystą sherry.

- Myślisz, że Brytyjczycy i Francuzi naprawdę będą walczyć, jeśli dokonamy inwazji?

- Chcesz powiedzieć, kiedy dokonamy inwazji. - Uniósł kieliszek. - Oczywiście. Mam całkowite zaufanie do natchnionego przywództwa naszego wspaniałego fuhrera.

- Na litość boską, Max, uważaj, co mówisz. Możesz przyplącić to życiem. Nawet nie jesteś członkiem Nsdap.

- Oo, Mutti, zawsze uważałem, że ich gorąco popierasz.

- Oczywiście, że nie. To wszystko dranie. Fuhrer, ten okropny mały gad Himmler. Och, Goring jest w porządku i większość generałów także, ale... No nic, a co z tobą?

- Polityka mnie nudzi, Mutti. Jestem pilotem myśliwca, tak samo jak on.

Rozpiął aktówkę, wyjął egzemplarz tygodnika "Life" i podał go matce.

- Wczoraj widziałem się w Berlinie z Goringiem. On mi to dał.

Elsa usiadła i obejrzała okładkę.

- Wygląda staro. Co oni mu zrobili?

- Przeczytaj artykuł, Mutti. To była okrutna wojna, chociaż krótka. Cud, że uszedł z życiem. Zauważ, jak dobrze wygląda Tarquin. Goring słyszał od ludzi z naszego wywiadu, że Harry przedostał się hurricane'em do Szwecji. Podobno pojawił się w Londynie i wstąpił do Raf-u.

Przejrzała artykuł i nieświadomie powtórzyła słowa Abego Kelso.

- Kiedy to się skończy?

- Chyba nieprędko. Jeśli mi wybaczysz, wykąpię się przed obiadem.

Podniósł aktówkę, podszedł do drzwi i odwrócił się.

- Zestrzelił nad Finlandią dwudziestu ośmiu Ruskich, Mutti. To łobuz. Ja nad Polską zaliczyłem tylko dwudziestu. Tak nie może być, no nie?

Wiosną i latem czterdziestego roku w bitwie o Anglię wzięło udział co najmniej trzynastu amerykańskich ochotników - może więcej. Niektórych przyjęto jako Kanadyjczyków - na przykład Reda Tobina, Andy'ego Mamedoffa i Vernona Keogha, którzy wstąpili do Raf-u w lipcu

czterdziestego roku. Jednym z nich był wielki Billy Fiske, syn milionera i zapewne pierwszy Amerykanin poległy w walce podczas drugiej wojny światowej, później upamiętniony tablicą w katedrze Świętego Pawła w Londynie. Inni także zdobyli sławę, jak Pete Peterson, który w Raf-ie zdobył DSO i DFC oraz stopień podpułkownika w wieku dwudziestu dwóch lat, kiedy to przeniósł się do amerykańskiej eskadry.

Finlandia poddała się dwunastego marca czterdziestego roku. Jak Max powiedział matce, Harry przedarł się na myśliwcu Hurricane, wylądował w aeroklubie na przedmieściach Sztokholmu, pojechał do miasta i kupił bilet na samolot do Anglii, zanim szwedzkie władze zorientowały się, że przyleciał.

Kiedy zgłosił się do Ministerstwa Lotnictwa w Londynie, podstarzały major Air Force obejrzał jego papiery.

- Robią wrażenie, młodzieńcze. Jest tylko jeden problem. Jako Amerykanin musisz udać się do Kanady i tam wstąpić do RCAF-u. [Royal Canadian Air Force, Kanadyjska Królewska Flota Powietrzna.]

- Zestrzeliłem dwudziestu ośmiu Rosjan, z czego dwunastu latając hurricane'em. Znam swój fach. Potrzebujecie takich jak ja.

- Hurricane'em? - Major ponownie przejrzał papiery Harry'ego. - Widzę, że nadali panu fiński Złoty Krzyż Męstwa.

Harry wyjął z kieszeni skórzane pudełeczko i otworzył je.

- Ładna blaszka - stwierdził major lotnictwa, który miał Military Cross z pierwszej wojny.

- Jak one wszystkie, prawda? - odparł Harry.

Lotnik podsunął mu formularz.

- W porządku. Niech pan go wypełni. Kraj pochodzenia: Ameryka. Zdaje się, że musiał pan wrócić do Finlandii, aby bronić ojczyzny przodków przed Rosjanami?

- Właśnie.

- No tak, to czyni pana Finem i tak też zapiszemy w aktach.

Major uśmiechnął się.

- Ci przekłęci urzędnicy. Wciąż się myślą.

Operacyjna Jednostka Szkoleniowa mieściła się w wilgotnej i odludnej okolicy na skraju bagien Essex. Dowódcą był podpułkownik nazwiskiem West, któremu po tysiąc dziewięćset

osiemnastym została drewniana noga. Obejrzał dokumenty pilota Kelso, po czym spojrzął na niego i zauważył baretkę medalu.

- A za co to?

Harry wyjaśnił.

- Ilu ich pan tam stracił?

- Dwudziestu ośmiu.

- Tutaj jest napisane, że ma pan spore doświadczenie na hurricane'ach.

- Tak, Finowie dostali kilka sztuk w ostatnich miesiącach wojny.

- No dobrze, zobaczmy, jak pan sobie radzi.

West nacisnął dzwonek i wszedł oficer dyżurny.

- Przelecę się z nowym pilotem, panie Quigley. Podstawcie mój samolot i jeszcze jednego hurricane'a. Za dwadzieścia minut.

Oficer dyżurny, nie okazując żadnych emocji, odparł:

- Natychmiast, panie pułkowniku.

West wstał i sięgnął po swoją laskę.

- Niech moja noga nie zbija pana z tropu. Znam człowieka, niejakiego Douglasa Badera, który stracił obie i nadal lata. - Urwał i otworzył drzwi. - We Flying Corps miałem na koncie dwudziestu, zanim się rozbiłem, więc bez taryfy ulgowej. Zobaczymy, czy zdoła mnie pan dopaść.

Zaciekawiony tłum, który zebrał się na deszczu, miał nigdy nie zapomnieć tego pokazu. Na tysiącu sześciuset metrach West ruszył na Harry'ego Kelso. Wyrwali w górę, weszli w skręt, tak blisko siebie, że tłumek jęknął ze zgrozy, ale Harry wymknął się Westowi, zrobił pętlę i wszedł mu na ogon.

- Bardzo ładnie! - zawołał przez radio West, wykonał skręt w lewo i beczkę, Harry zaś, który przestrzelił i znowu zobaczył go za plecami, opuścił klapy, gwałtownie hamując.

- Jezu Chryste! - krzyknął West, ciągnąc do siebie orczyk i ledwie unikając zderzenia.

Harry znów siedział mu na ogonie.

- Bach, jest pan martwy!

A potem, kiedy West próbował odlecieć, Harry zawinął półbeczkę, zakończył ją immelmanem i

przeleciał szesnaście metrów nad głową Westa.

- Bach! I jest pan martwy po raz drugi.

Personel naziemny powitał ich głośnymi oklaskami. Quigley wziął od Westa spadochron, podał mu laskę, po czym wskazał na Kelso.

- Kim on, do diabła, jest, panie pułkowniku?

- Wieloma znanymi mi lotnikami z Flying Corps w jednej osobie - rzekł West.

Wróciwszy do biura, West usiadł, sięgnął po formularz i szybko go wypełnił.

- Daję panu natychmiastowy przydział do dywizjonu sześćset siódmego stacjonującego we Francji. Przesiedli się z gladiatorów na hurricane'y. Na pewno im się pan przyda.

- Latałem na gladiatorach w Finlandii. Podczas śnieżycy w tych otwartych kabinach jest cholernie zimno.

West wyjął z szuflady butelkę brandy i dwa kieliszki.

- Kelso to rzadkie nazwisko, a nie jest pan Finem - powiedział, nalewając. - We Flying Corps znałem Jankesa nazwiskiem Kelso.

- To mój ojciec.

- Dobry Boże. Jak się ma?

- Nie żyje. Zabił się na wyścigach samochodowych kilka lat temu.

- To do niego podobne. Czy to on latał z niedźwiadkiem?

- Zgadza się, panie pułkowniku. Z Tarquinem.

Harry podniósł torbę, z którą się nie rozstawał ani na chwilę, wyjął misia i posadził go na biurku.

Twarz Westa złagodniała.

- Hej, cześć, stary! Miło znowu cię widzieć. - Podniósł kieliszek. - Za pańskiego ojca i wszystkich dzielnych pilotów.

- I za mojego brata, panie pułkowniku.

West zmarszczył brwi.

- On też jest pilotem?

- Porucznikiem Luftwaffe.

- Naprawdę? A więc muszę przyznać, że to będzie dla pana bardzo interesująca wojna, pilocie - stwierdził West i powoli wypił brandy.

Kiedy 10 maja Hitler rozpoczął Blitzkrieg na zachodnim froncie, zaledwie połowa dywizjonu 607 zdążyła przesiąść się na nowe maszyny. W trakcie zaciekłych i chaotycznych działań powietrznych, jakie nastąpiły potem, jednostka poniosła ciężkie straty w ludziach i sprzęcie, ponieważ stare dwupłatowe gladiatory były szczególnie łatwym celem.

Latający na hurricanie Harry stracił dwa Me-109 na pięciu tysiącach metrów nad Abbeville i chociaż obaj nie mieli o tym pojęcia, jego brat tego samego dnia zestrzelił hurricane'a i spitfire'a.

Dywizjon, a raczej jego resztki, wycofano do Anglii, później była bitwa pod Dunkierką. Harry, odznaczony DFC i awansowany na starszego pilota, został przydzielony do specjalnej jednostki pościgowej o kryptonimie "Jastrząb", stacjonującej pod Chichester w West Sussex - ale nie było tam kogo ścigać. Słońce świeciło, niebo było niewiarygodnie błękitne i wszyscy śmiertelnie się nudzili.

Po drugiej stronie kanału La Manche Max i jego koledzy siedzieli na identycznych krzeselkach, na podobnym lotnisku i również się nudzili.

A potem, poczynając od lipca, zaczęły się ataki na brytyjskie konwoje na kanale La Manche. Nurkujące stukasy, ciężkie dorniry i junkersy były chronione przez najlepsze myśliwce, jakie posiadała Luftwaffe. Ich zadaniem było zamknąć kanał La Manche, a RAF nie zamierzała na to pozwolić.

I tak Harry Kelso i jego brat, Czarny Baron, weszli w stan wojny.

Bitwy nad kanałem toczyły się przez cały lipiec, a - 12 sierpnia - rozpoczęła się niemiecka operacja "Orzeł". [Operacja "Orzeł" - niemiecki kryptonim bitwy o Anglię.]

Dywizjon "Jastrzębi" umieszczono w przedwojennym klubie zwanym Farley Field w West Sussex - trawiaste pasy startowe, drewniane baraki, tylko cztery hangary. Było gorąco, bardzo gorąco, gdy Harry i inni piloci siedzieli na składanych krzeselkach paląc, gwarząc lub czytając książki czy czasopisma. Dwa tygodnie nudy bez żadnej akcji doprowadziły ich do apatii - nawet personel naziemny krzątający się przy rozproszonych hurricane'ach poruszał się ospale.

Dowódca dywizjonu, niejaki Hornby, usiadł obok Harry'ego.

- Osobiście sądzę, że ci dranie nie przylecą.

- Przylecą - zapewnił go Harry i podsunął mu paczkę papierosów.

Niektórzy piloci mieli na sobie kombinezony, inni zwykle mundury: panował potworny upał. Na prawym rękawie bluzy Harry'ego widniało wyhaftowane godło Finlandii.

Poniżej była naszywka z amerykańskim orłem, trzymającym w szponach brytyjską oraz angielską flagę.

- Bardzo ładne - rzekł Hornby.

- Mam krawca na Saville Row, który mi je robi.

- Nie ma to jak być bogatym, mój jankeski przyjacielu. - Hornby trącił nogą worek leżący u stóp Harry'ego. - U Tarquina wszystko w porządku?

- Jak zwykle. On już to wszystko widział.

- Może kiedyś mi go pożyczysz? - rzekł Hornby w tej samej chwili, gdy usłyszeli zbliżający się warkot. - Przeklęty traktor.

- To nie traktor.

Harry Kelso już był na nogach i z torbą w ręce pędził do swojego samolotu, gdy - wysoko nad nimi - stukasy skręciły i zanurkowały.

Mechanik rzucił mu spadochron, Kelso wspiął się do kabiny, cisnął torbę, uruchomił silnik i wystartował z rykiem, gdy na pas startowy zaczęły spadać pierwsze bomby. Z boku eksplodował hurricane. Harry przeleciał przez gęstą chmurę dymu, a kiedy wyszedł z niej skrętem w lewo, w dole ujrzał cztery płonące samoloty.

Ponownie wykonał skręt, wziął stukasa na cel, po czym zmiotł go z nieba. Pozostały jeszcze cztery, ale już odlatywały, najwidoczniej uważając zadanie za wykonane. Poleciał za nimi. Zestrzelił je nad morzem, jednego po drugim - bez gniewu, tylko wykorzystując swoje umiejętności i chłodno kalkulując.

Wrócił do mocno zniszczonego Farley Field i zdołał wylądować na jedynym nie tkniętym pasie startowym. Znalazł Hornby'ego leżącego na noszach, z obandażowaną lewą ręką i głową.

- Strąciłeś jakiegoś?

Harry poczęstował go papierosem, patrząc na nadjeżdżający ambulans.

- Pięciu.

- Pięciu? - zdziwił się Hornby.

- Stukasy - wzruszył ramionami Harry. - Powolne i niezgrabne. To jak strzelanie do ryby w beczce. Nie przetrwają tu długo. Musimy uważać na Me-109.

Opodal leżało na noszach kilka ciał, przykrytych kocami.

- Sześciu pilotów nie żyje - poinformował Hornby. - Nie zdążyli wystartować. Tylko tobie się udało. Czy w Finlandii też było tak źle?

- Tak samo, tylko tam padał śnieg.

Noszowi podnieśli Hornby'ego.

- Zawiadomię dowództwo i zaproponuję, żeby awansowali cię na kapitana lotnictwa. Szybko przyślą uzupełnienia. Popatrzmy na Tarquina.

Harry otworzył torbę i wyjął misia. Hornby odpiął od zakrwawionej koszuli małą pozłacaną odznakę i wręczył mu ją.

- Dziewiętnasty dywizjon. Tam zaczynałem. Niech nosi ją Tarquin.

- Będzie nosił.

Hornby uśmiechnął się słabo.

- A te stukasy? Nad ziemią czy nad kanałem?

- Jeden nad ziemią.

- Co za szkoda. Ci dranie nigdy nie zaliczą ci pozostałych.

- Kogo to obchodzi? Wojna będzie długa - mruknął Kelso i zamknął drzwi ambulansu.

Tego samego dnia Max i jego dywizjon latający na Me-109 osłaniali stukasy atakujące instalacje radarowe w pobliżu Bognor Regis. Zaatakowany przez spitfire'y, uwikłał się w zaciekły pojedynek, w trakcie którego stracił jeden samolot i uszkodził drugi, ale wszystkie stukasy i trzy Me-109 zostały zestrzelone. Misja miała być szybka, bez zapasowych zbiorników, tak więc czas nad Anglią był ograniczony - musieli jak najszybciej uciekać przez kanał, zanim zabraknie im paliwa. Udało mu się i półtorej godziny później znów był nad hrabstwem Kent, uczestnicząc w ataku na przybrzeżne lotniska Raf-u.

Ten schemat powtarzał się dzień za dniem, ponieważ strategia Luftwaffe zmierzała do zniszczenia Raf-u przez pozbawienie przeciwnika lotnisk. Max i jego koledzy lecieli tam, zapewniając osłonę dornierom, a Harry i jego przyjaciele wylatywali im naprzeciw. Młodzi ludzie ginęli po obu stronach, ale Luftwaffe miała więcej pilotów. Jak zauważył marszałek lotnictwa, sir Hugh Dowding, głównodowodzący sił powietrznych, każdy z pilotów Raf-u musiałby stracić co najmniej czterech pilotów Luftwaffe, żeby zapewnić równowagę sił - a to było nieprawdopodobne.

I tak to trwało aż do 30 sierpnia, kiedy Biggin Hill, duma sił powietrznych, zostało z powodzeniem zaatakowane przez znaczną liczbę dornierów. Max leciał w eskorcie. W drodze powrotnej napotkali kilka dywizjonów spitfire'ów, a ponieważ Me-109 miały osłaniać bombowce, nad Anglią zużyto zbyt wiele czasu i paliwa. Zanim Max w końcu zawrócił w kierunku kanału, już migotała lampka ostrzegająca o braku paliwa.

W tym samym czasie nad morzem w pobliżu Folkestone Harry Kelso zestrzelił dwa dorniere, ale seria posłana na oślep przez jednego z tylnych strzelców trafiła w silnik jego hurricane'a. Wysłał sygnał Mayday i opuścił klapy, po czym wygramolił się z kabiny, czując zapach spaleniźny. Tydzień wcześniej silnik jego samolotu odmówił posłuszeństwa nad wyspą Wight, a Harry skoczył na spadochronie z tysiąca siedmiuset metrów i wylądował w ogrodzie wikarego, którego dwie siostry podjęły go herbatą, biskoptami oraz wytrawną sherry.

Tym razem było inaczej. To był kanał La Manche, grób setek lotników, a od brzegu Anglii dzieliło go dziesięć mil. Harry sięgnął po torbę z Tarquinem. Na taką ewentualność zaopatrzył ją w zaczep, który teraz przypiął do pasa, wstał i wyskoczył głową naprzód.

Opadł na trzysta metrów, otworzył spadochron, a potem zanurzył się w stosunkowo spokojnym morzu, nadmuchał maewestkę [pneumatyczna lotnicza kamizelka ratunkowa.] i wyplątał się z uprzęży. Tarquin unosił się obok w wodoszczelnej torbie, a Harry spojrzał w bezchmurne niebo. Nie miał dinghy, [pneumatyczna, samonapełniająca się lotnicza tratwa ratunkowa.] którą mógłby nadmuchać - poszła na dno razem z hurricane'em. Nie miał też pewności, że ktoś odebrał jego sygnał Mayday.

Unosił się na falach, wspominając towarzyszy, którzy zaginęli w ciągu ostatniego tygodnia. Czyżby to miał być koniec? - pomyślał spokojnie, a wtedy zahuczała syrena i obejrzwawszy się, Harry ujrzał szybko nadpływającą łódź ratunkową Raf-u. Załoga była w marynarskich strojach - grubych swetrach, płóciennych kombinezonach i gumiakach. Marynarze zwolnili i spuścili drabinkę.

Ich dowódca spojrzał na Harry'ego.

- Kapitan Kelso, prawda?

- Tak, to ja.

- Ma pan szczęście. Byliśmy tylko milę stąd, kiedy odebraliśmy pańską wiadomość.

Dwaj członkowie załogi wciągnęli go na pokład. Harry przykucnął, ociekając słoną wodą.

- Nigdy nie sądziłem, że tak miło jest mieć pokład pod nogami.

- Jest pan Amerykaninem? - zapytał oficer.

- No pewnie.

- Oo, to cholernie cudownie. Nasz pierwszy Jankes.

- A nawet dwóch.

- Dwóch? - zdziwił się oficer.

Harry wskazał na torbę.

- Zejdźmy pod pokład, znajdziemy coś do picia, to panu pokażę.

Max, zszedłszy na sto sześćdziesiąt metrów, śmignął w kierunku wybrzeża Francji. Na lewym kolanie miał płócienny woreczek z barwnikiem. Kiedy wpadło się do morza, wokół rozchodziła się ogromna żółta plama. Po drodze widział kilka takich plam, dopiero potem dostrzegł brzeg na wschód od Boulogne. Nie musiał obawiać się lądowania. Właśnie zaczął się odpływ i w dole rozpościerał się szeroki pas twardego piasku. Silnik przestał pracować, więc Max obrócił maszynę pod wiatr i opadł.

Razem ze zwięzłym wyjaśnieniem podał swoją pozycję przez radio, odsunął owiewkę i wyszedł z samolotu, a potem zapalił papierosa i poszedł w kierunku wydm. Kiedy tam dotarł, usiadł, zapatrzył się w morze i zapalił następnego papierosa.

Godzinę później ekipa poszukiwawcza Luftwaffe przybyła dwiema ciężarówkami, a za nimi jechał żółty sportowy peugeot prowadzony przez Adolfa Gallanda. Galland wysiadł i szybko podszedł do Maxa.

- Już myślałem, że cię straciliśmy.

- Nie dopisało wam szczęście.

Galland klepnął go w ramię, a Max dodał:

- Maszyna w porządku. Zabrakło paliwa.

- Dobrze. Przywiozłem młodszego pilota. Odprowadzi ją. My pojedziemy samochodem. Zatrzymamy się na obiad.

- Brzmi kusząco.

- Do dzieła. Wiecie, co macie robić - zawołał Galland do krępego feldfebla.

Później, jadąc w kierunku Le Touquet, powiedział:

- Atak na Biggin Hill powiódł się. Roznieśliśmy ich.

- Och, pewnie, tylko ile straciliśmy myśliwców, Dolfo? Nie bombowców, ale myśliwców?

- W porządku, to smutne, ale o co ci chodzi?

- Zbyt wiele błędów. Po pierwsze, stukasy są bezużyteczne przeciwko spitfire'om i hurricane'om. Po drugie, sama idea bombardowań. Świetnie: w miarę możliwości niszczymy ich lotniska. Ale myśliwce powinny walczyć, Dolfo, a nie przez cały czas osłaniać dornieri. To jak zaprzęganie konia wyścigowego do wózka z mlekiem. Ta strategia jest do niczego.

- Zatem niech cię Bóg ma w opiece, kiedy zaatakujemy Londyn.

- Londyn? - przeraził się Max. - No dobrze, wiem, że bombardowaliśmy Liverpool i inne miasta, ale Londyn? Dolfo, my musimy zniszczyć Raf na południowym wybrzeżu, rzucając myśliwce przeciwko myśliwcom. Tylko tak możemy zwyciężyć. - Wzruszył ramionami. - Chyba że fuhrer i Goring pragną klęski.

- Do mnie możesz tak mówić, ale nigdy nie mów tak do nikogo innego. Rozumiesz?

Max pokiwał głową.

- Czy rozumiem, że wszyscy jedziemy na tym samym wózku do piekła? Oczywiście, że tak - dodał, opierając się wygodnie i zapalając kolejnego papierosa.

Kierowca z bazy marynarki w Folkestone odwiózł Harry'ego do Farley Field. Zaraz otoczył go tłum pilotów i personelu naziemnego.

- Słyszeliśmy, że się pan skąpał. Miło znów pana widzieć - powiedział pilot nazwiskiem Hartley. - Czeka tu jakiś pułkownik, który chce się z panem zobaczyć.

Harry otworzył drzwi swojego ciasnego gabinetu i ujrzał Westa, który rozsiadł się za jego biurkiem.

- Co za niespodzianka. Gratuluję awansu.

- Dobrze się spisałeś, Kelso. Martwiliśmy się o ciebie przez parę godzin, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ja również ci gratuluję. Zatwierdzono twój awans na kapitana. Ponadto, otrzymałeś kolejny Dfc.

Harry podszedł do szafki, wyjął whisky i dwie szklaneczki.

- Wypijemy za nasze sukcesy, pułkowniku?

- Wspaniały pomysł.

Harry napełnił szklaneczki.

- Zwyciężamy?

- Nie w tej chwili. - West przełknął trunek. - W końcu jednak zwyciężymy. Ameryka będzie musiała przystąpić do wojny, a do tego czasu musimy się trzymać. Jesteś mi potrzebny na dzień czy dwa. Widzę, że masz tu tylko pięć sprawnych hurricane'ów. Porucznik Kenny utrzyma fort. Wrócisz jutro wieczorem.

- Czy wolno zapytać, o co chodzi?

- Pamiętam, że w aktach napisano, iż latałeś w Finlandii na Me-109. No cóż, mamy jednego w Downfield, na południe od Londynu. Pilot miał paskudny wyciek oleju i postanowił lądować, a nie skakać. Próbował podpalić maszynę, ale oddział Home Guard [obronna armia krajowa w Anglii na wypadek inwazji powołana w czasie bitwy pod Dunkierką.] był w pobliżu.

- To rzadka zdobycz.

- Owszem, więc bądź porządnym facetem. Weź prysznic, przebierz się i ruszamy.

Downfield również było przed wojną lotniskiem aeroklubu. Miało tylko jeden pas startowy, wieżę kontrolną i dwa hangary. Teren otoczono drutem kolczastym, a przy bramie ustawiono wartowników. Me-109 znajdował się na płycie lotniska przed jednym z hangarów. W pobliżu stały dwa wozy terenowe, a trzech oficerowie Raf-u oraz dwaj przedstawiciele wojsk lądowych dokonywali oględzin samolotu. Opodał czekał podporucznik Luftwaffe, najwyżej dwudziestoletni, w pomiętym mundurze. Pilnowali go dwaj wartownicy z karabinami.

Harry podszedł do niego i wyciągnął rękę.

- Miał pan pecha - powiedział po niemiecku. - Cieszę się, że wyszedł pan cało.

- Dobry Boże, jest pan Niemcem?

- Moja matka jest Niemką.

Harry podał mu papierosa i ogień, po czym sam też zapalił. Starszy z przedstawicieli wojsk lądowych był brygadierem z czerwonymi naszywkami zawodowego oficera. Miał ujmująco brzydką twarz, siwe włosy i okulary w stalowych oprawkach. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt pięć lat.

- Dougal Munro. Wspaniała niemczyzna, kapitanie.

- Mam nadzieję - odparł Harry.

- Mój adiutant, Jack Carter.

Carter był kapitanem Green Howards i nosił baretkę Military Cross. Chodził o lasce, ponieważ - jak Harry dowiedział się dopiero później - stracił nogę pod Dunkierką.

Najstarszy stopniem z pozostałych trzech oficerów lotnictwa, był - tak jak West - pułkownikiem.

- Słuchaj, Teddy, nie wiem, o co tu chodzi - zwrócił się do Westa. - Kim, do licha, jest ten oficer? I na co czekamy? Dowding chce jak najszybciej dostać ekspertyzę.

- Dostanie. Kapitan Kelso walczył na takiej maszynie.

- Dobry Boże, gdzie?

- Latał dla Finów. Na gladiatorach, hurricane'ach i Me-109. Przekaż swoją opinię pułkownikowi Greenowi - poprosił West Harry'ego.

- Wspaniały samolot. Odrobinę lepszy od hurricane'a i z pewnością równie dobry jak spitfire.

- Pokaż im - zaproponował West. - Tylko pięć minut. Nie chcemy, żeby cię zestrzelili.

Kelso wzbił się na tysiąc metrów, zrobił pętlę, beczkę, przeleciał sto metrów nad lotniskiem, wykręcił do wiatru i wylądował. Podkołował do nich i wysiadł.

- Jak już powiedziałem - rzekł do Greena - to wspaniała maszyna. Oczywiście, hurricane ma większą siłę ognia, więc koniec końców, rezultat spotkania zależy od pilota.

Green odwrócił się i rzekł niepewnie do Westa.

- To bardzo ciekawe, Teddy. Chciałbym otrzymać tę ekspertyzę na piśmie.

- Uważaj to za zrobione.

Green i jego dwaj oficerowie wsiedli do wozu i odjechali. Munro wyciągnął rękę.

- Jest pan bardzo interesującym młodzieńcem. - Kiwnął głową Westowi. - Serdeczne dzięki, pułkowniku.

Poszedł do swojego samochodu, a Carter pokuśtykał za nim. Kiedy wsiedli, Munro powiedział do adiutanta:

- Wszystko, czego tylko zdołasz się o nim dowiedzieć, Jack.

- Tak jest.

Harry dał niemieckiemu pilotowi paczkę papierosów.

- Powodzenia.

Wartownicy odprowadzili chłopaka.

- Znam w pobliżu wiejski pub, gdzie mógłbyś dostać niezły czarnorynkowy posiłek i napisać dla mnie ten raport - zaproponował West.

- Wygląda zachęcająco.

Wsiedli do wozu, a kiedy kierowca włączył silnik, Harry wyjął papierosa z zapasowej paczki.

- Pytałem, czy wygrywamy, i powiedział pan, że nie w tej chwili. Czego nam potrzeba?

- Cudu.

- Ostatnio coraz o nie trudniej.

Wkrótce jednak zdarzył się jeden. Samotny dornier przypadkowo zbombardował Londyn, Raf odpowiedział nalotem na Berlin i siódmego sierpnia Hitler rozkazał Luftwaffe atakować stolicę Wielkiej Brytanii. W ten sposób rozpoczęły się zmasowane naloty, które dały Raf-owi czas na naprawę zniszczonych baz lotniczych w południowej Anglii.

W kawiarni w Le Touquet Dolfo Galland grał jazz na pianinie i palił cygaro, gdy Max wszedł i usiadł na końcu baru.

- No i masz, Dolfo. Teraz to tylko kwestia czasu. Pobiliśmy Tommies, a nasz wspaniały fuhrer wszystko zaprzepaścił. I co teraz?

- Upijemy się - odparł Dolfo Galland. - A potem będziemy robić swoje. Grać do samego końca.

5

Zmasowane naloty na Londyn i spowodowane nimi zniszczenia były tak straszne, że nocami piloci startujących z Francji samolotów Luftwaffe widzieli czerwoną łunę na niebie, a w dzień niebo aż po horyzont przesłaniały chmury bombowców i krzyżujące się smugi zagęszczonej pary wodnej, pozostawione przez silniki myśliwców Raf-u i Luftwaffe.

Krzyżem Rycerskim odznaczano tych, którzy mieli ponad dwadzieścia zestrzeleń. Galland już go dostał, razem z Dębowymi Liśćmi. Max otrzymał to odznaczenie dziesiątego września, chociaż do tej pory miał na koncie trzydzieści strąconych maszyn.

Harry i dywizjon "Jastrzębi" brali udział we wszystkich walkach, po sześć lub siedem

dziennie, latając do utraty sił i ponosząc ciężkie straty. W końcu tylko on pozostał z pierwotnego składu dywizjonu. Potem przyszedł decydujące zmagania piętnastego września, w których czterysta myśliwców Luftwaffe walczyło nad południową Anglią i Londynem z trzystoma spitfire'ami i hurricane'ami.

Właściwie bitwa pozostała nie rozstrzygnięta. Kanał La Manche nadal był ziemią niczyją i nadal wykonywano zmasowane naloty na Londyn oraz inne miasta, chociaż głównie nocami. Zaplanowana przez Hitlera inwazja na Anglię, operacja "Lew Morski" [zapowiedziany przez Hitlera rozkazem z 16 lipca 1940 r. desant ześrodkowanych na francuskim i belgijskim wybrzeżu 250.000 żołnierzy niemieckich, którzy mieli dokonać inwazji na Wielką Brytanię. Siła floty i lotnictwa brytyjskiego zmusiła Hitlera do przeprowadzenia najpierw operacji "Orzeł" - próby zniszczenia Anglii siłami Luftwaffe.] nie doszła do skutku, ale Wielka Brytania wciąż walczyła samotnie i fuhrer mógł teraz rzucić wszystkie siły na Rosję.

Był początek listopada i w Berlinie lało jak z cebra, gdy Heinrich Himmler wysiadł z samochodu, aby wejść do głównej kwatery gestapo przy Prinz Albrechtstrasse. Ubrany w czarny mundur reichsführera Ss, idąc do swego gabinetu, zostawiał za sobą prężących się wartowników i personel. Jak zwykle, miał na nosie srebrne pince-nez i z nieprzeniknioną miną wszedł po marmurowych schodach na piętro, gdzie powitała go sekretarka, ubrana w mundur Ss kobieta w średnim wieku.

- Dzień dobry, Herr Reichsführer.
- Znajdź mi sturmbannführera Hartmanna.
- Oczywiście, Herr Reichsführer.

Himmler wszedł do urządzonego z przepychem gabinetu, postawił teczkę na biurku, otworzył ją, wyjął jakieś papiery, usiadł i zaczął je przeglądać. Usłyszał pukanie.

- Ach, to pan, Hartmann.
- Herr Reichsführer.

Hartmann nosił dość niezwykły mundur, na który składała się lotnicza bluza i bryczesy podobne do noszonych przez lotników Luftwaffe, tylko ciemnoszare. Na kołnierzu miał naszywki majora SS, lecz na piersi odznakę pilota Luftwaffe oraz Krzyż Żelazny Pierwszej i Drugiej Klasy. Na jego szyi wisiał złoty Krzyż Rycerski. Srebrne litery na mankietach głosiły Rfss - reichsführer Ss. Taki tytuł nadawano wszystkim członkom personelu Himmlera. Plakietka Sd na rękawie wskazywała, iż był również pracownikiem Sicherheitsdienst, czyli wywiadu Ss. Niezwykłe połączenie.

- W czym mogę być pomocny, Herr Reichsführer?

W owym czasie Hartmann miał trzydzieści lat, prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i przystojną, kanciastą twarz, której złamany nos - pamiątka po wypadku samochodowym - tylko dodawał uroku. Rudawe włosy strzygł krótko, w pruskim stylu. Ten pilot myśliwski, ciężko ranny podczas kampanii we Francji, jeszcze przed bitwą o Anglię, został przydzielony do powietrznej służby kurierskiej i przewożenia wysokiej rangi oficerów samolotami zwiadowczymi Fieseler Storch. Podczas jednego z takich lotów miał miejsce niezwykle wypadek.

Wizyta Himmlera w Abbeville uległa skróceniu, a z powodu kiepskiej pogody junkers, który miał go stamtąd zabrać, nie przyleciał. Przypadkiem na lotnisku znalazł się Hartmann ze swoim storchem, bo właśnie przywiózł jakiegoś generała. Himmler ochoczo zarekwirował samolot.

Wszystko zdarzyło się jak w złym śnie. Wznosząc się nad nisko wiszące, deszczowe obłoki, Hartmann został zaatakowany przez spitfire'a. Ze skrzydłami posiekanymi przez kule odważnie zanurkował w chmury, mając wroga na ogonie. Następną salwa rozbiła owiewkę i zakołysała samolotem.

Himmler, niewiarygodnie spokojny, zapytał:

- Już po nas?
- Nie, jeśli chce pan zaryzykować, Herr Reichsfuhrer.
- Chętnie - odparł Himmler.

Hartmann zszedł w mgłę i deszcz, na siedemset metrów, na trzysta, przeleciał nad ziemią na wysokości stu sześćdziesięciu i ściągnął stery. Lecący za nim pilot spitfire'a miał tego dość i odleciał.

Niezwykle przesądny Himmler zawsze twierdził, że wierzy w Boga, i natychmiast uznał, iż Hartmann stał się narzędziem Opatrzności. Dokładnie wypytawszy pilota, z satysfakcją odkrył, że ten młody człowiek uzyskał doktorat z prawa na Uniwersytecie Wiedeńskim. W rezultacie Hartmann został przeniesiony do Ss jako osobisty pilot i maskotka Himmlera, ale także jako jego adiutant miał wspomagać służbę wywiadowczą reichsfuhrera swoją wiedzą prawniczą.

- Kontynuujemy naloty na Londyn - poinformował Himmler. - Byłem u fuhrera. Oczywiście, w końcu zwyciężymy. Nasze czołgi wjadą do Buckingham Palace.

- Z pewnością, Herr Reichsfuhrer - przytaknął Hartmann, chociaż nie podzielał tego zdania.

- No cóż, damy Anglikom dusić się we własnym sosie i zwrócimy się przeciw Rosji. W tej kwestii fuhrer miał niemal boskie objawienie. Najdalej za sześć tygodni raz na zawsze położymy kres czerwonej zarazie.

Pomimo poważnych wątpliwości Hartmann się zgodził.

- Oczywiście.

- Jakkolwiek - dodał Himmler - rozmawiałem z admirałem Canarisem o sytuacji służb wywiadowczych w Anglii. Szczerze mówiąc, nie jest dobra.

Canaris kierował Abwehrą, niemieckim wywiadem wojskowym.

- O ile mogę ocenić, wszyscy agenci Abwehry w Wielkiej Brytanii zostali schwytani.

- Na to wygląda.

- I nic nie możemy zrobić - denerwował się Himmler. - To wstyd!

- Nie całkiem, Herr Reichsführer - rzekł Hartmann. - Jak pan wie, w zeszłym roku, kiedy major Klein zmarł na raka, przejąłem Wydział Trzynasty. Odkryłem, że przed wojną zwerbował kilku uśpionych agentów.

- Naprawdę? Co to za ludzie?

- Przeważnie Irlandczycy, niezadowoleni z brytyjskich rządów. Abwehra miała już kontakty z Ira.

- Ach, na nich zupełnie nie można polegać.

- Z całym szacunkiem, Herr Reichsführer, nie na wszystkich. A Klein miał na swojej liście płac także ludzi z krajów neutralnych: kilku hiszpańskich i portugalskich dyplomatów.

Himmler wstał i podszedł do okna. Założył ręce do tyłu, a potem odwrócił się.

- Chce mi pan powiedzieć, że mamy w naszych aktach uśpionych agentów, o których nie wie Abwehra?

- Właśnie.

Himmler pokiwał głową.

- Tak. A to dobre. Chcę, żeby zajął się pan tą sprawą, Hartmann, w ramach pańskich normalnych obowiązków oczywiście. Niech się pan upewni, że nadal tam są i będą wykonywać polecenia. Zrozumiano?

- Rozkaz, Herr Reichsführer.

- Może pan odejść.

Hartmann wrócił do swojego gabinetu, gdzie sekretarka, Trudi Braun, owdowiała podczas wojny czterdziestolatka, spojrzała na niego zza biurka. Była bardzo oddana Hartmannowi - widziała w nim bohatera, którego spotkała osobista tragedia: jego żona zginęła podczas pierwszego nalotu Raf-u na Berlin. Nie zdawała sobie sprawy, że Hartmann odetchnął z ulgą, kiedy to się stało, gdyż jego połówica od początku małżeństwa uganiała się za każdym, kto nosił spodnie.

- Kłopoty, majorze? - zapytała sekretarka.

- Można tak powiedzieć, Trudi. Przynieś mi kawę.

Usiadł za biurkiem i zapalił papierosa, a ona dołączyła do niego dwie minuty później, przynosząc filiżankę dla niego i dla siebie. Usiadła na zapasowym krześle.

- A więc?

Hartmann wyjął z szuflady butelkę brandy i wlał sobie odrobinę do kawy, głównie dlatego, że bolała go lewa noga - jeszcze jedna pamiątka wyniesiona z rozbitego samolotu.

- Trudi, ja wiem, że nasz uwielbiany reichsfuhrer wierzy, iż Bóg jest po naszej stronie, ale teraz uważa jeszcze, że operacja "Lew Morski" dojdzie do skutku.

- Naprawdę, majorze? - Trudi nie miała wyrobionego zdania o takich sprawach.

- A zatem, ta lista Kleina, o której mi mówiłaś. Pracowałaś z nim. Złóż mi pełne sprawozdanie ze szczególnym uwzględnieniem Hiszpanów i Portugalczyków, którzy byli opłacani.

- Nadal są, majorze.

- No cóż, pora, aby zapracowali na te pieniądze. Słucham, Trudi.

- Jeden z tych agentów, zamieszkały w Londynie Portugalczyk, nazywa się Fernando Rodrigues. Od czasu do czasu przekazywał nam mało istotne informacje. Pracuje w ambasadzie londyńskiej.

- No proszę - rzekł Hartmann. - Kto jeszcze?

- Niejaka Dixon... Sarah Dixon. Jest urzędniczką w brytyjskim Ministerstwie Wojny.

Hartmann poderwał się.

- Mówisz poważnie? Mamy urzędniczkę w brytyjskim Ministerstwie Wojny? Nadal tam pracuje?

- Cóż, ona nie była agentką Abwehry. Widzi pan, jeśli wolno wspomnieć o tym, co było, zanim objął pan to stanowisko, majorze, jedynie Abwehra mogła mieć agentów za granicą. Działania majora Kleina były nielegalne. Tak więc, kiedy Brytyjczycy infiltrowali siatkę Abwehry i zgarnęli wszystkich jej agentów w Anglii, nasi pozostali na miejscu. Nigdy nie zostali wykryci.

- Rozumiem. - Hartmann był podekscytowany. - Przynieś mi akta. Szybko!

Fernando Rodrigues był attache handlowym ambasady portugalskiej w Londynie, a jego brat Joel pełnił taką samą funkcję w ambasadzie berlińskiej. Niezwykle sprzyjająca okoliczność. Hartmann przejrzał akta i wyrobił sobie właściwe zdanie o obu tych mężczyznach: chciwcy, wiecznie wyciągający ręce po pieniądze. Takimi ludźmi łatwo pokierować, a ręce zawsze można poucinać.

Sarah Dixon była inna. Czterdziestopięcioletnia wdowa po George'u Dixonie, urzędniku bankowym, który zmarł z ran, jakich doznał podczas wojny w siedemnastym roku. Z domu Sarah Brown, urodziła się w Londynie jako córka Anglika i Irlandki. Jej dziadek, działacz Ira, został zastrzelony w tysiąc dziewięćset szesnastym w Dublinie w czasie powstania przeciwko Brytyjczykom.

Mieszkała samotnie w londyńskiej dzielnicy Bayswater, a od trzydziestego ósmego roku pracowała jako urzędniczka w Ministerstwie Wojny. W tym samym roku została sympatyczką Ira, zwerbowana podczas fali zamachów bombowych w Londynie i Birmingham przez Patricka Murphy'ego, który był działaczem Ira i pracował dla Kleina oraz Sd. Zgodziła się na współpracę, ale potem Murphy zginął w strzelaninie z policjantami z Wydziału Specjalnego.

Hartmann oderwał wzrok od akt.

- A więc ona wciąż czeka?

- Na to wygląda, majorze.

- Dobrze. Skontaktuj się z tym Joelem Rodriguesem z tutejszej ambasady Portugalii. Sama się tym zajmij. Powiedz mu, żeby porozumiał się ze swoim bratem w Londynie, korzystając z poczty dyplomatycznej. Niech tamten sprawdzi tę Dixon i upewni się, że nadal jest osiągalna, gdybyśmy jej potrzebowali. Jakbyś miała jakieś kłopoty z braćmi Rodrigues, daj mi znać, a ja ich przycisnę.

- Tak jest, majorze.

Trudi wyszła, a Hartmann zapalił następnego papierosa.

- Co za sposób prowadzenia wojny - mruknął do siebie.

- Widzi pan - powiedziała Trudi Braun do Joela Rodriguesa, który siedział po drugiej stronie biurka - to proste. Pana brat skontaktuje się z tą kobietą i poprowadzi ją. Skoro pracuje w Ministerstwie Wojny, powinna coś wiedzieć... można tam zdobyć mnóstwo ciekawych informacji. Oczywiście, nic poważnego. Niech jej zbytnio nie eksploatuje. Nie chcemy, żeby została zdemaskowana. Może przyjść taki czas, kiedy stanie się naprawdę użyteczna.

Rodrigues bał się i nie potrafił tego ukryć.

- No, nie wiem, pani Braun. Mój brat Fernando na pewno nie będzie zachwycony.

Hartmann, słuchający tej rozmowy w sąsiednim pokoju, natychmiast wkroczył do akcji. Joel Rodrigues tylko rzucił okiem na jego obwieszony odznaczeniami mundur i zaraz zaczął się pocić.

- Pana brat nie ma innego wyjścia, a kiedy będzie pan do niego pisał, proszę wysyłać

wiadomość pocztą dyplomatyczną - rzekł Hartmann. - Przypomni mi pan, że już od trzech lat co miesiąc bierze od nas pieniądze, a na razie niewiele zrobił, żeby na nie zapracować.

Rodrigues podniósł się z krzesła.

- Proszę, majorze. Nie chciałem sugerować, że mogłyby być z tym jakieś trudności.

- Miło mi to słyszeć. Przypomniałbym panu, iż pan również jest sownie opłacany za dość drobne usługi dla Rzeszy. Tak więc skończmy z tym.

- Oczywiście. Może pan na mnie polegać.

Rodrigues pospiesznie ruszył do drzwi. Kiedy je otworzył, Hartmann dodał:

- Wiem o panu wszystko, Rodrigues. Osobiście uważam, że pańskie upodobania seksualne to pana prywatna sprawa, ale muszę przypomnieć, iż w Trzeciej Rzeszy homoseksualizm jest przestępstwem karanym wysyłką do obozu pracy.

Rodrigues zadrżał.

- Tak, majorze.

- Oczywiście dopóki jest to tylko pańska sprawa. - Hartmann wzruszył ramionami.

- Jestem panu bardzo wdzięczny, majorze.

- Dobrze. Ładną willę kupił pan rodzicom w Estorilu. Muszą tam być bardzo szczęśliwi na emeryturze. Szkoda byłoby ich niepokoić. - Rzucił mu chłodny uśmiech. - Mamy długie ręce, przyjacielu. A teraz wynoś się.

Rodrigues wyszedł.

- Czasami pana nie poznaję - stwierdziła Trudi.

- Czasem sam siebie nie poznaję, moja droga, ale gdybym nie był taki twardy, nie przestraszyłbym go. To tylko gra, Trudi, w tej cudownej sztuce, jaką nazywamy Trzecią Rzeszą.

Odwrócił się i poszedł z powrotem do swojego gabinetu.

Późnym wieczorem towarzyszył Himmlerowi na przyjęciu, które odbyło się w sali balowej hotelu "Adlon". Na spotkaniu brylował fuhrer w otoczeniu swej świty. Był obecny minister propagandy Rzeszy i radca stanu do spraw wojny totalnej Joseph Goebbels, admirał Wilhelm Canaris, szef wywiadu wojskowego oraz von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych.

- Chyba brakuje tylko tego grubego durnia Goringa - rzekł kwaśno Himmler, ku cichemu żalowi Hartmanna machnięciem ręki odprawiając kelnera z tacą zastawioną kieliszkami szampana. - Chociaż właściwie nie powinien się tu pokazywać po porażce jego myśliwców nad Wielką Brytanią.

Teraz już naprawdę rozgniewany, Hartmann ulżył sobie, zapalając papierosa, ponieważ wiedział, że Himmler nie pochwała tego nałogu. Zanim jednak reichsfuhrer zdążył zareagować, wszedł Goring.

- Czy ta kobieta u jego boku - zainteresował się Himmler - to nie baronowa von Halder?
- Tak sędzę - odparł Hartmann.
- Jest jego kochanką?
- Według moich informacji nie, Herr Reichsfuhrer.
- Miała męża Amerykanina, prawda?
- Umarł kilka lat temu.
- Ciekawe. Obwieszona diamentami. Skąd je wzięła?
- Ojciec jej nieżyjącego męża jest amerykańskim senatorem i multimilionerem. Ustanowił dla niej fundusz powierniczy w Szwecji. Otrzymuje stamtąd spore sumy pieniędzy.
- Jesteś niezwykle dobrze poinformowany.
- Mamy jej akta.
- A kim są ci dwaj oficerowie Luftwaffe obok Goringa?
- Ten w białej marynarce to major Adolf Galland, który uzyskał najwięcej zestrzeleń podczas bitwy o Anglię... po obu stronach linii frontu.
- A kapitan?
- To baron von Halder, jej syn. Nazywają go Czarnym Baronem.
- Teatralne.
- Wspaniały lotnik. Hiszpania, Polska. Zestrzelił tam dwadzieścia samolotów, a potem dwadzieścia dziewięć nad kanałem La Manche. We wrześniu otrzymał Krzyż Rycerski. Jest jednym z tych, którzy latali na Londyn. W zeszłym tygodniu uzyskał łącznie sześćdziesiąt zestrzeleń.
- Imponujące. Lubisz go?
- Przez jakiś czas lataliśmy razem, zanim się rozbiłem.
- A zatem przyjaciele?

Hartmann wzruszył ramionami.

- Można tak powiedzieć, ale Max Kelso to dziwny człowiek. Trudno go rozgryźć.

- Kelso?

- To nazwisko jego ojca. I jeszcze jedno. Ma brata bliźniaka, który lata w Raf-ie.

- Dobry Boże! - Himmler zmarszczył brwi. - Naprawdę? Przez chwilę spoglądał na drugi koniec sali.

- Niech pan uzupełnia na bieżąco akta Halderów. Wyczuwam coś, co mi się nie podoba.

W tym momencie Goring poprosił o ciszę i zwrócił się do Hitlera.

- Mój fuhrerze, dwukrotnie odznaczyłeś majora Gallanda i dobrze znasz baronową von Halder. Tymczasem jej syn, obecny tutaj baron von Halder, otrzymał ode mnie Krzyż Rycerski za działania nad Anglią. Zaledwie dwa dni temu latał nad Londynem, broniąc dzielnych załóg naszych bombowców. Kazałem mu tutaj przylecieć nie bez powodu. Liczba zestrzelonych przez niego samolotów doszła do sześćdziesięciu, za co otrzymuje Dębowe Liście do Krzyża Rycerskiego. - Goring skinął na Gallanda, który wręczył mu pudełeczko z czerwonej skóry. - Proszę cię, fuhrerze, abyś zaszczyił tego odważnego oficera, osobiście go dekorując.

Zapadła cisza. Hitler mierzył Maxa tym swoim dziwnie przenikliwym spojrzeniem, a potem powoli skinął głową i wyciągnął rękę.

- Mylisz się, marszałku. Cały zaszczyt po mojej stronie.

Goring podał mu medal, a Hitler wręczył pudełeczko Maxowi i uścisnął mu dłoń.

- Ojczyzna jest z pana dumna, baronie - rzekł Hitler i zwrócił się do Elsy. - Pani również, jak wszystkie matki, przynosi zaszczyt Trzeciej Rzeszy.

Tłum zebranych przyjął jego słowa hucznymi oklaskami. Fuhrer, zauważywszy Himmlera, skinął głową, by do niego dołączył. Hartmann skorzystał z okazji i sięgnął po kieliszek szampana.

- No cóż, poszło całkiem nieźle - stwierdziła Elsa von Halder.

- Tak, musisz być dumna z syna - rzekł Goring. - Wolałbym tylko, żeby lepiej się ubierał. Spójrz na niego. Wygląda, jakby dopiero co wyszedł z kabiny.

Poklepał Maxa po ramieniu.

- Nieważne, publiczność to uwielbia.

Wziął od kelnera kieliszek z szampanem, a wtedy Hitler przywołał i jego.

- Obowiązek mnie wzywa - usprawiedliwił się Goring, odstawił kielich na tacę i odszedł.

Zbliżył się trochę onieśmielony Hartmann.

- Dolfo, Max...

- Mój Boże, to Bubi - zaśmiał się Galland.

Max uściskał rękę Hartmannowi.

- Ty stary draniu. Myśleliśmy, że tamta katastrofa cię wykończyła.

- Zrobili ze mnie kuriera, latałem na storchach. Kiedyś wracałem z reichsfuhrerem z Francji i jakiś spitfire próbował nas załatwić, ale go zgubiłem... i jestem tutaj.

- Na storchu? - wtrącił Galland. - Nie lada wyczyn.

- W każdym razie Himmler uznał, że przynoszę mu szczęście, i zrobił mnie swoim osobistym pilotem. Nalegał tylko, żebym przeniósł się do Ss.

- No cóż, nie można mieć wszystkiego. - Max zwrócił się do matki. - Mutti, to dobry kolega, Bubi Hartmann.

- Sturmbannfuhrer - zauważyła. - Jaki ładny mundur.

- Niestety, baronowo, jestem tylko skromnym urzędnikiem - powiedział, całując jej dłoń. - Czy mogę pani podać jeszcze jeden powód do dumy? Powiedziano mi, iż pani drugi syn w zeszłym tygodniu został powtórnie odznaczony Dfc. Lotniczym Krzyżem Służby Wybitnej.

- Mój Boże - wykrztusiła.

- Jesteś pewien? - zapytał Galland.

- Och tak. Na rozkaz reichsfuhrera w wolnym czasie pomagam Sd. Mamy bardzo dobre źródła informacji. - Zwrócił się teraz do Maxa. - Atak na Biggin Hill trzynastego sierpnia. Wyłowili go z kanału opodal Folkestone.

- Tego dnia lądowałem przymusowo na plaży - mruknął Max do Gallanda.

- Wyłowiła go łódź ratownicza Raf-u. Tydzień wcześniej skakał na spadochronie nad wyspą Wight. Pierwszy Dfc otrzymał za loty nad Francją, jeszcze przed bitwą o Anglię.

- A drugi?

- Jak już mówiłem, w zeszłym tygodniu. Napisali o tym w "London Gazette". Otrzymujemy ją regularnie dzięki uprzejmości ambasady portugalskiej. "Za wytrwałą i odważną postawę"... jak również zestrzelenie jednego dnia Me-109 oraz czterech dornierów... Wszystkie strącenia zostały potwierdzone.

- Jest taki sam jak ty i wasz ojciec. Obaj cierpicie na manię samobójczą.

- Nieważne, Mutti. - Max skinął na kelnera. - Szampana dla wszystkich. Wypijmy za Harry'ego.

- Oraz wszystkich innych dzielnych pilotów - dodał Adolf Galland. - Kimkolwiek są.

Dzień później Harry Kelso miał spotkanie w Londynie. Padało i St. James Park tonął we mgle, gdy jego taksówka jechała po Pall Mall w kierunku Buckingham Palace. Harry palił papierosa, policzki miał zapadnięte, twarz bladą.

- Hej, szefie, mają ci dać medal, czy co? - chciał wiedzieć taksjarz. - Widzę, że masz już jeden Dfc, no nie?

- Tak, ostatnio rozdają je garściami. Takie przyszły czasy.

- Chryste, jesteś Jankesem, szefie! Co robisz w Raf-ie?

- Och, jest nas tam paru - zapewnił go Harry.

Pilnujący bramy wjazdowej na dziedziniec pałacu policjant machnął ręką, pozwalając im wjechać. Harry wyciągnął portfel, ale taksówkarz pokręcił głową.

- Chyba jesteś cholernym wariatem, szefie. Przecież nie musiałeś przyjeżdżać do Anglii.

- Musiałem - odparł Harry Kelso.

Podszedł do głównej bramy i podążając za tłumem, wszedł schodami do galerii obrazów. Służba pałacowa sadzała gości, a wojskowa orkiestra grała lekkie melodie. W pewnej chwili zaczęła "God Save the King" na powitanie króla Jerzego i królowej Elżbiety, którzy weszli i zajęli miejsca na podium.

Odznaczenia wręczano w porządku alfabetycznym. W zamęcie bitwy o Anglię Kelso nie znalazł czasu, żeby odebrać tutaj swój pierwszy order. Teraz nie był zdenerwowany, ale spięty, a potem wywołano jego nazwisko.

- Kapitan Harry Kelso, Finlandia.

Jakoś znalazł się przed podium i stojącym tam królem, który przypiął mu Dfc.

- Z Finlandii koło Bostonu, o ile wiem, kapitanie? Jesteśmy wdzięczni.

- Jestem zaszczycony, Wasza Wysokość.

Później kręcił się bez celu w tłumie, dziwnie samotny. Nikt mu nie towarzyszył, ponieważ nikogo tutaj nie znał. Ruszył w kierunku bramy i natychmiast ktoś zawołał go po imieniu.

- Harry, tutaj!

Kelso zobaczył Westa wychylającego się ze służbowego wozu Raf-u.

- Widzę, że jesteś już komodorem - zauważył Harry.

- Szybki awans, Harry. To szybka wojna. Dowiedziałem się, że odbierasz dziś swoją blaszkę. Pomyślałem, że zabiorę cię do mojego starego klubu, do Garrick. Nadal podają tam znakomite obiady. Niewyszukane, ale pożywne.

- Nieźle się zapowiada.

- No to jedziemy.

W Garrick usiedli w kącie baru nad whisky z wodą sodową. Pojawili się Dougal Munro i Jack Carter, obaj w mundurach.

- Dougal! - zawołał West. - Przyłączcie się do nas. - A kiedy tamci podeszli, dodał: - Pamiętasz brygadiera Munro i kapitana Cartera, Harry? Byli w Downfield, kiedy wypróbowałeś dla nas messerschmitta 109. - Uśmiechnął się. - Harry właśnie był w pałacu i odebrał kolejny Dfc.

- Wspaniale - rzekł Munro. - Oblejmy to butelką szampana. Veuve Cliquot rocznik dwadzieścia dwa! - zawołał do barmana. - I nie mów mi nie. Wiem, że masz jeszcze kilka butelek.

Poczęstował Harry'ego papierosem.

- Nawiasem mówiąc, mógłbyś oddać mi przysługę, kolego.

- Jaką, sir?

- Och, nie tytułuj mnie tak. Przed wojną byłem zwyczajnym profesorem archeologii. Zrobili mnie brygadierem na zasadzie kopa w górę, jak powiedzielibyście wy, Amerykanie.

Harry roześmiał się.

- Lapidarne stwierdzenie, brygadierze. Co mogę dla pana zrobić?

- To samo co ostatnio, tylko tym razem mamy samolot zwiadowczy Fieseler Storch. Zna go pan?

- Oczywiście. Lataliśmy na nich w Finlandii. Jak go zdobyliście?

- Awaria kompasu. Lecąc nocą z Holandii, pilot wylądował w hrabstwie Kent i myślał, że jest we Francji. Czy jutro rano odpowiada panu? Znowu w Downfield?

- Z przyjemnością.

- Dobrze. Mam dla pana niespodziankę. Dołączy do nas moja siostrzenica Molly. Molly Sobel. Właściwie to Amerykanka. Jej ojciec jest pułkownikiem w Ministerstwie Wojny. Rodzice rozeszli się, a ona przyjechała tu w trzydziestym piątym, mając siedemnaście lat, żeby zamieszkać z matką i studiować medycynę.

- Skończyła studia?

- Tak, w trzydziestym dziewiątym. Mądra dziewczyna, obecnie pracuje jako chirurg w Cromwell Hospital. Niestety, jej matka zginęła dwa miesiące temu, podczas bombardowania.

- Przykro mi - mruknął Harry.

- Jak nam wszystkim - rzekł Dougal Munro i w tym momencie Molly Sobel weszła do baru, z lekkim wahaniem, gdyż w myśl tradycji był przeznaczony wyłącznie dla mężczyzn.

Munro nic sobie z tego nie robił.

- Molly, kochana, przejdźmy do jadalni! - zawołał, wstając.

Teraz miała dwadzieścia trzy lata i była o trzy miesiące starsza od Harry'ego: drobna dziewczyna, metr sześćdziesiąt wzrostu, jasne włosy, niebieskie oczy, stanowcza, a nawet uparta twarz. Wszyscy zostali jej przedstawieni, a potem zasiedli do zapiekanki po szkocku i butelki białego reńskiego.

- Niemieckie wino. Ironia losu - zauważyła.

- Nie mam nic przeciwko dobremu niemieckiemu winu - oświadczył Harry.

- Myślałam, że jest pan Jankesem w Raf-ie.

- Bo jestem, z Bostonu. Jednak mam też matkę Niemkę, mieszkającą obecnie w Berlinie, oraz brata bliźniaka, który jest kapitanem Luftwaffe.

Uśmiechnął się widząc, że odebrało jej mowę. Zawsze tak reagowano.

- I dobrze sobie radzi ten baron - powiedział Munro. - Dopiero co dostał Dębowe Liście do Krzyża Rycerskiego. Długo kazali mu na nie czekać. O ile wiem, ma już sześćdziesiąt zestrzeleń.

- Skąd pan o tym wie?

- Och, pracuję w takim wydziale - odparł i wstał. - Muszę iść. Ma pan gdzie zatrzymać się na noc?

Harry potrząsnął głową.

- Mam mieszkanie przy Haston Place, niecałe dwie minuty drogi od kwatery głównej. Molly mieszka tam, kiedy nie pracuje w szpitalu. Mnóstwo miejsca. Może pan przenocować, jeśli pan chce.

Munro poklepał siostrzenicę po ramieniu.

- Zajmij się nim, moja droga. Podrzucić cię, Teddy? - zapytał Westa.

- Nie, mam swój samochód.

Wyszli, a West zapalił papierosa.

- Posłuchaj. Ponieważ przybywa tu coraz więcej Jankesów i sporo was już lata w Raf-ie, dowództwo postanowiło utworzyć dywizjon o kryptonimie "Orzeł". Wszyscy Jankesi razem. Pewnie zechcesz się przenieść.

- Niespecjalnie. - Harry podniósł się i powiedział do Molly: - Jestem pewien, że ma pani mnóstwo obowiązków. Jeśli poda mi pani adres, przyjdę wieczorem.

- Od czterdziestu ośmiu godzin nie zrobiłam sobie chwili przerwy, więc na resztę dnia dostałam wolne. Co chciałby pan robić? Potańczyć w "Lyceum"? Urządzają popołudniowe potańcówki.

- Spacer. Mam ochotę na spacer. Zobaczymy się rano - zakomunikował Westowi, po czym ruszył do drzwi, ale w połowie drogi przystanął i ponownie zwrócił się do komodora. - Wyświadczyć mi przysługę. Trzymaj mnie z daleka od tego dywizjonu "Orzeł". Zacząłem w Raf-ie i skończę w Raf-ie.

- Prawdę mówiąc, Harry, zacząłeś w Finlandii.

- Też mi różnica - odparł Harry i wyszedł z Molly.

Spacerowali po mieście, zasnutym dymem bombardowań. Po pewnym czasie zaczęło padać i Molly rozłożyła parasolkę.

- Musi pani być ciężko - rzekł. - Tysiące zabitych, śmierć, zgliszcza. Szpital pewnie jest przepełniony.

- Noce przeważnie bywają ciężkie, ale jakoś sobie radzimy. Ludzie są wspaniali. "Duma

Londynu", tak nazywał to Neil Diamond w tej swojej piosence.

- Munro mówił mi, że pani ojciec jest pułkownikiem w Ministerstwie Wojny.

- Zgadza się. Latał, tak samo jak pan, na bombowcach.

- A pani matka zginęła podczas nalotu dwa miesiące temu? To okropne.

- Nie miałam czasu na żałobę. Byłam zbyt zajęta w izbie przyjęć.

Dotarli do Embankment i patrzyli na rzekę, po której płynęły statki, ale rozpadało się jeszcze mocniej, więc schowali się pod daszek. Harry wyjął paczkę papierosów.

- Przejdźmy na ty - zaproponowała Molly.

- Palisz?

- Tylko to trzyma mnie na nogach. - Wzięła jednego, Harry podał jej ogień i usiedli na ławeczce. - Co to za historia z bratem w Luftwaffe?

- Chodzi o mojego brata Maxa. Nasz ojciec był Amerykaninem. Umarł przed laty, ale o ile znam Munro, podał ci wszystkie soczyste szczegóły o naszej matce baronowej.

- I bracie baronie.

- Czarnym Baronie. Max to prawdziwy as.

- Tak jak ty. Czy to cię nie niepokoi?

- Fakt, że Max jest tam, a ja tu? Co za różnica? Gdybym urodził się dziesięć minut wcześniej, ja byłbym tam, a on tutaj.

- Nie, to nie to samo. Twój brat był w Niemczech. Nie mógł wybrać strony, po której będzie walczył, ale ty mogłeś. Jesteś Amerykaninem, tymczasem przybyłeś tutaj. Oto różnica.

- Nie przypisuj mi szlachetnych motywów. Jestem lotnikiem, to wszystko. Latałem dla Finów, teraz latam dla Brytyjczyków. Widzisz, większość tych pilotów Luftwaffe to tacy sami młodzi chłopcy jak ci z mojego dywizjonu w Farley Field. Lotnicy i tyle.

Wstał.

- No cóż, chodźmy. Lubię spacerować po deszczu.

Wzięła go pod rękę.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Zmęczonego? - zaśmiał się. - Jestem wykończony. Jak my wszyscy. Przynajmniej ci, którzy

zostali.

- Jaki macie procent strat?

- W całym lotnictwie myśliwskim pięćdziesiąt. W moim dywizjonie? Tylko ja pozostałem z tych, którzy zaczęli bitwę o Anglię. Spacerujesz z duchem, pani doktor. Patrz, po drugiej stronie ulicy jest jakiś pub. Słyszałem, że ze względu na naloty zmienili godziny otwarcia. Wpadnijmy na drinka.

- Ostatnio trudno o szkocką.

- Dla naszych dzielnych lotników zawsze coś się znajdzie - zapewnił z uśmiechem, wziął ją za rękę i przeszli przez ulicę.

Po południu poszli do West Endu obejrzeć zniszczenia spowodowane bombardowaniami. Był wczesny wieczór, kiedy dotarli na Haston Place, miły stary placyk z parkiem na środku.

- Przyjemnie tu - rzekł Harry. - Munro mówił mi, że ma tylko kilka minut drogi z pracy.

- Zgadza się. Soe na Baker Street.

- Co to za praca?

- Och, ma coś wspólnego z wywiadem.

Dom pochodził z czasów króla Jerzego, mieszkanie okazało się przestronne i ładne. Na kominku w salonie płonął ogień i wszędzie było mnóstwo antyków, głównie egipcjanów.

- Twój wuj był archeologiem?

- Ściśle mówiąc, egiptologiem. Zrobię ci drinka. - Nalała z karafki whisky do dwóch szklaneczek. - Ta mniejsza dla mnie. Niby mam wolne, ale mogą wezwać mnie wieczorem, jeśli zrobi się gorąco. - Uniosła szklanę. - Chcę powiedzieć jeszcze jedno. Mówiłeś mi, że twój brat jest asem. No cóż, ty także i mówiąc między nami, pół-Jankesami, jestem z ciebie cholernie dumna.

Ze łzami w oczach przełknęła whisky, a Harry odstawił szklaneczkę i położył dłonie na jej ramionach.

- Molly, kochanie, nie pozwól pęknąć tej skorupie, która trzyma cię w całości. Dzień po dniu obcujesz ze śmiercią, a jeszcze twoja matka... Przeszłaś piekło.

- Nadal w nim tkwię.

- To nie ty. Córka żołnierza i urodzona wojowniczką. Przetrwasz jakoś, tylko nie marnuj na mnie czasu. W ogóle nie powinno mnie tu być.

- Mówisz okropne rzeczy.

- Ale prawdziwe. Czy mógłbym zobaczyć mój pokój? Naprawdę przydałby mi się prysznic.

Siedziała przy kominku, czytając "Timesa", kiedy pojawił się Munro z kuśtykającym za nim Jackiem Carterem.

- A, tu jesteś, kochanie. Miło było?

- Można tak powiedzieć - odparła, składając gazetę. - Jak się masz, Jack? - serdecznie pocałowała go w policzek.

- Nieźle, dziewczyno.

- Noga ci dokucza?

- No cóż, czasem boli jak diabli, ale co z tego?

- Jesteś uroczy.

- No dobrze, dość tych słodkich słówek - rzekł Munro, siadając. - Nalej mi szkockiej, Jack. Dowiedziałaś się czegoś, o czym nie wiedzieliśmy, Molly?

- Niewiele i wolałabym, żebyś nie mieszał mnie w te swoje diabelskie intrygi, Dougalu. Rozmawialiśmy o przeszłości, o jego bracie. Jeżeli chcesz wysłuchać opinii lekarza, to on go kocha i podziwia. Nazywa go prawdziwym asem. O sobie tak nie mówi.

- Co za bzdury - zachnął się Carter. - Nie wierz w to, co czytasz w gazetach. Niektórzy z tak zwanych asów otrzymują nie tylko Dfc, ale i Dso, podczas gdy najwięcej zestrzeleń mają ludzie, o których nikt nawet nie słyszał. Sprawdziliśmy tego Kelso. Często wcale nie zgłasza zestrzeleń albo przypisuje je jakiemuś młodemu pilotowi ze swojego dywizjonu.

- Młodemu? - zdziwiła się. - Przecież sam ma najwyżej dwadzieścia dwa lata.

- Nie denerwuj się. Chcę tylko powiedzieć, że prawdopodobnie ma na koncie największą liczbę straconych samolotów. Do licha, kochanie, on ma dwa Dfc.

- I uważa, że w ogóle nie powinno go tu być.

- To może melodramatyczne, ale dość prawdziwe.

Harry, wysłuchawszy większości tej rozmowy na schodach, wszedł z uśmiechem na ustach.

- Aa, tu jesteście. Jakie przyjemności ma pan dla mnie na dzisiejszy wieczór, brygadierze?

- River Room w "Savoyu". Porządna kolacja, chociaż droga.

- Ma pan niezłe wejścia.

- Nie ja. Jack. Niech mi pan powie, gdyby pana brat zginął w walce, zostałby pan baronem von Halder?

- Zgadza się.

- No cóż, a więc macie coś wspólnego z Jackiem. Jego ojciec jest nie tylko generałem majorem artylerii, ale także sir Williamem Carterem, baronetem, w dodatku obrzydliwie bogatym. Tak więc, przy odpowiednio niefortunnym obrocie wydarzeń, Jack zostanie sir Jackiem.

- W porządku, zatem to on dziś stawia kolację - stwierdził Harry.

Posiłek w River Room był wspaniały: wędzony łosoś, sola z Dover, sałatka i szampan.

- Można zapomnieć o tym, że trwa wojna - skonstatował Jack.

Grała orkiestra, Carrol Gibbons i "Orpheans".

- Czy nikt nie zamierza poprosić mnie do tańca? - zapytała Molly.

- Ja jestem za stary, a Jack już nie tańczy. Pańska kolej, kapitanie - powiedział Munro do Harry'ego.

Harry zabrał ją na parkiet i zatańczyli w rytm "Mglistego londyńskiego dnia".

- Odpowiedni podkład - stwierdził. - Tylko zamiast o mgle, powinni śpiewać o dymie.

- Boże, ale mi dobrze - mruknęła. - Po raz pierwszy od trzech tygodni czuję, że żyję. Czy ty też tak się czujesz, Kelso?

Zanim zdążył odpowiedzieć, szef sali przecisnął się do niej przez tańczących.

- Przykro mi, doktor Sobel. Dzwonili z Cromwell. Chcą, żeby pani jak najszybciej przyjechała.

Wrócili do stołu.

- Szpital? - spytał Munro.

- Obawiam się, że tak.

Skinął na Cartera.

- Niech pojedzie moim służbowym samochodem. Powiedz kierowcy, żeby wracał najszybciej

jak się da.

Wzięła torebkę, a Carter pomógł jej włożyć płaszcz. Uśmiechnęła się.

- Uważaj, Kelso.

Nie odpowiedział, więc odwróciła się i odeszła, a Carter pokuśtykał za nią.

Harry i Munro zamówili brandy, po czym brygadier rzekł:

- Siedemdziesiąty pierwszy będzie dywizjonem złożonym z Amerykanów, a o ile wiem, zamierzają sformować jeszcze dwa. Będą cię tam ciągnąć, Harry.

- Nie dam się.

- Mogę spytać dlaczego?

- Mówiłem już Westowi. Zacząłem w Raf-ie i skończę w Raf-ie. Tak samo jak mój ojciec w czasie pierwszej wojny, ale o tym na pewno już pan jest poinformowany.

- Tak... Nie sądzę, żebyś o tym wiedział, ale kieruję wydziałem, który wysyła agentów do Francji, zazwyczaj na lysanderach. Pewnie cię to nie interesuje?

- Jestem pilotem myśliwskim.

- Oczywiście, ale taki dywizjon do zadań specjalnych ma pewne przywileje. Szczególnie może chronić przed... powiedzmy, głodnymi "Orłami".

Harry uśmiechnął się, lecz ponownie potrząsnął głową.

- Nie? Cóż, trudno. Wiesz, gdzie mnie szukać.

- Owszem, można tak powiedzieć. Jutro oblecę dla pana tego storcha, lecz jedno mogę stwierdzić od razu. Lysander jest niezły, ale storch lepszy.

Munro uśmiechnął się.

- Wiesz co, nie wiem dlaczego, ale domyśliłem się, że tak powiesz.

Sześć tygodni później Sarah Dixon wyszła z Ministerstwa Wojny i szybkim krokiem szła przez zimową pluchę. Nadchodziły święta Bożego Narodzenia, co w tych czasach nie miało większego znaczenia. Na najbliższym przystanku wsiadła do metra. Było zatłoczone, wszyscy pasażerowie mokrzy i zmęczeni, więc w tłoku nie zorientowała się, że jest śledzona.

Fernando Rodrigues był śniadym, przystojnym trzydziestopięcioletkiem średniego wzrostu, w kapelusiku i prochowcu. Dostarczone mu pocztą dyplomatyczną przez brata dossier było kompletne i obejmowało fotografię. Fernando sprawdził podany adres - mieszkanie w kamienicy opodal Westbourne Grove. Jej nazwisko znajdowało się na liście lokatorów.

Tego ranka czekał na rogu od wpół do ósmej. O ósmej przeszła przez ulicę, a on natychmiast rozpoznał kobietę ze zdjęcia i poszedł za nią Queensway do stacji metra Bayswater, a potem aż do Ministerstwa Wojny.

Wrócił tam o piątej. O wpół do szóstej wyszła z tłumem innych urzędników. Mógł po prostu zadzwonić do drzwi i porozmawiać z nią, lecz z natury był ostrożny. Dziwne, ale wcale się nie bał. Dostatecznie długo pracował dla berlińskiej Sd, aby uwierzyć, że zawsze ochroni go immunitet dyplomatyczny. Poza tym, nigdy nie był zamieszany w nic poważnego. Raporty o ogólnej sytuacji, zniszczeniach w wyniku bombardowań, ruchach wojsk, nic więcej.

Wysiadł tak jak ona, na Bayswater Station, po czym poszedł za nią po Queensway, skręcił w Westbourne Grove i w końcu dotarł do budynku przy bocznej uliczce. Nadal go nie zauważyła; kiedy wyjęła klucz do frontowych drzwi, stanął za nią.

Odwróciła się i - ku jego zdziwieniu - wcale nie wyglądała na przestraszoną.

- Pani Sarah Dixon?

- Tak, czego pan chce - odparła niecierpliwie. Czyżby spodziewała się kogoś?

- Mam dla pani wiadomość. Nadszedł dzień zapłaty.

Takie hasło podał jej w trzydziestym ósmym roku Irlandczyk, Patrick Murphy. Jej reakcja była zdumiewająca.

- Dobry Boże, długo czekaliście. Lepiej niech pan wejdzie.

Mieszkanko było bardzo małe - łazienka, kuchnia, pokój stołowy i sypialnia. Zdjęła płaszcz.

- Proszę usiąść, zaparzę herbatę. Kim pan jest?

Przeszła do kuchni, a on poszedł za nią i stanął w progu.

- Zanim odpowiem, proszę mi coś powiedzieć. Kiedy Patrick Murphy zwerbował panią w trzydziestym ósmym, stwierdził, że jest pani bardzo wrogo nastawiona do Anglików. Czy nie zmieniła pani zdania?

- Oczywiście, że nie.

- Jednak pani ojciec był Anglikiem.

- To nie ma dla mnie znaczenia. Umarł, kiedy miałam dwa lata - odparła obojętnie, robiąc herbatę. - Zamordowali mojego dziadka w tysiąc dziewięćset szesnastym. Zastrzelili go jak psa. Pomszczę go. Usiądźmy.

Rodrigues był zdumiony jej opanowaniem, ale także dziwnie podniecony. Taka elegancka, czysta i schludna kobieta w tweedowej garsonce, z naszyjnikiem pereł na szyi. Włosy miała lekko rudawe i zadbane, twarz pospolitą, chociaż niezupełnie. Zrobiła na nim wrażenie.

- O cóż więc chodzi?

- Murphy, który panią zwerbował, nie pracował dla Abwehry. Był człowiekiem Sd, czyli służb wywiadowczych Ss.

- Wiem, co to takiego. Pan też dla nich pracuje?

- Tylko w pewnym sensie. Proszę posłuchać, musi tu gdzieś być jakaś mała restauracja. Chętnie postawię pani obiad.

- Doskonały pomysł. Może nawet powie mi pan, jak się pan nazywa.

- Fernando Rodrigues - rzekł, pomagając jej włożyć płaszcz.

- Portugalczyk? Interesujące.

Znaleźli rodzinną włoską restauracyjkę przy Westbourne Grove, pustą o tak wczesnej porze. Chociaż trwała wojna, na stolikach stały świece. Usiedli w zacisznym kącie, po czym Rodrigues zamówił butelkę czerwonego wina oraz dwie porcje lasagni. To niewiarygodne, jak szybko przekonał się do tej kobiety i opowiedział jej wszystko.

- Większość agentów Abwehry w Wielkiej Brytanii została schwyтана.

- Wywiad brytyjski twierdzi, że wszyscy. Jestem tylko pionkiem w Ministerstwie Wojny, ale wiem o tym.

- Może mówią prawdę, ale siatka Sd pozostała nietknięta. Stworzył ją geniusz nazwiskiem Klein, który już nie żyje. Jego następcą jest major Hartmann, bezpośredni podwładny Himmlera.

- Niezłe towarzystwo. Jak pan się w to wplątał?

- Jestem attache handlowym w ambasadzie Portugalii. Kontaktuję się pocztą dyplomatyczną, która oczywiście nie podlega kontroli, z moim bratem Joelem, zajmującym podobne stanowisko w naszej ambasadzie w Berlinie. Bardzo wygodny i bezpieczny układ.

- A także lukratywny.

- Człowiek musi coś jeść.

- Nosi pan ładny garnitur, a ten zegarek wygląda na złoty.

- Trzeba cieszyć się życiem - uśmiechnął się.

- Myślę, że jest pan łobuzem, panie Rodrigues, ale lubię pana.

- Fernando, proszę. Powiedz mi, wchodzisz w to, czy nie?

- Oczywiście, że tak. Jestem sekretarką w sekcji księgowości Ministerstwa Wojny. Bardzo nudne zajęcie i nie mam dostępu do niczego naprawdę ciekawego.

- Kto wie? Świat się zmienia.

Wyjął z portfela wizytówkę.

- Adres ambasady jest w książce telefonicznej, ale tu masz mój prywatny i numer telefonu. Po drugiej stronie Kensington Gardens. Ennismore Mews.

- Naprawdę nieźle sobie radzisz.

W oddali zawyły syreny.

- Znowu się zaczyna - zerwała się z krzesła. - Chodźmy stąd, póki jeszcze możemy.

Zapłacił rachunek i odebrał płaszcz.

- Dokąd? - zapytał. - Zdaje się, że najbliższy schron jest na stacji metra Bayswater.

- Wielki Boże, nigdy nie chowam się tam podczas nalotów. Nie schodzę do schronów. W zeszłym tygodniu sto osób zginęło na Holborn, kiedy bomba trafiła prosto w stację. Chodź.

Wzięła go za rękę i pobiegli po Westbourne Grove, gdy w oddali spadły pierwsze bomby. Dobiegli do budynku, otworzyła frontowe drzwi i po ciemku poszli korytarzem.

- Znow wyłączyli prąd. To oznacza, że winda nie chodzi. Chwyć mnie za rękę i idź za mną po schodach. Znam drogę na pamięć.

W pewnej chwili Rodrigues potknął się, a ona zachichotała i podtrzymała go; zaraz potem dotarli do drzwi jej mieszkania i weszli do środka.

Zdjęła płaszcz, po czym odsunęła zasłonę. Przez okno wpadło trochę światła - w oddali jarzyły się łuny pożarów i wybuchały bomby.

- Chyba nie dotrzesz dzisiaj na Ennismore Mews - stwierdziła.

- Powiedz, czy w twoim życiu jest jakiś mężczyzna?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Najmniejszego.

- Mówiłam, że z ciebie łobuz. Tak się składa, że nie mam nikogo.

Podszedł do niej, objął ją w talii i pocałował w kark.

- Cudownie - westchnęła. - Przyjemniej będzie w łóżku, nie sądzisz?

W ten sposób rozpoczął się ich niezwykły romans. Była dziwną kobietą, bardzo namiętną, a jednocześnie opanowaną. Widywał się z nią regularnie. Oczywiście miewał inne - to leżało w jego charakterze. Wiedziała o tym i wcale jej to nie przeszkadzało.

W Sussex padał styczniowy śnieg przypominający odbywającemu rutynowe patrole Harry'emu zimę w Finlandii. Padało również we Francji, z której Galland, Max i cała Luftwaffe nieustannie startowali do nocnych nalotów na Londyn.

Podczas jednego z takich nalotów pod koniec stycznia, kiedy metro było nieczynne z powodu zniszczeń, Sarah Dixon wczesnym wieczorem w tłumie wychodzących z pracy wracała do domu z Ministerstwa Wojny. Było już ciemno i wszystko pokrywała cienka warstwa śniegu. Sarah Dixon ostrożnie przechodziła po zasypanych gruzem ulicach, gdy nagle zawyły syreny.

Ludzie w panice rzucili się do ucieczki, krzycząc i płacząc ze strachu. W pobliżu spadły bomby i posypało się szkło, a potem jedna bomba upadła na końcu ulicy. Sarah Dixon ledwie poczuła silny podmuch, który wyrzucił ją w powietrze.

Ocknęła się, czując przeszywający ból. Czas ocenić sytuację. Spróbowała usiąść i zdała sobie sprawę, że leży w szpitalnym łóżku. Podbiegła do niej pielęgniarka.

- O nie, nie ma mowy, proszę leżeć! - Ułożyła ją na łóżku i zawołała: - Doktor Sobel!

Nadeszła młoda lekarka w pomiętym białym fartuchu. Sprawdziła Sarah puls i zbadała serce.

- Gdzie jestem?

- W Cromwell Hospital. Leży tu pani już od dwóch dni. Niemiecka bomba. Miała pani szczęście.

Sarah wyczuła gips pod pościelą, po prawej stronie.

- O Boże, straciłam nogę!

- Nie, jest tylko pokaleczona, ale wszystko będzie dobrze. - Molly Sobel zwróciła się do pielęgniarki. - Proszę ponownie zadzwonić pod ten numer. Jest w karcie choroby.

- Jaki numer? - zapytała słabym głosem Sarah.

- Pana Rodriguesa. Wczoraj znaleźliśmy w pani portfelu jego wizytówkę. Przyszedł natychmiast.

Pół godziny później był już przy niej, bardzo zatroskany. Zdołał nawet znaleźć gdzieś kiść winogron.

- Najlepsze, jakie można zdobyć na czarnym rynku - rzekł i pocałował ją. - Wyglądasz tak, jakby ktoś zdzielił cię kilka razy, ale mogło być gorzej.

- Martwię się o nogę.

- Wszystko będzie dobrze. Postaram się o coś do picia.

Poszedł do dyżurki. Molly Sobel pisała coś przy biurku, ale była tam też pielęgniarka.

- Czy pacjentka mogłaby dostać filiżankę herbaty? - zapytał.

- Oczywiście, zaraz przyniosę.

Siostra wyszła.

- Ona niepokoi się o tę nogę - zwrócił się do lekarki. - Co pani myśli?

- Nie jest dobrze. - Molly zapaliła papierosa. - Naczelnny chirurg założył jej stalową płytkę i kilka gwoździ. Kość była strzaskana. Prawdę mówiąc, o włos uniknęła amputacji.

- Matko Boska! - Rodrigues był wstrząśnięty. - Ale wszystko będzie dobrze?

- Czas pokaże, ale mówiąc szczerze, chyba zawsze już będzie chodzić o lasce. Przykro mi, że nic więcej nie mogę zrobić.

- To nie pani wina, pani doktor.

Zastał Sarah siedzącą na łóżku i pijącą herbatę.

- Widzę, że już wstałaś. - Zdobył się na wesołość, po czym usiadł na skraju łóżka.

- Co powiedziała lekarka?

- Lekarka?

- Daj spokój, Fernando, czytam w tobie jak w książce. Z nogą nie jest dobrze, prawda?

- O mało jej nie straciłaś.

- I co z niej zostało? - Pokiwała głową, jakby z zadowoleniem. - Krótko mówiąc, jestem kaleką. Dobrze, że nie rzuciłeś tych wszystkich młodych dziewczyn.

Zapalił papierosa i włożył jej w usta.

- Zapal sobie i zamknij się.

W oddali znów zawyły syreny.

- Jezu Chryste, czy oni nigdy nie przestaną?

Zakaszłała, a kiedy wziął od niej papierosa, uśmiechnęła się i szepnęła:

- Nie bądź głupi, Fernando. W końcu są po naszej stronie.

W marcu West pojawił się niespodziewanie w Farley Field, znów usiadł w pokoju Harry'ego Kelso i powiedział:

- Wyglądasz na zmęczonego, Harry. Za bardzo się przemęczasz. Mógłbym zrobić cię instruktorem.

- Nie, dzięki. To pewna śmierć.

- Słuchaj, dywizjon "Orzeł" naprawdę powstał i jest już pewne, że wkrótce sformują drugi i trzeci. Wszyscy Jankesi razem. Potrzebują cię, Harry. Masz najwięcej zestrzeleń.

- Nie gadaj głupstw. Prędeż Peterson albo ktoś inny.

- Dobrze wiesz, że nie zgłaszasz wszystkich strąceń. Jesteś z tego znany.

- Przecież już o tym rozmawialiśmy. Nie przeniosę się i koniec. W innych dywizjonach też są Amerykanie, którzy tego nie chcieli, tak samo w dywizjonach bombowych.

- Stopniowo przenoszą wszystkich. - West stwierdził, że go nie przekona, westchnął i potrząsnął głową. - I co ja mam z tobą zrobić?

- Zgubić - odparł Harry. - Gdzieś, gdzie nikt mnie nie znajdzie.

- W porządku - rzekł West. - Włosi skopali ofensywę na Egipt z terenu Libii. Hitler posłał tam nowego głównodowodzącego, generała Rommla i oddziały zwane Afrika Korps. Mamy w Egipcie dwa dywizjony hurricane'ów. Poślę cię tam.

- Piękne dzięki.

- Niestety, w ten sposób awans przejdzie ci koło nosa. Wystąpiłem z wnioskiem o nadanie ci stopnia majora.

- Wypchaj się tym awansem.

Max siedział na parapecie w gabinecie Gallanda i palił papierosa.

- Libia? Po co, do licha?

- Włosi sfuszerowali kampanię w Egipcie. Brytyjczycy dali im po nosie i to mocno. Fuhrer sformował Afrika Korps dowodzony przez Rommla.

- Rommel to wschodząca gwiazda.

- No cóż, jeśli zostaniesz u mnie, masz pewne szansę awansować na majora. Jeśli polecisz do Libii, na razie pozostaniesz kapitanem. Wybór należy do ciebie.

- Jaki wybór, Dolfo? Przecież pada śnieg. Czy mógłbym zrezygnować ze słońca i piasku?

- Głupi draniu! - mruknął Galland. - Niech więc tak będzie.

Bubi Hartmann przeglądał jakieś papiery w swoim gabinecie przy Prinz Albrechtstrasse, kiedy zajrzała do niego Trudi.

- Już jest.

- Wprowadź go.

Joel Rodrigues strząsnął śnieg z kapelusza.

- Herr Major - powiedział, kładąc na biurku kopertę - oto ostatni raport mojego brata.

- Niech pan zreferuje.

- Kobieta wróciła do pracy w Ministerstwie Wojny. Ma niesprawną nogę. Chodzi o lasce.

- Coś jeszcze?

- Trochę wiadomości o oddziałach przerzucanych do Egiptu, włącznie z dywizjonami Raf-u.
- Dobrze. Liczy się każda informacja. Może pan odejść.

Rodrigues wyszedł.

- Czy mam przepisać raport? - spytała.

- Tak.

- Kopię dać reichsfuhrerowi?

- To zbyt mało ważne dla reichsfuhrera. - Odwrócił się z uśmiechem. - Nie martw się. Jeszcze nadejdzie nasz dzień.

W zawieszeniu

1941-1943

Harry ujrzał teraz całkiem inny rodzaj wojny: pustynię, nieznośny skwar, burze piaskowe i dowodzone przez Rommla oddziały Afrika Korps, które niepowstrzymanie parły naprzód. Rommel miał taką charyzmę, że kiedy pewna poczytna angielska gazeta urządziła konkurs na najpopularniejszego generała, czytelnicy wybrali właśnie jego. Ministerstwo Wojny nie mogło tego znieść i posłało generała Montgomery'ego, aby objął dowodzenie nad oddziałami brytyjskimi, ale

także francuskimi, australijskimi i południowoafrykańskimi. Montgomery nie tylko odwrócił koleje pustynnej wojny, lecz wkrótce stał się równie sławny jak Rommel.

W całej Afryce Północnej toczyły się walki. Harry, jak zawsze latający na hurricane'ach, zestrzelił jeszcze szesnaście niemieckich i włoskich maszyn, po czym we wrześniu czterdziestego drugiego otrzymał swój trzeci Dfc oraz francuski Croix de Guerre za wsparcie powietrzne oddziałów Wolnych Francuzów [formacje utworzone po radiowym apelu gen. de Gaulle'a wygłoszonym z Londynu 16 kwietnia 1940 r. De Gaulle wzywał Francuzów do dalszej walki przeciw Niemcom i tworzenia oddziałów na terenie W. Brytanii oraz na francuskich terytoriach zamorskich. Walczyły one u boku aliantów w Afryce i przy zdobyciu Korsyki. Od 1942 r. zmieniły nazwę na Francję Walczącą. 1943 r. na czele ruchu stanął gen. de Gaulle.] w Bir Hacheim. Kilka dni później miała miejsce bitwa o El Alamein, która stała się punktem zwrotnym wojny w Afryce Północnej.

Max, latający na Me-109, walczył w tych samych bitwach. Zaliczał kolejne zestrzelenia, powiększając ich liczbę o dwanaście. Nie przychodziły mu one tak łatwo jak dawniej, gdyż większość pilotów była weteranami wojny o kanał La Manche i znała swój fach.

W lipcu 1941 niemiecka armia dokonała inwazji na Rosję w ramach operacji "Barbarossa". Luftwaffe pierwszego dnia zniszczyła połowę rosyjskich samolotów na lotniskach. Wszystko wydawało się możliwe, Afryka zeszła na dalszy plan, a Max i jego koledzy byli lekko zniecierpliwieni, uważając, że omija ich coś ważnego. To wrażenie pogłębił japoński atak na Pearl Harbor, który wciągnął Amerykę do konfliktu. Pustynna wojna zwolniła bieg. A potem, we wrześniu czterdziestego drugiego roku, tydzień przed El Alamein, Max po raz pierwszy był tak bliski śmierci.

Podczas ataku na składy paliwa w oazie Gila, na południu Sahary, z tylko jednym skrzydłowym - chłopakiem nazwiskiem Goertz - Max miał czyste niebo i dobry humor, gdy chwilowa utrata koncentracji spowolniła jego reakcję na widok trzech hurricane'ów nadlatujących od strony słońca. Goertz krzyknął ostrzegawczo, po czym jego samolot zmienił się w kulę ognia.

Max wykonał unik, lecz niedostatecznie szybki, i pociski z czterech działek Hispano hurricane'a poszarpały jego Me-109. Zanurkował, a tamci polecili za nim; dali się zaskoczyć, gdy nagle poszedł świecą w górę, wykręcił pętlę i strzelił: kolejna kula ognia.

Mimo wszystko nic mu to nie dało. Tracił moc i wysokość, silnik dymił, a stodziwiątka dygotała, trafiana kolejnymi pociskami z działek. Nie mając innego wyjścia, na trzech tysiącach trzystu metrach odsunął owiewkę, obrócił maszynę na plecy i wypadł, zabierając zestaw umożliwiający przetrwanie.

Na tysiącu sześciuset metrach otworzył spadochron. W dole była tylko pustynia i ciągnące się w nieskończoność wydmy. Nawet nie zdążył podać swojej pozycji przez radio. Oba hurricane'y minęły go na wysokości tysiąca metrów, machając skrzydłami, po czym odleciały. Przypadek zrządził, że w jednym z nich siedział jego brat.

W zestawie ratunkowym Max miał żelazne racje żywnościowe, manierkę z wodą, apteczkę,

kompas i kilka innych drobiazgów. Ponadto mauzera oraz pistolet maszynowy Mp-40 - słynny schmeisser. Po wylądowaniu napił się wody, ustalił kierunek marszu i ruszył w drogę.

Rzecz jasna, znalazł się w kiepskiej sytuacji. Było bardzo gorąco, chociaż nadchodził wieczór i zmrok. Wkrótce zrobiło się ciemno, zapadła noc, ale księżyc był w pełni i świecił jasno. Tylko to zimno. Mój Boże, jak zimno!

A potem nastąpił cud i przyszło ocalenie. Max usłyszał brzęk dzwoneczków, po czym na wydnię wyjechał rząd wielbłądów: trzy obładowane towarami, trzy niosące jeźdźców. Przybysze wyglądali jak typowi Beduini. Ich przywódca uniósł rękę i kolumna zatrzymała się. Podjechał naprzód, a Max wyjął z torby schmeissera i zarepetował. Drugi magazynek miał przyczepiony taśmą klejącą do pierwszego. Łagodnie rzecz ujmując, słabo znał arabski.

- Hej, effendi, która strona? - zawołał Beduin w swoim języku.

- Ich bin Deutsch - poinformował go Max.

- Niedobrze. - Beduin spróbował angielszczyzny. - Ty rozumieć angielski, effendi?

- Pewnie!

- Kim jesteś?

- Pilotem. Zestrzelonym. Zaprowadźcie mnie do niemieckich linii, a otrzymacie sowitą nagrodę.

Jeden z pozostałych zaszwargotał po arabsku, a przywódca krzyknął coś do niego.

- Co powiedział? - zapytał Max.

- Mówi, że powinniśmy cię zabić, effendi.

- Nie lubicie Niemców?

Beduin wzruszył ramionami.

- Nie stoimy po niczyjej stronie. Przybywacie tutaj, wy, Anglicy i Francuzi, i wojujecie na naszej ziemi. Chcielibyśmy, żebyście się stąd wynieśli.

- Zrobimy to w swoim czasie, ale teraz pozwól, że odpowiem twojemu przyjacielowi.

Max puścił serię ze schmeissera, wzbijając chmurę piasku.

- Robi wrażenie, effendi.

- Jak się nazywasz?

- Rashid.

- Mogę zrobić jeszcze większe.

Max sięgnął do torby i wyjął skórzany woreczek, po czym rzucił go Beduinowi.

- Dwadzieścia pięć złotych angielskich suwerenów. Nie zarobilibyście ich przez rok.

Rashid zważył je w dłoni.

- Masz rację.

Max pokazał mu drugą sakiewkę.

- Jeszcze dwadzieścia pięć, kiedy zaprowadzicie mnie do niemieckich okopów albo niemieckiego patrolu.

Rashid uśmiechnął się.

- Myślę, że to można załatwić. Jesteśmy bliżej nich, niż przypuszczasz. Najpierw musimy przepakować ładunek, żeby dać ci jednego wielbłąda. Po dwóch godzinach jazdy rozbijemy obóz.

- No to do dzieła.

Później, około drugiej nad ranem, leżąc przy ognisku z suszonego wielbłądziego łajna, Max dostrzegł w mroku jakiś ruch i sięgnął po schmeissera, albowiem cieniem okazał się jeden z poganiaczy wielbłądów. Tymczasem ktoś już zaszedł tamtego z tyłu - to Rashid zacisnął dłonią usta Beduina, tłumiąc jęk, a potem otarł nóż o jego szatę i dopiero wtedy pozwolił mu upaść.

- Wybacz, effendi. On był z plemienia Hakim. Tak mi odpłacił za to, że dałem mu pracę. Te psy nie mają honoru.

- Na to wygląda - przyznał sucho Max.

Rashid przegarnął żar, usiadł i wyjął daktylę oraz wielbłądzie mleko. Drugi Beduin dołączył do nich, nie zwracając najmniejszej uwagi na trupa.

- Honor - rzekł Rashid, jedząc. - Bez niego człowiek jest niczym. Tylko to się liczy. Tylko tak można się cenić.

- Masz rację - zgodził się Max. - Absolutną, cholerną rację. Nieważne, co myślą o tobie inni. Liczy się tylko to, co sam myślisz. Masz papierosa. Zatrzymaj całą paczkę.

Rashid i jego towarzysz zapalili, a Max wyjął z torby małą butelkę koniaku, otworzył ją i napił się.

- Zaproponowałbym wam, ale wiem, że muzułmanie nie piją.

Rashid sięgnął po butelkę.

- Noc jest zimna, effendi, a Allah litościwy.

Następnego dnia o szóstej rano napotkali niemiecki patrol na transporterach opancerzonych. Dowodzący nimi podporucznik był zachwycony.

- Miał pan szczęście, Herr Hauptmann. Co mamy zrobić z tymi arabskimi śmieciami, rozstrzelać?

- Jeśli pan to zrobi, sam pana zastrzelę - odparł uprzejmie Max. - I nie Herr Hauptmann. Proszę do mnie mówić baronie von Halder.

- Czarny Baron? Mój Boże! - wytrzeszczył oczy porucznik.

Max wyjął z torby sakiewkę z suwrenami, schmeissera oraz zapasowy magazynek.

- Prezent ode mnie - wyjaśnił Rashidowi.

- Obyś miał tuzin synów, effendi.

- Niepodobna. Nie powinienem tu być. Mój czas dawno minął.

- A więc życzę ci chwalebnej śmierci, przyjacielu.

Rashid dosiadł wielbłąda, skinął na drugiego Beduina i odjechali, z brzękiem dzwoneczków.

Max właśnie składał raport w biurze pułkownika mieszczącym się w szpitalu bazy w Galeila, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Erwin Rommel.

- Musi mi pan wybaczyć, Hardt - powiedział do pułkownika służb medycznych. - Zatrzymałem się tu na obiad i opowiedziano mi o zdumiewającej ucieczce barona von Haldera. - Wyciągnął rękę do Maxa. - Nie spotkaliśmy się, ale matka pana jest moją dobrą znajomą. Już kazałem wysłać do Berlina depeszę potwierdzającą pańskie ocalenie.

Max stanął na baczność.

- To dla mnie zaszczyt, panie feldmarszałku.

- Nie, to pan zaszczyca nas swoją obecnością - uśmiechnął się Rommel. - No nic, muszę was opuścić. Wkrótce decydująca bitwa. El Alamein, a potem Kair. Panowie... - zsalutował i wyszedł.

- Co za człowiek! - rzekł z podziwem pułkownik Hardt. - Czy moglibyśmy przegrać?

Jednak w bitwie pod El Alamein niemieckie wojska pancerne zostały rozbite, a na dodatek

bezlitośnie zepchnięte w tył, a w listopadzie brytyjskie i amerykańskie oddziały wylądowały w Algierii i Maroku. To już nie miało znaczenia dla Maxa. Awansowany na majora, został wysłany na front wschodni.

Natomiast Harry z powodu braku pilotów został przeniesiony do dywizjonu operującego na bombowcach Halifax i latał nad Morzem Śródziemnym do Włoch. W styczniu czterdziestego trzeciego miał atakować wojskowe instalacje w Taranto, ale wyjątkowo kiepska pogoda rozproszyła eskadrę. Przedzierając się przez mgłę, napotkał włoski krążownik "Orsini", z własnej inicjatywy zmienił plany i zaatakował z pułapu trzystu trzydziestu metrów, uzyskując dwa bezpośrednie trafienia, po których okręt przełamał się na pół i zatonął.

Na poważnie uszkodzonej maszynie, z jednym silnikiem i dwoma zabitymi członkami załogi, dociągnął halifaxem do bazy na wybrzeżu Egiptu, gdzie musiał lądować awaryjnie. Natychmiast nagrodzono go Dso i awansem na majora.

Należał mu się odpoczynek, toteż na pewien czas przydzielono go do sztabu w Kairze, skąd później wrócił na hurricane'y i zobaczył odwrót Afriki Korps, którego kulminacyjnym punktem była kapitulacja stu pięćdziesięciu tysięcy Niemców i Włochów w maju czterdziestego trzeciego roku w Tunezji. Tylko Rommel zdołał ująć z niewielkimi siłami.

W Rosji sprawy wyglądały nie lepiej. Z początku seria zwycięstw, a potem nadeszła piekielnie ciężka zima i zaczęły się porażki. Chociaż niemiecka armia ugrzęzła w śniegach, rosyjscy piloci nie byli równorzędnymi przeciwnikami dla lotników Luftwaffe, zahartowanych w walkach nad Hiszpanią, Polską i w bitwie o Anglię. Lista zestrzeleń Maxa na froncie wschodnim szybko się wydłużała, aż osiągnął sześćdziesiąt strąceń i otrzymał Miecze do Krzyża Rycerskiego, szczególnie za loty z ostrzeliwanego lotniska pod Stalingradem, skąd odwołano go na tydzień przed kapitulacją von Paulusa. Była to największa w dziejach klęska niemieckiej armii, która straciła tam trzysta tysięcy żołnierzy.

W amerykańskich i angielskich siłach powietrznych pilot po wylataniu przepisowej liczby godzin musiał odpocząć. W Luftwaffe nie było takiego przepisu. Latało się bez końca. Na szczęście dla Maxa Goring zdecydował, że baron zrobił już swoje, czego dowodem były Miecze, więc w maju odwołał go do Berlina.

Matka czekała na niego w apartamencie hotelu "Adlon". Wyglądała doskonale, nie postarzała się ani o dzień, natomiast przeraził ją wygląd syna.

- Max, wyglądasz okropnie.

- Ty też byś tak wyglądała, Mutti. Rosja to piekło. Okropne miejsce. Nie mam pojęcia, czego fuhrer tam szuka.

Usłyszeli pukanie do drzwi i weszła pokojówka baronowej, Rosa Stein.

- Wiadomość, baronowo. Generał Galland zaprasza panią na kolację o siódmej.

Galland został awansowany w listopadzie czterdziestego drugiego roku, w wieku trzydziestu jeden lat i był najmłodszym generałem w niemieckich siłach zbrojnych; dowodził teraz wszystkimi pułkami myśliwców.

- A więc spotkamy się z Dolfo? - rzekł Max. - To dobrze.

- Przyda ci się porządna kolacja. Zabawmy się i zapomnijmy o naszym ukochanym fuhrerze oraz jego przeklętej nazistowskiej partii.

- Naprawdę się zmieniłaś - zauważył Max. - Był czas, kiedy uważałaś, że on odnowi Niemcy.

- Ten czas dawno minął, Max. Znasz ten stary dowcip o tym, kto jest dyrektorem domu wariatów? Pewnie znasz.

- Nie mów tego głośno, Mutti. Chodźmy poszukać Dolfo.

- Rosa wyglądała na zdenerwowaną - stwierdził, kiedy schodzili po schodach.

- Ma powody. Jej mąż, Heini, jest Żydem. Nie posłali go do jednego z tych ich przeklętych obozów, ponieważ jest elektronicznym geniuszem i pracuje tutaj, w berlińskiej fabryce, jak wielu innych Żydów, ale ostatnio... - wzruszyła ramionami. - Ss robi wiele hałasu.

- Czy to nigdy się nie skończy? - spytał ze znużeniem Max.

- Tylko zwycięstwem.

- Mutti, jeśli w to wierzysz, to uwierzysz we wszystko.

- Nie mówiłam czym zwycięstwem, Max.

Weszli do baru, równie wspaniałego jak przed wojną i zaraz podbiegł do nich szef sali restauracyjnej.

- Baronowo.

- Dziękuję, Paul. Pamiętasz mojego syna.

- Oczywiście. To dla mnie zaszczyt, baronie. Dzwonił generał Galland. Spóźni się pół godziny i przesyła wyrazy ubolewania.

- Dziękuję. Koktajle na szampanie proszę.

- Natychmiast.

Usiedli w kącie na kanapie i Max poczęstował ją papierosem.

- Masz jakieś wieści o Harrym? - zapytał.

- Nie najnowsze. W styczniu zatopił włoski krążownik i otrzymał Dso. Powiadomił mnie o tym Goring, ale przecież pisałam ci już...

- Zastanawiam się, co u niego. Bardzo chciałbym go zobaczyć.

Przybiegł kelner.

- Standartenfuhrer Hartmann składa wyrazy szacunku. Czy mógłby podejść się przywitać?

Elsa odwróciła głowę i zobaczyła Hartmanna przy barze.

- Pułkownik. Robi karierę.

Skłoniła głowę, więc Hartmann podszedł do nich.

- Baronowa, jak zawsze, cudowna - rzekł, po czym ze szczerym entuzjazmem powiedział do Maxa: - Wyglądasz na starszego o sto lat, przyjacielu, ale nic w tym dziwnego. Nie wiem, czego gratulować ci najpierw: wydostania się ze Stalingradu czy otrzymania Mieczy.

Max uściśnął mu dłoń i przywołał kelnera.

- Kieliszek szampana dla pułkownika. Czekamy na Dolfo. A ty?

- Reichsfuhrer jest na górze z ambasadorem Szwecji. Zabijam czas. - Zapalił papierosa. - Czy mogę również pogratulować ci wspaniałego wyczynu brata, który zatopił "Orsiniego"?

- Wspaniałego? Przecież ponieśliśmy straty.

- Oczywiście. Ale lotnik może podziwiać umiejętności innego pilota, prawda? O ile wiem, twój brat latał na hurricane'ach nad pustynią. Może się tam spotkaliście, Max.

- Możliwe.

Max zapalił następnego papierosa. Czuł się nieswojo.

- Niestety, ponieważ Afrika Korps skapitulowały w zeszłym tygodniu, obawiam się, że moje wiadomości o twoim bracie są bardzo skąpe.

- Powiedziałbym, że i tak są bardzo szczegółowe.

- Dobry wywiad, to wszystko, Max.

W drzwiach pojawił się Himmler, toteż Hartmann wstał, ucałował dłoń Elsy, po czym uklonił się Maxowi.

- Pan wzywa, więc jako dobry pies muszę lecieć.

Podszedł do reichsfuhrera i obaj wyszli. Po chwili zjawił się Galland. Max wstał i uścisnął go.

- Dobrze się spisałeś, Dolfo - rzekł, dotykając Krzyża Rycerskiego. - Z Brylantami.

- Ja dobrze się spisałem? - Galland odsunął go na odległość wyciągniętych ramion. - Wyglądasz strasznie. Potrzebny ci dłuższy przydział do sztabu, dobre jedzenie, młode kobiety. Tak, pułkowniku, tego ci trzeba.

- Pułkowniku? - zapytała Elsa.

- Na początek podpułkowniku - odrzekł Galland. - Dostał ten awans, kiedy był w Rosji, ale go podarł.

- Latanie to moje życie, Dolfo. Nie potrafię latać biurkiem.

- W porządku, tylko na jakiś czas, a potem znów będziesz latać. Francja, jeśli zechcesz, kanał, jak za dawnych czasów, tylko jako oberstleutnant, stary przyjacielu, czy ci się to podoba, czy nie. Dowodzę teraz lotnictwem myśliwskim naszego kraju i moje słowo jest rozkazem.

- Dobrze - wtrąciła Elsa. - Sprawa załatwiona. Zjemy coś?

- A co z Harrym? - spytał Max po drodze do restauracji. - Bubi mówi, że wciąż jest dowódcą dywizjonu. To odpowiednik majora.

- A jaki jest następny stopień? - spytała baronowa, gdy szef sali prowadził ich do stolika.

- Dowódca skrzydła, czyli podpułkownik - wyjaśnił Galland. - A więc był tu Bubi?

- Siedzi za tobą, w rogu, z Himmlerem - poinformowała go Elsa. - W Afryce Północnej fiasko, a w Rosji sprawy nie wyglądają najlepiej. Czy nadal zwyciężamy, Dolfo?

- Mamy jeszcze kilka asów w rękawie. Na przykład nową broń... Te rakiety, które powinny przyprawić Anglików o dotkliwy ból głowy. Ponadto, mamy samolot Me-262. Wielokalibrowe działka, rakiety. Mógłby zdziesiątkować bombowce przeciwnika, ale fuhrer chce przystosować go do nalotów bombowych i użyć w nowym ataku na Anglię.

- Znow ten fuhrer - mruknęła Elsa.

- Dość, Mutti - zmiłgował ją Max. - Jedzmy.

Siedzący w rogu Himmler patrzył na nich.

- Strasznie arogancki młodzieniec z tego Gallanda. Nie powinni byli go awansować.

- Dobry pilot - odparł Bubi.

- Mamy mnóstwo pilotów - zauważył Himmler. - Powinien starannie dobierać sobie towarzystwo.

- Herr Reichsfuhrer?

- Mówię o baronowej, mój drogi pułkowniku. Zadaje się z bardzo nieodpowiednimi ludźmi, nieprzyjaźnie nastawionymi do partii narodowosocjalistycznej.

Nachylił się i ściszył głos.

- Można by to nazwać spiskiem generałów. Nawet ty nie znasz szczegółów, Hartmann. Tacy generałowie jak Steiff, Wagner, von Hase. Nawet Rommel, narodowy bohater mimo porażki w Afryce. Uderzę, kiedy przyjdzie odpowiednia chwila. Żadnych plutonów egzekucyjnych. To nie dla zdrajców. Wszyscy zasługują na sznur, zgadzasz się, Hartmann?

- Oczywiście, Herr Reichsfuhrer - wykrztusił Hartmann.

- Dziwne, ale baronowa przyjaźni się z nimi wszystkimi. Cóż. - Himmler poprawił pince-nez. - Teraz jedzmy.

Tego samego wieczoru w Londynie Sarah Dixon pokuśtykała po Westbourne Grove, mocno opierając się na lasce, po czym weszła do włoskiej restauracyjki, w której po raz pierwszy jadła kolację z Rodriguesem. Siedział przy stoliku w rogu, czytając gazetę. Wstał na powitanie i czule pocałował ją w usta.

- Jak się masz?

- Mogło być gorzej.

Usiadła. Już zdążył zamówić butelkę czerwonego wina, więc napełnił jej kieliszek.

- Noga?

- Wypróbuję nowy środek przeciwbólowy. Niewiele pomaga. Już nie będzie lepiej. No nic, mam dla ciebie dość zaskakujące wieści. Przenoszą mnie.

- Dokąd?

- Special Operation Executive na Baker Street.

- Mój Boże. To dopiero numer. Soe kieruje wszystkimi tajnymi operacjami w Europie, zrzutami agentów i wszystkim, prawda?

- Na to wygląda. Rozumiesz, nie obejmuję żadnego ważnego stanowiska. Szef wezwał mnie i powiedział, że jakaś starsza referentka w dziale administracji na Baker Street umarła na atak serca. Czeka mnie taka sama nudna biurowa praca, tylko lepiej płatna. Zaczynam w poniedziałek.

- Co rodzi nieograniczone możliwości.

- No cóż, miło byłoby dla odmiany zdobyć jakieś ważne informacje, po wszystkich tych bzdurach z kilku ostatnich lat. - Ścisnęła jego ramię. - Jestem taka podekscytowana, Fernando.

- Nic dziwnego.

- Pójdiesz potem do mnie?

- Oczywiście.

Pochylił się i pocałował ją namiętnie. Łączące ich uczucie było prawdziwe.

- To dobrze - powiedziała. - Zatem zamówmy coś. Jestem głodna jak wilk.

Trudi Braun weszła do gabinetu Hartmanna, przynosząc ostatnie wiadomości z Londynu dostarczone przez Joela Rodriguesa. Bubi przeczytał je i podał sekretarce.

- Rzuć okiem.

Tak też zrobiła.

- Ciekawe.

- Znacznie więcej. To może być istotny przełom. Soe przysparza nam sporo kłopotów we Francji, ponieważ zrzuca agentów na spadochronach lub przewozi ich lysanderami i organizuje francuski ruch oporu. Daj mi akta.

- Znam je na pamięć, pułkowniku, tak samo jak nasz największy tamtejszy problem. Brygadier Dougal Munro, szef sekcji D, powszechnie zwanej Wydziałem Brudnych Sztuczek.

- Właśnie. Czy Joel Rodrigues już poszedł?

- Nie. Czeka w przedpokoju. Chce się pan z nim widzieć?

- Ty się tym zajmij. Powiedz mu, że od tej chwili podwajam pensję jemu i jego bratu.

- Bardzo dobrze.

- Tej całej Dixon nie chodzi o pieniądze. A szkoda. Mimo to musimy ją przekonać, jak ważne są wszelkie informacje o Soe, szczególnie te dotyczące Munro.

Wyszła, a Hartmann wstał, podszedł do okna i zapalił papierosa. Nieograniczone możliwości. Interesujące.

W sierpniu zajęto Sycylię, a we wrześniu wojska alianckie wylądowały we Włoszech. W Kairze Harry Kelso, znów odwołany ze swego dywizjonu, zgłosił się do oficera do spraw transportu w hotelu "Shepherd".

- Leci pan do Anglii - usłyszał. - Dakotą na Malte, tam tankowanie i Gibraltar. Rzecz w tym, iż zwykle prowadzi ją dwóch pilotów, tymczasem jeden jest podobno chory, czy coś. Niezdolny do służby. Nie zechciałby pan być drugim pilotem?

- Z przyjemnością - odparł Harry.

W sali odpraw na lotnisku spotkał pilota, podporucznika Johnsona, który natychmiast go rozpoznał.

- Mój Boże, to pan zatopił "Orsiniego"! To dopiero była piękna robota!

Harry pominął tę uwagę milczeniem.

- Przewiduje pan jakieś problemy?

- Luftwaffe trzyma się swojej części półwyspu. Kaszka z mlekiem, naprawdę, a ponadto polecimy w nocy. Dwóch sierżantów załogi i sześciu pasażerów.

- Ktoś ważny?

- Och, jakiś brygadier czy dwóch. Wszyscy siedzą w mesie. Można tam dostać kanapki i herbatę. Proponuję, żeby pan do nich dołączył. Startujemy za dwie godziny.

Harry, dźwigając torby, wszedł do mesy. Zobaczył podpułkownika, dwóch majorów i dwóch ludzi w cywilnych ubraniach. Wszyscy pili i śmiali się. Odwrócili się, kiedy wszedł, zobaczyli lotniczą czapkę polową, jasnoblond włosy, opaloną i wyrazistą twarz oraz wszystkie te medale na koszuli khaki. Zapadła cisza.

- Kelso - przedstawił się Harry.

- Wielki Boże - powiedział pułkownik - to pan, mój drogi, zatopił "Orsiniego".

Wstał, żeby uścisnąć mu dłoń, więc Harry postawił torby na podłodze. Usłyszał inny głos.

- A więc tu jesteś. To w tej torbie spoczywa słynny Tarquin?

Harry odwrócił się i ujrzał Dougala Munro. Usiedli w kącie i pili whisky z wodą sodową.

- Czyżby za tym spotkaniem kryło się coś szczególnego, brygadierze?

- A wyglądam na takiego?

- Szczerze mówiąc, tak.

- No cóż, mylisz się. Od naszego ostatniego spotkania okryłeś się chwałą. Tak samo jak twój brat.

- Max? Co z nim?

- W ostatniej chwili wydostał się ze Stalingradu. Zestrzelił Bóg wie ile rosyjskich samolotów. Niech sobie przypomnę... Krzyż Rycerski, Dębowe Liście i Miecze do Krzyża Żelaznego. Goring sściągął go do sztabu w Berlinie. I awansował na podpułkownika.

- To dobrze.

- Co szykują dla ciebie w Anglii?

- Nie mam pojęcia.

- Wiesz, że Teddy jest teraz wicemarszałkiem sił powietrznych?

- Nie wiedziałem. - Harry był szczerze uradowany. - To wspaniały człowiek. Zasługuje na to. A co u Jacka Cartera?

- Pilnuje fortu w Londynie.

- A pana siostrzenica, miła pani doktor?

- Molly? Haruje w szpitalu. Zrobił się z niej całkiem dobry chirurg. Spodobałeś się jej, Harry.

- Nie przyniosłbym Molly szczęścia, brygadierze. Nikomu. To cud, że w ogóle tu jestem, ale to nie potrwa wiecznie. - Wstał. - Pójdę wziąć prysznic przed odlotem.

Kiedy Johnson wystartował, księżyc stał wysoko na niebie. Harry siedział w fotelu drugiego pilota. Wzniesli się na trzy tysiące pięćset metrów i wyrównali.

- Chce pan przejąć stery? - zapytał Johnson.

- To nie jest konieczne - odparł Harry. - Będę w kabinie, gdybyś mnie potrzebował.

Dołączył do Munro siedzącego w tylnej kabinie. Dwaj sierżanci z kwatermistrzostwa podawali napoje i kanapki. Harry poprosił o herbatę i szkocką.

- Nie pijesz kawy? - spytał Munro.

- To długa wojna, sir, więc zdążyłem się przyzwyczaić do herbaty. Ponadto wy, Brytyjczycy, parzycie najgorszą kawę na świecie.

- Obrzydliwa ciecz - zgodził się pogodnie Munro i też wziął whisky od jednego z sierżantów. - W porządku, Harry. Pamiętaj, że mówiłem ci, żebyś nie zwracał się do mnie "sir"?

- Tak - zawahał się Harry. - Sir.

- Nieważne. Właśnie rozmawiałem z Eisenhowerem. Padło twoje nazwisko.

- Naprawdę?

- Twój dziadek to senator Abe Kelso? Prezydent Roosevelt mianował go kimś w rodzaju pełnomocnika do kontaktów z zagranicą.

- To dobrze.

- Oczywiście, prezydent wie o twoim istnieniu. Eisenhower był zdziwiony, że nie dołączyłeś do swoich rodaków.

- Do których?

- Pozwól, że wyjaśnię, na wypadek gdybyś nie znał wszystkich faktów. Trzy dywizjony "Orłów" w Raf-ie złożone z amerykańskich ochotników. We wrześniu czterdziestego drugiego utworzono z nich Czwartą Grupę Pościgową wchodzącą w skład Ósmej Armii Powietrznej Stanów Zjednoczonych.

- Wiem o tym.

- No cóż, jest wielu Jankesów, nawet w lotnictwie bombowym, którzy nie przenieśli się do Jankesów, tak samo jak ty. Nikt ich do tego nie zmuszał. Zakładano, że zrobią to dobrowolnie, tymczasem tacy jak ty, którzy odsłużyli co najmniej dwa lata w Raf-ie, woleli pozostać.

- Szczególnie, że tych, którzy się przenieśli, często odsyłano do Stanów jako instruktorów - dodał Harry. - Któżby tego chciał?

- Jednak to zupełnie zrozumiałe. W amerykańskich siłach powietrznych roi się od żółtodziobów. Oni nic nie umieją. Ty zestrzełeś dwadzieścia osiem samolotów w Finlandii, co najmniej dwadzieścia pięć podczas bitwy o Anglię, Bóg wie ile w Afryce Północnej i zatopiłeś "Orsiniego".

- Niech się wypchają. Gdzie byli, kiedy toczyliśmy bitwę o Anglię? Roosevelt, Departament

Wojny, mój dziadek... Wszyscy bawili się w jakieś gierki, a Wielka Brytania walczyła samotnie. - Potrzęsnał głową. - Nie ma co owijać w bawełnę, brygadierze. Taka jest prawda.

- W porządku. - Munro skinął na sierżanta. - Jeszcze dwie szkockie. Posłuchaj, Harry. Wiemy wszystko o tobie i twoich nie zgłaszanych zestrzeleniach, czasem odstępowanych twoim kolegom. Prawdopodobnie masz najwięcej zestrzeleń ze wszystkich alianckich lotników, chociaż opinia publiczna nic o tym nie wie.

- Dzięki Bogu.

- Potrzebują cię, Harry. Eisenhower był zakłopotany, że nie chciałeś się przenieść. Razem z Montym wracają niebawem do Wielkiej Brytanii przygotowywać inwazję na Europę. Uważają, że wypiąłeś się na nich.

- Niech... - zaczął Harry i w tej samej chwili dakota zadrżała pod gradem pocisków z działek.

Rozległy się okrzyki przestachu, Harry poczuł, że maszyna wali się w dół, skoczył więc do kabiny pilotów. Przednia szyba była strzaskana, a Johnson miał krew na twarzy i szeroko otwarte usta. Bezwładnie zwisał w pasach. Harry opadł na fotel drugiego pilota i złapał stery.

W drzwiach za nim pojawił się Munro.

- Co się dzieje?

Obok śmignął czarny kształt. Harry natychmiast rozpoznał nocny dwusilnikowy myśliwiec Junkers 88S, obwieszony dziwnymi antenami; maszynę, która zadawała ciężkie straty alianckim bombowcom podczas nocnych nalotów.

- Junkers - mruknął.

- Wielki Boże, nie mamy czym się bronić! - zawołał Munro.

- Może tak, a może nie. Zobaczymy.

Widząc, że junkers zawraca, nadlatuje szybko, za szybko, tak że Niemiec musiał wyrwać w górę, aby uniknąć zderzenia, Harry ściągnął dakotę w dół. Właśnie na to liczył. Sprowadził samolot na dwieście metrów. Junkers znów nadleciał i wystrzelił z działek. Dakota zatrzęsła się w powietrzu, junkers przeleciał obok, a u boku Munro pojawił się jeden z sierżantów zaopatrzenia.

- Z tyłu czterech zabitych.

Harry nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

- Dobra, ty draniu, zaraz cię załatwimy.

Leciał równo i prosto, sto sześćdziesiąt metrów nad ziemią. Junkers pojawił się ponownie, żeby go wykończyć, dakota znów zadygotała pod gradem pocisków, a wtedy Harry wykonał jedną ze

swoich ulubionych sztuczek - jeden z pierwszych manewrów, jakich Rocky nauczył jego i Maxa. Opuścił klapy i dakota niemal zatrzymała się w powietrzu, zmuszając wroga do wyrwania świecą w górę... przy czym niemiecki samolot stracił sterowność i runął do morza.

Harry wspiął się na tysiąc metrów, wyrównał i nawiązał łączność z kontrolą lotów na Malcie. Po chwili u jego boku ponownie pojawił się Munro.

- Z tyłu jatka, łącznie pięciu zabitych.

Harry ruchem głowy wskazał Johnsona, który bezwładnie zwisał z fotela.

- On też. To razem sześciu.

- Nie uwierzyłbym, gdybym tego nie widział. Załatwiłeś go nie uzbrojonym samolotem.

- Po prostu znam swój fach, brygadierze.

- Nie - odparł Munro. - To coś więcej.

- Malta za pół godziny - rzekł Harry Kelso i lekko ściągnął stery.

Następnego dnia polecili liberatorem na Gibraltar, zatankowali i kontynuowali podróż do Anglii.

- Musimy porozmawiać - powiedział Munro gdzieś nad Zatoką Biskajską.

- O czym?

- O amerykańskich dywizjonach. Jak już mówiłem, nikt nie zmuszał Amerykanów, żeby się przenosili, przynajmniej z początku, ale kiedy stało się oczywiste, że wielu z nich tego nie robi, Departament Wojny zawarł umowę z Raf-em. Do września zeszłego roku wszyscy Amerykanie musieli się przenieść. Równorzędne stopnie, amerykańskie mundury. Jeden przywilej: prawo noszenia skrzydełek Raf-u na prawej piersi.

- Jak miło - mruknął Harry.

- Z jednym wyjątkiem, chociaż obejmującym głównie pilotów bombowców. Każdy, kto rozpoczął kolejne trzydzieści lotów, na przykład na lancasterze z załogą Raf-u, mógł dokończyć turę i dopiero potem się przenieść, otrzymać równorzędny stopień i amerykański mundur.

Harry zastanowił się.

- Chce mi pan wmówić, że nikt się z tego nie wykręcił?

- Kilku chłopaków zdołało, ale Amerykanie wciąż ich wyłapują.

- Niech mnie łapią.
- Mógłbyś postawić ich na przegranej pozycji.
- Latając dla pana na lysanderach?

- Latając na różnych maszynach, Harry. Mój dywizjon to oddział do zadań specjalnych, pamiętasz? Obowiązują w nim inne zasady. Nie ma trzydziestokrotnych tur, tylko sześćdziesięciokrotne. Zgodnie z przepisami musieliby zezwolić ci dokończyć turę.

- W amerykańskim mundurze?
- Jeśli cię złapią.
- Zobaczymy, czy potrafią i co na to powie Teddy West.
- Och, sądzę, że możesz się zdziwić - rzekł Munro, wyciągnął się w fotelu i zasnął.

W Anglii Harry dostał dwutygodniowy urlop i wrócił do małego domku, który kupił niedaleko Farley Field. Trzymał się z daleka od dywizjonu. I tak byli tam sami nowi chłopcy, a wiedział, że jego obecność krępowałaby dowódcę jednostki.

Chodził po nadmorskiej plaży, puszczał kaczki na wodzie i wspominał walki powietrzne nad kanałem La Manche oraz skok na spadochronie do morza w pobliżu Folkestone. Kiedy był głodny, jadał w "Gospodzie przemytników" w pobliżu wioski - nigdy w mundurze, zawsze w swetrze i spodniach.

Czasami zachodzili tam piloci z dywizjonu "Jastrzębi", chłopcy o świeżych twarzach, młodzieńczo hałaśliwi i aroganccy. Prowadząca pub Jessie Arnold była starą znajomą Harry'ego z czasów bitwy o Anglię i pamiętała wszystko: nieustanne pojedynki powietrzne na niebie, śmierć.

Któregoś dnia Harry siedział na końcu baru, jedząc zapiekankę z mięsa i ziemniaków, kiedy weszło sześciu młodych pilotów. Podała im piwo, a później wróciła do Harry'ego.

- Mam dla ciebie coś ekstra. Amerykański burbon - szepnęła.
- Dobry Boże, już zapomniałem, jak smakuje.

Napełniła jego szklaneczkę.

- Co tam masz, Jessie, coś specjalnego? Szkoda marnować to na cywilów - odezwał się pełnym urazy głosem młody pilot nazwiskiem Green.

Rozgniewała się i już otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale Harry położył dłoń na jej ramieniu.

- Zostaw go, Jess.

Wypił burbon i wyszedł.

Green roześmiał się.

- Ten cholernik powinien służyć w wojsku jak wszyscy.

- Panie Green - zwróciła się do niego Jessy. - Czy ktoś już nazwał pana kutasem? Ponieważ bezsprzecznie jest pan nim. Przed chwilą popełnił pan największy błąd w swoim życiu i pewnego dnia pan to zrozumie, ale teraz zostawmy ten temat. Jeżeli jeszcze raz zrobi pan coś takiego, zabronię panu wstępu do tego pubu.

Green spojrzał na nią ze zdumieniem, a ona odwróciła się i weszła do kuchni.

Pewnego zimnego deszczowego dnia we wrześniu Harry rzucał kamyki do morza, kiedy usłyszał warkot nadjeżdżającego samochodu. Odwrócił się i zobaczył terenowy samochód Raf-u. Zza kierownicy wyskoczył sierżant, rozłożył parasol i otworzył tylne drzwi. Wsiadł Teddy West w eleganckim mundurze wicemarszałka sił powietrznych.

- Harry! - pomachał ręką. - Miło cię widzieć.

Harry pospieszył do niego i uściśnął mu dłoń.

- Cieszę się, że pana widzę.

- Dougal Munro mówił, że nie wyglądasz najlepiej. Wydaje mi się, że wróciłeś do formy.

- Morskie powietrze, posiłki w gospodzie, dużo snu.

- Dobrze. Chodźmy zobaczyć twój domek. Mamy wiele do omówienia.

- Robota? - zapytał Harry, sadowiąc się obok niego na tylnym siedzeniu.

- Tak, chyba można to tak nazwać.

Kierowca zaparkował wóz przed stodołą, obok dwuosobowego sportowego Mg. West wziął teczkę z przedniego siedzenia i poszedł za Harrym do domku. Harry dołożył kilka drewna do kominka.

- Mogę pana czymś poczęstować?

- Pomyślałem, że zjemy coś w miejscowym pubie, ale najpierw interesy.

- Tak jest.

- Amerykanie wciąż chcieliby cię dostać, Harry. Próbowałem zgubić twoje akta. Oczywiście,

oficjalnie nadal jesteś Finem, ale to nie potrwa wiecznie. Mam propozycję.

- Jaką?

- W Tempsford mamy Sto Trzydziesty Ósmy Dywizjon do Zadań Specjalnych. Lepiej znany jako Księżycowy Dywizjon. Zrzucają agentów we Francji, przewożą ludzi i tak dalej.

- Chciałby pan mnie do niego włączyć?

- Niezupełnie. Tempsford jest powiązane z różnymi rodzajami zadań specjalnych. Na przykład z Tangmere, o czym wiesz z czasów bitwy o Anglię.

- Munro też się tym interesuje.

- Owszem, ma w Kornwalii tajną bazę nazywaną Cold Harbour. Prowadzi stamtąd rozmaite operacje. Nie tylko na lysanderach, ale na fieseler storchach, a nawet na junkersie 88S z oznaczeniami Luftwaffe. Przydałbyś się, ale nie przydzielę cię tam. Zaczekajmy, aż twoi rodacy cię wytropią, a wtedy zobaczymy.

- A zatem jakie będą moje obowiązki?

- Latanie nocami do Francji, jeśli wydam rozkaz. Oblatywanie zdobycznych samolotów wroga. Mnóstwo innych ciekawych zajęć. Odpowiada ci to?

- Brzmi interesująco.

- Będziesz kimś w rodzaju mojego adiutanta, ale musisz mieć odpowiednio wysoką rangę, bo w pewnych sytuacjach może ci się to przydać.

Otworzył torbę i wyjął nowiutki mundur.

- Wybacz mi, Harry. Poszedłem do tego twojego krawca na Saville Row. Zapisał go na twój rachunek. Zauważ, że jesteś teraz podpułkownikiem lotnictwa. W ten sposób zrównałeś się stopniem z bratem. Z tego, co słyszę, on też jest podpułkownikiem.

- Dobry Boże - westchnął Harry Kelso.

- Krawiec przyszył wszystkie baretki odznaczeń oraz tego pięknego amerykańskiego orła z dwiema flagami na ramieniu.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Po prostu bądź grzecznym chłopcem i włoż go, a potem pójdziemy na lunch.

Było jeszcze wcześniej, kiedy weszli do pubu. Jessy Arnold, która kładła drwa do kominka przy barze, otworzyła usta ze zdziwienia.

- O rany, Harry Kelso. Zostałeś podpułkownikiem.

Impulsywnie pocałowała go w policzek.

- To wicemarszałek lotnictwa West, Jessy. Przyszliśmy spróbować twojej zapiekanki. W tych ciężkich czasach nie liczymy na szkocką.

- Och, coś się znajdzie - uśmiechnęła się. - Przynajmniej dla was dwóch, panowie.

Usiedli na końcu baru, a kiedy Jessy wracała do nich z butelką, do pubu wpadł Green i trzech inni piloci. Green zobaczył whisky, sięgnął przez bar i próbował odebrać jej butelkę.

- Daj spokój, Jessy, znów chowasz ją dla cywilów?

- Młody człowieku! - zawołał West. - Zachowuj się jak należy. W końcu powinieneś być oficerem i dżentelmenem.

Green odwrócił się i natychmiast zapomniał o gniewie, rozdziawiwszy usta na widok oficera tak wysokiej rangi. West wstał, a w drzwiach pojawił się dowódca dywizjonu.

- Aha, jeśli należycie do dywizjonu "Jastrzębi", to pan jest Varley - powiedział West.

- Tak jest - zdołał wykrztusić Varley.

- Wicemarszałek West. Jest ze mną podpułkownik Kelso, który dowodził "Jastrzębiami" podczas bitwy o Anglię.

W zapierającej dech w piersiach ciszy wszyscy spojrzeli na Harry'ego.

- Dobry Boże - powiedział Varley. - Jest pan w tym dywizjonie legendą... Legendą.

- Zatem wypijmy za to, wszyscy. - Harry zwrócił się do Jessy. - Daj, co tam masz, kochanie, tylko nie dawaj burbona panu Greenowi.

Końcowa gra

1943-1944

W październiku Harry pracował już dla Westa, wizytując dywizjony rozsiane po kraju i oceniając ich gotowość do tego, co - jak wszyscy wiedzieli - miało wydarzyć się w roku czterdziestym czwartym: do lądowania w Europie. Było to nudne, lecz konieczne zajęcie. Max wykonywał podobne zadania dla Gallanda, głównie we Francji, chociaż spędzał sporo czasu w Berlinie. Podobnie jak Harry denerwował się trochę, ale Galland nakazał mu cierpliwość.

Natomiast Elsa cierpliwość traciła. Na początku roku gestapo zgarnęło Żydów ożenionych z Niemkami, ludzi ważnych dla funkcjonowania hitlerowskiej maszyny wojennej. Nie zabrano wszystkich, lecz pod koniec października żołnierze Ss z agentami gestapo wkroczyli do laboratoriów, biur oraz fabryk i aresztowali pozostałych. Przetrzymano ich w budynku administracyjnym wspólnoty żydowskiej przy Rosenstrasse.

Potem zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Przeszło trzysta protestujących przeciwko temu niemieckich kobiet zebrało się przed główną kwaterą gestapo przy Prinz Albrechtstrasse, a na ich czele stała baronowa Elsa von Halder obok pokojówki, Rosy Stein, której mąż Heini również został aresztowany. Himmler, spoglądający na to przez okno razem z Bubim Hartmannem, nie był rozbawiony.

- Porządne niemieckie kobiety robią z siebie takie widowisko, w dodatku popierane przez członkinię jednego z naszych najstarszych rodów. Haniebne. A jeszcze gorsze jest to, że w ogóle wyszły za Żydów.

Bubi Hartmann nie miał nic przeciwko Żydom. Prawdę mówiąc, starannie ukrywał fakt, że jego prababka ze strony matki była Żydówką i przechrztą, jak wówczas mówiono. Na szczęście było to tak dawno, że nie wyszło na jaw.

- Oczywiście, przemysłowcy oprotestowali aresztowanie tych ludzi - powiedział. - Wszyscy są wysoko wykwalifikowani i bardzo przydatni dla Rzeszy. O ile pamiętam, kilka miesięcy temu mówił pan fuhrerowi o ich użyteczności, Herr Reichsfuhrer.

Himmler posępnie skinął głową.

- Masz rację. Wprawdzie to bydło, ale skoro są przydatni... - wzruszył ramionami.

- Ogromna szkoda, że minister propagandy nie chce o tym słyszeć - ciągnął gładko Hartmann. - Tych aresztowań dokonano na jego rozkaz.

- Ten dureń Goebbels. Zawsze wymyśli coś głupiego.

- Fuhrer nie będzie zachwycony. Czy mogę zasugerować, Herr Reichsfuhrer, że powinien mu pan o tym wspomnieć? Jak zawsze okazując zdrowy rozsądek. W ten sposób dopieklby pan Goebbelsowi.

- Masz rację, Hartmann, a poza tym to dobry pretekst, aby zobaczyć się z fuhrerem. Muszę omówić z nim inne sprawy.

- Oczywiście, Herr Reichsfuhrer. Hartmann odwrócił się, aby wyjść.

- Jeszcze jedno - zatrzymał go Himmler. - Obecność tutaj baronowej von Halder to kolejny gwóźdź do jej trumny. Mówiłem ci, że zadaje się z niewłaściwymi ludźmi. To, że jej syn jest jednym z naszych największych bohaterów wojennych, nic jej nie pomoże.

Bubiemu zaschło w ustach.

- Rozumiem.

- Jak wiesz, mam specjalną grupę zajmującą się takimi zdrajcami, tymi generałami. To nie twoja sprawa, pułkowniku, ale muszę ci o czymś przypomnieć. Chociaż oddajesz mi niezwykle cenne usługi, nie ma ludzi niezastąpionych. Wiem, że zaliczasz barona von Haldera do swoich znajomych, ale doradzam ostrożność.

- Jestem bardzo wdzięczny, Herr Reichsfuhrer.

Bubi wyszedł, wrócił do swego gabinetu, przeszedł obok Trudi, usiadł za biurkiem, wyjął z szuflady butelkę koniaku i nalał sobie sporą porcję.

Weszła Trudi.

- Kłopoty?

Zreferował jej przebieg rozmowy.

- Jak pan sądzi, co się stanie?

- Ten mały idiota Goebbels będzie musiał odwołać rozkaz.

- Tak pan sądzi?

- Zdecydowanie. Himmler z przyjemnością zrobi z niego głupka, szczególnie w oczach fuhrera.

- A baronowa?

Wzruszył ramionami.

- Zawsze była uparta, a von Halderowie od wieków przywykli robić wszystko po swojemu.

- Teraz są inne czasy.

- Spróbuj jej to powiedzieć.

- Przecież Max von Halder jest pańskim przyjacielem.

- Cóż więc chcesz, żebym zrobił, położył głowę pod topór? - zapytał gniewnie. - Idź już, wracaj do pracy.

Potrząsnęła głową.

- Jest pan dobrym człowiekiem, Bubi, wykonującym paskudną robotę.

Tego samego wieczoru w Białym Domu w Waszyngtonie limuzyna Abego Kelso podjechała pod zachodnią bramę. Agenci Secret Service znali go oczywiście, ale zgodnie z przepisami sprawdzili jego przepustkę.

- Prezydent oczekuje pana, senatorze - powiedział jeden z nich. - Zaprowadzę pana.

W Gabinetce Owalnym panował półmrok, świeciła się tylko lampka na zarzuconym papierami biurku. Powietrze było gęste od dymu, a Roosevelt siedział za biurkiem w fotelu na kółkach, jak zwykle paląc papierosa w długiej lufce.

- Aa, jesteś, Abe.

- Panie prezydencie.

- Jak sądzisz, jak nam idzie na wojnie?

- Raz lepiej, raz gorzej. We Włoszech kiepsko.

- Ten esesman Skorzeny i jego spadochroniarze wycięli nam niezły numer, porywając Mussoliniego ze szczytu góry, gdzie go więziono. Udowodnili, że Hitler wciąż ma długie ręce.

- Churchill powiedział Izbie Gmin, że była to najbardziej zuchwała akcja komandosów podczas tej wojny.

- Winston zawsze hojnie szafuje słowami, ale miał rację.

- Co mogę dla pana zrobić, panie prezydencie?

- No cóż, Abe, wprawdzie to ściśle tajne, ale alianci wylądują w styczniu pod Anzio, na południe od Rzymu.

- Niemieckie oddziały we Włoszech należą do najlepszych, a Kesselring odnosił dotychczas prawie same sukcesy. Może być ciężko - rzekł Abe.

- Spodziewam się tego. Eisenhower i Montgomery polecą w styczniu do Londynu, aby przygotować lądowanie w Europie. Chcę, żebyś również tam pojechał, Abe, jako mój osobisty obserwator. Mówię ci o tym teraz, żebyś miał czas zrobić porządki na biurku.

- Jak zawsze, jestem na pana rozkazy, panie prezydencie.

- Dobrze i pamiętaj, że nadałem ci tytuł ambasadora nadzwyczajnego, żebyś miał autorytet. Wiem, że nie pełnisz żadnej oficjalnej funkcji, ale to daje ci bezwzględne pierwszeństwo w czasie podróży zagranicznych i nie tylko.

Roosevelt podał mu kopertę.

- W środku znajdziesz list polecający z moim podpisem. To powinno zrobić wrażenie nawet na Eisenhowerze.

Abe włożył kopertę do kieszeni.

- Coś jeszcze, panie prezydencie?

- Raczej nie. A co u twoich wnuków? Jak się mają?

- Hmm, ten, o którym nie wspominałyśmy, jest już podpułkownikiem Luftwaffe. Ze stertą medali.

- A drugi? Ma chyba na imię Harry?

- Również podpułkownik z mnóstwem odznaczeń.

Roosevelt zmarszczył brwi.

- Wciąż jest w Raf-ie? Abe, już od jakiegoś czasu bierzemy udział w tej wojnie. Nie uważasz, że powinien być w naszych siłach powietrznych?

- Wielu ludzi mu to mówiło, ale on najwyraźniej ma inne zdanie.

- To chyba powinien je zmienić, Abe. Porozmawiaj z nim, kiedy tam będziesz. Powiedz mu, że tak sobie życzy prezydent.

- Jak pan każe, panie prezydencie.

- Wspaniale. Teraz przepchnij mnie do salonu, to zrobię ci jeden z moich specjalnych martini, zanim pójdziesz.

W Berlinie Goebbels rozkazał wypuścić Żydów z mieszanych małżeństw, tak więc Rosa odzyskała Heiniego. Kiedy Max, który przyjechał do Berlina na odprawę sztabową, odwiedził Elbę, matka była rozradowana.

- Czy to nie cudowne? Pokazaliśmy temu nazistowskiemu pokurczowi.

- Chwilowo, Mutti, tylko chwilowo. Musisz uważać.

- Nie boję się tego wieprza.

Zadzwoił telefon, odebrała i podała słuchawkę synowi.

- Do ciebie.

- Max, tu Bubi. Wiem, że masz zjeść obiad z Gallandem. Możesz poświęcić mi pięć minut?

- Oczywiście.

Max odłożył słuchawkę i odwrócił się do matki.

- Bubi. Jest w barze i chce zamienić ze mną parę słów.

- Dołączę do was, kiedy się przebiorę - odparła i poszła do sąsiedniego pokoju, gdzie czekała Rosa.

Max usiadł w rogu i spróbował koktajlu na szampanie, który zamówił Bubi.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Max, jesteś moim przyjacielem. Lataliśmy razem we Francji, jeszcze przed Dunkierką. Co najmniej raz uratowałeś mi życie.

- Tak?

- Dlatego składam w twoje ręce moją karierę, a zapewne także życie.

Max zmarszczył brwi.

- O co chodzi?

- O twoją matkę. Jej uczestnictwo w tym żydowskim proteście zostało bardzo źle odebrane w pewnych kręgach.

- Mówisz o reichsführerze?

- Nie tylko. Nie znam wszystkich szczegółów, ale toczy się dochodzenie przeciwko niezadowolonym oficerom, ludziom, którzy nie uroniliby łzy, gdyby fuhrera spotkał jakiś wypadek. Mówiono mi, że już były dwa nieudane zamachy bombowe.

- Co to ma wspólnego z moją matką?

- Przestaje w złym towarzystwie. Słuchaj, Max, jestem pewien, że nie jest w to osobiście zamieszana, ale jej przyjaciele są. Może pogrzyść się razem z nimi.

- W porządku, Bubi. Rozumiem i jestem wdzięczny - powiedział Max, widząc wzburzenie Bubięgo.

- Oddaj mi przysługę. Jeśli spróbujesz ją ostrzec, nie ujawniaj, że wiadomość pochodzi ode mnie. Kiedy baronowa mówi, mówi bardzo głośno, a jeśli chcesz dać mi w zęby, zrób to szybko, ponieważ muszę już iść.

Max uśmiechnął się.

- Masz całkowitą rację, Bubi, i nadal jestem wdzięczny.

- Zobaczymy się wkrótce - obiecał Bubi i odszedł.

Max zamówił kolejny kieliszek szampana i zamyślił się. Nie było sensu spierać się z matką. Będzie musiał działać subtelniej.

Chwilę później przyszedł Galland i usiadł.

- Czy twoja matka dołączy do nas?

- Tak. - Max skinął na kelnera. - Jednak najpierw chcę z tobą chwilę pogadać. Tyle biurokracji, te wszystkie inspekcje we Francji. Jestem znudzony, Dolfo.

- Słuchaj, ty łobuzie, dobrze wiem, że latasz sobie nad francuskim wybrzeżem. W messerschmitcie sto dziewięć, a w ubiegłym tygodniu junkersem osiemdziesiąt osiem S. Bez załogi, tylko z jednym pilotem, od którego przejąłeś stery.

- Muszę trzymać rękę na pulsie.

- Ja też - uśmiechnął się Galland. - Cierpliwości, Max. Po świętach, powiedzmy w styczniu, znów przydzielę cię na myśliwce nocne czy dzienne, co zechcesz.

- Trzymam cię za słowo.

Max zerwał się na nogi, gdy podeszła do nich matka.

Później, na balkonie ich apartamentu, z pootwieranymi oknami wpuszczającymi chłodne nocne powietrze, zapalił papierosa i spojrzał w niebo.

- Nie ma dziś Raf-u - zauważyła Elsa, dołączając do niego.

- Widziałem raport meteo dla Anglii. Lancastery nie mogłyby wylądować po powrocie. Gęsta mgła.

- Dzięki Bogu. Dobrze mieć choć jedną spokojną noc. Ostatnio było niedobrze. Wracasz wkrótce do Francji?

- Rano - odparł i zawahał się. - Mutti, wiele się mówi o spiskach wyższych oficerów przeciwko fuhrerowi.

- Miło byłoby, gdyby któryś się udał.

- Nie rób głupstw, Mutti. Uważaj, z kim się przyjaźnisz, i proszę, więcej nie urządź takich przedstawień jak z tym żydowskim protestem. Ściągniesz na siebie nieszczęście.

- Jestem Elsa von Halder i robię, co chcę.

- Co za arogancja - odparł gniewnie. - Nie wiesz, co to za dranie? Załatwię cię bez mrugnięcia okiem.

- Nie mów głupstw - burknęła, lecz w jej oczach pojawił się dziwny błysk.

- Kiedy aresztują jednego, aresztują wszystkich - rzekł Max. - To oznacza służbę w posiadłości, dobrą, starą Rosę i Czarnego Barona, bohatera Luftwaffe. Wszyscy pójdziemy do piekła przez twoją głupotę.

- Max, przesadzasz.

Wziął czapkę.

- Przenocuję w bazie lotniczej. Startuję wczesnym rankiem.

Poszedł do drzwi.

- Max! - zawołała.

Ale Max wyszedł.

`pp

Sarah Dixon uznała, że praca w Soe przy Baker Street jest znacznie ciekawsza niż w Ministerstwie Wojny. Po pierwsze, chociaż pracowała w administracji, szybko się dowiedziała, kto jest kim. Na przykład Munro, Jack Carter i inni. Pewnego dnia pojawił się West z Harrym Kelso.

- Ten podpułkownik - powiedziała Sarah do Madge Smith w kantine - mówi z amerykańskim akcentem, sama słyszałam, tymczasem ma na mundurze naszywkę Fina.

- Och, to Kelso, Harry Kelso. Prawdziwy as. To on zatopił ten włoski krążownik "Orsini" i masz rację, to Amerykanin.

- To dlaczego nie służy w lotnictwie amerykańskim?

- Nie wiem. Jest adiutantem wicemarszałka Westa i pracuje jako kurier dla Munro.

- Kurier?

- Specjalne misje. Loty z Tangmere i Croydon albo z Cold Harbour w Kornwalii.

- Interesujące - mruknęła Sarah.

Jeszcze ciekawsze były wydarzenia wtorkowego popołudnia.

- Bądź taka dobra i zanieś te akta do Nelly w sekretariacie - poprosiła ją Madge Smith. - Niech zrobi pięć kopii. Znajdziesz ją na dole.

Po drodze na parter Sarah szybko przejrzała akta. Znalazła list przewodni do jakiegoś departamentu Ministerstwa Wojny, mapę Cold Harbour, dane dotyczące stacjonujących tam maszyn i dwóch rodzajów ich lotów: zrzuty z lysandera nad Francją i loty z podlondyńskiej bazy Croydon do Cold Harbour oraz listę pilotów. Był na niej Harry Kelso.

Nie wierząc własnym oczom, zeszła do sekretariatu, gdzie zastała Nelly, siwowłosą kobietę w średnim wieku, sortującą kopie.

- Potrzebują tego jak najszybciej, Nelly. Pięć kopii.

- Boże, co za ranek. Padam z nóg. Nie miałam nawet kiedy pójść, wiesz gdzie.

- Idź teraz. Zastąpię cię tutaj.

- Jesteś cudowna.

Wybiegła, a Sarah szybko skopiowała akta, zebrała kopię, złożyła i schowała do wewnętrznej kieszeni żakietu. Potem zaczęła sporządzać kolejne pięć egzemplarzy. Już kończyła, kiedy wróciła Nelly.

- Prawie gotowe.

- Dzięki, skorzystałam z okazji i zapaliłam sobie.

Z kopiarki wyszła ostatnia kartka, więc Nelly pospinała papiery.

- Masz, moja droga, i przekaz ukłony Madge.

Cztery dni później Joel Rodrigues dostarczył raport Trudi, która natychmiast zaniósła go Hartmannowi. Bubi przeczytał go z wypiekami na twarzy, a potem podał jej.

- Trafiliśmy na złotą żyłę. Przeczytaj to.

Szybko przejrzała raport.

- Wielkie nieba, ale sukces. Czy zauważył pan nazwisko jednego z pilotów?

- Harry Kelso.

- Powie pan o tym baronowi?

- Jasne, że nie, ale powiem Himmlerowi, choćby po to, żeby mu pokazać, jak się staramy. Przekaz Rodriguesowi, żeby przesłał wiadomość bratu w Londynie. Niech pani Dixon dostarcza nam wszelkie możliwe informacje.

- Oczywiście - odparła Trudi i wyszła.

Max leciał junkersem 88S z Berlina do nabrzeżnej bazy Fermanville. Junkersy zazwyczaj miały trzyosobową załogę - pilota, nawigatora i tylnego strzelca - ale przy takich przelotach był tylko pilot. Max nie powinien tego robić, lecz podobnie jak Galland nie mógł oprzeć się pokusie latania.

O drugiej w nocy w rozproszonych chmurach i w blasku księżyca przeciął linię wybrzeża w pobliżu Le Touquet. Widoczność była dobra. Wezwał bazę nocnych myśliwców w Fermanville i podał swoją pozycję.

- Kto mówi? - zatrzeszczał w słuchawkach głos kontrolera lotów.

- Pułkownik von Halder. Przywożę wam nową maszynę.

- Ma pan załogę?

- Nie.

- Co za szkoda, baronie, bo mam dla pana cel.

- Podajcie mi jego pozycję, a rzucę okiem.

- Sześć-siedem stopni na północ. Cel w odległości pięciu kilometrów.

Junkers wypadł z chmur i Max zobaczył ofiarę nad sobą - bombowiec Lancaster ciągnący smugę dymu z jednego silnika na prawym skrzydle.

- Mam kontakt wzrokowy - zgłosił i zmniejszył odległość.

Maszyna była poważnie uszkodzona, tak poważnie, że wieżyczka tylnego strzelca praktycznie zniknęła. Max zszedł sto sześćdziesiąt czy dwieście metrów w chmurę i znalazł się za uszkodzonym bombowcem, nieco niżej. Zbliżając się, nadal schodził lekko w dół. Ju-88s miał parę dwudziestomilimetrowych działek zamontowanych tak, że mogły strzelać pod kątem w górę. Seria rozerwie brzuch bombowca.

Spojrzał, oczami duszy zobaczył zniszczenia spowodowane kulami, zimny wiatr świszczący przez przestrzeliny, zabitych i rannych. I z jakiegoś powodu, niezrozumiałego nawet dla siebie, pomyślał: nie. Dosyć. Przeciął kurs maszynie, w świetle księżyca wyraźnie widząc tamtego pilota. Uniósł dłoń w pozdrowieniu i odleciał.

Wylądował w Fermanville, podkołował do baraku odpraw i wysiadł, gdy przybiegł personel naziemny. Stał tam z papierosem w dłoni oficer wywiadu, major Schultz.

- Co się stało, baronie?

- Lancaster, ciągnął smugę dymu. Zauważyłem go, ale wpadł w chmury. Bez nawigatora i obsługi zestawu Lichtensteina nie mogłem go śledzić.

- Życzę więcej szczęścia następnym razem.

Max poszedł w kierunku mesy oficerskiej, chrząszcząc butami po żwirze, przygnębiony, znużony i zaniepokojony. Miał pewny strzał i puścił ofiarę. Dlaczego? Jeszcze nigdy czegoś takiego nie zrobił, zawsze myślał tylko o trafieniu.

- Co się z tobą dzieje, stary? - zapytał się cicho po angielsku.

W mesie nie było nikogo oprócz dowódcy bazy, pułkownika Haupta. Znali się od dawna. Pułkownik pił kawę z wódką.

- Znowu tu jesteście, Max. Co się działo na górze?

Max podał mu to samo wyjaśnienie, po czym zamówił kawę i sznapsa.

- Niewiele mogłeś zrobić bez nawigatora i tylnego strzelca.

- Tak, ten Tommy miał szczęście. Mam nadzieję, że dociągnie do lotniska.

- Po bombardowaniu Rzeszy?

- No dobrze, rozumiem, o co ci chodzi.

- Galland nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, że znów leciałeś sam.

- Oczywiście powiesz mu o tym.

- Muszę.

Max wzruszył ramionami.

- Ma dobre plecy. Widziałem się z nim w Berlinie. W styczniu obiecał znów dać mnie na myśliwce.

Haupt zmarszczył brwi.

- Max, zrobiłeś już dość, a nawet więcej niż dość. Do licha, człowieku, to cud...

Urwał, a Max uśmiechnął się.

- Cud, że jeszcze żyję? To prawda. Niewielu zostało z dawnych dni. Ktoś mi mówił, że tylko dwadzieścia procent tych, którzy latali podczas bitwy o Anglię. - Znowu się uśmiechnął. - Ty i ja należymy do nich, a Dolfo jest trzeci. Oczywiście, jest też mój brat, ale o nim lepiej nie wspominać.

Zamówił wódkę.

- Dlaczego wciąż chcesz walczyć, Max? - spytał Haupt. - Z twoimi osiągnięciami i stopniem mógłbyś dostać stały przydział do sztabu.

- Robię to, co umiem. Latanie to moje życie. Mój ojciec latał na bristolach w Royal Flying Corps. Po wojnie kupił taką maszynę i trzymał ją na lotnisku pod Bostonem. Kiedy mieliśmy z Harrym po dziesięć lat, wsadził nas do tylnej kabiny i zabrał na przejażdżkę. Potem nic już nie było takie samo. Gdy mieliśmy po szesnaście lat i wróciłem na jakiś czas do Stanów, inny dawny pilot Rfc nauczył nas latać. Od początku byliśmy dobrzy, pułkowniku, cholernie dobrzy. - Wzruszył ramionami. - Później nic już się dla mnie nie liczyło.

Haupt skinął głową.

- Rozumiem, ale czy wiesz, co jest najciekawsze w tej opowieści, Max? Fakt, że wasz ojciec, as zachodniego frontu w tysiąc dziewięćset siedemnaście, w wiele lat po wojnie latał tą samą maszyną. Dlaczego?

- Daj spokój, doktorze Freud - mruknął Max. - Wiem, o co ci chodzi. Najlepsze chwile w jego życiu, z których nie chciał zrezygnować.

- Na to wygląda. Na twoim miejscu, zrezygnowałbym, póki jeszcze możesz.

Max zastanowił się.

- Może masz rację. No nic, jutro muszę być w Abbeville. Powinienem się trochę przespać. - Przystanął przy drzwiach. - Powiedz mi, czy czasem bywasz zmęczony? Tak naprawdę zmęczony? Jakbyś miał już wszystkiego dość?

- Tak, czasami wszyscy się tak czujemy. To długa wojna - rzekł ponuro Haupt. - No już, idź spać, Max.

Drzwi zamknęły się. Haupt siedział z posępnym wyrazem twarzy, a po chwili powiedział do barmana:

- Nalej mi koniaku. Dobrze mi zrobi.

Kiedy Munro po raz pierwszy poprosił Harry'ego, żeby przewiózł jego i Cartera lysanderem do Cold Harbour, mieli ciężki lot. Zbliżał się Nowy Rok, niebo przesłaniały gęste chmury, a nad Kornwalią padał deszcz ze śniegiem. Zeszli na trzysta metrów i ujrzeli w dole kornwalijskie wybrzeże, wcięcie Cold Harbour i przystań z przycumowanym do niej statkiem.

- Czy to nie jest łódź torpedowa Kriegsmarine? - zapytał Harry, zataczając krąg.

- Zgadza się - odparł wesoło Munro. - Tajna operacja, która nie powinna cię interesować. Tutaj każdy pilnuje swojego nosa, Harry. Zobaczysz.

- A co z mieszkańcami wioski? - dopytywał się Harry, schodząc do lądowania.

- Zostali stąd przeniesieni, stary - rzekł Carter. - Chociaż nadal używamy pubu "Pod Wisielcem". Tam stołuje się personel bazy. Prowadzi go dla nas Julie Legrande. Jest również gospodynią we dworze. Och, masz teraz niezły widok. Grancester Abbey.

Szary kamień, kilka wieżyczek, bardzo imponująca budowla z otoczonym murem, schodzącym aż do rzeki ogrodem. Jezioro.

- Ładnie - stwierdził Harry.

- Tam trzymamy Joego. Tak nazywamy agentów, których zrzucamy nad Francją. Zajmuje się nimi Julie. Sama też była kiedyś w tym interesie.

Harry skupił się na lądowaniu; przeleciał nad dworem i jeziorem, po czym opadł na trawiasty pas startowy z wiatrowskazem na końcu.

Były tu dwa hangary i kilka baraków. Opodal stały samoloty, Ju-88S i fieseler storch, oba z insygniami Luftwaffe. Pracujący przy nich mechanicy nosili niemieckie kombinezony. Harry wyłączył silnik, otworzył drzwi, po czym wysiadł razem z Carterem i Munro. Siąpił deszcz.

- Poznałeś storcha? - zapytał Munro. - To ten, którego dla nas sprawdzałeś. Zaspokoję twoją ciekawość, chłopcze. W naszej pracy czasami dobrze jest użyć nieprzyjacielskich maszyn.

- A okręt?

- Do operacji przy brzegach Francji, ale to nie twój interes.

Nadjechał dżip prowadzony przez kobietę po trzydziestce. Nosiła kożuszek i włosy upięte w kok. Miała spokojną i dość miłą twarz.

- Jesteś, brygadierze - uśmiechnęła się. - Jack, jak się masz?

- Julie Legrande, Harry Kelso. Adiutant wicemarszałka Westa, więc okaż mu odrobinę szacunku. Dzięki swym szczególnym talentom może się nam czasem przydać.

- Och, reputacja pułkownika poprzedza go.

- Dość gadania. Pojedziemy dżipem - zarządził Munro. Odwrócił się do Harry'ego. - Ty wracaj do Croydon. Chciałem tylko, żebyś zobaczył to miejsce. Jack i ja zostaniemy tu przez kilka dni. W kantynie daj mu kanapkę albo coś innego, Julie, i odeślij.

Kantyna była urządzona po spartańsku: kilka stołów i krzeseł, bar i kuchnia.

- Kawy? - zapytała Julie.

- Nie, herbatę.

W środku było pusto. Harry usiadł i czekał. Po chwili Julie pojawiła się z dzbankiem herbaty, talerzykami oraz kanapkami z serem. Kiedy jadł, zapaliła papierosa i obserwowała go.

- Wielki Harry Kelso. Ten włoski krążownik to było coś.

- Miałem szczęście. Niewiele latałem na bombowcach. Jestem pilotem myśliwskim.

- Co to oznacza? - zapytała. - Kiedy ktoś podaje się za artystę, pisarza lub aktora... - Zmarszczyła brwi i podrapała się po głowie. - Co też chciałam powiedzieć? Nagle się pogubiłam.

- Chwyciłem sens. Nie uważa pani latania na myśliwcach za sztukę.

- Rozumiem, że można to robić doskonale. Pan i pana brat są tego najlepszym przykładem. - Skinęła głową. - Tak, Munro mówił mi o was obu. Uważa, że ze względu na charakter naszej pracy powinnam być dobrze poinformowana.

- A więc można to robić doskonale. I co dalej?

- I co potem? To tylko przejściowe zajęcie. Wojny wybuchają i toczą się, ale zawsze kiedyś się kończą, prawda?

- Francuska filozofia w deszczowy kornwalijski ranek? Chyba nie jestem w nastroju. - Skończył ostatnią kanapkę i wstał. - Czas ruszać.

- Odprowadzę pana.

- Zna pani siostrzenicę Munro, Molly? Jest lekarką - spytał, kiedy szli do samolotu.

- Tak, w nagłych wypadkach przylatuje tutaj lysanderem z Londynu.

- Jakich nagłych wypadkach?

- Och, czasem ludzie przybywają tu w kiepskim stanie.

- Rozumiem. - Uścisnął jej dłoń. - Miło było panią poznać.

- Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Wsiadł do lysandera, zamknął drzwi, włączył silnik i odkołował. Kiedy wznosił się ku gęstym chmurom, myślał o tym, co powiedziała. Miała rację. Co będzie robił, kiedy to się skończy? Nagle z zaskoczeniem uświadomił sobie, że w głębi duszy nigdy nie sądził, że to kiedykolwiek się skończy.

Eisenhower i Montgomery dotarli do Londynu w styczniu. Ike zatrzymał się przy Grosvenor Square i czasami bywał w hotelu "Connaught", w którym z honorami przez ponad dwa lata zamieszkiwał generał de Gaulle.

W tym czasie Luftwaffe znów zaczęła bombardować Londyn. Nazywano to małą wojną. Naloty nie były tak groźne jak poprzednio, ale też nieprzyjemne i przeprowadzane znacznie sprawniej. Operujące z Chartres i Rennes samoloty naprowadzające Ju-88S kierowały bombowce i wskazywały cel. Na jednej z tych maszyn latał Max, który w końcu zdołał namówić Gallanda, żeby przywrócił go do czynnej służby.

Był koniec lutego, kiedy Munro pojawił się w Hayes Lodge, tymczasowej kwaterze Eisenhowera w Londynie. Zastał generała w bibliotece, nad kawą i paczkami.

- Przysiądź się, brygadierze.

- Tylko herbatę, jeśli można, generale.

- Weź sobie filiżankę z kredensu. Ten raport o przygotowaniach Rommla na wypadek naszej inwazji był naprawdę znakomity. Wiem, że kosztował wiele wysiłków i ucierpieli przy tym pańscy ludzie z Cold Harbour.

- Ryzyko zawodowe.

- No nic, gdy tylko zintensyfikujemy przygotowania do dnia D, przeniosę się do Southwick.

Southwick House na północ od Portsmouth został przejęty przez Royal Navy Navigation School i wybrany na kwaterę główną operacji "Overlord" - lądowania we Francji. Ike i Montgomery mieli tam swoje przyczepy mieszkalne, chociaż Montgomery zamieszkiwał w pobliskim Broomfield House.

- Doszedłem do wniosku - ciągnął Ike - że podróże do Londynu i z powrotem zajmą mi zbyt wiele czasu. Czy w Southwick jest lotnisko?

- Polowe. Małe, ale dla lysandera wystarczy. Można dolecieć na nie z Croydon w pół godziny.

- Idealnie. Mogliby zająć się tym wasi ludzie od zadań specjalnych.

- Oczywiście, generale. Jeszcze coś?

- Na razie nie. Naszą największą tajemnicą będą punkty lądowania. Gdyby Rommel zdobył te informacje, byłibyśmy skończeni, ponieważ mógłby skoncentrować tam wszystkie swoje siły.

- Mało prawdopodobne, żeby się dowiedział, generale. W czterdziestym zwinęliśmy wszystkich agentów Abwehry działających w Anglii. Większość z nich przeszła na naszą stronę i dostarcza Rzeszy fałszywe informacje.

- Niech tak zostanie. - Ike uściśnął mu dłoń. - A teraz, jeśli pan wybaczy, mam mnóstwo pracy.

Harry znów leciał z Munro tą samą trasą, do Cold Harbour. Tym razem pogoda była jeszcze gorsza, pułap chmur niższy, a kiedy zszedł na sto sześćdziesiąt metrów, zauważył, że okręt torpedowy zniknął. Zamiast niego na przystani stała przycumowana łódź ratunkowa Royal National Lifeboat. Kiedy wylądowali, nigdzie nie dostrzegł junkersa, chociaż storch nadal stał.

- Wygląda na to, że zaszły tu pewne zmiany - stwierdził, otwierając drzwi.

- Już ci mówiłem, że to nie twój interes, Harry - odparł Munro, gdy Julie podjeżdżała dżipem.

- Nie ma sprawy.

- Niedługo możesz być potrzebny do ważnego zadania kurierskiego. Może nawet zaczniesz latać z Londynu do Southwick House.

- Naprawdę?

- Owszem. Pamiętaj, stopień nie ma znaczenia w dywizjonie do zadań specjalnych. Pilot to pilot.

- Reprimenda przyjęta, brygadierze.

- Wracaj do Croydon. Przyślę po ciebie, kiedy będziesz mi potrzebny. Dzień dobry, Julie. Wezmę dżipa. Zajmij się pułkownikiem.

Usiadł za kierownicą i odjechał.

W kantine, pijąc herbatę i paląc papierosa, Harry zagadnął Julie:

- Co się tu stało? Munro nie chce mi powiedzieć.

- Straciliśmy w akcji junkersa i okręt - odparła. - Tylko tyle mogę zdradzić.

- Czy wojna nie jest piekłem? - Harry wstał. - Lepiej już pójdę.

- Jest gęsta mgła. Czy nie powinien pan zaczekać?

- Umiem chodzić po wodzie, Julie. Nie wiedziała pani tego?

Wsiadł do lysandera, włączył silnik, poderwał maszynę i zniknął w chmurach.

Julie stała przed kantiną przez jakiś czas, dopiero po dłuższej chwili odwróciła się i odeszła.

razem był piękny słoneczny ranek i krańcowo inny nastrój.

- Czas ruszać, Abe - oznajmił Roosevelt. - Za tydzień, nie później. Winston zgodził się z tobą spotkać. Wysłuchaj, co ma do powiedzenia, wysłuchaj ich wszystkich. Ike'a, Montgomery'ego, Pattona i pozostałych. Potrzebuję twojej opinii, rzetelnej i obiektywnej, na temat tego, jak oni wszyscy widzą lądowanie w Europie.

- Zrobię, co będę mógł, panie prezydencie.

Roosevelt włożył do lufki następnego papierosa.

- Bombardowania Londynu, ciągle naloty. Chyba nigdy się to nie skończy.

- Na to wygląda. Ministerstwo Wojny twierdzi, że nigdy nie nadlatuje więcej niż sześćdziesiąt do siedemdziesięciu samolotów - rzekł Abe. - Ogromne zniszczenia i wielu zabitych, ale nie na taką skalę jak dawniej.

- Może i tak, ale raport wywiadu sugeruje, że dobrzy londyńczycy zaczynają się niecierpliwić. Chcą zobaczyć, że coś robimy. Należy pamiętać, że Brytyjczycy prowadzą wojnę od trzydziestego dziewiątego. Jeszcze jedno: ten hitlerowski program zbrojeń, rakiety, które konstruuja Niemcy. Przygotuj mi sprawozdanie na ten temat. Chcę wiedzieć, co mówią ludzie, ale potrzebne mi twoje zdanie.

Abe uśmiechnął się.

- Innymi słowy, co naprawdę myślą tamtejsi politycy oraz inni oficjele.

- Dokładnie tak - odparł prezydent, odwzajemniając uśmiech. - W drogę, Abe. Wiem, że mogę na tobie polegać.

Wieczorem tego samego dnia, podróżując nad wybrzeżem Nowej Anglii latającą fortecą, by dołączyć do sił powietrznych w Wielkiej Brytanii, Abe opatulił się kocami otrzymanymi od załogi i przyjął kawę od młodego sierżanta - strzelca pokładowego.

Rozmyślał nad ostatnią rozmową z Rooseveltem. Kilkakrotnie powtórzył ją w myślach. Musi dowiedzieć się jak najwięcej - to oczywiste. W każdym razie perspektywa spotkania kilku najważniejszych osobistości alianckich sił zbrojnych cieszyła go, ale także trochę przerażała.

Kilka godzin później jeden z pilotów, podporucznik Miller, przyszedł z termosem kawy i usiadł obok niego. Napełnił dwie filiżanki i dał mu jedną.

- Przepraszam za warunki, senatorze. Pewnie nie przywykł pan do niewygód w wojskowych samolotach.

- Ja może nie, ale wszystko w rodzinie. Mój syn był pilotem myśliwskim podczas pierwszej wojny - odparł Abe niemal machinalnie, po czym zawahał się i pominął Maxa w następnym zdaniu. - A mój wnuk lata teraz na myśliwcach w RAF-ie.

- W Raf-ie? Nie powinien latać u nas?

- Owszem, powinien, skoro o tym mowa - przyznał Abe. - Ale to bardzo uparty chłopak.

Miller zaśmiał się.

- Piloci myśliwców już tacy są. Zabawni faceci. Wie pan, jak nazywają pilotów bombowych? Szoferami ciężarówek.

- Prawdę mówiąc, przez jakiś czas latał i na bombowcach, na Środkowym Wschodzie. Zatopił włoski krążownik.

Miller nie zwrócił uwagi na tę informację - kiwnął głową i wstał.

- Niezły wynik. No nic, muszę wracać do sterów, senatorze. Zobaczymy się później.

Abe siedział pogrążony w rozmyślaniach, podczas gdy latająca forteca z warkotem unosiła go przez noc. Potem owinał się kocem i zasnął.

W Berlinie Max zgłosił się do głównej kwatery Luftwaffe, aby spotkać się z Gallandem. Zastał go w kantine, przy kanapkach i piwie. Generał podniósł głowę, szczerze uradowany.

- Miło cię widzieć, Max.

- Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać. - Max usiadł. - Teraz, kiedy naloty na Londyn odbywają się regularnie, chciałbym wrócić na stodziewiątki. Junkers to dobra maszyna, ale nie dla mnie.

- No cóż, piętnaście razy byłeś na nim nad Londynem i wróciłeś cały.

- Nie o to chodzi. Proszę, Dolfo.

Galland siedział, przyglądał mu się spod lekko zmarszczonych brwi, a potem kiwnął głową.

- Zrobię cię moim osobistym adiutantem na francuskim wybrzeżu. Będziesz miał własny messerschmitt sto dziewięć. To, co z nim będziesz robił, kiedy nie patrzę, to twoja sprawa. Zgadzasz się?

- Oczywiście.

- Dobrze. Muszę iść. Nawiasem mówiąc, słyszałem, że gestapo aresztowało ostatnio generałów Priena i Krebsa, adiutanta Priena, pułkownika Lindemanna, oraz kilku młodszych oficerów.

- Za co?

- Wieść niesie, że za próbę zamachu bombowego na fuhrera. Wszyscy byli członkami klubu brydżowego w starym hotelu "Adler".

- Tak?

- Czy nie grywa tam twoja matka?

Max oniemiał.

- Nie jestem pewny.

- Chyba powinienes jej poradzić, żeby zmieniła klub - rzekł Galland. - Żyjemy w niespokojnych czasach - dodał i odszedł.

Max natychmiast zadzwonił do biura Bubiego, ale ten był nieobecny, jak poinformowała go Trudi Braun. Max powiedział jej, żeby przekazała Hartmannowi, że o szóstej czeka na niego w barze hotelu "Adlon". Odłożyła słuchawkę, a Bubi odłożył drugą.

- Jest tak źle? - spytała.

- Możliwe.

- Chce się pan w to angażować?

- To mój przyjaciel.

Wygładził mundur.

- Spróbuję porozmawiać z reichsfuhrerem. Daj mi ten raport o aktywności francuskiego ruchu oporu na wybrzeżu. Będę miał pretekst.

Zaniepokoiła się.

- Niech pan będzie ostrożny.

Himmler przejrzał raport i kiwnął głową.

- Bardzo dokładny. Wszyscy terroryści zostaną rozstrzelani natychmiast po schwytaniu. Bez

wyjątku.

- Oczywiście, Herr Reichsfuhrer.

- A teraz muszę spotkać się w bunkrze z fuhrerem. Właśnie mnie zawiadomiono.

- Coś szczególnego? - spytał ostrożnie Hartmann.

- Nie jestem pewien, ale nie jest zbyt szczęśliwy po tym ostatnim zamachu na jego życie. Rzecz jasna, moja jednostka specjalna aresztowała wszystkich, którzy byli w to zamieszani. Klub brydżowy, możesz w to uwierzyć? Wszystkich zlikwidowano na miejscu: Priena, Krebsa, Lindemanna, kilku młodszych oficerów i kilka kobiet.

Bubi zbladł.

- Pluton egzekucyjny, Herr Reichsfuhrer?

- Zbyt wielki zaszczyt dla takiej hołoty. Nie, rozkazy fuhrera były jasne: powiesić na strunach fortepianowych i sfilmować egzekucję. Taki dokument można wykorzystać - dodał Himmler. - Nie, pułkownika, matka pańskiego przyjaciela, szanowna baronowa, nie była wśród nich. Na razie nie mamy przeciw niej wystarczających dowodów.

- Rozumiem, Herr Reichsfuhrer.

Bubi ruszył do drzwi.

- Radziłbym zastanowić się nad utrzymaniem przyjaźni z baronem, Hartmann! - zawołał za nim Himmler. - Jest pan cennym pracownikiem, ale nie ma ludzi niezastąpionych.

Max siedział na swoim zwykłym miejscu w barze hotelu "Adlon" i dla uspokojenia nerwów popijał koniak. Bał się, ale nie o siebie, tylko o matkę. Jakaż ona głupia, niewiarygodnie głupia. Hartmann podszedł do niego, gestem odprawiając kelnera.

- Dzięki Bogu, że jesteś - przywitał go Max.

- Ostatni raz. Nie mogę już dłużej ryzykować. Jest bardzo źle.

- Mów, co się dzieje.

Bubi zrelacjonował rozmowę z Himmlerem, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu.

- Teraz wiesz.

- Boże w niebiesiech, że też oni mogą robić takie rzeczy.

- Mogą, wierz mi. Twoja matka musi bardzo uważać.

Bubi wstał.

- Więcej się nie spotkamy, Max. Himmler osobiście mnie przed tym przestrzegał.

Elsa była w swoim apartamencie. Siedziała przy kominku i popijała drinka, kiedy Rosa otworzyła Maxowi drzwi.

- Mój kochany chłopcze, to cudownie! W samą porę na koktajl.

- Dajmy temu spokój. Mam dla ciebie wieści. Twoi przyjaciele, generałowie Prien i Krebs? Pułkownik Lindemann i inni oraz kilka kobiet, wszyscy należący do klubu brydżowego w hotelu "Adler"? Czy to ci coś mówi?

- Słyszałam plotki, że mieli jakieś kłopoty - odparła niemal opryskliwie.

- Można tak powiedzieć. Te kłopoty to próba zamachu na fuhrera, oczywiście nieudana. Twoi przyjaciele, których wymieniłem, nie żyją, Mutti. Zostali powieszani na strunach fortepianowych, a ich nieszczęsny koniec sfilmowany na potrzeby Himmlera.

Była wstrząśnięta.

- To nie może być prawda.

- Mój dobry przyjaciel Bubi Hartmann nadstawił karku, żeby mnie ostrzec. Jedyne powód tego, że Himmler nie kazał cię aresztować, to brak wystarczających dowodów.

- Niech go szlag! - jęknęła Elsa ze łzami w oczach. - Nie mogą mi tego zrobić!

Drzwi garderoby otworzyły się i stanęła w nich Rosa.

- Czy wszystko w porządku, baronowo?

Miała oczy napuchnięte od płaczu.

- Co się stało? - spytał Max.

- Ponownie aresztowali Heiniego i posłali go do Auschwitz - wydusiła z siebie Elsa.

- A więc tak. Jak to możliwe, Mutti? "Nie mogą mi tego zrobić", czyż to nie twoje słowa?

- Niech cię licho, Max.

Uderzyła go pięściami w pierś, a on chwycił ją za nadgarstki.

- Głupia, arogancka, próżna. Uważasz, że baronowa von Halder jest kimś ważnym? Nie w Trzeciej Rzeszy. Myślisz, że Goring pomoże ci, kiedy znalazłaś się w opałach? Nie w Trzeciej Rzeszy. Zawsze byłaś tylko ozdobą, Mutti, tak samo jak ja. Czarny Baron w stroju lotnika, z mnóstwem medali.

- Max... proszę.

- Już kończę. Jak ci mówiłem, jeśli nadal będziesz tak postępować, pociągniesz wszystkich na dno. - Odwrócił się do Rosy. - Zabrali twojego Heiniego? Nie szkodzi. Moja matka postępuje tak, że wkrótce zabiorą i ciebie. Może nawet i mnie.

Ruszył do drzwi.

- Max! Posłuchaj!

Odwrócił się.

- I po to opuściłem Boston? Straciłem brata, żeby zaspokoić próżność von Halderów?

Otworzył drzwi i wyszedł, a ona osunęła się na kanapę i zaczęła płakać.

Mercedes Himmlera skręcił z Wilhelmplatz w Vosstrasse i pojechał w kierunku Kancelarii Rzeszy. Pod tym ogromnym budynkiem fuhrer kazał wybudować bunkier. Tę podziemną kwaterę główną chroniło trzydzieści metrów betonu odpornego na każdą bombę, jaką alianci mogli rzucić na Berlin.

Mercedes stanął na podjeździe i natychmiast podszedł do niego wartownik w mundurze SS. Poznał reichsfuhrera, ale ten był ogromnym służbistą, więc wartownik zażądał dokumentów. Sprawdził je, zsalutował, a Himmler wysiadł i zszedł do bunkra.

Słabo oświetlonymi, długimi korytarzami wypełnionymi cichym warkotem elektrycznych wentylatorów dotarł w końcu do drzwi pilnowanych przez następnego esesmana. Kiwnął głową, wartownik otworzył drzwi i Himmler wszedł do pomieszczenia, gdzie zastał Goebbelsa, von Ribbentropa, Martina Bormanna i admirała Canarisa, stojących nad stołem z ogólną mapą sztabową. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegał gniewny głos fuhrera.

- Co się dzieje? - spytał Bormanna.

- Jest niezadowolony.

Drzwi otworzyły się i pojawili się marszałkowie polowi von Rundstedt, Rommel i von Kluge, a za nimi Hitler.

- No już, wynoście się. Przyjdźcie, kiedy wróci wam zdrowy rozsądek, albo nie przychodźcie wcale.

Odeszli zmieszani, Rommel miał ponurą minę.

- Ta mapa - zwrócił się Hitler do pozostałych - przedstawia francuski brzeg kanału La Manche. Oni potrafią tylko gadać o tym, gdzie wylądje nieprzyjaciel. Pas-de-Calais czy Normandia, czy to ważne? Zmiażdżymy ich na plażach, prawda?

- Naturalnie, mój fuhrerze - odparł Bormann.

- Tak więc, jak powiedziałem, nie ma znaczenia, gdzie wylądje wróg. Dlaczego te błazny nie wymyślą czegoś konstruktywnego? - Klepnął ręką w udo i roześmiał się. - Czy wiecie, co byłoby użyteczne, naprawdę użyteczne?

Wszyscy nerwowo wytrzeszczyli oczy.

- Co takiego, mój fuhrerze? - spytał Himmler.

- Gdyby bomba trafiła Eisenhowera! To on jest przywódcą, mózgiem. Dobra niemiecka rasa, godny przeciwnik. Gdybyśmy usunęli go z drogi, wpadliby w panikę. Montgomery to błazen.

- Jak zawsze, masz rację, fuhrerze - rzekł Himmler. - Oczywiście, kota można obdrzeć ze skóry na różne sposoby. Co za szkoda, że siatka wywiadowcza Abwehry w Anglii została całkowicie zniszczona. - Zerknął na Canarisa. - Rozwiązanie byłoby proste, dokonać zamachu, ale przecież nie pozostał tam nikt, kto mógłby go dokonać.

Canaris odpowiedział udręczonym spojrzeniem, a Hitler rzekł prawie przyjaźnie:

- To nie pańska wina. Zwykłe koleje wojny, admirale. - Potem zwrócił się do Himmlera. - Co za przyjemna perspektywa, Reichsfuhrerze. Sama myśl o tym podnosi mnie na duchu.

Później, wróciwszy do swego gabinetu, Himmler rzekł do Hartmanna:

- Wiesz teraz, co powiedział fuhrer. Myślisz, że któryś z twoich angielskich agentów mógłby wykonać takie zadanie?

- Z żalem muszę zaprzeczyć, Herr Reichsfuhrer. Wyobraża pan sobie, jaką Eisenhower ma ochronę? Oczywiście, zawsze jest Ira. Moglibyśmy spróbować ich opłacić.

- Bzdura - zachnął się Himmler. - Te irlandzkie kmiotki wszystko spaprzą. Niech pan jednak o tym pomyśli, pułkowniku.

Po powrocie do biura Bubi znów sięgnął po butelkę koniaku i opowiedział o wszystkim Trudi.

- Zabić Eisenhowera? - zdziwiła się.

- Czysta fantazja. - Podniósł kieliszek. - Za ciebie i za mnie, Trudi, jedynych normalnych ludzi na tym zwariowanym świecie.

W Londynie Abe zamieszkał w apartamencie hotelu "Savoy". Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobił po przyjeździe, była próba odszukania Harry'ego, co doprowadziło do telefonicznej rozmowy z Westem.

- O ile wiem, mój wnuk jest pańskim adiutantem?

- W pewnym sensie, senatorze, ale to trochę skomplikowana sprawa. Jest oddelegowany do dywizjonu do zadań specjalnych, głównie ze względu na ogromne doświadczenie w pilotowaniu samolotów używanych przez wroga. Czasem wpadają w nasze ręce, a wtedy je dla nas oblatuje.

- Chce mi pan powiedzieć, że nie mogę się z nim zobaczyć?

- Nic podobnego. Po prostu nie ma go tutaj. Przebywa w Szkocji. Startujący z Norwegii junkers osiemdziesiąt osiem S wylądował tam przez pomyłkę. Harry nadzoruje ekspertyzę. Potem odprowadzi samolot do specjalnej bazy, ale to może potrwać kilka dni. Szkoda, że nie wiedzieliśmy o pana przyjeździe.

- Jest ściśle tajny. Przyleciałem latającą fortecą. Rzecz w tym, że za kilka dni wracam. Mam mnóstwo roboty. Muszę zobaczyć się z Winstonem, Eisenhowerem i kilkoma innymi osobami, ale najbardziej chciałem widzieć się z Harrym. Ostatni raz rozmawiałem z nim w trzydziestym dziewiątym, kiedy wyjeżdżał do Finlandii.

- Wiem. Co za szkoda. Porozmawiam z nim i zobaczę, czy nie da się skrócić ekspertyzy.

- Jeszcze jedno. On nadal nie przeniósł się do sił powietrznych Stanów Zjednoczonych.

- Nie ma na to ochoty, senatorze.

- No cóż, tego chce prezydent Stanów Zjednoczonych. Są tacy, którzy uważają to za policzek.

West rozgniewał się i zrobił głęboki wdech.

- Bardzo mnie to irytuje, senatorze. Pański wnuk jest znany z tego, że nie zgłasza wszystkich zestrzeleń. Moim zdaniem ma ich najwięcej w RAF-ie i jest najlepszym pilotem, jakiego znam. Musi mi pan wybaczyć mój gniew, lecz te naciski wychodzą od ludzi w waszych siłach powietrznych, zazwyczaj wysokiej rangi, którzy niewiele zdziałali. Pański wnuk ma, o ile wiem, dwadzieścia sześć lat? Pięć lat walk w powietrzu. Nie powinno go tu już być, ale jest.

- I dzięki Bogu - odparował Abe. - I niech pan się złości, ile pan chce. Muszę już kończyć. Zaraz wychodzę na spotkanie z Ike'em w Hayes Lodge.

- Mam nadzieję, że będziemy mieli okazję się spotkać - powiedział West.

- Och, na pewno, może pan na to liczyć.

Ju-88S miał pecha. Ostrzelany przez mosquito nad Morzem Północnym, stracił instrumenty pokładowe oraz nawigatora i tylnego strzelca. Ranny pilot zanurkował w gęstą chmurę i zdołał uciec. Nie widząc Gwiazdy Polarnej, nie mógł nawigować, a poza tym był ciężko ranny w lewe ramię, toteż resztkami sił trzymał stery. Kiedy doleciał do brzegu i zobaczył światła lotniska, szybko obniżył pułap, a następnie wylądował na lotnisku RAF-u w Kinross. Gdy wyciągnęli go z maszyny, był nieprzytomny.

Samolotu nie można było przetransportować na południe Anglii przed dokonaniem przynajmniej minimalnych napraw kabiny i instrumentów pokładowych. Sprowadzono inżyniera wojsk lotniczych wraz z najlepszymi mechanikami, a Harry dokonał oględzin maszyny, po czym poinstruował ich, co należy zrobić.

Tego wieczoru, kiedy zadzwonił West, był w mesie.

- Jak szybko możesz tu przylecieć?

- Za trzy, może cztery dni.

- Nie da się szybciej? Jest tutaj twój dziadek.

Harry'ego zatkało.

- Na jak długo? - wyjąkał.

- Sześć dni, włącznie z dzisiejszym. Słuchaj, Harry, zostaw to. Przyleć, znajdę kogoś innego.

- Wiesz, że nie ma nikogo z odpowiednim doświadczeniem.

- Poruszył kwestię twojego przejścia do Amerykanów. Podobno zażądał tego sam Roosevelt.

- Do diabła z nim! Wróć, jak skończę. Będziemy w kontakcie.

Stał w mesie oficerskiej, pijąc whisky z wodą sodową i rozmyślając. Inni oficerowie trzymali się od niego z daleka, onieśmieleni medalami i otaczającą go legendą. Harry nie zwracał na to uwagi. Mógłby pognać z powrotem do Londynu, czemu nie? Odpowiedź była prosta. Celowo unikał dziadka. Ten stary człowiek należał do innego życia, które obejmowało Maxa i Mutti, ale odeszło w przeszłość jak zapomniany sen. Mimo wszystko będzie musiał się z nim zobaczyć, nie zdoła się od tego wykręcić.

Zawołał do Jervisa, porucznika nadzorującego naprawę silnika.

- Chodź tu i napij się. Musimy pogadać.

- Dziękuję, panie pułkowniku! - Jervis z radością przyjął zaszczytną propozycję.

- Mówiłeś, że naprawa junkersa wymaga jeszcze trzech lub czterech dni. Jest pewien problem. Właśnie rozmawiałem z wicemarszałkiem Westem, który chce go na wczoraj. Zmieścisz się w dwóch dniach?

- Hmm, potrzebowałbym dwóch zespołów i musielibyśmy pracować nocami.

- Jestem pewien, że wicemarszałek to doceni. Nawiasem mówiąc, kiedy w jednostce specjalnej zobaczą, czego dokonałeś z tą maszyną, na pewno już cię nie puszczą. Jesteś pierwszorzędnym mechanikiem i West z pewnością weźmie to pod uwagę, kiedy przeczyta mój raport.

Wystarczyło. Jervis nie mógł być bardziej zadowolony.

- To zaszczyt usłyszeć coś takiego z pańskich ust! - Odstawił szklaneczkę. - Jeśli pan wybaczy, muszę iść i zabrać się do roboty. Powiedział pan dwa dni. Proszę uważać to za załatwione.

- A znajdziesz się w jednostce specjalnej - odparł Harry. - Możesz być tego pewien.

Abe rozmawiał z Churchillem, Anthonym Edenem i Eisenhowerem, uważnie ich słuchając. Chociaż tacy generałowie jak Patton i Omar Bradley byli przeciwni inwazji, ich także warto było wysłuchać. Spotkał się z Montgomerym na niezbyt przyjemnym lunchu w Broomfield House, podczas którego marszałek połowy nie krył się z przekonaniem, że to on, a nie Ike powinien być głównodowodzącym.

Pojechał nawet do Norfolk odwiedzić amerykańską bazę, z której startowały B-17 wykonujące dzienne naloty na Niemcy. Dywizjon ponosił ciężkie, niemal niewyobrażalne straty. Abe osobiście patrzył na to, jak jeden z kilku samolotów wracających późnym popołudniem był na tyle poważnie uszkodzony, że musiał lądować bez wysuniętego podwozia i ślizgał się po trawie aż do końca pasa, po czym zmienił się w kulę ognia. Było to jedno z najbardziej wstrząsających przeżyć w życiu Abego, a jeszcze bardziej przygnębiła go wiadomość, że pięć maszyn nie wróciło z akcji.

Przed odjazdem wypił drinka w mesie oficerskiej.

- Ci chłopcy są tacy młodzi. Opowiem prezydentowi, co widziałem - obiecał gospodarzowi, generałowi brygady Reedowi. - Może pan być tego pewien, lecz czuję się dziwnie zawstydzony.

Do baru podszedł młody major o twarzy spiętej i znużonej. Na lewej piersi miał rząd baretek i pasków, a na prawej skrzydełka RAF-u.

- To major Wood - przedstawił go Reed. - Brał udział w operacji.

- Skrzydełka RAF-u - zauważył Abe.

- Och, tak. Woodsy latał na wellingtonach, później na lancasterach w lotnictwie bombowym RAF-u. To senator Abe Kelso, majorze.

Wood uściskał mu dłoń, a potem zmarszczył brwi.

- Kelso? Może przypadkiem zna pan Harry'ego Kelso?

- To mój wnuk.

Major energicznie wyprostował się.

- Jest najlepszy. Walczył w bitwie o Anglię, w Afryce i zatopił ten włoski krążownik. Wciąż lata, mam nadzieję?

- Jest już pułkownikiem. Wykonuje zadania specjalne.

- Cudownie. Chcę powiedzieć, że jeśli on nadal lata, to dla nas wszystkich jest jeszcze jakaś nadzieja.

Wood uśmiechnął się i odszedł.

- Nie wiedziałem, senatorze. Jestem zdziwiony, że nie przeszedł do nas.

- To długa historia, generale - uśmiechnął się Abe. - Teraz chyba będzie lepiej, jeśli wrócę do Londynu.

Następnego ranka Harry poleciał do Surrey eskortowany przez dwa myśliwce Spitfire, na wypadek gdyby ktoś próbował go zestrzelić. Jervis zajął fotel nawigatora, a Tarquin siedział na podłodze kabiny. Harry rozpiął worek, z którego wystawał łepiek misia.

- Ma zamyśloną minę - zauważył Jervis.

- Pan też by tak wyglądał, gdyby widział pan to co on. Lata od tysiąc dziewięćset szesnastego.

- Mój Boże.

Lot przebiegł bez zakłóceń. Oba spitfire'y w ostatniej chwili odleciały, a Harry wylądował, wysłuchał wskazówek kontrolera lotów, a potem podkołował pod rząd hangarów i wyłączył silnik. Wysiedli. W hangarach stało kilka niemieckich samolotów: arado, dwa Me-109 i parę storchów.

- Będzie pan miał tutaj co robić - zapowiedział Harry.

Podjechał samochód RAF-u i wysiadł z niego West.

- Pomyślałem, że wyjadę wam naprzeciw.

- To miło z pana strony. Pozwoli pan, że przedstawię porucznika Jervisa. Wspomniałem o nim w moim wczorajszym raporcie.

- Doskonała robota, Jervis. - West potrząsnął dłonią inżyniera. - Przenoszę pana do zadań specjalnych. Obejmie pan funkcję kapitana. Jeśli dobrze się pan spisze, otrzyma pan awans na ten stopień.

- Dziękuję - wyjąkał Jervis.

Harry pomachał mu ręką i poszedł za Westem do wozu.

- Twój dziadek jest w "Savoyu". Pomyślałem, że cię tam podrzucę.

- Bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Spotkaliście się?

- Och tak. Uroczy człowiek. - West poczęstował Harry'ego papierosem. - Coraz trudniej mi cię zatrzymać, Harry, a Ministerstwo Wojny nie chce kłopotów.

- Mało mnie to obchodzi.

- Nieznośny z ciebie drań. No nic, i tak cię podrzucę. Ach, przy okazji, mam dla ciebie zadanie na jutro. Upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Co takiego?

West powiedział mu, o co chodzi, a potem wysadził go pod "Savoyem". Harry wszedł do hotelu, niosąc w rękach torby. Recepcjonista odebrał mu je osobiście i podał boyowi.

- Chyba mamy komplet, pułkowniku.

- Jest tu mój dziadek, senator Kelso.

Recepcjonista rozpromienił się.

- Oczywiście. Dwupokojowy apartament na pierwszym piętrze. Nie ma problemu.

Abe, stojąc przy oknie salonu, palił cygaro i spoglądał na Tamizę. Ktoś zapukał do drzwi.

- Portier, panie senatorze.

- Wejść, otwarte.

Drzwi otworzyły się i bagażowy wniósł torby.

- Co to? - zapytał Abe, a wtedy wszedł Harry.

- Cześć, Abe - powiedział jak za dawnych dni i nagle jakby nigdy nie było tych wszystkich minionych lat.

Abe, dając upust emocjom, objął go i rozplakał się.

Kilka minut później siedział przy oknie, popijając brandy dla uspokojenia nerwów.

- Do licha, Harry, to niewiarygodne. Tyle medali.

- Pamiętasz, co mówił tato? Ładne blaszki. Jakies wieści o Maksie i Mutti?

- Nie, moje szwedzkie źródło informacji wyszło.

- Może ja się czegoś dowiem.

- W jaki sposób?

- Pracuję dla brygadiera Munro. On pracuje dla Soe i jest bardzo zaangażowany w działalność wywiadowczą.

- Słyszałem o nim. Mocno związany z Ike'em.

- Na pewno. Szykują inwazję. Munro wciąż zrzuca agentów do okupowanej Francji. Latam dla niego. Zobaczą, co się da zrobić.

Abe pokiwał głową.

- Mamy problem. Prezydent chce, żebyś przeniósł się do naszego lotnictwa, i Ike także.

- Och, niech ich diabli! - wybuchnął Harry. - Mam już tego dość! I co mi zrobią, oddadzą pod sąd wojenny?

- Harry, nie bądź głupi.

- Dlaczego? Może uważają także, że Max powinien przenieść się z Luftwaffe? - Wstał i wziął głęboki oddech. - Dosyć. Muszę się wykapać. Co robisz dziś wieczorem?

- Zamówiłem stolik w River Room.

- Wspaniale. - Harry otworzył torbę i wyjął Tarquina, - Widzisz, Abe? Czy on nie przenosi nas w przeszłość? Był ze mną podczas wszystkich moich lotów. - Podniósł drugą torbę. - Zajmę wolny pokój. - Otwierając drzwi, dodał: - Słyszałem, że jutro lecicie z Ike'em z Croydon do Southwick House.

- Skąd o tym wiesz?

- Ponieważ mam być waszym pilotem.

Kiedy Abe i Harry przybyli do River Room, restauracja mimo wczesnej pory była zatłoczona - jak każdy londyński lokal w tamtych czasach. Natychmiast podszedł do nich szef sali.

- Mam dla pana przyjemny stolik pod oknem, senatorze. Dla czterech osób, mówił pan?

- Zgadza się.

Posadzono ich, Abe zamówił koktajle na szampanie, a Harry zapytał:

- Kto jeszcze będzie?

- Och, postanowiłem wykorzystać twoją obecność i porozmawiać z brygadierem Munro. Powiedziałem mu, że jesz ze mną kolację, i poprosiłem, by się do nas przyłączył. Zaproponował, że przyprowadzi siostrzenicę, doktor Sobel. Podobno ją znasz?

- Tak, spotkaliśmy się, ale dawno temu. Jej matka była Angielką, a ojciec, kiedy ostatni raz o nim słyszałem, był pułkownikiem w naszych siłach powietrznych.

- Już nie. Teraz jest generałem majorem, od miesiąca w Anglii. Często go widuję.

- Hmm, to dobrze. - Harry zmarszczył brwi. - Ciekawe, co też knuje Munro?

- A czy musi coś knuć?

- Och, tak. To dla niego chleb powszedni.

W tym momencie przybył Munro z Molly. On był w mundurze, ona w wieczorowym żakiecie i spódniczce z brązowej krepy. Miała dyskretny makijaż, a włosy związane brązową aksamitką.

Harry i Abe wstali.

- Moja siostrzenica Molly, senatorze.

Abe spojrzał na nią z aprobatą.

- Znam pani ojca, a pani, o ile mi wiadomo, zna mojego wnuka.

Uśmiechnęła się do Harry'ego.

- Jak się masz?

- Wspaniale.

- Jak zawsze.

- Kiedy cię ostatnio widziałem, wyglądałaś na zmęczoną.

- A teraz?

- Tak dobrze, że mógłbym.. - zawahał się. - Poprosić cię do tańca. Zostawmy starszych panów, żeby mogli swobodnie porozmawiać.

"The Orpheans" grała wolnego fokstrota "Noc i dzień", a Molly wtuliła się w jego ramiona.

- Znow tu jesteśmy - rzekł.

- A ty, jak zawsze, okryty chwałą.

- Co u ciebie? Pamiętam, że pracowałaś w szpitalu Cromwell. Wciąż tam jesteś?

- Przeważnie. Zostałam starszym chirurgiem.

- Wspaniale. Musisz być dobra.

- Och, wojna sprzyja awansom, wiesz, jak jest. Operuję na oddziale obsługującym kilka szpitali.

- Nadal pracujesz dla Munro? Julie Legrande powiedziała mi, że bywasz latającym doktorem dla Cold Harbour.

- Od czasu do czasu. - Zmarszczyła brwi. - Chcesz coś przez to powiedzieć?

- Wtedy, kiedy razem spacerowaliśmy po mieście po lunchu w Garrick. Słyszałem, jak dobry, stary Dougal później rozmawiał o tym z tobą w mieszkaniu. Chciał wiedzieć, co ze mnie wyciągnęłaś.

- O, do licha. Nie nadaję się na szpiega.

- Nie ma sprawy. Spacer był przyjemny. Dziś wieczorem masz spełnić taką samą rolę?

- Jeśli musisz wiedzieć, wuj powiedział mi, że je kolację z tobą oraz twoim dziadkiem, i zapytał, czy chcę z nim pójść.

- I chciałaś? Ciekawe dlaczego?

- Nie bądź świnią, Harry Kelso. Cholernie dobrze wiesz dlaczego.

Przez chwilę była bliska łez, toteż Harry natychmiast okazał skruchę.

- W porządku, przepraszam i jestem świnią.

Orkiestra zaczęła "Mglisty londyński dzień". Molly znów przytuliła się do Harry'ego.

- Co u Jacka Cartera? - zapytał.

- W porządku. Jest już majorem.

- Czy w twoim życiu jest jakiś mężczyzna?

- Owszem, ale chyba o tym nie wie.

Przycisnął ją jeszcze mocniej, a przy stoliku Munro powiedział do Abego:

- Chyba powinienem to panu zdradzić, senatorze. Ta biedna dziewczyna zadurzyła się w tym łobuzie od pierwszego wejrzenia.

- Mogę tylko stwierdzić, że się z tego cieszę - odparł Abe.

Molly i Harry usiedli, kelner nalał wszystkim szampana, a szef sali zaproponował główne danie wieczoru: łupacza z zapiekanką z ziemniaków i cebuli. Wszyscy zamówili to samo.

- Wojna zubożyła menu - zauważył Munro, podnosząc kieliszek. - Nasze zdrowie i do diabła z Hitlerem.

- Skoro mowa o fuhrerze - skorzystał z okazji Harry - czy ma pan jakieś wieści o Maksie?

- Nic takiego, co chcielibyście usłyszeć. Podczas ostatnich nalotów latał na naprowadzających junkersach z Chartres i Rennes. O ile wiem, wykonał jakieś piętnaście lub szesnaście lotów.

- Musiało mu być ciężko - powiedział spokojnie Harry. - W południowej Anglii nie ma teraz miejsca dla pilotów Luftwaffe.

Zapadła krótka cisza. Przerwała ją Molly.

- Ciężko? Harry, on bombardował Londyn. Czy wiesz, że ponad sto osób zginęło na stacji metra, która została bezpośrednio trafiona?

- Krążownik "Orsini" miał ośmiuset dwudziestu ludzi załogi - odparł spokojnie Harry. - Kiedy go zatopiłem, wiesz, ilu wyciągnięto z wody?

- Nie - szepnęła, a na jego twarzy pojawiło się coś, co przypominało lęk.

- Siedemdziesięciu dwóch. Tak więc zabiłem siedemset czterdziestu ośmiu ludzi. - Wzruszył ramionami. - Zawsze twierdziłem, wojna to piekło. Stacja metra, krążownik... Ludzie giną, Molly.

My ich zabijamy. Właśnie to robimy.

Przez dłuższą chwilę panowało niezręczne milczenie, a potem Munro pospiesznie zmienił temat.

- Jutro leci pan do Southwick z Ike'em? - zapytał Abego.

- Zgadza się, a Harry będzie naszym pilotem.

- Spotkałeś już Ike'a, Harry? - spytał Munro.

- Wiesz, że nie, stary lisie.

- Pilnuj się. Będzie próbował cię ściągnąć.

Nieoczekiwanie podszedł do nich szef sali.

- Ogromnie mi przykro, ale dzwonił z Guy's Hospital, doktor Sobel. Jest pani niezwłocznie potrzebna.

- O rany, znów to samo. Czy mogę wziąć twój służbowy samochód, wuju?

- Odprowadzę cię do drzwi - zaproponował Harry.

Podeszli do wyjścia.

- Kierowca brygadiera Munro jest po przeciwnej stronie ulicy - poinformował ich portier. - Poszedł na kanapkę i filiżankę herbaty, panie pułkowniku. Przyprowadzę go.

Pospieszył tam, a Harry i Molly wyszli za nim i zatrzymali się na chodniku. Obok był zakład fotograficzny, a fotograf stał w drzwiach, zachwalając przechodniom swoje usługi.

- Nie jest za ciemno? - zapytała Molly.

Fotograf usłyszał i potrząsnął głową.

- Używam flesza. Odbitki gotowe w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jeden funt.

- Za dwadzieścia cztery godziny mogę nie żyć - rzekł Harry.

- Mówisz okropne rzeczy - jęknęła Molly.

Harry wyjął z portfela biały banknot pięćofuntowy i rozwinął go.

- Dwie kopie. Jedna dla pani, druga dla mnie, dostarczone w ciągu dwóch godzin do recepcji hotelu "Savoy". Na nazwisko Kelso. Jeśli mnie zawiedziesz, powiem bratu, żeby zbombardował twój zakład.

- Nie ma sprawy, szefie, zrobi się.

Wrócili pod drzwi "Savoya". Fotograf zrobił im zdjęcie, na wszelki wypadek dwa razy.

- Nie nawalę, szefie.

Podjechał samochód i Harry otworzył przed Molly drzwi.

- Miło było cię znowu zobaczyć.

- Och, ty głupcze - objęła go i pocałowała w usta. - Idź już sobie, do cholery.

Wsiadła do samochodu.

Kiedy wrócił, zastał Munro i Abego pogrążonych w ożywionej rozmowie.

- O czym mówicie? - zapytał, siadając. - Wygrywacie wojnę?

- Ta wojna jeszcze nie jest wygrana, Harry - powiedział Abe. - Choć to tylko kwestia czasu.

- A co z tajną bronią fuhrera? Rakietami i innymi rzeczami? Wszyscy słyszymy plotki. Majstrują nawet wielki samolot odrzutowy.

- Według naszej oceny to wszystko jest bez znaczenia - odparł Munro. - Zwyciężymy, nie ma co do tego wątpliwości. W Europie i w Rosji będą toczyć się ciężkie walki, lecz po nich czeka nas zwycięstwo.

- To niemiecki slogan.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Jeszcze szampana?

- Lepiej nie. Rano lecę.

- Brygadier Munro przekazał mi dość niepokojącą wiadomość z Berlina - rzekł Abe. - Podjęto nieudaną próbę zamachu na życie Hitlera. Aresztowano i zamordowano wielu oficerów oraz dwie kobiety. Wszyscy byli członkami tego samego klubu brydżowego.

- I co z tego?

- Elsa też należała do tego klubu.

Harry zbladł jak ściana, lecz z kamienną twarzą machnął na kelnera od win.

- Wypiję jednak ten drugi kieliszek szampana. - Zapalił papierosa i zwrócił się do Munro. -

Proszę mi o tym opowiedzieć.

Kiedy brygadier skończył, zapadła cisza.

- Te kontakty w Berlinie są wiarygodne? - spytał w końcu Harry.

- Bardzo. Nawet w ich armii mamy ludzi, którzy robią, co mogą.

- I jest pan pewien, że moja matka nie została aresztowana?

- Zdecydowanie. Harry, ona należy do śmietanki towarzyskiej. Często pokazuje się w towarzystwie Goringa. - Potrząsnął głową. - Jednak jej powiązania z niewłaściwymi ludźmi nie są mile widziane w kwaterze głównej gestapo. Jak mi powiedziano, ona nie jest przyjaźnie nastawiona do nazistów, tyle że do tej pory chroniła ją pozycja towarzyska.

- Ale już nie?

- Powiedziałbym, że powinna uważać.

- No cóż, miejmy nadzieję, że wywołany tym wstrząs nauczy ją ostrożności - rzekł Abe.

- Tak, jedyny problem w tym, że ona nigdy w życiu nie była ostrożna - rzucił gniewnie Harry.

- Jak ty? - zauważył Munro.

Harry roześmiał się mimo woli.

- No dobrze, brygadierze, dobrze. Mimo wszystko mam nadzieję, że czegoś się nauczyła.

- Jak my wszyscy - dopowiedział Abe.

Podszedł szef sali, trzymając dużą kopertę.

- Przyniósł to fotograf z zakładu obok, pułkownika.

- Dzięki.

Harry otworzył kopertę i wyjął z niej cztery odbitki.

- Zrobił ekstra. Zamówiłem dwie.

Zdjęcie było ładne, ukazywało ich dwoje na tle drzwi do "Savoya".

- Proszę wziąć jedno dla Molly, drugie dla siebie. Ty weź trzecie, Abe.

Harry wyjął portfel, przymierzył doń fotografię i znowu przywołał szefa sali.

- Na pewno ma pan gdzieś nożyczki. Proszę przyciąć je tak, żeby pasowało do portfela.

- Z przyjemnością.

Harry dopił szampana.

- A więc do łóżka. Musimy wcześniej wstać i przygotować się do drogi, Abe.

- Idę z tobą.

Szef sali wrócił z portfelem i fotografią.

- Serdecznie dziękuję. - Harry włożył zdjęcie do środka. - Może pan powiedzieć Molly, że noszę ją na sercu, brygadierze. Zobaczymy się wkrótce.

Wstał i wyszedł.

W małej kafejce przy Westbourne Grove Sarah i Fernando siedzieli przy swoim ulubionym stoliku.

- Niewiele mam do powiedzenia - mówiła. - Tu jest plan dyżurów pilotów z sekcji specjalnej, przewożących Eisenhowera z Croydon do Southwick House. Ostatnio często korzysta z lotniska. Lata tam i z powrotem z Londynu.

- Jutro leci z nim ten pułkownik Kelso - wyczytał Fernando. - Berlin chciał mieć o nim wszelkie możliwe informacje, prawda?

- Zgadza się. Jak widzisz, jest na stałe przydzielony do służby kurierskiej, ale nie tylko. Wykonuje także tajne operacje. Jak już wspominaliśmy, wszystkie są związane z Tempsford, Tangmere i oczywiście z Cold Harbour.

- Dobrze.

Złożył papiery i schował je do kieszeni.

- Teraz jedźmy.

W Croydon była gęsta mgła i lał deszcz. Abe czekał w topornym baraku Nissena i pił paskudną kawę. Lysander, ten przysadzisty i brzydki jednopłat, stał przed hangarem, sprawdzany przez dwóch mechaników. Harry, odziany w pelerynę i wysokie buty, rozmawiając z nimi, bezskutecznie osłaniał się parasolem. Odwrócił się i podszedł do podjeżdżającego samochodu. Kierowca wysiadł i

otworzył drzwi Eisenhowerowi; z drugiej strony wyskoczył jakiś młody major. Harry podszedł do nich, trzymając parasol.

- Dzięki, synu - rzekł Eisenhower, gdy szli w kierunku baraku. - Dzień dobry, Abe. Czy to kawa?

- Najgorsza na świecie, ale gorąca.

- Wystarczy. - Wziął od sierżanta filiżankę. - Jeden z moich adiutantów, major Hill.

Hill miał skrzydełka pilota, Dfc i Purpurowe Serce. [Purpurowe Serce - Purple Heart. Ustanowione przez G. Washingtona w 1782 r. amerykańskie odznaczenie przyznawane żołnierzom i cywilom służącym w siłach zbrojnych, którzy zostali ranni podczas działań prowadzonych przeciwko wrogom Stanów Zjednoczonych.]

- Cała przyjemność po mojej stronie, senatorze.

- Polecimy? - zapytał Ike, spoglądając na tumany mgły i deszcz. - Jak myślisz, majorze?

- Nie jestem pewien. Lepiej spytajmy pilota.

Harry wyszedł akurat z operacyjnego, toteż Hill go zagadnął.

- Lecimy? Mam wrażenie, że pogoda wyklucza lot.

Harry spojrzał w okno.

- Żaden problem. Mgła nie przeszkadza przy starcie, majorze. Powinien pan o tym wiedzieć.

Hill zdenerwował się.

- Słuchaj no, mówisz do majora sił powietrznych. Nie życzę sobie, żeby jakiś pilot transportowy robił mi uwagi.

- No cóż, zrobimy co się da, majorze, tylko proszę nie tym tonem. Jestem starszy stopniem.

Harry zdjął pelerynę i wziął z wieszaka kurtkę munduru. Ike odwrócił się, marszcząc brwi, a Hill zobaczył medale, naramienniki.

- Przepraszam, pułkowniku. Nie wiedziałem - wyjąkał.

- No to teraz pan wie.

Harry zapiął kurtkę.

- Jest pan Amerykaninem? - spytał Ike.

- Harry Kelso, panie generale.

Ike wyciągnął rękę.

- A więc w końcu się spotkaliśmy, pułkowniku. To dla mnie zaszczyt.

Odwrócił się do Hilla.

- To wnuk senatora Kelso.

Na twarzy Hilla malował się ten sam podziw, jaki często okazywali ludzie spotykający Kelso.

- Brał pan udział w bitwie o Anglię. To pan zatopił "Orsiniego".

- Jak to na służbie, majorze. - Harry zwrócił się teraz do Ike'a: - Leje, lecz niebo nad Southwick House jest czyste. Trochę nas wytrzęsie, ale za czterdzieści minut będziemy na miejscu.

- To mi odpowiada - odparł Eisenhower.

Lot nie należał do przyjemnych. Deszcz donośnie bębnił o kadłub i raz po raz wpadali w dziury powietrzne, lecz niebawem po lewej zobaczyli zasnute deszczem Portsmouth, a Harry - jak obiecał - posadził samolot na lotnisku dokładnie o czasie. Na generała czekał już służbowy samochód.

- Powrót o czwartej - zdecydował Ike, gdy do niego szli. - Odpowiada to panu, pułkowniku?

- Doskonale. Personel naziemny już sprawdza maszynę i zaraz zatankujemy, chociaż nie musimy. Oto przywileje rangi, generale. Zaczekam tutaj.

- Nie. Proszę pójść z nami - rzekł Ike i wsiedli do samochodu.

Fort Southwick był dziewiętnastowieczną budowlą, z labiryntem tuneli, wykorzystywanych na kwaterę główną połączonego sztabu operacji "Overlord". Przechodziły tędy wszystkie rozkazy dotyczące planowanej inwazji, a jej sercem był pokój z wielką makietą kanału La Manche. Istnienie tego pomieszczenia pozostawało jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic drugiej wojny światowej.

Southwick House obrano na punkt dowodzenia operacji "Overlord" ze względu na bliskość fortu, który marynarka stopniowo przekazała Shaef. [SHAEF - Supreme Headquarters Allied Expeditionary Force, Naczelne Dowództwo Sojuszniczych Sił Ekspedycyjnych w latach 1943-45 kierujące walką aliantów z hitlerowskimi Niemcami.] Wszędzie stały namioty i przyczepy, w których mieszkał liczny personel. Montgomery też miał tu swoją przyczepę, chociaż w tej chwili był nieobecny. Eisenhower zajmował inną, ogromną, przy Pitymoor Lane. Była niewiarygodnie przestronna, z pomieszczeniem łączności, salonem, sypialniami i łazienką.

- Musimy porozmawiać - zwrócił się Ike do Abego. - Hill, zabierz pułkownika na spacer. Pokaż mu wszystko. Później zjemy coś razem. Powiedzmy o pierwszej.

Hill rzeczywiście pokazał Harry'emu wszystko. Najbardziej zainteresował Kelso pokój z makietą. Dwaj robotnicy właśnie składali segmenty czegoś, co najwidoczniej miało być ogromną mapą ścienną.

- Wybrzeże Francji i miejsce lądowania. - Hill potrząsnął głową. - Biedacy.

- Dlaczego?

- Ci robotnicy nie wiedzą o tym, ale kiedy skończą, nie pozwolą im stąd odejść aż do czasu rozpoczęcia inwazji.

Harry roześmiał się.

- Zaczną mieć wątpliwości, po czyjej są stronie.

Później usiedli w rogu kantyny, zapalili. Harry zamówił herbatę.

- Widzisz, jakim stałem się Brytyjczykiem? Nie znoszę kawy.

- Długo tu jesteś.

- Od Finlandii, od listopada trzydziestego dziewiątego.

- Chryste, pięć lat.

- A ty?

- Pilot B-17. Jedenaście misji, potem dostałem pociskiem z działka w kabinę. Mam tylko połowę lewej ręki i już nigdy nie będę latać. Miałem szczęście, że trafiła mi się ta robota.

- Co będziesz robił, kiedy to się skończy?

- Zanim to się zaczęło, pracowałem w Hollywood. Wrócę do świata złudzeń. Może będą kręcili filmy o lotnikach, tak jak po pierwszej wojnie. A ty?

- Nigdy o tym nie myślałem. Za wcześnie.

- Rozumiem.

Po chwili dyżurny podoficer poprosił, żeby dołączyli do generała Eisenhowera i Abego w stołówce.

- Pułkowniku, będę z panem szczerzy - powiedział Eisenhower przy rostbefie i puddingu. - Nadszedł czas, żeby przeniósł się pan do naszych sił powietrznych, w równorzędnej randze oczywiście.

Harry opanował zniecierpliwienie - w końcu to był Eisenhower.

- Dobrze mi tu, gdzie jestem, generale. Chciałbym skończyć to, co zacząłem.

- Sądzę, że dziadek powiedział panu, że taka jest wola prezydenta, a także moja jako głównodowodzącego. Teraz w spokoju dokończmy obiad. Wołowina jest naprawdę wspaniała.

Wieczorem Munro zadzwonił do niego do "Savoya".

- I jak ci poszło z Ike'em?

- Zgodnie ze starym angielskim powiedzeniem, włożył mi na głowę z butami. Dał mi tydzień na dobrowolne przeniesienie. Potem nie będę miał wyboru. Nie wiesz, czy Teddy West jest uchwytany?

- Zobaczę, ale mogę zaproponować ci coś, co cię zajmie przez następne dwa dni.

- Cokolwiek. O co chodzi?

- Muszę zabrać z Francji kogoś bardzo ważnego lysanderem startującym z Cold Harbour. Nie chcę, żebyś leciał lysanderem, ale żebyś osłaniał go hurricane'em. Ten gość jest naprawdę bardzo ważny. Szycha w organizacji de Gaulle'a. Zrobisz to?

- Mój Boże, tak.

- Jeśli West wyrazi zgodę, tą misją oficjalnie rozpoczniesz turę lotów w moim dywizjonie do zadań specjalnych, a chyba wiesz, że taka kolejka może wydłużyć się do sześćdziesięciu operacji.

- Wiem.

- Zdaje się, że w ten sposób uratowałem twój tyłek - skonstatował Munro i rozłączył się.

- Wszystko w porządku? - zapytał Abe.

- Jutro mam służbę. Tajna misja. Przykro mi, ale tak bywa.

- Trudna?

- Lecę za linię frontu, ale robię to od lat, do licha. A zresztą pojutrze i tak wyjeżdżasz.

- Racja - kiwnął głową Abe. - Nie potrafię wyrazić słowami, ile to dla mnie znaczy, że znów mogłem cię zobaczyć.

Abe był bardzo wzruszony.

- Chyba pójdę już spać.

Harry wyłączył światło, zapalił papierosa i spojrzał na ledwie widoczną w półmroku Tamizę, a potem na patrzącego nań Tarquina.

- No cóż, znów lecimy, kolego - powiedział.

10

Następnego dnia Harry o dziesiątej rano zameldował się w Croydon, gdzie zastał czekającego hurricane'a, przyprowadzonego z Duxford przez czeskiego pilota, który nazywał się Hess i mówił po angielsku z wyraźnym słowiańskim akcentem.

- Pułkowniku Kelso, miło mi pana poznać.

Miał kilka czeskich medali i Dfc.

- Znam ja was - rzekł Harry. - Na pewno nie wciskacie mi towaru z drugiej ręki?

Hess wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Czy moglibyśmy to panu zrobić? Wie pan, ja też brałem udział w bitwie o Anglię.

- No to w porządku.

- Nie wiem, o co tu chodzi, ale powodzenia, przyjacielu. Muszę jechać. Czeka na mnie samochód, który zabierze mnie do Duxford.

Odszedł w strugach deszczu, a sierżant sprawdzający ze swoimi mechanikami hurricane'a zwrócił się do Harry'ego:

- Wygląda na sprawny, pułkowniku. Zatankujemy, zrobimy ostatni przegląd i może pan lecieć.

Harry włożył lotniczą kurtkę i buty, a potem pił herbatę i jadł kanapki, spoglądając na stojącego obok hurricane'a lysandera. Pilot robił coś w środku. Niebo zasnuło się chmurami i wyglądało na to, że nadchodzi front burzowy. Harry poszedł do operacyjnego, by sprawdzić prognozy dla Kornwalii. Na razie niebo było czyste, ale nie na długo. Kiedy wracał do kantyny, zobaczył nadjeżdżający samochód. Wysiedli z niego Munro i Jack Carter. Niespodzianką była obecność Molly Sobel.

Weszli do kantyny, a pilot lysandera poszedł za nimi.

- Ach, tu jesteś! - zawołał Munro.

- Bierzesz w tym udział, Molly? - zapytał Harry.

- Na to wygląda.

- Na wszelki wypadek - powiedział Munro. - Ryzykowna misja może pociągnąć za sobą ofiary. Lepiej mieć Molly pod ręką.

- Już major? Gratuluję! - Harry uściśnął dłoń Cartera.

- Ja tobie też.

Wszedł pilot lysandera.

- Porucznik Grant - przedstawił go Munro. - Zeszłej nocy przyleciał z Tangmere. Wykonał dla mnie niezliczoną liczbę zadań we Francji. Naprawdę zna swój fach.

Grant miał dwadzieścia dwa lub trzy lata i rudawy wąsik.

- To nasze pierwsze spotkanie, panie pułkowniku - rzekł do Harry'ego, a potem zwrócił się do Munro: - Sprawdź prognozę pogody.

- Już to zrobiłem - powiedział Harry. - Dolecimy bez kłopotów, ale zbliża się front burzowy. Noc nie będzie ładna.

Grant skrzywił się i wszedł do operacyjnego. Dyżurny sierżant przyniósł herbatę, a Harry rozpiął torbę i wyjął paczkę papierosów. Druga torba także stała na stole.

- Czy w środku jest słynny Tarquin? - spytała Molly.

- Och, słyszałaś o nim?

- Oczywiście. Mogę go zobaczyć?

- Jeśli chcesz.

Zapalił papierosa, a ona rozpięła torbę i wyjęła Tarquina. Munro i Jack zamilkli.

- O rany - mruknął Jack.

- Jest śliczny. - Molly przytuliła niedźwiadka.

- Towarzyszył mojemu ojcu we wszystkich lotach nad Flandrią w Royal Flying Corps. Dlatego nosi skrzydełka Rfc. Natomiast skrzydełka RAF-u dostał ode mnie. Zasłużył na nie.

- Wszystkie loty? - zapytał Munro.

- Wszystkie.

Molly schowała Tarquina do torby i zapięła ją, a wtedy wrócił Grant.

- Pułkownik Kelso miał rację, brygadierze. Zapowiada się kiepska pogoda.

- No cóż, a więc do dzieła - rzekł Munro do Harry'ego. - Zobaczymy się w Cold Harbour.

Lot przebiegł bez zakłóceń, ale deszcz już nadciągał od morza. Harry sprawnie posadził hurricane'a na lotnisku Cold Harbour i podkołował do hangarów. Personel naziemny wyszedł mu na spotkanie, nadal w kombinezonach Luftwaffe, ale w furazerkach RAF-u. Harry odsunął owiewkę i rzucił torby kapralowi. Kiedy wysiadł, zauważył, że fieseler storch nadal stoi w jednym z hangarów.

Przeciągnął się, zapalił papierosa. Nadjechał dżip z Julie Legrande.

- Hej, ty. Wskakuj, tylko szybko! - powiedziała, bo już zaczęło padać. - Nie wygląda to najlepiej, co?

- Kiepska prognoza pogody.

- W tamtą stronę ma być dobrze.

- Później może się zmienić. A w ogóle, jak się masz?

- Świetnie. Słyszę, że ścigają cię Jankesi?

- Tak powiadają - odparł obojętnie.

- Jesteś uparty, prawda?

- Nie, tylko zawzięty, jak mówią.

Skręciła na końcu głównej ulicy.

- Dokąd jedziemy? - zainteresował się Harry.

- Możesz nie spieszyć się do dworu. Lysander zjawi się dopiero za godzinę. Przed chwilą się dowiedziałam. Jestem potrzebna w pubie. Muszę podać lunch załodze łodzi ratunkowej, a i ty na pewno chciałbyś coś zjeść.

- Chętnie. Skąd się tu wzięła załoga łodzi? Myślałem, że wszyscy mieszkańcy wioski zostali wysiedleni?

- Zostali, ale ostatnio dużo się zmieniło. Nadal wszystko jest objęte tajemnicą, lecz załoga mieszka w chatkach, a ich rodziny niedaleko. Na farmach i w wioskach. Chłopaki odwiedzają bliskich w weekendy.

- Czy to nie ryzykowne z punktu widzenia bezpieczeństwa?

- Widać, że nie znasz tych ludzi. To zapewne najbardziej zdyscyplinowana załoga, jaką mógłbyś znaleźć. Przeważnie ochotnicy nie otrzymujący wynagrodzenia. W tym wypadku są opłacani, ponieważ zostali pozbawieni źródła utrzymania.

Zatrzymała samochód przed pubem, a Harry wysiadł i spojrzał na znak wisielca.

- Ładny. To figura tarota. Skąd go masz?

- Sama namalowałam.

- Czy tarot to twoje hobby?

- Tarot to nie hobby, pułkowniku.

- Może mogłabyś mi powróżyc - rzekł i cisnął lotniczą kurtkę do dżipa.

- To niemożliwe. Zbyt dużo o tobie wiem - odparła, odwróciła się i weszła do kuchni.

Na kominku jasno płonęły drwa. W sali było ośmiu mężczyzn; czterej grali w karty, jeden siedział przy ogniu czytając gazetę, a pozostali pili piwo przy barze.

- No, Julie, konamy z głodu! - zawołał któryś.

- Spokojnie. Byłam tu już wcześniej. Zapiekanek jest w piekarniku, razem z ziemniakami i cebulą. Zadowolony?

- Zostaw ją w spokoju albo ci wleję! - krzyknął mężczyzna czytający gazetę.

Pozostali roześmiali się.

- Może powinienes powiedzieć to jemu, Zec - zaproponował ktoś.

Wszyscy spojrzeli z zaciekawieniem na Harry'ego, a Julie zaprowadziła go do kominka.

- Zec Acland, szyper.

Acland miał trzydzieści cztery lata i był bardzo atrakcyjnym mężczyzną - energiczny, o opalonej twarzy żeglarza. Wyglądał na tego, kim był - rybaka od dziecka wychowanego na morzu.

- Pułkownik Harry Kelso - przedstawiła Julie.

- Ach, pilot hurricane'a. - Zec wyciągnął twardą jak granit rękę. - Na Boga, chłopcze, czy jest jakiś medal, jakiego nie masz?

- Kupiłem je hurtem na Camden Market w Londynie - zażartował Harry.

- No tak, oczywiście.

Pozostali zaśmiali się, a Harry ostrożnie postawił torbę na stole i usiadł.

Zec zaciekawił się.

- Masz tam coś szczególnego?

- Misia.

Zapalił papierosa. Wszyscy zamilkli, potem ktoś wybuchnął śmiechem.

- Misia?

- Rozumiem - rzekł Zec. - Maskotka?

- Nie, coś więcej. Latał z moim ojcem podczas pierwszej wojny światowej i był ze mną na wszystkich misjach.

Znów ktoś się zaśmiał, a Julie weszła za bar i napełniła dwa kufle.

- Ja pływałem w marynarce - wyjaśnił Zec. - Na okrętach torpedowych nie ma miejsca na maskotki.

Julie postawiła kufle na stole.

- Pułkownik zatopił "Orsiniego".

W pubie zrobiło się cicho. Wszyscy patrzyli na Harry'ego.

- Naprawdę? - zapytał Zec.

- Zgadza się.

- Poszło z nim na dno wielu marynarzy.

- Siedmiuset czterdziestu ośmiu. - Harry skosztował piwa. - Dobrze. Zrobiłem coś nie tak?

- Wszyscy tu jesteśmy marynarzami i większość z nas służyła w marynarce. Marynarz to marynarz, pułkownik. Obojętnie z jakiego kraju; zawsze tak będzie. Naszym wspólnym wrogiem zawsze było morze.

- Wojna, ta przeklęta wojna - mruknęła Julie.

- O to chodzi. To nie pana wina, pułkowniku, to wojna. Czy miś był tam z panem?

- O tak.

- Popatrzmy na niego.

Harry wyjął Tarquina i posadził go na barze. Nikt już nie rechotał. Zapadła cisza, a potem jeden z marynarzy, olbrzym o zmierzwionej czuprynie i brodzie, przemówił w imieniu wszystkich:

- O, ty wspaniały stary draniu. Chcę powiedzieć, że nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Stłoczyli się wokół, a Julie przechyliła się przez bar.

- Jaki ładny. Może tu trochę posiedzieć?

- Pewnie - odparł Harry. - Byle tylko przed wieczornym lotem wrócił do torby.

- Dziś wieczorem nigdzie nie polecisz, chłopcze - powiedział Zec, - Musi być gorzej, zanim zrobi się lepiej.

- Munro nie będzie zadowolony - odparł Harry.

W drzwiach stanęli właśnie Munro, Molly i Jack Carter.

- Cudowny zapach, Julie, moja droga - rzekł brygadier. - W samą porę na zapiekankę, prawda?

Późnym wieczorem, kiedy deszcz bębnił o szyby dworu, zebrali się w bibliotece wokół stołu, na którym leżały rozłożone mapy. Przed sobą mieli wielką mapę kornwalijskiego wybrzeża, obejmującą kanał La Manche i Francję.

- Tu jest nasz cel, dwie mile od wioski Grouville - wyjaśnił Munro. - Jak pan wie, Grant, zabieramy jedną osobę, pułkownika Joberta, niezwykle ważnego dla generała de Gaulle'a. Gestapo od tygodni deptało mu po piętach. Musimy go wydostać.

- Tak, ale pierwotny plan, o ile wiem, przewidywał jasną księżycową noc, żeby pułkownik Kelso mógł bez problemów osłaniać mnie od północy, tymczasem prognozy nie zapowiadają poprawy pogody.

Zec Acland odwrócił się od kominka, zapalając fajkę.

- Jak zwykle, mylą się. Powiedziałbym, że wiatry i ulewny deszcz rozproszą mgłę około

trzeciej trzydzieści do czwartej. Macie czterdzieści pięć minut lotu, tam i z powrotem. Przed świtem będzie jeszcze jasno świecił księżyc. O ile wasz pasażer może zaczekać, zabierzcie go.

- Oto przemawia doświadczenie - rzekł Munro. - Mamy kontakt radiowy. Mogę bez problemu przesunąć godzinę spotkania. Odpowiada ci to? - zapytał Harry'ego.

- Jak najbardziej. Chcę tylko przypomnieć, że o świcie będziemy dobrze widoczni.

- Po to właśnie jesteś - przypomniał mu Munro. - Skoro uzgodniliśmy wszystko, zjedźmy kolację.

Zec miał słuszość; deszcz i wiatr rozproszyły mgłę, a potem deszcz ustał i na czystym niebie ukazał się jasny półksiężyc. Grant pierwszy wystartował z lotniska. Uniósł lysandera w niebo i skrzył nad morze.

Początkowo te samoloty wyposażano w dwa dwudziestomilimetrowe działka Hispano zamontowane po obu stronach kadłuba oraz karabin maszynowy Browninga .303, lecz robiono to w czasach, kiedy te maszyny służyły jako samoloty zwiadowcze. Zmodyfikowany do zadań specjalnych lysander był teraz nie uzbrojony i zazwyczaj latał bardzo nisko, często poniżej zakresu radaru, utrzymując kurs dzięki charakterystycznym punktom topograficznym.

Harry dał Grantowi piętnaście minut, potem wystartował, wzniósł się na dwa tysiące siedemset metrów i z szybkością czterystu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę ruszył za lysanderem, błyskawicznie skracając odległość. Zobaczył go w dole, zszedł na niższy pułap i śmignął obok, znów wzbił się na siedemset i wyrównał kurs.

Minęli francuski brzeg, przelecieli w głąb lądu, po czym zobaczyli cel - światła rowerowych latarek tworzące literę L, znak często używany przez Resistance. Harry zaczął krążyć, a Grant podszedł do lądowania. Już zaczęło świtać.

Trzydzieści dwa kilometry dalej, na lotnisku polowym Fermanville, Max i dwaj inni piloci pełniący nocną służbę grali w karty, kiedy ogłoszono alarm.

- Mamy gości, mamy gości - oznajmił spokojnie kontroler lotów. - Dwa cele. Poderwijcie się szybko, to podam wam koordynaty.

Max i jego koledzy, już ubrani do lotu, wyskoczyli z baraku i pobiegli po płycie lotniska do czekających Me109. Max wziął od sierżanta spadochron i włożył go, a potem wcisnął na głowę bojowy hełm. Chwilę później jako dowódca wystartował pierwszy, a pozostali dwaj zaraz za nim.

Wraz ze świtem nadciągnęły szare chmury i deszcz tłukł o osłonę kabiny. Na tysiącu metrów Harry przelatował z chmurki w chmurkę, zataczając szerokie kręgi. Daleko w dole widział Granta. Nagle z nisko wiszących obłoków wyskoczył Me-109 i ruszył na lysandera.

Harry zanurkował. Hurricane w locie nurkowym mógł wyciągnąć sześćset czterdzieści kilometrów na godzinę. Po prawej stronie zauważył jakiś ruch i wiedział, że to następny Me-109, ale nie mógł sobie pozwolić na uniki. Najważniejszy był Lysander. Zaszedł z tyłu pierwszego Me-109, wypalił ze wszystkich czterech działek Hispano i odstrzelił mu stery. W tej samej chwili drugi Me-109 nadleciał z prawej i zasypał go pociskami, które podziurawiły Hurricane'a od nosa do ogona. Część kabiny pilota i owiewki zniknęła, a odłamek skaleczył Harry'emu policzek. Kiedy atakujący samolot przelatywał obok, Harry odbił w prawo, wykręcił beczkę i instynktownie wystrzelił z działek. Maszyna Luftwaffe eksplodowała w powietrzu.

Brzeg Kornwalii znajdował się ponad dwadzieścia kilometrów dalej. Lysander na ośmiuset metrach szybko zbliżał się do domu. Patrząc w górę, Grant widział przebieg walki. Dostrzegł również jeszcze dwie rzeczy. Hurricane ciągnął za sobą smugę dymu, a z obłoków wyskoczył trzeci messerschmitt.

- To cud! - zawołał pułkownik Jobert. - Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

- Teraz będzie potrzebował czegoś więcej niż cudu - odparł Grant i wywołał przez radio Cold Harbour. - Spodziewany czas przybycia piętnaście minut, ale Hurricane poważnie uszkodzony. Sugeruję wysłanie łodzi ratunkowej.

Max, lecący na lewym skrzydle, widział z daleka przebieg potyczki i natychmiast poznał w Angliku mistrza. Zobaczył, jak najpierw jeden, a potem drugi messerschmitt spada do morza; dokończył krąg i zanurkował, żeby wykończyć Hurricane'a, który ciągnął za sobą gęstą smugę dymu. Zaszedł go z tyłu i powtórzyła się ta sama historia, co z Lancasterem.

Max zmniejszył ciąg i zrównał się ze zwalniającym Hurricane'em. Miał zapasowy kanał łączności przeznaczony do podsłuchiwania na częstotliwości RAF-u i teraz użył go.

- Hej, Tommy, nieźle walczyłeś, ale teraz wyskakuj albo skończysz jako przypalony stek.

Zmagający się ze sterami Harry bez trudu rozpoznał ten głos. Instynkt podsunął mu odpowiedź.

- Cześć, Max. Długo się nie widzieliśmy.

- Wielki Boże, Harry, to ty! - zawołał Max, a Hurricane zaczął tracić pułap. - Myślisz, że dociągniesz do brzegu?

- Mało prawdopodobne, ale spróbuję. - Harry'ego bolała twarz. - Ciężko utrzymać tę starą sukę w powietrzu. Co u Mutti?

- Rany boskie, Harry.

- Powiedz jej, żeby uważała. Z tego, co słyszę, Himmler tylko czeka na okazję.

- Uważaj, Harry, uważaj! Odpadają ci kawałki kadłuba!

W radioodbiorniku rozległ się głos Zeca Aclanda.

- Tu łódź ratownicza "Lively Jane" z Cold Harbour. Jesteśmy w drodze, Kelso. Podaj mi twoją pozycję.

W tej samej chwili radiostacja zaczęła dymić i zamilkła.

Silny wiatr rozkołysał morze i odświeżył powietrze, gdy "Lively Jane" gnała z pełną szybkością, podskakując na falach. Ta mierząca czternaście metrów łódź typu Watson ważyła piętnaście ton. Napędzały ją dwa silniki o mocy trzydziestu pięciu koni mechanicznych. Miała ośmioosobową załogę i w czasie kiepskiej pogody mogła wziąć na pokład pięćdziesięciu ludzi. Była również samoprostująca, co oznaczało, że w razie wywrotki powinna wrócić do pionu. Cała załoga stała na stanowiskach, a Zec za kołem sterowym w tylnym kokpicie. Molly tkwiła przy nim w sztormiaku i żółtej kamizelce ratunkowej; obok na pokładzie postawiła apteczkę.

- Czy jest jakaś szansa, Zec?

Upadła na kolana, gdy "Lively Jane" ostro skręciła na prawą burtę, wspinając się na górę zielonej wody. Zec jedną ręką podniósł dziewczynę.

- Mam tu co robić i nie mam czasu cię pilnować. Zejdź pod pokład z tą swoją skrzynką i módl się.

Zrobiła, jak kazał, a Zec zmniejszył szybkość i walczył z falami.

- Płomienie, Harry. Widzę płomienie! - Max zmniejszył ciąg i trzymał się w pobliżu Harry'ego.
- Musisz wyskoczyć, stary, inaczej spłoniesz.

Śmierć w płomieniach była najgorszym koszmarem każdego pilota. Harry opadł już na pięćset metrów.

- Chyba masz rację. Miło było pogadać, Max. Może nie będziemy tak długo czekać z następnym spotkaniem.

Znowu tak jak pod Folkestone. Złapał uchwyt torby, odsunął osłonę kabiny i rozpiął pas. Smród spalenizny dusił, a płomienie lizały mu buty. Harry odwrócił hurricane'a na plecy i wypadł.

Przez radio nadleciał głos Zeca Aclanda.

- Jesteś tam? Możesz podać mi swoją pozycję, pułkowniku?

Max włączył się.

- Słuchajcie. Mówi wasz przyjaciel z Luftwaffe. Pilot właśnie wyskoczył. Zanotujcie pozycję.

Podał ją i przeszedł w długi lot nurkowy, w ślad za opadającym po prawej spadochronem.

Zaczął padać deszcz przywiany znad Atlantyku i morze pokrył okropny dywan spienionych fal. Mój Boże - pomyślał Max - już po nim. Nigdy go nie znajdą. Potem wpadł mu do głowy pewien pomysł, jedyna szansa. Sięgnął po woreczek z barwnikiem, który miał na lewym kolanie. Oderwał go, odsunął owiewkę i zszedł niżej.

Harry wpadł w fale, zanurzył się, nadmuchał maewestkę, wypłynął na powierzchnię i z trudem zdołał pozbyć się spadochronu. Wpadł w bruzdę między falami, tak głęboką, że zasłoniły mu wszystko, a potem uniósł się na grzbiecie grzywacza tak wysoko, że pod ciemnymi sztormowymi chmurami ujrzał pofalowaną powierzchnię morza - aż po horyzont.

Me-109 był nad nim po lewej, kilkaset metrów dalej i tylko kilkadziesiąt metrów wyżej. Harry zastanawiał się, co też jego brat zamierza, a wtedy Max na minimalnym ciągu przeleciał niewiarygodnie nisko, zaledwie trzydzieści metrów nad nim. Idealnie wybrawszy moment, wychylił się z kabiny i rzucił woreczek z barwnikiem. Woreczek upadł zaledwie szesnaście metrów od Harry'ego i na powierzchni morza zaczęła rozszerzać się żółta plama.

Harry podpłynął do niej, a Max zwiększył szybkość, ściągnął stery, wspiał się na trzysta metrów i zaledwie o milę dalej na północ zobaczył "Lively Jane".

Ktoś z załogi krzyknął ostrzegawczo, gdy nad łodzią śmignął czarny samolot z krzyżem na kadłubie i swastyką na ogonie. Max wezwał ich przez radio.

- Wzywam "Lively Jane." On jest milę dalej na południe. Rzuciłem farbę, więc szukajcie żółtej plamy. Będę krążył wokół niego, dopóki nie podejście, tylko spieszcie się albo poślę was na dno.

- Dobra, draniu. Nie wiem, w co grasz, ale zaraz tam będziemy - odparł Zec i Max zawrócił.

Zec był tak zaprzątnięty poszukiwaniami, że zaskoczył dopiero po chwili: dlaczego pilot Luftwaffe mówił po angielsku?

Boże, jak zimno, zimniej niż pod Folkestone. Harry zapadał między fale i wynurzał się jak korek, ciągnąc za sobą wodoszczelną torbę na linie.

- Niedobrze, kolego, niedobrze - mruknął, przyciągając torbę, a wtedy usłyszał ryk silnika i podniósł głowę.

Max nadleciał na małej wysokości i pomachał skrzydłami, zawrócił i znów nadleciał.

- Przeklęty głupiec - szepnął Harry. - No już, zjeżdżaj stąd, Max, dopóki masz jeszcze dość paliwa.

Żółta plama rozeszła się szeroko rozproszona przez silną falę, a on pływał niemal dokładnie w jej środku. Kiedy ponownie uniósł się wysoko, sto metrów po lewej ujrzał "Lively Jane". Opadł w dół i wzleciał na grzbiecie fali, a potem tuż obok zobaczył burtę łodzi ratunkowej.

Boże, jaki był zmęczony. Spróbował podплыwać, ale już byli przy nim. Dwaj członkowie załogi, przywiązani linkami bezpieczeństwa, wyskoczyli za burtę i wzięli go między siebie, spuszczone drabinkę, a potem wiele rąk wciągnęło go na pokład. Po chwili klęczał przy sterówce na rufie, zwracając słoną wodę.

Molly klęczała przy nim.

- Masz paskudnie rozciętą twarz. Zejdźmy pod pokład.

- Hej, macie go? - zatrzeszczało w głośniku radiostacji.

- Tak, dzięki tobie - odparł Zec. - Kimkolwiek jesteś.

Harry wyciągnął drżącą rękę.

- Daj mi mikrofon - rzekł i chwycił go. - Max, to ja.

- Kocham cię, Harry.

- Ja ciebie też. Pamiętaj, co powiedziałem. Powiedz Mutti, żeby uważała.

Me-109 zawrócił, wspiął się w pochmurne niebo i zniknął jak duch.

Ktoś z załogi podniósł Harry'ego na nogi, a Molly objęła go.

- Kto to był, do diabła? - pytał Zec. - W co on pogrywał? Mówił jak Amerykanin.

Zmarszczył brwi.

- Hej, on mówił tak jak ty!

- Nic dziwnego - rzekł Harry. - To był Max, mój brat bliźniak.

W porze śniadania Harry siedział w szlafroku w izbie chorych, rozluźniony po zastrzyku morfiny podanym mu przez Molly, która oglądała jego lewy policzek.

- Niedobrze?

- Mogło być gorzej.

- Szpital?

- Więcej wiary. Jestem naprawdę zręcznym chirurgiem. Poza tym to kwalifikuje się do zabiegu ambulatoryjnego. Nie ruszaj się, to cię pozszywam. Dziesięć szwów powinno wystarczyć. Będziesz miał interesującą bliznę, Harry. Spodoba się dziewczętom.

- Spadaj.

- Nie mam zamiaru. A teraz zamknij się i siedź spokojnie.

Po chwili otworzyły się drzwi i zajrzał Munro.

- Mogę wejść?

- Patrz i ucz się - rzekł Harry. - Domyślam się, że Grant i pułkownik dotarli na miejsce.

- Oczywiście, a po zatankowaniu paliwa polecili do Londynu. Jack zabrał się z nimi. Pułkownik był olśniony. Powiedział, że jesteś niezrównanym bohaterem i zamierza poprosić de Gaulle'a, żeby zrobił cię kawalerem Legii Honorowej.

- O nie - jęknął Harry.

- Trzymaj się. Właśnie rozmawiałem z Teddym Westem i podałem mu wszystkie szczegóły operacji. Stwierdził, że natychmiast wystąpi z wnioskiem o nadanie ci Dso.

- Jeszcze gorzej.

- Jest z ciebie dumny, Harry. Jesteś jakby jego protegowanym. A także przyjacielem. - Podeszedł do drzwi i otworzył je. - Ja również. Jesteśmy po twojej stronie. Zobaczymy się później.

- Widzisz - mruknęła Molly, zakładając ostatni szew. - Zawsze zachowujesz się tak, jakbyś był sam. To nieprawda. Masz Maxa i Zeca, Munro i wicemarszałka Westa.

- I ciebie.

- Och, tego nie musisz mówić. Jestem biedną dziewczyną, która kręci się koło ciebie, robiąc cięlice oczy.

Zanim zdążył odpowiedzieć, weszła Julie.

- Jak się ma nasz cudowny chłopak?

- Odrobina morfiny, dziesięć szwów i jest jak nowy. Zaraz zejdzie na śniadanie.

- Mam problem - rzekł Harry, wstając. - Nie wziąłem zapasowego munduru. Podejrzewam, że ten, który miałem na sobie, jest do niczego.

- Zobaczę, co mamy w magazynie - obiecała Julie. - Można tam znaleźć wszystko.

Harry i Molly poszli za nią. Przeszli korytarzem, a Julie otworzyła drzwi na jego końcu i weszła. Była to istna jaskinia Aladyna; na ogromnym stole leżały rzędy pistoletów i broni automatycznej. Na wieszakach wisiały wszelkie możliwe rodzaje brytyjskich i niemieckich mundurów, oraz męskie i damskie cywilne ubrania.

- Wszystkie są francuskie - wyjaśniła Julie. - Dajemy je agentom zrzuconym nocami nad Francją. Zobaczmy lotnicze. Porucznik Luftwaffe. Nie nadaje się. O, tu jest mundur RAF-u i chyba nawet twój rozmiar. Niestety, tylko podporucznika.

- Daj mu po prostu miękki, ciepły sweter i jakieś spodnie - poradziła Molly. - Zje porządny obiad i wypije ze dwa kieliszki czerwonego wina, a potem położę go do łóżka.

Julie wzruszyła ramionami.

- Weź, co chcesz, Harry. Jest tu wszystko. Bielizna, koszule, buty i skarpetki.

- Zobaczymy się w bibliotece - powiedziała Molly i wyszła za nią.

Zeszły do kuchni, gdzie Julie zajęła się przygotowaniem śniadania.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała Molly.

- Nie za bardzo. - Julie sprawdziła kurczaka w piekarniku. - On nie jest dla ciebie - dodała, nie odwracając się.

- Nie jest dla nikogo - odparła Molly.

- To dlaczego zawracasz sobie nim głowę? Wciąż żyje w pożyczonym czasie.

- Mamy wojnę, Julie. Bierze się to, co się da.

- Wybór należy do ciebie, chérie.

- Niezupełnie. Widzisz, nie mam żadnego wyboru.

Podczas wspaniałego obiadu, jaki przygotowała Julie, Munro był duszą towarzystwa, grając

rolę dobrego wujaszka.

- Jak się ma twój ojciec? - zapytał Molly. Potem zwrócił się do Harry'ego. - Generał major Sobel jest w sztabie Ike'a, odpowiada za koordynację działań floty i lotnictwa.

- Nieźle - skomentował Harry. - Od jak dawna?

- Od miesiąca - wyjaśniła Molly.

- Czy nie pracował wcześniej w Ministerstwie Wojny?

- Zgadza się.

- Hmm, to musi sporo wiedzieć o koordynowaniu działań floty i lotnictwa.

Rozgniewała się.

- Mój ojciec ma pięćdziesiąt lat, a więc trochę za dużo na loty bojowe. Tak się składa, że w szesnastym roku robił to samo co twój, tyle że na francuskich samolotach. Lafayette Escadrille. Chyba miał wtedy dwadzieścia jeden lat.

- Nie wiedziałem.

- Nie wiesz o wielu rzeczach, Harry.

Wstała i wyszła.

- Ale się popisałeś - jęknęła Julie.

- Och, do diabła z tym. Czuję się paskudnie - przyznał. - Idę spać - powiedział i wyszedł.

Później, zaciągnąwszy zasłony, leżał w łóżku oparty na poduszkach i palił papierosa. Skrzypnęły drzwi i po chwili Molly wślizgnęła się pod kołdrę.

- Grant wróci późnym popołudniem na lysanderze.

- To dobrze.

Objął ją ramieniem.

- Co z nami będzie, Harry?

- Bóg wie - odparł i mocno przytulił ją w ciemności.

Dwa dni później w Londynie Harry - znów mieszkający u Munro - pojechał taksówką do Guy's Hospital, gdzie był umówiony w ambulatorium z Molly. Zgłosił się w recepcji i usiadł na ławce. Wokół roilo się od ludzi i większość miejsc była zajęta, lecz po chwili podeszła do niego pielęgniarka.

- Tędy, pułkowniku.

Poszedł za nią długim korytarzem do sali operacyjnej. Molly, w białym fartuchu, siedziała na leżance.

- Jesteś. Spójrzmy na to. Zawiadom profesora Josepha, że jestem gotowa - powiedziała do pielęgniarki.

- Będzie bolało? - zapytał Harry.

- Zawsze boli, więc zrobimy to jak najszybciej.

Jednym zręcznym ruchem oderwała przylepiec.

- Nie było tak źle, prawda?

- Diabła tam, nie było.

Otworzyły się drzwi i wszedł siwobrody, sympatyczny mężczyzna w białym fartuchu.

- No dobrze, Molly, co tu mamy?

- Pułkownik Harry Kelso został lekko ranny w walce powietrznej - wyjaśniła. - Wpadł potem do morza, więc rana została dobrze zdezynfekowana.

- Popatrzmy.

Obejrzał policzek Harry'ego i pokiwał głową.

- Bardzo dobrze, Molly. Powinnaś zająć się szydełkowaniem. Oczywiście pozostanie panu trwała blizna, pułkowniku.

- Jakoś się z tym pogodzę, jeśli Molly to nie przeszkadza.

- A więc to tak? Wspaniale. - Joseph objął Molly. - Tylko niech nam pan jej jeszcze nie

zabiera, pułkownika. Jest wojna, pamiętajcie.

Wyszedł.

- Nie zakleję ci tego plastrem - zakomunikowała Molly. - Szczególnie po tej kąpieli w słonej wodzie. Już zaczyna się goić, więc niech powietrze ma do niej dostęp. - Chwyciła jakąś puszkę. - Trochę antyseptycznego spreju i wszystko będzie dobrze.

- I co teraz? Masz czas na lunch? - spytał, kiedy skończyła.

- Właściwie mam teraz wolne, ale odebrałam telefon od wuja. Czeka na ciebie w Haston Place. Wicemarszałek West chce z tobą porozmawiać.

- W porządku. Może zjemy lunch później.

- Zobaczymy. Zaraz wracam - odparła i odeszła.

Przy Haston Place weszli schodami do drzwi mieszkania, a kiedy zadzwonili, otworzył im Jack Carter. Pocałował dziewczynę w policzek, a potem uścisnęli sobie ręce z Harrym.

- Miło, że jesteś cały.

- Ja też się z tego cieszę.

Carter zaprowadził ich do saloniku, z którego dobiegał głośny śmiech. Zastali tam Munro, Westa i amerykańskiego generała majora ze skrzydełkami pilota. Największą niespodzianką była obecność siedzącego pod wykuszowym oknem generała Eisenhowera.

- Co to, spisek? - zapytał Harry.

- Wcale nie - odparł Munro. - Molly nie miała pojęcia, że będzie tu głównodowodzący.

- Przepraszam, Harry - mruknęła, podeszła do generała majora i pocałowała go w policzek. - Cześć, tato.

Eisenhower wstał i wyciągnął rękę.

- Pułkowniku, jest pan niezwykłym człowiekiem. Chyba nie zna pan ojca Molly, Toma Sobela.

Sobel był mężczyzną średniego wzrostu, z czarnymi wąsami i włosami bez śladu siwizny. Miał twarz, jaką często miewają nie znoszący cienia sprzeciwu wysokiej rangi wojskowi. Mocno uścisnął dłoń Harry'ego.

- Spotkanie z tobą to dla mnie zaszczyt, synu.

- No dobrze, skoro skończyliśmy już z uprzejmościami, przystąpmy do rzeczy - rzekł Eisenhower. - Dałem ci tydzień.

- Powiedziałem panu, co o tym myślę, generale.

- Posłuchaj - powiedział Sobel. - Podczas pierwszej wojny byłem w dywizjonie Lafayette i kiedy nasi przystąpili do wojny, też nie chciałem się przenieść, ale zrobiłem to, ponieważ byłem potrzebny. Tak jest też w twoim przypadku. Wspaniale służyłeś w RAF-ie, ale czas, abyś włożył mundur swego kraju.

Zapadła cisza.

- Mogłbym wydać ci rozkaz - stwierdził Eisenhower.

- Zgodnie z umową między naszymi siłami powietrznymi amerykański personel powinien zostać przeniesiony i ma otrzymać amerykańskie mundury oraz równorzędne stopnie, ale po zakończeniu przepisowej tury lotów w RAF-ie - wtrącił gładko West. - O ile wiem, pułkownikowi Kelso zostało jeszcze kilka lotów.

Eisenhower przeszył go spojrzeniem.

- W porządku, powiedzcie mi najgorsze.

- Pułkownik Kelso właśnie rozpoczął turę lotów w naszym dywizjonie do zadań specjalnych.

- Ile misji? - zapytał Sobel.

- Wykonał jedną, a ponieważ w dywizjonach specjalnych tura składa się z sześćdziesięciu lotów, zostało mu jeszcze pięćdziesiąt dziewięć. Oczywiście, w ramach tych zadań będzie również przewoził pana, generale.

Eisenhower obrzucił Westa przeciągłym spojrzeniem, a potem ryknął śmiechem. Nawet Sobel się roześmiał.

- Ty szczywany lisie. I pan też, brygadierze. W porządku, wygraliście, ale dziś chcę go widzieć w amerykańskim mundurze.

Zwrócił się do Harry'ego.

- To rozkaz, pułkownika.

Munro uśmiechnął się.

- Już się tym zajęliśmy, generale. Wicemarszałek West i ja rozmawialiśmy wczoraj z krawcem pułkownika Kelso. Zgodził się na ekspresową usługę.

Eisenhower był ubawiony.

- Wy dwaj nie zapominacie o niczym, kiedy bierzecie się do roboty.

- No cóż, chcieliśmy, żeby dobrze wyglądał. Jak pan generał wie, pułkownik o trzeciej ma stawić się w hotelu "Connaught", aby otrzymać Legię Honorową z rąk generała de Gaulle'a.

- Mój Boże - jęknął Harry.

- A jutro rano o jedenastej w Buckingham Palace, po drugi Dso.

Eisenhower ponownie się uśmiechnął.

- Powiedziałbym, że to chyba całkowicie zamyka tę sprawę.

- Jeśli masz czas, przed powrotem do szpitala idź z nim na Saville Row i upewnij się, że nie spartaczyli - poradził Molly Munro. - Chcemy, żeby dobrze wyglądał u de Gaulle'a. Generał jest bardzo drobiazgowy.

- Możecie wszyscy iść sobie do diabła - burknął Harry i wyszedł, a Molly wybiegła za nim.

- Proszę mieć go na oku, pani doktor! - zawołał za nimi Ike.

Krawiec z Saville Row, stary pan Crossley oraz jego asystent George wyłożyli na ladę cały towar.

- Obawiam się, że większość tego to gotowa konfekcja, pułkowniku - zaśmiał się Crossley. - Najmocniej przepraszam.

- Nic nie szkodzi.

- Przygotowałem dwa mundury z bluzami. Ale wiedząc, że w RAF-ie zawsze lubił pan battledressy, uszyłem dwa podobne stroje, takie jakie nosi wielu amerykańskich pilotów. Och, dodaliśmy też wszystkie pańskie baretki, są umocowane na kilku zatrzaskach.

Harry spojrział.

- Trochę się pospieszyliście. Widzę, że dodaliście Legię Honorową i baretkę Dso.

- Wkrótce je pan dostanie, a w ten sposób zaoszczędzi pan czas.

- Przymierz - poprosiła Molly. - Zobaczmy, jak wyglądasz.

Wyszedł z George'em. Kiedy wrócił, miał na sobie kremowe spodnie i kurtkę z rodzaju tych - jak powiedział Crossley - jakie nosiło wielu oficerów amerykańskich sił powietrznych. Na piersi nad medalami RAF-u przyszyto srebrne skrzydełka pilota. Na prawej piersi miał emblemat RAF-u.

- Bardzo ładnie - skostatował Crossley. - Furażerka czy czapka z daszkiem?

- Chyba obie.

Harry poprawił furażerkę na jasnych włosach i posępnie spojrział w lustro.

- To nie ja.

- Nonsens, wyglądasz cudownie - zaprzeczyła Molly. - Po prostu olśniewająco.

- Jeszcze jedno, pułkowniku. Tutaj powinno być kilka amerykańskich baretek, które może pan nosić teraz, kiedy jest pan już wśród swoich rodaków. Sprawdzę to. Uzupełnimy ten brak.

Molly zerknęła na zegarek.

- Musimy iść. Czeka na nas generał de Gaulle. Proszę przysłać wszystko na Haston Place, panie Crossley.

- Tak zrobię, pani doktor. George, drzwi.

Wyszli na blade słońce i wzięła go pod rękę.

- Jak powiadają Anglicy, wyglądasz absolutnie wystrzałowo, więc rozchmurz się.

Zatrzymała taksówkę.

Generał de Gaulle wyprowadził się z apartamentu sto trzy hotelu "Connaught" w czterdziestym trzecim roku, ale pokoje zawsze były gotowe na przyjęcie jego oficerów.

- Zaczekam - powiedziała Molly, gdy doszli do recepcji.

- Diabła tam. Głównodowodzący kazał ci mieć mnie na oku, więc powinnaś to robić. - Harry skinął na recepcjonistę. - Harry Kelso i doktor Sobel do generała de Gaulle'a. Jesteśmy oczekiwani.

- Tak, wiem, pułkowniku. - Recepcjonista podniósł słuchawkę telefonu.

Harry i Molly czekali.

- Uwielbiam to miejsce - stwierdziła. - Nazywało się "Coburg"... Miało coś wspólnego z księciem Albertem i królową Wiktoria, ale pod koniec pierwszej wojny król Jerzy zakazał używania

niemieckich nazwisk członków królewskiej rodziny, więc zmieniono nazwę hotelu z "Coburg" na "Connaught".

- Człowiek wciąż się czegoś uczy.

Pojawił się młody francuski kapitan.

- Pułkownik Kelso? - spojrzał niepewnie na Molly. - Ta młoda dama jest z panem?

- Tak, na rozkaz generała Eisenhowera. To doktor Sobel.

- Ach, rozumiem. - Kapitan posłał jej czarujący uśmiech. - Proszę za mną. - Kiedy szli po schodach, dodał: - Pułkownik Jobert czeka w dawnym apartamencie generała. Pragnie osobiście panu podziękować.

Dotarli do drzwi z numerem 103, kapitan otworzył je i wprowadził ich do środka. Generał de Gaulle siedział pod oknem przy stoliku, na którym stało pudełeczko z marokańskiej skóry. Pułkownik Jobert, w mundurze, stał w pobliżu. Podbiegł do Harry'ego i uściskał go.

- Widzę, że już nie major, ale podpułkownik. Jest pan niezwykłym człowiekiem. Do końca życia będę wspominał pański bohaterski czyn. Uratował mi pan życie.

- Czy mogę przedstawić doktor Sobel? Jest tu na polecenie głównodowodzącego.

- Ponieważ pułkownik był niedawno ranny, uznaliśmy to za niezbędne - wtrąciła Molly.

- Ojciec pani doktor to generał major Sobel ze sztabu Eisenhowera - wyjaśnił Harry Jobertowi.

- Wspaniale. - Francuz zwrócił się do de Gaulle'a, który zapalał papierosa i nie poświęcał im najmniejszej uwagi. - Za pozwoleniem, generale?

Generał de Gaulle kiwnął głową, a Jobert otworzył pudełko, wyjął order Kawalera Legii Honorowej i przypiął do munduru Harry'ego. Ucałował go w oba policzki, cofnął się o krok i zasalutował.

- Republika dziękuje panu, pułkowniku, ale teraz proszę nam wybaczyć. Tak wiele jest do zrobienia - przemówił dopiero teraz generał de Gaulle.

Harry zasalutował mu niedbale, odwrócił się do Molly i skinął głową. Kapitan otworzył drzwi, a oni wyszli, dotarli do schodów i parsknęli śmiechem.

- "Republika dziękuje panu" - powtórzyła grubym głosem. - Ten człowiek nikogo nie lubi. Nie zna poczucia wdzięczności. Sprawia mnóstwo kłopotów Winstonowi i Eisenhowerowi.

Harry usiłował odpiąć medal.

- To cholera nie chce się odczepić.
- Harry, pozwól. Jest taki ładny. Daj mi pudełko.

Kiedy zeszli na dół, schowała medal, zamknęła pudełko i podała mu je.

- Zatrzymaj to. Na pamiątkę.

- Nie bądź głupi.

- Nalegam. W końcu, niedługo dostanę następny. O jedenastej, w pałacu. Przyjdiesz?

Wpuszczają gości.

- Harry, ogromnie bym chciała. - Molly była bardzo poruszona i chwyciła go za rękę, gdy stali na chodniku. - Muszę jednak cię zostawić.

W pobliżu zatrzymała się taksówka, z której ktoś wysiadł, a Molly natychmiast pomachała do kierowcy.

- Mam wieczorny dyżur w szpitalu, a one często przeciągają się o kilka godzin.

- Nie martw się, zdążysz. O jedenastej. Nie zapomnij.

- Jakżebym mogła?

Pocałowała go w policzek, wsiadła do taksówki i odjechała.

Mogła się tego spodziewać. Do północy wykonała trzy operacje i kompletnie wykończona padła na łóżko w dyżurce. O ósmej wstała, wzięła prysznic, zjadła śniadanie w kantynie i już miała wyjść, gdy przez interkom wywołano jej nazwisko.

- Doktor Sobel wzywana do izby przyjęć.

Młody żołnierz po pijanemu wpadł pod autobus. Lewe płuco przebite przez złamane żebro.

- Sala trzecia. Przygotujcie go. Zaraz tam będę.

Zabrano wózek z żołnierzem, a Molly chwyciła najbliższy telefon i zadzwoniła do domu. Odebrał jej wuj.

- Munro.

- To ja i mam urwanie głowy. Kilka nagłych przypadków. Przepróż w moim imieniu Harry'ego.

- Zrobię to, nie martw się.

W tym momencie do saloniku wszedł Harry, wystrojony na niezwykłą okazję.

- O rany, wyglądasz wspaniale - rzekł Munro. - Mam złe wieści z frontu medycznego. Nie będzie mogła przyjść.

- Naprawdę? - Harry wzruszył ramionami. - Dobrze mi tak, dlaczego zadaję się z lekarką. Lepiej już pójdę. Mam ochotę się przejść.

Znalazł i włożył wojskowy płaszcz dostarczony przez Crossleya, po czym wyszedł. Nie padało, chociaż niebo wyglądało tak, jakby w każdej chwili miało zacząć. Harry palił papierosa i spacerował bez celu, czując się samotny, myśląc o Maksie i potyczce przy brzegach Kornwalii. Jego głos. "Mówił tak jak ty" - powiedział Zec Acland. I nic dziwnego. Max z pewnością przekazał już wiadomość matce. Zapewniał, że to zrobi. Harry pomyślał o Elsie. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo chciałaby być tego ranka w pałacu.

Zatrzymał taksówkę.

- Buckingham Palace.

Zapalił papierosa, a taksówkarz zapytał:

- Dają panu medal, czy co, szefie?

- Nie, nic takiego.

- No pewnie, chcę powiedzieć, skoro jest pan Jankesem.

- Ma pan absolutną rację - mruknął Harry i wygodnie usadowił się na fotelu.

Lało jak z cebra, kiedy wychodził przez pałacową bramę. Pilnujący jej policjant zsalutował. Harry oddał honory i zawahał się na widok gęstego tłumu, a wtedy - tak samo jak przedtem - tuż obok stanął służbowy samochód i z okna wyjrzał Munro.

- No już, wsiadaj.

Harry wgramolił się do środka i zatrzasnął drzwi.

- Dlaczego mam wrażenie deja vu?

- Próbowaliśmy dotrzeć tu wcześniej. Chcieliśmy ci towarzyszyć, ale zatrzymano mnie w ministerstwie. No już, pokaż.

Harry wyjął pudełko i otworzył je.

- Taki sam jak poprzedni.

- Nigdy nie jest taki sam, Harry. Co powiedział król?

- Powiedział, że chyba wejdzie mu to w nawyk, a wtedy królowa Elżbieta dodała: "Widzę, że przeszedł pan do innego obozu".

- Hmm, to miłe. - Munro klepnął w ramię sierżanta prowadzącego samochód. - Znajdź jakiś porządny pub, Jack, w którym major... do licha, pułkownik i ja moglibyśmy to uczcić. Przykro mi, że nie możesz nam towarzyszyć, ale prowadzisz.

Harry wyjął z portfela piątkę, wyciągnął rękę i wsunął go sierżantowi do kieszeni na piersi.

- Nadrobisz to wieczorem, Jack.

- Boże, pułkowniku, za to nie wytrzeźwieję przez tydzień.

- Czy Eisenhower wie, że Max mnie uratował? Pytam, ile osób o tym wie?

- Tylko moi ludzie, drogi chłopcze. Wolę, żeby to się nie rozniosło. Nawet nie wspomniałem o tym w moim oficjalnym raporcie. Skoczyłeś na spadochronie, a "Lively Jane" ocaliła twój tyłek. Koniec pieśni.

Jack zatrzymał samochód przed pubem "Grenadier" w pobliżu St. James Palace. Przed porą lunchu było tu miło i niezbyt tłoczno. Munro, także w mundurze, podszedł do baru. Podwinięte rękawy właściciela odsłaniały liczne tatuaże.

- Czym mogę służyć, brygadierze?

- Pułkownikowi, właśnie przeniesionemu do swoich z RAF-u, czterdzieści minut temu Jej Wysokość przypięła do szerokiej piersi drugi DSO - rzekł bez ogródek Munro. - Chcemy to uczcić. Wiem, że nie ma mowy o szampanie, ale...

- Czemu nie, dla panów się znajdzie. Przypadkiem mam jeden w lodówce, obiecany majorowi grenadierów z Kensington Palace. Będzie musiał poczekać. Ja byłem marynarzem, bosman matem artylerzystą podczas pierwszej wojny. Siadajcie, panowie.

Zajęli miejsca przy oknie i Munro poczęstował Harry'ego papierosem.

- No i widzisz. W końcu jednak włożyłeś na siebie ten jankeski mundur.

- Na to wygląda.

Szynkarz nadszedł z kubelkiem lodu, butelką i dwoma kieliszkami.

- Moet, panowie, mam nadzieję, że może być.

- Nie - odparł Harry - o ile nie weźmie pan trzeciego kieliszka i nie dołączy do nas.

- Nie wiem, czy mi wypada, pułkowniku.

- Będzie nam bardzo miło - stwierdził Munro. - Niech pan będzie porządnym facetem i pozwoli, że odkorkuję butelkę, zanim wróci pan z kieliszkiem.

Wprawnie wyjął korek i zaczął nalewać w chwili, gdy wrócił właściciel. Munro napełnił mu kieliszek i podniósł swój.

- Za pułkownika Kelso i za pana, bosmanie, a pozwolicie, że i za mnie? Za dzielnych ludzi, którzy nade wszystko przedkładają obowiązek.

Gospodarz zarumienił się z zadowolenia.

- Och, dziękuję, brygadierze. Pańskie zdrowie. - Zawahał się. - Jeśli macie ochotę coś zjeść, moja żona robi smaczną zapiekankę z mięsa i ziemniaków. Wszyscy to zamawiają.

- Brzmi zachęcająco - rzekł Munro. Zwrócił się do Harry'ego. - Odpowiada ci to, Harry?

- Pewnie.

Właściciel zniknął w kuchni. Weszli czterej żołnierze, zobaczyli Munro oraz Harry'ego i pospiesznie się wycofali. Munro ponownie napełnił kieliszki szampanem.

- Wczoraj po twoim wyjściu Ike stwierdził, że jego zdaniem zrobiłeś już swoje i nie ma mowy o lotach bojowych. Kurierskie zadania nad południowymi hrabstwami mogą być, wożenie go lysanderem także, ale takie eskapady jak ta ostatnia są wykluczone.

- Ty też tak mówisz? Koniec ze specjalnymi misjami?

- Nie trzeba go drażnić. Wielki Boże, człowieku, czy ty nie potrafisz usiedzieć spokojnie? Odpocznij chwilę.

Właściciel wrócił, niosąc na tacy zapiekankę i sztucce.

- Proszę, panowie.

Munro przeciął skórkę i spróbował.

- Czysta rozkosz. Jakbym znów był chłopcem i chodził do Eton.

Harry poszedł za jego przykładem i skinął głową.

- Wiecie, przez cztery i pół roku, od kiedy tu jestem, kilka najlepszych posiłków zjadłem w

pubach. A więc pozostały mi tylko misje kurierskie?

- Tego nie powiedziałem, Harry. Jesteś bardzo, bardzo dobry. Umiesz latać na wszystkim, nawet na większości maszyn Luftwaffe. Jesteś niezwykły.

- Zatem nie skreślasz mnie?

Munro ponownie nalał do kieliszków, opróżniając butelkę.

- Mój drogi chłopcze, przecież jest wojna.

Harry tak szybko zniszczył oba Me-109, że kontroler lotów w Fermanville nie miał pojęcia, co zaszło, a ponieważ nie monitorowano drugiego kanału łączności, rozmowa Maxa z Harrym, a później z Zecem Aclandem nie została podsłuchana. Po powrocie opowiedział prostą historyjkę. Podjęli poszukiwania, jego towarzysze pierwsi nawiązali kontakt z wrogiem. Widział, jak spadli do wody i hurricane też. Nie wspominał o lysanderze. Bajeczkę zaakceptowano bez zastrzeżeń. W końcu, któż podważałby słowa Czarnego Barona?

Wróciwszy do Berlina, dowiedział się, że Elsa przebywa w domku na wsi, i pojechał tam. Jak zawsze, nie posiadała się z radości na jego widok i robiła wiele zamieszania.

- Daj spokój, Mutti, nic nie mów. Mam ci coś do powiedzenia.

Kiedy skończył, siedziała patrząc ze zdumieniem.

- O mój Boże, Max. To cud.

- Owszem, wyszedł z tego cało i tylko to się liczy, ale to, co powiedział o Himmlerze... jak myślisz?

- Skąd mógłby wiedzieć?

- Mogę tylko zgadywać. Osłaniał samolot typu Lysander, który zrzuca i zabiera alianckich agentów we Francji. To oznacza dywizjon do zadań specjalnych, a więc wywiad. Tylko to przychodzi mi do głowy.

Po raz pierwszy naprawdę wpadła w panikę.

- I co mam robić?

- Uważać, Mutti, bardzo uważać. Widuj się z Goringiem, bądź czarująca dla innych, a jeśli fuhrer zagadnie cię przy jakiejś okazji, okaż, jak bardzo go podziwiasz. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

Miała łzy w oczach.

- Przykro mi, Max, tak mi przykro.

- W porządku, Mutti, wszyscy popełniliśmy błąd. Po prostu. Stworzyliśmy potwora, który teraz może nas połknąć.

Trzy dni później było ciemno, kiedy Bubi Hartmann leciał do Wewelsburga, osobiście pilotując storcha. Wylądował na lotnisku polowym, gdzie czekał na niego mercedes z kierowcą.

Nie miał pojęcia, dlaczego Himmler chce się z nim widzieć. Reichsführer od tygodnia odpoczywał w Wewelsburgu. Zamienił zamek w istny esesmański raj, włącznie z okrągłym stołem i krzesłami dla dwunastu najbardziej zaufanych doradców, wzorując się na legendzie o królu Arturze i jego dwunastu rycerzach Okrągłego Stołu, na punkcie której miał obsesję. Było to również centrum badań rasowych.

W miarę jak mercedes podjeżdżał, zamki i mury stawały się coraz lepiej widoczne; tutaj nie obowiązywało zaciemnienie, w oknach paliły się światła, a przy zwodzonym moście pochodnie. Wyglądało to jak scenografia do historycznego filmu. Bubi nienawidził takich teatralnych chwytów.

Pełniący w przedsionku wartę sierżant wziął od niego płaszcz i walthera.

- Reichsführer jest w salonie w południowym skrzydle, pułkowniku. Potrzebna panu eskorta?

Bubi potrząsnął głową i poszedł po schodach. Wszędzie wisiały hitlerowskie flagi, nawet na suficie były swastyki. Przeszedł mrocznymi korytarzami i dotarł do salonu; zawahał się, zapukał i wszedł.

Zobaczył ogień na kominku, kolejne flagi i siedzącego za biurkiem Himmlera w tweedowym garniturze. Reichsführer spojrzał na wchodzącego.

- Wreszcie tu dotarłeś?

- W Berlinie mgła i deszcz, Herr Reichsführer. Czym mogę służyć?

- Przejrzałem pocztę, którą przysłałeś mi wczoraj. Szczególnie zainteresował mnie twój ostatni raport z Londynu, od tej Dixon. Dotyczy brygadiera Munro i jego bazy w Cold Harbour.

- Tak jest, Herr Reichsführer.

- Informacje o bracie barona von Haldera zestrzeliwującym dwa nasze samoloty podczas wykonywania jakiejś tajnej misji dla Munro, a potem skaczącym na spadochronie do morza, z którego szczęśliwym trafem wyłowili go łódź ratunkowa, to pierwszorzędny melodramat.

- Też tak sędzę - przytaknął Bubi, ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Teraz Kelso został podpułkownikiem sił powietrznych USA i pilotem do zadań specjalnych, który lata z Eisenhowerem. Niesamowite, prawda?

- Zapewne - odparł niezręcznie Bubi.

- Jeszcze bardziej niesamowite jest to, że odkryłem coś, co pan przeoczył, pułkowniku. Ten trzeci samolot, ten, który ocalał. Może zainteresuje pana, kto był jego pilotem?

Bubiemu zrobiło się zimno, bardzo zimno. Przełknął ślinę, obawiając się tego, co zaraz usłyszy.

- Herr Reichsfuhrer?

- To był baron von Halder. Ciekawy zbieg okoliczności, chociaż wiem, że nasze życie się z nich składa.

Bubi zdołał wziąć się w garść.

- Czego Herr Reichsfuhrer ode mnie oczekuje?

- Hmm, niczego, pułkowniku, naprawdę niczego, oprócz ścisłej obserwacji naszej dobrej baronowej. Jeszcze przyjdzie na nią pora. Chcę jednak omówić inną sprawę. Pamięta pan, że fuhrer poruszył kwestię ewentualnego zamachu na Eisenhowera. Pytałem, czy ma pan w Anglii kogoś odpowiedniego do takiego zadania.

- A ja proponowałem Ira.

- To bezcelowe - rzekł Himmler. - Zupełnie bezcelowe. Czy nie moglibyśmy wprowadzić tam jednego z naszych ludzi? Wyszkolonego specjalisty?

- Nie sędzę, Herr Reichsfuhrer, nie w tej fazie wojny. Mam w Anglii kilku agentów, takich jak Rodrigues czy Sarah Dixon, którzy wykonują dobrą robotę, ale nie tworzą siatki. Zrzucenie agenta na spadochronie byłoby bardzo ryzykowne.

- A gdyby dostał się tam inną drogą? Portugalczycy jako neutralni przewożą ładunki do Anglii, latają tam także ich samoloty pasażerskie. Może moglibyśmy przemycić w ten sposób odpowiedniego agenta. Mam niezłe kontakty w Lizbonie. Nunes da Silva, minister ich Ministerstwa Spraw Zagranicznych, od lat siedzi u mnie w kieszeni. W czterdziestym pomógł nam w Estorilu podjąć próbę porwania księcia Windsoru. Dostał od nas mnóstwo pieniędzy. Doszczętnie skompromitowany. Ponadto gubi go skłonność do chłopców. Mamy naprawdę obrzydliwe zdjęcia.

- To się nie uda, panie Reichsfuhrerze - rzekł Bubi.

- Naprawdę? To spróbuj sam coś wymyślić, pułkowniku. Nie chcę rozczarować fuhrera. A teraz możesz wracać do Berlina. Zostanę tu przez weekend.

Bubi z ulgą opuścił gabinet.

Harry wiódł teraz dość regularny tryb życia. Wykonywał zadania kurierskie i często przewoził Eisenhowera z Croydon do Southwick. Równie często latał do Cold Harbour z Munro i Jackiem, a czasami z Molly. Wydarzenia przyspieszały bieg, gdyż wszystko skupiało się wokół nadchodzącego lądowania w Europie; Munro zrzucał coraz więcej agentów, a czasem ludzi z Oss i Sas.

Mieli ładną pogodę i kiedy Molly była w Cold Harbour, spacerowali po plaży, jadali "Pod Wisielcem" albo żartowali z Zecem Aclandem i załogą łodzi ratowniczej.

- Jest tak, jakby wojna się skończyła - powiedziała pewnego dnia Molly do Harry'ego, kiedy siedzieli na nadmorskich skałach.

- Och, ona trwa - odparł. - Nie oszukuj się.

Spojrzał na morze i w tej chwili za horyzontem przetoczył się grzmot.

- Słyszysz? To działa.

- Ty diable.

Zepchnęła go z kamienia i uciekła. Harry pozbierał się i pobiegł za nią.

Oczywiście, musiało się to kiedyś skończyć. Wylądowawszy w Croydon z kilkoma agentami wracającymi do Londynu, zastał depezę wzywającą go do kwatery głównej Soe na Baker Street oraz służbowy samochód, który miał przewieźć tam jego i dwóch agentów.

Kiedy tam dotarli, pojawił się młody kapitan. Odprowadził gdzieś pozostałych, natomiast Harry poszedł na górę i w połowie drogi spotkał Jacka Cartera.

- Jest w planszeczni, Harry.

- Długi lot czy coś takiego?

- Coś takiego. Niech sam ci to powie.

Munro rozłożył na stole szczegółową mapę kanału La Manche od Kornwalii po brzeg Francji. Mierzył coś linijką.

- O co chodzi? - spytał Harry.

- O Morlaix, trzydzieści kilometrów od francuskiego wybrzeża w linii prostej od Cold Harbour. Grant wytyczył kurs. Powiedział, że lysander potrzebuje czterdzieści pięć minut, może godzinę. Zgadzasz się z tym?

Harry zerknął na mapę.

- O ile dopisze pogoda.

- O północy muszę przerzucić tam bardzo ważnego agenta. Szybka robota, nikogo nie zabieramy. To sprawa o ogromnym znaczeniu. Francuz, niejaki Jacaud, przywódca Resistance na tamym terenie. Wiele się tam dzieje i dlatego on musi tam wrócić.

- W czym problem?

- Miał lecieć Grant i to on opracował wszystkie szczegóły. Tymczasem ten dureń spadł z motocykla i złamał sobie lewą rękę.

- I chciałbyś, żebym ja to zrobił.

- Harry, zostało tak niewiele czasu, że potrzebujemy kogoś twojego kalibru.

- Nie musisz mi kadzić. Kiedy lecę?

- Powiedzmy za dwie godziny. Jack i ja lecimy z tobą, Jacaud także.

- Zostało mi akurat tyle czasu, żeby wrócić do mieszkania, wziąć prysznic i się przebrać.

- Dam ci służbowy samochód.

- Zobaczymy się później - mruknął Harry i wyszedł.

Wziął prysznic, znalazł czystą bieliznę i koszulę, ubrał się i zszedł na dół. Weszła Molly.

- Wróciłeś, cudownie!

- I już wychodzę. Wiedziałaś, że Grant złamał rękę?

- Nie.

- Miał dziś w nocy przerzucić Joego z Cold Harbour. Munro poprosił, żebym zastąpił Granta.

- Harry? - przestraszyła się i złapała go za rękę.

- Tam i z powrotem, bez zabierania pasażerów. Wrócę, zanim się zorientujesz. Hej, zaufaj mi.

Delikatnie pocałował ją w usta.

- Muszę iść. Zobaczymy się wkrótce.

Włożył Tarquina do torby, zabrał teczkę i wyszedł. Molly stała wpatrzona w drzwi, zdjęta niejasnym lękiem.

Bubi Hartmann siedział w swoim gabinecie, pijąc brandy, a Trudi opierała się o ścianę.

- To szaleństwo, Trudi, czyste szaleństwo, ta gadanina o wysłaniu do Anglii zamachowca przez Lizbonę lub jakąkolwiek inną drogą.

- No cóż, lepiej nie daj po sobie poznać, co o tym myślisz - poradziła Trudi. - Zachowuj się tak, jakbyś się zgadzał, powiedz, że badasz wszelkie możliwe kanały. Przeczekaj, a może zajmie się czymś innym.

- Dobrze, będę grzecznym chłopcem. - Nalał sobie następny kieliszek. - Zamachowiec w Anglii, coś takiego! Czego oni właściwie ode mnie oczekują?

- Nie martw się, wkrótce o tym zapomną. Zrobię kawę. Będzie ci potrzebna po takiej ilości brandy - powiedziała i wyszła do sekretariatu.

Oczywiście, oboje mylili się, gdyż wkrótce miała nastąpić seria nadzwyczajnych wydarzeń, przynoszących poważne konsekwencje dla wszystkich.

Jacaud wyglądał zupełnie inaczej, niż Harry oczekiwał. Miał najwyżej metr sześćdziesiąt, nosił okulary w stalowych oprawkach, tweedowy garnitur, prochowiec i kapelusik, a wyglądał jak nauczyciel. W Croydon rozmawiali po francusku.

- Brygadier Munro wyjaśnił mi pańską szczególną sytuację, pułkownik. Jeśli wolno stwierdzić, to jak żywcem wzięte z powieści, ta historia o panu i pańskim bracie - powiedział Jacaud.

- Zdaje się, że to Oscar Wilde stwierdził, że najciekawsze chwile w życiu przypominają kiepską powieść.

- Interesujące, aczkolwiek pojęcia dobra i zła niewiele znaczą w takim życiu, jakie ja prowadzę. - Jacaud zapalił gitane'a. - Czy prognoza pogody dla Cold Harbour jest pomyślna?

- Doskonała. Był pan tam już?

- Och tak. Znamy się z brygadierem od dawna, a Julie Legrande i jej mąż byli moimi towarzyszami broni w początkowym okresie działalności paryskiej Resistance.

Podjechał samochód, z którego wysiedli Munro i Jack Carter.

- Jesteście - ucieszył się Munro. - Przepraszam za zwłokę. Wystartujemy natychmiast, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Harry.

- Oczywiście, brygadierze. Jestem gotowy.

Munro i Jacaud poszli przodem, a Harry i Carter za nimi.

- Mam wiadomość od Molly - rzekł Munro. - Chciała się pożegnać, ale znów miała urwanie głowy w szpitalu. Wiesz, jak tam jest.

- Za bardzo się przejmuję - odparł Harry. - Jutro wieczorem zabiorę ją do River Room. Porządna kolacja, Carrol Gibbons i jego orkiestra grająca przyjemne kawałki... Któżby mógł chcieć czegoś więcej?

- Molly - powiedział Carter.

- No cóż, kobiety zawsze pozostaną dla mnie zagadką. Ruszajmy się.

Miał rację co do pogody. Niewielkie zachmurzenie, księżyc w nowiu - wspaniałe warunki do lotu. W bibliotece pochyłili się nad mapą i Harry zakreślił czerwone kółko wokół Morlaix.

- Na wrzosowisku osiem kilometrów od wioski. Rzecz jasna, zna pan to miejsce.

- Jak własną kieszeń - odparł Jacaud.

- Doskonale. Sygnały naziemne jak zawsze. Szybkie lądowanie, pan wysiada, a ja natychmiast startuję.

- Nie ma problemu, pułkowniku. Robiłem to już sześć razy.

- Zatem nie ma o czym mówić. - Harry spojrział na zegarek i odwrócił się do Munro. - Za dwadzieścia minut, brygadierze?

- Ty tu dowodzisz - odparł Munro, wziął czapkę i poszedł do drzwi.

Piloci lysanderów dzielili się na takich, którzy woleli latać na kilku tysiącach metrów, i takich, którzy latali tuż nad powierzchnią morza, dzięki czemu pozostawali niewidoczni dla nieprzyjacielskiego radaru. W ten sposób stawali się jednak łatwym celem dla broni pokładowej napotykanych okrętów. W przypadku stosunkowo krótkiego i niezwykle ryzykownego lotu z tak ważnym ładunkiem, jakim był Jacaud, nie było innego wyboru.

Przelot z Kornwalii do Francji przy tak pięknej pogodzie nie nastęczał żadnych problemów, a na pułapie stu czy stu kilkudziesięciu metrów Harry pozostawał niewidzialny dla nieprzyjacielskiego radaru. Lot był całkiem przyjemny, Tarquin jak zawsze siedział na dnie kabiny, lecz potem zdarzyło się coś nieprzewidzianego.

Nagle po prawej pojawiły się dwa holenderskie okręty torpedowe działające z bazy w Falmouth. Natychmiast otworzyły huraganowy ogień. Seria z karabinu maszynowego trafiła lysandera w pobliżu ogona, a kilka pocisków z działka przeszło prawe skrzydło.

Harry szybko zanurkował w najbliższą chmurę, wdrapał się na trzysta metrów i zniknął im z oczu.

Odwrócił się do Jacauda.

- Nic się panu nie stało?

- Nie.

- Przepraszam. Ci dranie sami nie wiedzą, po czyjej są stronie. Trochę oberwaliśmy, ale nie ma problemu. Cel za piętnaście minut.

Stacja namiarowa w Fermanville wykryła ich na większej wysokości i kontrola lotów poderwała nocne myśliwce. Tej nocy kiedy messerschmitty 109 wzbily się w nocne niebo na poszukiwanie jego brata, Max korzystał z trzydniowego urlopu w Saint-malo.

Strefa lądowania pod Morlaix była wyraźnie oznaczona na pustkowiu. Harry wylądował, podkołował na koniec pasa i wykręcił na wiatr. Jacaud klepnął go w ramię, wyskoczył na spotkanie biegnących ku niemu ludzi i zatrzasnął drzwi. Harry otworzył przepustnicę, z rykiem przemknął po wrzosowisku i zaczął się wznosić. Gdy był już na wysokości trzystu pięćdziesięciu metrów, doszło do nieszczęścia.

Dwa Me-109, jeden za drugim, przeleciały lotem koszącym i ostrzelały wrzosowisko, na którym jeszcze paliły się światła lądowania. Wypełniły nocną ciszę rykiem silników i grzechotem strzałów, a kiedy Harry wznosił się w powietrze, trzeci Me-109 dogonił go i serią z działek odstrzelił skrzydło lysandera. Samolot stracił sterowność i zaczął spadać. Na końcu lądowiska rosły

drzewa, toteż Harry z całej siły ścigał stery, usiłując podnieść maszynę, ale zahaczył kołami o czubki drzew i zniknął za nimi. Po chwili między pniami rozbłysły płomienie.

- Boże w niebiesiech, biegnijmy! - zawołał Jacaud do pięciu swoich ludzi, którzy zebrali się wokół, i wszyscy rzucili się w kierunku pożaru.

Przebiegli przez las i już mieli podbiec do płonącego samolotu, gdy na tle pożaru ujrzeni dwa transportery opancerzone. Jeden z partyzantów, miejscowy farmer nazwiskiem Jules, złapał Jacauda za ramię.

- To Ss. Wczoraj przyjechała tu jednostka pancerna. Podobno na wypoczynek. Nic nie możemy zrobić. To dranie, ale znajdują się na swojej robocie.

- No dobrze - rzekł Jacaud. - Zobaczmy, co się będzie działo. Podczołgał się z innymi na skraj lasu i patrzył.

Harry zdołał otworzyć drzwi, złapał torbę z Tarquinem i w płonącej kurtce wygramolił się z kabiny. Kiedy jednak spróbował wstać, lewa noga odmówiła mu posłuszeństwa i upadł. Zaczął pełznąć, ciągnąc za sobą misia, ale ból w kostce był tak okropny, że wypuścił torbę. W następnej chwili jeden z transporterów podjechał do niego, kilku żołnierzy wyskoczyło i zdarło z Harry'ego płonącą kurtkę.

Jacaud widział to wszystko z głębi lasu. Esesmani zanieśli Harry'ego do transportera, położyli go z tyłu i natychmiast odjechali. Z buchającego ogniem lysandera niewiele już zostało, a po chwili płomienie zaczęły przygasać. Ludzie Jacauda wstali i podeszli bliżej, przetrząsając teren.

Jacaud zapalił papierosa.

- Co za świństwo - mruknął. - To był naprawdę as, miał Legię Honorową i wszystko.

Jeden z jego ludzi wrócił z torbą w ręku.

- Znalazłem to w pobliżu wraku.

- Co to takiego?

- Niesamowita rzecz. Misiek w stroju lotnika.

- Naprawdę? - zdziwił się Jacaud. - No, po dzisiejszej nocy uwierzę we wszystko. Zabierzcie go i chodźmy do młyna. Muszę nawiązać łączność z naszymi ludźmi w Kornwalii.

Stryszek w starym młynie był dość wygodny, wszędzie stały worki z ziarnem, a ukryte w drewnianym przepierzeniu drzwi prowadziły do pokoiku na zapleczu, już od dwóch lat będącego

pomieszczeniem łączności Resistance rejonu Morlaix. Młoda kobieta mieszała kawę podgrzewaną na piecyku.

- Zostaw to, Marie - powiedział Jacaud. - Muszę porozmawiać z Cold Harbour.

- Mogę połączyć się z nimi dopiero za pół godziny - odparła. - Mamy ustalone pory łączności. Tymczasem kawa z koniakiem dobrze ci zrobi.

- Masz rację, jak zwykle. - Wziął od niej dzbanek. - Dokąd zabrali pułkownika Kelso?

- Do Chateau Morlaix, tuż za wioską. Hrabia i jego rodzina uciekli do Anglii, zostawiając wszystko pod opieką dozorczy. Ss zajęła zamek na swoją kwaterę.

- Nie ma żadnego sposobu, żeby go stamtąd odbić?

- Tylko gdybyś chciał popełnić samobójstwo.

Kiwnął głową i usiadł. Wszedł Jules, położył na stole torbę, otworzył ją i posadził na blacie Tarquina.

- W środku jest kartka. Napisano na niej "torba Tarquina".

- To na pewno jego maskotka - domyślił się Jacaud.

- Co za głupota - rzekł Jules. - Miś ze skrzydełkami pilota.

- O nie. - Marie podniosła Tarquina. - Widać, że to niezwykły miś. - Odwróciła się do Jacauda. - Mogę go zatrzymać? Moja pięcioletnia córeczka natychmiast go pokocha.

- Dlaczego nie? - Jacaud spojrział na zegarek. - A teraz połącz mnie z Cold Harbour.

Munro wyszedł z pokoju łączności, zszedł po schodach, wsiadł do dżipa i pojechał "Pod Wisielca". Kiedy wszedł do pubu, zastał tam całą załogę łodzi ratowniczej. Jack z Zecem Aclandem pili piwo przy kominku, Julie stała za barem.

Munro po prostu stał na środku, a wyraz jego twarzy mówił wszystko. Na jego widok powoli ucichły wszystkie rozmowy.

- Co się stało, brygadierze? - spytała w końcu Julie.

Później, siedząc przy kominku z Jackiem i Zecem, powiedział:

- Przynajmniej Jacaud jest bezpieczny. Wiem, że to brzmi bezdusznie, ale takie są reguły tej gry. Najważniejszy jest Jacaud. Zgadzasz się, Jack?

- Pewnie tak, brygadierze, ale szczerze mówiąc, dla mnie najważniejsze jest teraz to, kto powie o tym Molly?

Munro westchnął.

- Cóż, Jack, jesteś jej tak bliski...

- A pan, brygadierze, jest jej wujem.

- W porządku, masz rację. Zostaw to mnie.

Munro wstał i wyszedł.

Molly jadła kanapkę i popijała kawą, siedząc w dyżurce lekarskiej Guy's Hospital. Holly, młody lekarz w stopniu kapitana, który opiekował się rannymi żołnierzami, zaszył się w kąt i czytał gazetę. Ktoś zapukał do drzwi. Kapitan wstał i otworzył. W progu stanął generał Tom Sobel.

- Czy zastałem tu moją córkę?

- Tak, jest tutaj, panie generale - odparł służbiście Holly, który już kiedyś go spotkał.

Molly odwróciła się z uśmiechem.

- O, tato, co cię tu sprowadza?

A potem uśmiech nagle zniknął z jej twarzy.

- Mógłby pan zostawić nas samych na kilka minut, kapitanie?

- Oczywiście, panie generale.

Holly wyszedł.

- Powiedz mi najgorsze - poprosiła Molly. - Nie owijaj w bawełnę.

Kilka minut później, siedząc i paląc papierosa, z twarzą ściągniętą smutkiem, zapytała:

- Zatem on może jeszcze żyje?

- Z tego, co mówi dowódca partyzantów, tak. Paliła się na nim kurtka, kiedy dorwali go esesmani. Potem zanieśli go do transportera i odjechali, ale z tego, co powiedział Jacaud, wynika, że był w kiepskim stanie.

- Ale przeżył. - Kiwnęła głową i zgasiła papierosa.

- Molly, on musiał odnieść ciężkie obrażenia.

- Możliwe, ale nadal żyje.

- Skąd, do licha, możesz być tego pewna?

- Ponieważ wiem, tato. - Uśmiechnęła się dziwnym, chłodnym uśmiechem. - Gdyby Harry Kelso nie żył, wiedziałabym o tym. To proste.

Drzwi otworzyły się i do dyżurki zajrzał Holly.

- Bardzo przepraszam, ale ten młody saper, któremu amputowaliśmy nogę... Jego stan się pogorszył.

- Już idę. - Wstała i pocałowała ojca w policzek. - Mam mnóstwo pracy, tato, dzięki Bogu. Wuj Dougal wie, gdzie mnie szukać. Będzie ze mną w kontakcie. Muszę iść.

Tom Sobel postął tam jeszcze chwilę, a potem z ciężkim sercem wyszedł z dyżurki.

Tymczasem w Chateau Morlaix Kelso - jak najbardziej żywy - leżał na łóżku w pokoju na parterze, zamienionym przez okupującą zamek pancerną jednostkę Ss w izbę chorych. Leżał oparty na poduszkach, paląc papierosa. Niewiarygodne, ale nie miał żadnych oparzeń, był tylko mocno poobijany, miał posiniaczoną twarz, a kostka lewej nogi bolała go jak diabli. Pilnujący drzwi esesman nosił czarny mundur i schmeissera. Nie okazywał żadnych uczuć, nawet nie patrzył na Harry'ego, tylko prosto przed siebie.

Drzwi otworzyły się i wszedł młody hauptsturmfuhrer Ss, który przedstawił się jako Schroeder, a za nim lekarz ze zdjęciem rentgenowskim.

- Tak jak się obawiałem, pułkowniku, kostka jest paskudnie złamana, ale złamanie jest czyste. Rozmawiałem z moim dowódcą, majorem Mullerem. Był na kolacji w Dinard. Już tu jedzie.

- Dziękuję, kapitanie - odparł Harry. - Jest pan bardzo sprawnym żołnierzem.

- Jesteśmy dumni z naszego wyposażenia medycznego, pułkowniku. Przenośny aparat rentgenowski, sala operacyjna. Nasi ludzie oczekują najlepszej opieki. W końcu jesteśmy Ss.

- Pana angielszczyzna jest doskonała.

- Tuż przed wojną przez rok pracowałem w centralnym szpitalu w Southampton.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł sturmbannfuhrer w czarnym mundurze obwieszonym rzędami medali. Schroeder trzasnął obcasami.

- Major Muller.

- Co się tu dzieje? - zapytał po niemiecku Muller.

- Ten oficer to podpułkownik amerykańskich sił powietrznych, pułkownik Kelso. Podał mi nazwisko, stopień i numer. Ma złamaną nogę w kostce.

- Tak, a co tu robił?

- Leciał jednym z tych lysanderów, którymi Anglicy przewożą tajnych agentów. Zestrzeliły go messerschmitty z Fermanville.

- Lądował czy startował?

- Nasze patrole widziały, jak lądował. Stracono go podczas startu.

- Co oznacza, że kogoś wysadził. Co zrobiono w tej sprawie?

- Sądzę, że ograniczyli się do sprawdzenia miejsca upadku samolotu, majorze.

- Pan sądzi? - Muller potrząsnął głową. - Boże dopomóż. No nic, będzie pan moim tłumaczem.

Może byłoby lepiej, gdyby milczał, ale noga bolała go jak diabli.

- To nie będzie konieczne, majorze, natomiast koniecznie powinienem dostać teraz zastrzyk morfiny i ktoś powinien zająć się moją nogą - powiedział Harry po niemiecku.

Obaj oficerowie Ss byli zdumieni. Muller wyjąkał:

- Gratuluję panu doskonałej znajomości naszego języka, pułkowniku.

- Dziękuję, ale co z moją kostką? Dotrzymałem warunków konwencji genewskiej. Podałem nazwisko, stopień i numer.

Muller zmarszczył brwi i przeszedł przez pokój do krzesła, na którym wisiała bluza od munduru Harry'ego. Zauważył ordery i skrzydełka Raf-u.

- Dobry Boże, pułkowniku, toczy pan interesującą wojnę. - Wyjął srebrną papierośnicę, poczęstował Harry'ego i podał mu ogień. - Kapitan Schroeder natychmiast się panem zajmie. W końcu wszyscy jesteśmy żołnierzami. Porozmawiam z panem później.

Skinął na Schroedera i obaj wyszli.

- Paskudne złamanie, ale mogę go poskładać - stwierdził Schroeder. - Drobny zabieg, a potem gips.

- Wszystko, co będzie trzeba.

- Jeszcze jedno, panie majorze - rzekł Schroeder. - Nie powiadomiliśmy dowództwa Luftwaffe w Saint-malo ani bazy nocnych myśliwców w Fermanville, że przeżył.

- I nie zrobimy tego - ucieszył się Muller. - Pułkownik ma mnóstwo medali i pewnie zauważył pan skrzydełka Raf-u na jego piersi? To oznacza, że latał jako amerykański ochotnik w Raf-ie, zanim Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Ten człowiek to gruba ryba, Schroeder, gruba ryba.

- Ależ, panie majorze... - wyjąkał Schroeder. - Regulamin nakazuje powiadomić Luftwaffe...

- Kicham na Luftwaffe. Zaraz wysyłam wiadomość do głównej kwatery Sd w Berlinie. Na sam szczyt.

Klepnął Schroedera w plecy.

- Oczekuję, że zajmie się pan nim najlepiej, jak pan potrafi - mruknął i pospiesznie odszedł.

Jak większość ludzi pracujących wówczas przy Prinz Albrechtstrasse, Bubi Hartmann nie wracał na noc do domu z powodu ustawicznych nalotów lancasterów Raf-u. W kącie gabinetu kazał postawić sobie łóżko polowe. Spał głębokim snem do trzeciej nad ranem, kiedy zaczął się nalot. Pół godziny piekła, a potem odlecieli. Wstał, poszedł do toalety, przemył twarz zimną wodą, wrócił za biurko i nalał sobie brandy. Zaczął przeglądać papiery, a kilka minut później weszła Trudi. Tak jak on miała łóżko w sekretariacie. W ręku trzymała wydruk depeszy.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

- Nie - odparła - ale nie wiem, co na to powiesz. Oto raport od dowódcy jednostki pancerniej stacjonującej w Morlaix, w Bretanii. Łącznościowcy otrzymali go dwadzieścia minut temu.

- Co w nim takiego nadzwyczajnego?

- Tydzień temu kazałeś informować się o wszystkich faktach dotyczących podpułkownika Harry'ego Kelso. - Podała mu depeszę. - Czytaj.

Potem, kiedy siedział zamyślony i palił papierosa, zapytała:

- Zawiadomisz baronową?

Potrząsnął głową.

- Nie mogę sobie na to pozwolić, Trudi. Muszę powiadomić reichsführera. Czy został tu na noc?

- Tak sędzę.

Sięgnął po kartkę papieru i pióro.

- Przyślij mi dyżurnego.

Odwróciła się przy drzwiach.

- Kelso jest jeńcem wojennym, prawda? Chcę powiedzieć, że to fakt.

- Nie bądź głupia, Trudi. On nie jest zwyczajnym jeńcem i dobrze o tym wiesz. Teraz przyślij mi dyżurnego.

Wyszła, a on skreślił krótką notatkę do Himmlera. Po czym włożył ją razem z depeszą do koperty, którą zakleił.

O dziewiątej rano wezwał go reichsfuhrer. Himmler, w mundurze, stał patrząc w okno.

- Kolejna noc tych terrorystycznych nalotów, pułkowniku - powiedział, nie odwracając się - a ten gruby dureń Goring przysięgał, że jeśli choć jedna bomba spadnie na Berlin, będzie można wołać na niego Meyer.

- Tak sędzę, Herr Reichsfuhrer.

- Tyle na temat Luftwaffe pomagającej nam wygrać tę wojnę. Nie potrafią nawet obronić Berlina. - Odwrócił się. - Tak więc, tylko my możemy pomóc fuhrerowi wypełnić jego dziejową misję.

Podszedł do biurka i podniósł depeszę.

- A to, pułkowniku, daje nam po temu sposobność.

Bubi nie pojmował, o co chodzi.

- Herr Reichsfuhrer?

Himmler usiadł.

- Bóg czasem spogląda zza chmur, pułkowniku. Tak też zrobił dziś rano. Znalazłem panu zamachowca.

Bubi zdziwił się.

- Obawiam się, że nie rozumiem, Herr Reichsfuhrer.

- To proste. Mamy w naszych rękach dość pokiereszowanego pułkownika Harry'ego Kelso z

amerykańskich sił powietrznych. Według pańskich raportów, on wykonuje specjalne misje i często lata z Eisenhowerem.

- Zgadza się. Tak więc pozwolimy mu uciec i wrócić do Anglii, gdzie przy pierwszej sprzyjającej okazji pozbędzie się Eisenhowera.

Przez chwilę Bubi miał wrażenie, że zwariował.

- Herr Reichsfuhrer, dlaczego on miałby to zrobić? A poza tym, ma złamaną nogę.

- Ale jego brat nie. - Himmler uśmiechnął się na widok zdumionej miny Hartmanna. - O ile wiem, nie można ich rozróżnić. Wystarczy zmienić mundur. Zaaranżujemy jego ucieczkę z zamku Morlaix, a potem ukradnie storcha albo inny samolot z bazy paliwowej pod miastem. Sprawdziłem, jest tam taka. Potem wróci do Anglii i brygadiera Munro. Nawet jeżeli nie każą mu latać z Eisenhowerem, generał na pewno zechce go zobaczyć.

Bubi Hartmann usiłował oswoić się z tą myślą.

- Herr Reichsfuhrer, żeby udawać brata, baron von Halder musiałby wiedzieć o nim wszystko, tak więc pułkownik Kelso musiałby z nami współpracować. Zakładając, że sam baron wyrazi na to zgodę.

- Och, wyrazi, obaj się zgodzą, szczególnie po aresztowaniu ich matki, którego dokona pan dziś rano. Bardzo dyskretnie, oczywiście. Już rozmawiałem osobiście z majorem Mullerem w Chateau Morlaix. Zawiadomiłem go, że od tej pory podlega bezpośrednio mnie. Zamek będzie ściśle strzeżony i doskonale nada się do naszych celów.

- Herr Reichsfuhrer, w jaki sposób skłonimy barona i jego brata do współpracy?

Himmler wyjaśnił mu to bardzo drobiazgowo. Kiedy skończył, Bubiemu zrobiło się niedobrze.

- Wyglądasz na wzburzonego - rzekł Himmler. - Sądziłem, że będziesz zadowolony, mogąc przysłużyć się Trzeciej Rzeszy, pułkowniku, która tak łagodnie się z tobą obeszła, a nawet stworzyła ci wprost nadzwyczajne możliwości jak na człowieka o żydowskim pochodzeniu.

Bubi oniemiał z przerażenia, a Himmler uśmiechnął się łagodnie.

- Jak mogłeś przypuszczać, że o tym nie wiem? To plama na całej twojej rodzinie. O ile wiem, twój ojciec jeszcze żyje i jego siostra także? Twoja żona, o ile pamiętam, zginęła w wypadku samochodowym w dwudziestym drugim, więc nie masz dzieci, ale pozostaje jeszcze kwestia twojej sekretarki. Frau Braun, z którą utrzymujesz intymne związki.

Bubi wziął głęboki oddech.

- Czego Herr Reichsfuhrer ode mnie oczekuje?

- Dobrze. Zawsze podziwiałem twój pragmatyzm. Dzwoniłem do Nunesa da Silvy,

portugalskiego ministra spraw zagranicznych, o którym już wspominałem. Ten człowiek w ich ambasadzie, Joel Rodrigues, zostanie dzisiaj przeniesiony do Lizbony. Zobaczysz się z nim rano, przekażesz mu instrukcje dotyczące operacji w Londynie dla jego brata i tej Dixon. Niech w najbliższych dniach oczekują barona.

- Jak Joel Rodrigues znajdzie się w Londynie? Nie rozumiem.

- To proste. Nunes da Silva przeniesie Joela Rodriguesa do służby kurierskiej. Jeszcze dziś poleci do Lizbony. Jutro znajdzie się w Londynie, z pocztą dyplomatyczną. Od tego są kurierzy, pułkownik. Tak więc, będziemy mieli w Londynie barona wspieranego przez tę Dixon oraz braci Rodrigues. Nie widzę, jak mogłoby się nam nie udać, a pan?

Bubiemu zaschło w ustach tak, że nie mógł przełknąć. Odkaslnął.

- Tak jest, Herr Reichsfuhrer.

- Doskonale, pułkowniku. A teraz, kiedy już odwaliłem za pana całą robotę, może zechce pan dopilnować, żeby ją wykonano.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Hartmann po powrocie do biura, to kazał Trudi natychmiast skontaktować się z Joelem Rodriguesem i wezwać go na Prinz Albrechtstrasse, Potem powiedział jej, żeby wzięła notatnik i przysłała do niego. Znow nalał sobie brandy.

- Czy nie powinienesz z tym skończyć? - zapytała.

- Tylko to mnie trzyma na nogach. Zrozumiesz wszystko, kiedy skończę dyktować.

Podał jej instrukcje dla Sarah Dixon i Fernando Rodriguesa oraz wszystkie szczegóły operacji wymyślonej przez Himmlera.

- On oszalał. Na pewno. Dlaczego Kelso i baron mieliby się na to zgodzić? - powiedziała, kiedy skończył.

Bubi wyjaśnił jej. Siedziała pobladła, a potem pobiegła do łazienki. Słyszał, jak wymiotowała do umywalki, a następnie szum płynącej wody. Po chwili wróciła, nadal blada jak płótno.

- Co za świnią. I zamierzasz to zrobić?

- Nie mam wyboru. W żyłach mojej rodziny płynie żydowska krew, Trudi. Myślałem, że nikt o tym nie wie, ale myliłem się. Niebezpieczeństwo zawisło nad moim ojcem i ciotką. Nawet nad tobą, jako moją sekretarką.

- O mój Boże.

- Tak więc nie mam wyboru, prawda?

Siedziała i patrzyła na niego, aż w sekretariacie zadzwonił telefon. Wstała bez słowa, wyszła, a po chwili wróciła z Joelem Rodriguesem.

- Przepisz ten list - powiedział. - Jak najszybciej.

Wyszła. Joel miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i nerwowo miał kapelusz.

- Mam raczej niepokojące wieści, pułkowniku.

- Wiem - odparł Bubi. - Został pan natychmiast odwołany do Lizbony, a my mamy jak najszybciej przetransportować pana drogą powietrzną do tego pięknego miasta. Zapewne zawiadomił pana o tym Nunes da Silva z waszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Skąd pan wie, pułkowniku?

- Wiem wszystko. Czy powiedział, czego chce?

- Nie.

- Zatem ja to zrobię. Zostaje pan przeniesiony do służby kurierskiej. Będzie pan przewoził przesyłki dyplomatyczne do Londynu. Nie zostanie pan w Lizbonie dłużej niż kilka godzin.

Joel był zdenerwowany.

- Pułkowniku, tego nie było w naszej umowie.

- Teraz jest. Oczywiście, może pan podyskutować z reichsfuhrerem lub da Silvą po przyjeździe do Lizbony, ale osobiście odradzam. Jest pan szarym człowieczkiem, Rodrigues, zamieszany w wielkie sprawy. Jeśli tak na to spojrzeć, to ja również. Nie mamy wyboru, zdecydowano za nas.

Weszła Trudi z pisemnymi instrukcjami. Bubi przeczytał je, a potem złożył kartkę i nie podpisaną wsunął do koperty. Wręczył ją Joelowi Rodriguesowi.

- Dla pańskiego brata. O drugiej ma pan być na lotnisku.

- Tak, pułkowniku.

Joel wyszedł, a Bubi zapalił papierosa.

- Dowiedz się, gdzie jest Max, a potem zamów dla mnie samolot, powiedzmy, za trzy godziny. Może być storch. Sam polecę.

- Bez pasażerów?

- Z baronową, oczywiście. - Wstał, ale kiedy doszła do drzwi, zatrzymał ją. - Jeszcze jedno, Trudi.

Odwróciła się.

- Tak?

- Jeśli możesz zniknąć, zrób to. Na wypadek, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Rozumiesz?

- Doskonale, ale chyba zaczekam i zobaczę, co będzie.

Wyszła. Była dziwnie spokojna.

Z Elszą von Halder poradził sobie bez trudu. Wystarczyło w miarę możliwości trzymać się prawdy. Kiedy zapukał do drzwi apartamentu w hotelu "Adlon", otworzyła mu Rosa Stein. Elsa siedziała przy kominku, czytając gazetę. Odłożyła ją i wyciągnęła rękę, a Bubi ucałował jej dłoń.

- Co za niespodzianka, pułkowniku.

- Przynoszę pani niezwykle wieści, baronowo. Może powiem od razu. Pani syn, pułkownik Kelso, został zeszłej nocy zestrzelony nad Bretanią. Jest teraz w naszych rękach.

- W jakim stanie? - zapytała spokojnie.

- Ma złamaną nogę. Przebywa w miejscu, które nosi nazwę Chateau Morlaix. Mam rozkaz polecieć tam i przesłuchać go.

- Czy Max o tym wie?

- Nie, ale zostanie powiadomiony. Wykonuję polecenia Sd, a więc reichsführera, który zezwolił mi zabrać panią, o ile wyrazi pani takie życzenie.

- Czy mogę wziąć pokojówkę?

- Naturalnie.

Wstała.

- Ile mam czasu, pułkowniku?

- Za godzinę przyślę po panią samochód. - Włożył czapkę i zasalutował. - Proszę wybaczyć. Wzywają mnie obowiązki.

Kiedy Rosa pośpiesznie pakowała walizki, Elsa streściła jej rozmowę z Bubim Hartmannem.

- Byłoby wspaniale, baronowo - rzekła Rosa - zobaczyć obu pani synów razem.

- Od dawna nie widziałam ich razem, od dawna...

Elsa schowała biżuterię do kasetki i podała ją Rosie.

- Włóż to do mojej torebki. Och, to też.

Wyciągnęła z szuflady walthera Ppk, wyjęła magazynek, wprawnie sprawdziła i przeładowała broń. Rosa schowała pistolet do torebki.

- Sądzi pani, że może być potrzebny, baronowo?

- Kto wie? - uśmiechnęła się niewinnie Elsa von Halder. - Lepiej się przygotować.

13

Max właśnie pił w mesie w Fermanville wieczornego drinka, kiedy wszedł Bubi Hartmann. Max przeprosił otaczających go oficerów i wyszedł mu na spotkanie.

- Bubi, co cię tu sprowadza? - zapytał i zmarszczył brwi. - Jakież problemy? Co z moją matką?

- Chodźmy w ką - rzekł Bubi. - Musimy porozmawiać na osobności.

Inni oficerowie przez chwilę gapili się na nich, a potem odwrócili wzrok na widok groźnie zmarszczonych brwi Hartmanna.

- O co chodzi? - zapytał Max.

Bubi machnięciem odprawił kelnera.

- Znasz Chateau Morlaix, sześćdziesiąt kilometrów stąd?

- Oczywiście. Jest tam magazyn paliw Luftwaffe. Często korzystamy z tamtejszego pasa awaryjnego.

- Wylądowałem na nim dziś po południu. Przyleciałem storchem z Berlina. Przywiozłem twoją matkę i jej pokojówkę.

Max zaniepokoił się.

- Czy została aresztowana?

- Nie tak, jak myślisz. Przeczytaj to, Max.

Bubi wyjął z kieszeni kopertę, rozprostował kartkę i podał ją Maxowi. Urzędowe pismo z czarnym nadrukiem.

Reichsführer Ss

Berlin, kwiecień 1944

Okaziciel niniejszego upoważnienia wykonuje moje bezpośrednie rozkazy oraz misję o doniosłym znaczeniu dla Rzeszy. Wszystkie służby, wojskowe i cywilne, mają udzielić mu pomocy w zakresie, jaki uzna za stosowny.

`rp

Heinrich Himmler

`rp

Pismo było parafowane przez Hitlera. Max oddał je Bubiemu.

- Twoje pełnomocnictwa nie podlegają dyskusji. W tych okolicznościach naprawdę przyda mi się jeden głębszy. - Skinął na kelnera. - Koniak. Duży. - Znowu odwrócił się do Hartmanna. - Dolfo Galland jutro będzie w Abbeville. Chciał, żebym tam przyleciał.

- Wiem, ale powiadomiono go, że od tej chwili zostajesz odkomenderowany z sił powietrznych.

- Jest aż tak źle? - Kelner pojawił się z koniakiem. Max jednym haustem opróżnił swój kieliszek. - Dobrze, Bubi, co cię sprowadza? Słyszałem, że oddział Ss przejął Chateau Morlaix?

- Tak, a teraz ja nimi dowodzę. Zamek otoczono stalowym pierścieniem.

- Ponieważ jest tam moja matka? Daj spokój, Bubi.

- Nie, ponieważ jest tam twój brat. - Bubi przełknął swój koniak. - Jak tylko się spakujesz, polecimy.

- Harry w Chateau Morlaix? - Max zbladł. - Mów.

- Po drodze, Max. Proszę, pospiesz się i pamiętaj, że to ściśle tajne.

Max nie wezwał ordynansa, tylko sam się spakował. Już kończył, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł major Berger, adiutant dowódcy.

- Hartmann okazał mi osobisty rozkaz Himmlera i na widok tego pisma mróz przeszedł mi po kościach. Zostajesz przeniesiony do jednostki Ss w Morlaix.

- Na to wygląda.

- Co tam się dzieje? Kazano mi postawić dwa messerschmitty sto dziewięć w bazie paliwowej pod Morlaix. Także na rozkaz Hartmanna.

Max zapiął torbę.

- Kogo pošlesz?

- Myślałem o młodym Freiburgu.

- Niezły wybór. Jest zdolny. - Max podniósł torbę. - Muszę lecieć.

- Max - powiedział Berger. - Od dawna jesteśmy przyjaciółmi. Masz kłopoty?

- Nie większe niż my wszyscy, od kiedy fuhrer doszedł do władzy w trzydziestym trzecim - uśmiechnął się Max. - Uważaj na siebie - dodał i wyszedł.

Citroena, długiego i czarnego, prowadził sam Bubi. Max siedział obok, pałac papierosa.

- Co przydarzyło się Harry'emu? - zapytał.

- Przewoził lysanderem agenta z Cold Harbour w Kornwalii. Pewnie przypominasz sobie tę nazwę.

- Dlaczego?

- Max, twój brat został przed kilkoma tygodniami zestrzelony, kiedy osłaniał hurricane'em lysandera wracającego do Cold Harbour z bardzo ważnym francuskim oficerem na pokładzie. Zestrzelił dwa messerschmitty i skoczył do wody. Himmler powiedział mi, że ty byłeś pilotem trzeciej maszyny. Co tam zaszło, Max?

- Dobrze, Bubi - zaśmiał się Max. - Ja powiem tobie, a potem ty powiesz mnie.

- Zgoda.

Kiedy Max skończył, Bubi rzekł:

- Niebawem i wcale nie mam ci tego za złe. Mam nadzieję, że zrobiłbym to samo.

- I co z Harrym?

- Zdaje się, że przewoził jakiegoś przywódcę Resistance, szybki przerzut, lądowisko oznaczone lampami rowerowymi. Wykrył go nasz radar, kiedy wzbił się trochę za wysoko, ostrzelany przez alianckie okręty. Uwierzysz?

- Och, uwierzę we wszystko.

- W każdym razie, chłopcy z twojej bazy przeczesali rejon lądowania i zestrzelili go. Wydostał się z kabiny na chwilę przed tym, zanim lysander eksplodował. Przedziwne, ale uratował go patrol wojsk pancernych, który przypadkowo znalazł się na miejscu. Zdjęli z niego płonącą kurtkę. Doznał tylko lekkich poparzeń i ma złamaną lewą nogę w kostce.

- Ale poza tym jest zdrowy?

- Tak.

- Wie, że przylecę? A moja matka wie?

- Jeszcze nie.

- O ile wiem, poprosiłeś o dwa messerschmitty. Dowodzi nimi młody Freiburg. Dlaczego?

- Zwyczajny środek ostrożności na wypadek, gdyby w tym rejonie pojawił się jakiś obcy samolot, co ostatnio zdarza się dość często.

Max zapalił dwa papierosy i podał jednego Bubiemu.

- Słuchaj, o co chodzi? Reichsfuhrer nie zajmuje się łączeniem rodzin. Czego chce?

- Później, Max, później. Tylko tyle mogę ci teraz powiedzieć - rzekł Bubi i skupił się na prowadzeniu.

W Morlaix Elbę i Rosę umieszczono w apartamencie, a major Muller był uosobieniem uprzejmości. Okazane przez Bubię upoważnienie od Himmlera wywarło stosowne wrażenie.

- Pułkownik Hartmann udał się do Fermanville po barona von Haldera, baronowo. Zostawił

instrukcje, że w każdej chwili może pani zobaczyć syna.

- Ach, wie pan o tym.

- Oczywiście. Jako oficer Ss, złożyłem przysięgę posłuszeństwa. W tej sprawie wypełniam rozkazy samego reichsführera.

- Proszę nic więcej nie mówić - odparła słodko Elsa. - W tych okolicznościach chciałabym jak najszybciej zobaczyć się z synem.

- Oczywiście, baronowo.

Harry siedział wsparty na poduszkach, z lewą nogą w gipsie, przerzucając "Signal", pismo obrazowo opisujące, jak Niemcy wciąż wygrywają wojnę. Zaskrzypiały drzwi i wszedł major Muller.

- Pułkownik Kelso, jest tu pana matka.

Elsa weszła do pokoju, a Muller wycofał się. Harry spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Mój Boże, Mutti, wcale się nie postarzałaś. To niewiarygodne.

Upuścił gazetę i wyciągnął ręce, a ona podbiegła do niego. Potem usiadł na łóżku.

- A zatem nie masz pojęcia, co się tu dzieje? - spytał.

Potrząsnęła głową.

- Powiedziała ci wszystko, co wiem. Bubi Hartmann, Himmler. Max, oczywiście, przekazał mi twoje ostrzeżenie, kiedy wpadłeś do morza i uratował cię. Skąd masz te informacje?

- Wykonuję misje specjalne dla brytyjskiego wywiadu. Ci ludzie mają kontakty w Berlinie.

- Rozumiem. Nie ożeniłeś się?

- Mutti, mam dopiero dwadzieścia pięć lat.

- Twój ojciec miał dwadzieścia dwa, kiedy mnie poślubił.

- No, byłem dość zajęty.

Zapaliła papierosa.

- Więc oboje nie mamy pojęcia, co się tu dzieje?

- Na to wygląda.

Pokiwała głową.

- Masz jakąś dziewczynę, na stałe?

- Być może. Jej matka była Angielką, zginęła podczas nalotów. Ojciec to amerykański generał.

- Zapowiada się obiecująco.

- Jest kilka miesięcy starsza ode mnie i jest świetnym chirurgiem.

- Nie mogło być lepiej. Jestem pod wrażeniem.

- Niepotrzebnie, Mutti. Ona zasługuje na kogoś lepszego.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i wszedł Bubi.

- Ma pan jeszcze jednego gościa, pułkownika.

Cofnął się i do pokoju wszedł Max.

Kolację podano we wspaniałej sali biesiadnej zamku; Harry'ego znieśli tam razem z fotelem dwaj żołnierze Ss. Halderom i Hartmannowi towarzyszyli Muller, Schroeder oraz dwóch podporuczników. Jedzenie było doskonałe: zupa żółwiowa, idealnie upieczona baranina, smaczna sałatka, niezły szampan i dobre wino, przedwojenne chateau palmer.

- Muszę przyznać, że Ss umie wybrać najlepsze, majorze Muller - stwierdziła Elsa.

- W pani przypadku, baronowo, cokolwiek innego byłoby nie do przyjęcia - odparł dwornie i podniósł kieliszek. - Za dzielnych ludzi, za pułkownika Kelso i barona von Haldera, towarzyszy broni.

Wszyscy wstali, oprócz Harry'ego i Elsy, po czym spełnili toast.

- A teraz, majorze, jeśli pan wybaczy... - mruknął Bubi.

- Oczywiście, pułkowniku.

Kiedy Muller i jego oficerowie szli w kierunku drzwi, Schroeder odwrócił się.

- Skontaktowałem się z miejscowym lekarzem, pułkowniku Kelso - powiedział. - Na jutro przygotuje panu kule.

- To bardzo uprzejmie z pana strony.

Drzwi zamknięty się, Bubi wstał, wziął butelkę wina i obszedł stół, napełniając kieliszki.

- W porządku, Bubi, o co chodzi? - zapytał Max.

Bubi stanął przy kominku.

- Wszyscy sądzą, że najważniejszym problemem związanym z inwazją jest miejsce lądowania alianatów. Fuhrer nie zgadza się z tym. Uważa, że powinniśmy zająć się czymś innym. - Zamilkł i po krótkiej przerwie dodał: - Na przykład zamachem na Eisenhowera.

Na twarzach pozostałych malowało się niebotyczne zdziwienie.

- Przecież to szaleństwo - rzekł Max.

- Oczywiście, ale niestety Himmler zgadza się z nim. Mam w Londynie agentów nie podlegających Abwehrze i pozostających na wolności. Dzięki nim, pułkownikowi Kelso, wiem wszystko o brygadzie Munro, majorze Carterze, Cold Harbour i Soe na Baker Street. Wiem, że ma pan przyjaciółkę, niejaką doktor Sobel, której ojciec jest generałem w sztabie Eisenhowera. Wiem, że często bywa pan jego pilotem. Mówiłem reichsfuhrerowi, że nie zdołamy wykonać polecenia Hitlera, że nie mam w Londynie nikogo zdolnego do wykonania takiego zadania, a w tej fazie wojny nie sędzę, aby któryś z naszych ludzi, choćby nie wiem jak wyszkolony, dotarł w pobliże Eisenhowera, nawet gdyby zdołał dostać się do Anglii.

- A więc? - spytał Kelso.

- Jednakże sytuacja zmieniła się, gdy wpadł pan w nasze ręce i reichsfuhrer wymyślił coś, co jego zdaniem jest rozwiązaniem wszystkich naszych problemów, a moim... poronionym pomysłem.

Urwał.

- Mów dalej, Bubi - ponaglił go Max.

- Jego plan wygląda następująco. Pułkownik Kelso ucieka, kradnie storcha na lotnisku, wraca do Cold Harbour i zostaje powitany jak bohater. Eisenhower zechce się z nim spotkać. Jeżeli nie, to i tak prędzej czy później polecą jego samolotem, tak jak dotychczas. W odpowiedniej chwili zostanie zabity.

Zapadła głęboka cisza, a potem Harry wybuchnął śmiechem.

- I jak mam to zrobić? Dopiero rano przyniosą mi kule.

- Pan nie rozumie. To nie będzie pan. Polecą Max.

- O mój Boże - jęknęła Elsa.

Max upił łyk wina i odstawił kieliszek.

- A dlaczego miałbym to zrobić? Latam na myśliwcach, Bubi. Kimkolwiek jestem, nie jestem zabójcą.

Bubi, wyraźnie poruszony, podszedł do stołu i znów nalał wszystkim do kieliszków.

- Jestem tylko chłopcem na posyłki. Himmler mnie też trzyma za gardło. To nie mój pomysł.

- Dobrze - powiedział Max. - Powiedz nam najgorsze.

- Baronowa, niestety, przyjaźniła się z nieodpowiednimi ludźmi. Osiemnastu aresztowano, dwunastu stracono, w tym kilku generałów i dwie kobiety. Nazwano je winnymi współudziału. Powiedzmy tak. Jeśli wy dwaj nie będziecie współpracować, ona za to zapłaci.

Elsa chlusnęła mu winem w twarz.

- Ty draniu.

Max doskoczył i chwycił ją za rękę.

- Nie bądź głupia. Ma taki sam wybór jak my.

- Do diabła z takim gadaniem - rzekł Harry. - Gdybyś miał to zrobić, Max, musiałbym ci pomóc. Podać wszystkie szczegóły mojego życia, opisać moją dziewczynę Molly, Munro, moich znajomych w Cold Harbour, Eisenhowera, Southwick House. - Potrząsnął głową. - Nie zrobię tego.

Bubi otarł twarz.

- Daj nam trochę czasu - poprosił Max.

- Do jutra rana - zgodził się Bubi. - Więcej nie mogę zrobić. Prześpijcie się z tym.

Odwrócił się i wyszedł. Wróciwszy do swojego pokoju, zadzwonił do Himmlera i zastał go w jego gabinecie przy Prinz Albrechtstrasse.

- Uznałem, że powinienem informować pana na bieżąco, Herr Reichsfuhrer. Co mam robić? - spytał, kiedy skończył zdawać relację.

- Mówiłem już panu, pułkowniku. Niech to przemyślą. Nie sądzę, żeby wiele spali tej nocy. Rano śniadanie, wszystko pięknie i porządnie. Potem, powiedzmy o dziesiątej, niech spadnie topór. Wątpię, aby miał pan potem kłopoty.

- Bardzo dobrze.

- Muszę już iść, pułkowniku. Czekają na mnie w Paryżu. Polecę w nocy. Gdybym był potrzebny, będę w głównej kwaterze tamtejszego gestapo.

- Rozkaz, Herr Reichsfuhrer.

Bubi odłożył słuchawkę, wyobrażając sobie osobisty Ju-52 unoszący się w nocne niebo. Gdyby tylko pojawił się tam jakiś mosquito i rozwalił go na kawałki... ale to, oczywiście, byłoby zbyt piękne.

Elsa udała się na spoczynek, a esesmani zanieśli Harry'ego z powrotem do pokoju i położyli do łóżka. Po pewnym czasie otworzyły się drzwi i wszedł Max.

- Nie jeden, ale dwóch strażników pod drzwiami. Dobrze się tobą opiekują - rzekł po angielsku.

- Podoba mi się twój mundur - powiedział Harry. - Pasuje ci.

Max podszedł do krzesła, na którym wisiał mundur Harry'ego. Obejrzał baretki medali.

- Ty też nieźle sobie radzisz. - Przyciągnął krzesło i wyjął papierośnicę. - A więc jesteśmy tu, bracie, znowu razem.

Podał Harry'emu papierosa i ogień.

- Brakuje tylko Tarquina. Gdzie staruszek?

- Nie pytaj - odparł Harry. - Podczas wszystkich moich lotów siedział w swojej torbie na dnie kabiny. Przez całą bitwę o Anglię. Raz wyskoczyłem nad wyspą Wight i Tarquin skoczył ze mną. Dwa razy skąpał się w morzu.

- A co stało się tym razem?

- Postrzelali mnie jak sito i zawadziłem podwoziem o drzewa. - Harry wzruszył ramionami. - Lysander się rozleciał, a potem stanął w płomieniach. Pamiętam, że wyskakując chwyciłem torbę, ale paliła się na mnie kurtka. Trzeba przyznać, że ci faceci z Ss pojawili się w porę. Kiedy mnie odciągnęli, samolot eksplodował.

- A Tarquin w nim został?

- Tak mi się wydaje. Przynosił mi szczęście, Max, a teraz go nie ma.

- Nie mów głupstw. Sam przynosiłeś sobie szczęście. Wielki pilot. - Uśmiechnął się. - Prawie tak dobry jak ja. - Wzruszył ramionami. - Mimo to poproszę Bubiego, żeby kazał kilku ludziom przeszukać teren.

- Skoro o Bubim mowa, jak on się w to wpakował?

- Och, lataliśmy razem nad Francją, w dawnych czasach, kiedy był jeszcze w Luftwaffe.

Max opowiedział bratu o wszystkim.

- On mówi prawdę - powiedział na zakończenie. - Himmler trzyma go w garści tak samo jak nas.

Podszedł do okna i wyjrzał przez nie.

- I co teraz? - spytał Harry.

- Nie wiem. Wysłuchamy tego, co rano powie nam Bubi. Zobaczymy.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę zamierzasz to zrobić? Zabić Eisenhowera?

Max odwrócił się.

- On jest dla mnie nikim, Harry. Jest po przeciwnej stronie. Zabiłem wielu ludzi i ty także. To wojna.

- Dobrze, ale mimo to jest pewna różnica. A gdyby odwrócić sytuację i gdyby to ode mnie żądano, abym zabił takiego nazistowskiego drania jak Himmler?

- Dla ludzi w Ameryce i Anglii ja jestem nazistowskim draniem.

- Akurat. Ogromna większość Niemców nie należy do partii nazistowskiej. Dali się ponieść wypadkom, kiedy Hitler wciągnął kraj w wojnę. Nie mieli wyboru.

- Och, wszyscy mieliśmy wybór. Tylko zwlekaliśmy z nim za długo. - Max podszedł do drzwi i odwrócił się. - Ta młoda kobieta, ta lekarka? Kochasz ją?

- Ona mnie kocha. Ja tak naprawdę nie wiem, co to miłość. Nie miałem na nią czasu. Tylko jednodniowe urlopy. Wiesz, jak jest?

- Obawiam się, że tak. Czyż życie nie jest piekłem? - Max otworzył drzwi. - Zobaczymy się rano.

Na lotnisku w Lizbonie Joel Rodrigues - zgodnie z instrukcjami - czekał przy głównym wejściu. Łało i był bardzo zmęczony po przelocie z Berlina w Me-110 - dwusilnikowym myśliwcu często używanym teraz do zadań kurierskich. Nawet nie zdążył zobaczyć się z rodziną. Nie było mu wesoło.

Podjechała czarna limuzyna, z której wysiadł szofer i otworzył tylne drzwi młodemu człowiekowi w czarnym płaszczu. Mężczyzna miał cienkie wargi i skupione spojrzenie. Nazywał się Romao i spotkał Joela po jego przyjeździe.

- Jesteś, Rodrigues. Minister chce z tobą porozmawiać.

Joel pospieszył za nim, tylna szyba samolotu została opuszczona i przez okienko wyjrzał Nunes da Silva. W słabym świetle zaśniły siwe włosy, błysnęły wyblakłe oczy w pomarszczonej twarzy.

- Ty jesteś Rodrigues?

- Tak, panie ministrze.

- Wiesz, co masz robić?

- Tak, panie ministrze.

- Nic nie wiem o instrukcjach od Himmlera i nie chcę wiedzieć. Uda się pan do Londynu jako kurier ambasady i skontaktuje z bratem. Rodrigues, obaj jesteście chciwymi małymi człowieczkami. Wpakowaliście się w to wyłącznie na własne życzenie.

- Jak długo mam tam zostać, panie ministrze?

- Dopóki pana nie odwołam - rzekł da Silva i zapytał Romao: - O której odlot?

- O pierwszej rano, panie ministrze. Dakotą. Wolą latać nocą. Niemcy są dokładni, ale nawet oni popełniają błędy.

- Widzisz, Rodrigues? - powiedział da Silva. - Mógłbyś skończyć w Zatoce Biskajskiej i miałbyś za swoje. Odprowadź go, Romao, a potem przyjdź do mojego apartamentu.

Zamknął okno i limuzyna odjechała.

Rodrigues wrócił do wyjścia i podniósł walizkę.

- Czy ten stary drań nie jest oryginałem? Mimo to ma rację - skonstatował Romao. - Ostatnio zestrzelili samolot pasażerski z Lesliem Howardem. No wiesz, tym gwiazdorem filmowym.

- Serdeczne dzięki.

- Jeśli dopisze ci szczęście, śniadanie zjesz w Londynie. To piękne miasto, a poza tym oni wygrywają wojnę. - Uśmiechnął się. - Oczywiście, zaprzeczę, że kiedykolwiek tak powiedziałem.

Lot bynajmniej nie należał do przyjemnych. Nad Biskajami szalały burze, dakota była zatłoczona, wszystkie siedzenia zajęte, wielu pasażerów się pochorowało, więc zapach pozostawiał wiele do życzenia. Joel jakoś przetrwał to dzięki połowie butelki brandy, którą przezornie wsunął do kieszeni.

Na lotnisku Croydon stanął w kolejce do odprawy paszportowej. Nagle po drugiej stronie

barierki zobaczył machającego do niego brata. Joel pomachał mu i dotarł do stanowiska kontroli.

- Paszport proszę - powiedział urzędnik.

Joel podał mu dokumenty.

- Mam immunitet dyplomatyczny. Przyjechałem do tutejszej ambasady Portugalii.

- Widzę - odparł urzędnik, oglądając paszport.

Jakże często bywa w życiu tak, że drobiazgi niosą w sobie zarodek klęski! Joel Rodrigues popełnił poważny błąd, który inni - Himmler, da Silva, Romao - powinni byli przewidzieć. W jego paszporcie widniały pieczętki z datą przybycia i opuszczenia Berlina.

Wydział Specjalny Scotland Yardu zawsze miał kogoś na lotnisku. Przypadkiem tego ranka nadinspektor Sean Riley właśnie przeprowadzał rutynową kontrolę - wysoki, chudy londyńczyk irlandzkiego pochodzenia, z blizną na policzku po ranie zadanej butelką.

Urzędnik kiwnął głową i Riley podszedł do niego. Nie wziął do ręki paszportu, po prostu zerknął w dokument, zobaczył pieczętki, podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Witamy w Londynie.

Joel przepchnął się przez tłum i uściskał brata.

- Czeka na nas samochód - oznajmił Fernando i podniósł walizkę brata.

Kiedy odchodzili, Riley skinął na młodego człowieka w pomiętym prochowcu.

- Masz szansę zostać sierżantem, Lacey. Idź za tymi dwoma i nie spuszczaaj ich z oka.

- Z przyjemnością, inspektorze - odparł Lacey i poszedł za Rodriguesami.

Brytyjskie tajne służby pod jednym istotnym względem zawsze różniły się od innych służb. Ich agenci nie mieli prawa dokonywać aresztowań. Dlatego zawsze ściśle współpracowali z Wydziałem Specjalnym Scotland Yardu. Tak się złożyło, że Riley regularnie kontaktował się z Sekcją D Soe i z Munro, O ósmej trzydzieści zadzwonił na Baker Street. Jack Carter podniósł słuchawkę.

Riley powiadomił go o przybyciu Joela Rodriguesa.

- Rzecz w tym - powiedział - że czekał na niego samochód z ambasady portugalskiej, a mój człowiek, Lacey, słyszał, jak szofer także tego drugiego człowieka nazwał Rodriguesem.

- Naprawdę? - mruknął Jack Carter. - To ciekawe. Coś jeszcze?

- Tak, zatrzymali się w mieszkaniu przy Kensington Gardens, na Ennismore Mews, gdzie zostawili walizkę, a potem pojechali do ambasady. Lacey wrócił i sprawdził mieszkanie. Jest wynajęte na nazwisko Fernando Rodriguesa. Już sprawdziłem. Jest attache handlowym.

Jack jęknął.

- Oni zawsze mają takie stanowiska, Sean. Wykonałeś dobrą robotę. Porozmawiam z Munro i skontaktuję się z tobą.

Munro siedział w swoim gabinecie, przeglądając akta i depesze. Nie podniósł głowy.

- Jesteś. Dostaliśmy kolejną wiadomość od Jacauda. Nie mógł wiele zdziałać. Oddziały Ss otoczyły szczelnym kordonem Chateau Morlaix. Wczoraj po południu widzieli lądującego na lotnisku storcha i to wszystko.

- A więc on nadal może tam być?

- Możliwe, Jack, żywy, martwy, ranny. Kto to, do diabła, wie? No nic, co tam masz?

Carter przekazał mu wiadomości o braciach Rodrigues. Munro wysłuchał i kiwnął głową.

- Riley to dobry gliniarz i ma rację. Tych berlińskich stempli w paszporcie nie można bagatelizować.

- Co robimy?

- Niech Riley zarządzi dokładną obserwację. Chcę wiedzieć, z kim się spotykają, niech dostarczą mi zdjęcia i wszystkie dane.

- Zaraz się tym zajmę, brygadierze.

Śniadanie w Morlaix przebiegło w kameralnej atmosferze. Harry zdołał zejść po schodach, wspierając się na kulach dostarczonych przez Schroedera, po czym usiadł na końcu stołu. Elsa zajęła miejsce po jego lewej ręce, Max po prawej, a Bubi na drugim końcu stołu. Jedli w milczeniu, obsługiwani przez żołnierza Ss w białej kurtce. Jajecznicą na boczku, grzanki, wspaniała kawa.

- Nieźle powodzi się panom z Ss - stwierdziła Elsa.

- Staramy się - odparł Bubi z wymuszonym humorem. Usłyszeli warkot samolotu. Bubi wstał i podszedł do okna. - Ach, to messerschmitt z Fermanville.

- Freiburga - poprawił Max.

Bubi odwrócił się i spojrzał na zegarek.

- Dziewięta trzydzieści, wróć o dziesiątej. Do tego czasu czekam na waszą odpowiedź.

Wyszedł.

- Niech idzie do diabła - mruknęła Elsa i skinęła na kelnera, który dołał jej kawy.

- To nie jest takie proste - powiedział Max. Rozmawiali po angielsku.

- Pamiętaj, kim jesteś, Max. Baronem von Halder, Czarnym Baronem, chyba największym asem niemieckiego lotnictwa. Co mogą ci zrobić?

Potrząsnął głową.

- Nadal nie rozumiesz, Mutti? W rękach takich ludzi jak Himmler jesteśmy nikim. - Odwrócił się do brata. - Powiedz jej, Harry.

- On ma rację. Wpadliśmy w niezłe bagno.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz uczestniczyć w tym śmiesznym przedsięwzięciu?

- Max na pewno nie zdoła go zrealizować bez mojej pomocy.

- Doprowadzacie mnie do rozpaczki.

Wstała.

- Mutti, musimy myśleć o tobie - uprzytomnił jej Max.

Wyprostowała się.

- Jestem Elsa von Halder, a reichsmarschall Goring to mój przyjaciel. Nie ośmielą się mnie tknąć.

Wyszła z jadalni jak statek pod pełnymi żaglami, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

Bubi sprawdzał ustawienie szesnastomilimetrowego projektora filmowego w południowym salonie. Wybrał ten pokój, ponieważ jedna jego ściana była biała. Odprawił adiutanta, który mu pomagał, z blaszanego pudełka wyjął rolkę filmu i starannie przeciągnął koniec przez projektor. Za plecami Bubiego otworzyły się drzwi i wszedł Muller.

- Mogę w czymś pomóc?

- Owszem, niech ich pan tu przyprowadzi, a potem zaczeka na korytarzu. Wezwę pana, kiedy będę pana potrzebował.

- Jest aż tak źle?

- Obawiam się, że tak.

Muller wzruszył ramionami i wyszedł.

- Dobrze, Bubi, o co chodzi? - zapytał Max kilka minut później.

Stał przy oknie, a Elsa i Harry zajmowali kanapę.

- Mam wrażenie, że jest trochę wcześniej na seans filmowy - stwierdziła z przekąsem Elsa.

- Zanim zaczniemy, powtarzam, że ja tylko wykonuję rozkazy. Nie mam w tej sprawie żadnego wyboru.

- Och, rób swoje - rzekł Harry. - Chcę usłyszeć najgorsze.

W tym momencie nad zamkiem przeleciał samolot, najwyraźniej obniżając lot. Max spojrzał przez okno.

- Junkers pięćdziesiąt dwa. Co on tu, do diabła, robi? To było niemożliwe, ale Bubi już domyślał się, co.

- Zaczekajcie - powiedział i wyszedł.

Muller zmierzał korytarzem do pokoju, w którym urządził sobie gabinet.

- Co pan o tym myśli? - zapytał Bubi.

- Zaraz zadzwonię na lotnisko. Wkrótce się dowiemy.

Stali w gabinecie, paląc papierosy i niecierpliwie czekając, aż dzwoniący sierżant uzyska odpowiedź. W końcu powiedział "Rozumiem", odłożył słuchawkę i odwrócił się, zaszokowany.

- Reichsfuhrer Himmler właśnie wylądował swoim junkersem. Już jest w drodze.

Bubi opanował się z najwyższym trudem.

- Proszę wystawić wartę honorową i przyprowadzić go do południowego salonu - powiedział do Mullera. - Sądzę, że przybył tu właśnie w tym celu.

- Rozkaz, pułkowniku - odparł Muller i oddalił się pospiesznie z oczami błyszczącymi z podniecenia.

- Macie tu może trochę koniaku? - spytał Bubi sierżanta.

Sierżant uśmiechnął się.

- Nie najlepszego, pułkownika.

Otworzył szufladę i wyjął butelkę. Bubi pociągnął łyk prosto z flaszki.

- Rozumiem, co miałeś na myśli - rzekł, oddając sierżantowi butelkę. - Ale działa, jak należy - dodał, odwrócił się i wyszedł.

Nadal czekali, kiedy do nich wrócił.

- Mamy tu siedzieć do południa? - spytała zirytowana Elsa.

- Przepraszam. Sprawy przybrały dość dramatyczny obrót. Za chwilę będzie tu reichsführer Himmler. To był jego samolot.

Chyba dopiero w tej chwili Elsa zrozumiała powagę sytuacji. Przycisnęła dłoń do ust, a Max zapytał:

- Tak źle, Bubi?

- Obawiam się, że tak.

Dziesięć minut później otworzyły się drzwi. Muller pojawił się pierwszy, wykonał zwrot i uniół ramię w hitlerowskim pozdrowieniu. Wszedł Himmler w czarnym mundurze i czapce, oczy błyszczały mu za szklami okularów w stalowych oprawkach.

- Ach, jest pan tu, Hartmann. Czy sprawa została załatwiona?

- Obawiam się, że nie, Herr Reichsführer.

- Tak sądziłem, dlatego postanowiłem zmienić plan lotu, chociaż nie mam czasu do stracenia. Powinienem jak najszybciej zjawić się w Paryżu, więc zaczynajmy.

Zwrócił się do Maxa, Harry'ego i Elsy.

- Pułkownik Hartmann powiedział mi, że wyjaśnił wam powód waszej obecności w tym miejscu. Widzę, że sprawiacie trudności.

- Nie możecie mnie tak traktować. Jestem baronową von Halder i... - odparła Elsa, dumna do końca, choć bliska łez.

- Zdradziłaś Rzeszę - powiedział spokojnie Himmler. - Wielu twoich nędznych współników już zapłaciło za zdradę. Gdyby to zależało ode mnie, znalazłabyś się wśród nich. Jednak jesteś nam potrzebna.

Max zerwał się na równe nogi.

- Niech cię szlag!

- Majorze, proszę odebrać broń temu oficerowi - rozkazał Mullerowi Himmler.

Muller wyjął pistolet, podszedł do Maxa i wykonał rozkaz.

- Skończmy tę farsę. Czego pan chce? - burknął Harry.

- Winnych spisku na życie fuhrera czeka tylko jedna kara. Śmierć przez powieszenie na strunie fortepianowej. Egzekucja jest filmowana jako, powiedzmy, przestroga dla innych.

Himmler skinął na Mullera.

- Zasłony.

Muller zaciągnął zasłony, a Bubi włączył projektor.

Film był poprostu przerażający, esesmani zabijali jedną nieszczęsną ubraną w pozbawiony insygniów mundur ofiarę po drugiej. Wieszano je na strunach fortepianowych na rzeźnickich hakach. Niektórzy w chwili śmierci tracili kontrolę nad zwieraczami, a ich ciałami wstrząsały okropne skurcze agonii. Szczególnie koszmarnie wrażenie sprawiały egzekucje obu kobiet; jedna z nich miała chyba siedemdziesiąt lat.

Film skończył się i zapadła głęboka cisza. Elsa nagle zakrztusiła się, zerwała z kanapy, podbiegła do kominka i zwymiotowała. Muller podszedł do okien i odsunął zasłony. Himmler odezwał się pierwszy.

- Nie znoszę przemocy, ale w obliczu zdrady Trzecia Rzesza musi się bronić. Mężczyźni czy kobiety, wszyscy zdrajcy muszą ponieść tę samą karę. - Zwrócił się do Maxa i Harry'ego. - Macie szansę oddać Rzeszy ogromną przysługę. Uratujecie życie waszej matce. Jeżeli nadal będziecie sprawiać trudności... - Wzruszył ramionami. - Widzieliście, co się stanie. Jest tylko jedna kara. To wyraźny rozkaz fuhrera.

Elsa opadła na kanapę, przyciskając chusteczkę do ust, a Himmler zwrócił się do Maxa.

- Sądzę, baronie, że okaże pan rozsądek.

- Tak, niech cię szlag!

- A pan, pułkowniku?

Harry milczał, blady jak ściana.

Himmler pochylił się i powiedział cicho:

- Nie muszę przypominać, że jeśli pańska matka będzie musiała ponieść karę, to baron von Halder również. Czy jest pan gotowy poświęcić ich oboje, pułkowniku?

- Nędzny mały draniu - warknął Harry, ale Himmler wiedział, że wygrał.

- Wspaniale - rzekł do Bubiego. - Muszę już ruszać. Pozostawiam tę sprawę w pańskich zdolnych rękach, pułkowniku, i zazdroszczę panu nieuniknionego sukcesu.

Kiwnął na Mullera, a ten poszedł za nim. Elsa cicho łkała, Max palił papierosa, a Harry wpatrywał się w ścianę.

- Naprawdę myślisz, że mogę to zrobić, Bubi? - zapytał Max.

- Z pomocą twojego brata. Macie dwadzieścia cztery godziny na przygotowania, a potem lecisz.

- Ty świnió - jęknęła Elsa. - Jak możesz brać w tym udział?

- Mówiłem już, że Himmler trzyma mnie za gardło. Mam żydowskie pochodzenie. Nie sądziłem, że on o tym wie, ale ten potwór wie o wszystkim. Grozi całej mojej rodzinie. Wprawdzie moja żona nie żyje, ale jest jeszcze mój ojciec i jego siostra, a to dopiero początek.

- Naprawdę mi przykro - powiedział Max ze szczerym współczuciem.

- Mnie też. Jednak tak jest. - Odetchnął. - No dobrze, po kolei. Teraz, kiedy ustaliliśmy, że polecisz, musimy zrobić coś z twoją twarzą.

- Moją twarzą?

- Tak, twój brat ma bliznę na lewym policzku. Musimy się tym zająć.

Max i Harry wymienili spojrzenia.

- Jak?

- Schroeder wpadł na pewien pomysł. On ci to powie.

- No to do dzieła - rzekł Max i ruszył za Bubim. Kiedy reszta poszła przodem, położył dłoń na ramieniu Harry'ego. - Wymyślimy coś, bracie.

Harry ponuro skinął głową i opuścili pokój.

W południe Bubi poprowadził ich korytarzem do pomieszczenia, w którym Schroeder urządził izbę chorych. Harry kuśtykał o kulach, Max siedł u jego boku. Schroeder miał biały fartuch narzucony na mundur. W pokoju czekały przygotowane narzędzia chirurgiczne i sanitariusz, również w białym fartuchu.

- Nie jest to dokładnie to, czego potrzebuję, ale musi wystarczyć - powiedział Schroeder. Skinął na Harry'ego. - Proszę usiąść. - Potem rzekł do Maxa: - Dla pana jest ten fotel, pułkownika, najwygodniejszy, jaki zdołano znaleźć. Najpierw jednak proszę włożyć ten biały kitel.

Sanitariusz pomógł mu i Max zasiadł na wielkim skórzanym fotelu.

- Co teraz?

Schroeder napełnił strzykawkę.

- To środek miejscowo znieczulający. Na kilka godzin straci pan czucie w twarzy. Działa prawie natychmiast.

Max skrzywił się, gdy igła wbiła mu się w policzek.

- I co dalej? - mruknął po chwili.

Schroeder oglądał lewy policzek Harry'ego.

- Dobra robota i stosunkowo świeża, mam rację?

- Tak.

- Powiedzmy, że uderzył się pan podczas katastrofy samolotu w lewy policzek - zwrócił się Schroeder do Maxa. - Ponieważ blizna na policzku pańskiego brata jest świeża, można założyć, że się otworzyła.

- Skoro tak pan twierdzi.

Max nagle przestał czuć mięśnie twarzy.

- W takim wypadku byłoby konieczne ponowne szycie? stwierdził Schroeder. - Co właśnie zamierzam zrobić.

- Przecież on nie ma blizny - zdziwił się Harry.

- Racja, ale zaraz będzie ją miał. - Schroeder skinął na sanitariusza. - Przytrzymaj głowę pacjenta, a pan, pułkowniku, niech ściśnie poręczę fotela.

Max wykonał polecenie. Schroeder podszedł do stolika z narzędziami chirurgicznymi, wziął metalowy płaskownik, odwrócił się i bez ostrzeżenia uderzył Maxa w lewy policzek. Głowa Maxa odskoczyła pod wpływem silnego ciosu, mimo że przytrzymał ją sanitariusz, ale nic nie poczuł. Schroeder uderzył go jeszcze dwukrotnie, znacznie słabiej, a potem wrzucił sztabkę do kubła.

- Dobrze, powinien być piękny siniak.

Podszedł do Harry'ego i wyjął z kieszeni małą całówkę.

- Pozwoli pan, pułkowniku? - Starannie zmierzył bliznę, po czym przyłożył całówkę do policzka Maxa. - Doskonale. - Kiwnął na sanitariusza. - Przygotuj się.

Tamten chwycił emaliowaną tackę z tamponami i czekał. Schroeder wziął ze stolika skalpel i odwrócił się do Maxa.

- Nic pan nie poczuje, pułkowniku, proszę mi zaufać.

- Rób pan swoje - burknął Max.

Schroeder bardzo ostrożnie przeciągnął skalpelem po lewym policzku Maxa. Pocięła krew i sanitariusz natychmiast wytarł ją tamponem. Schroeder wrzucił skalpel do kubła, sięgnął i chwycił metalowy pojemnik. Dwukrotnie spryskał ranę.

- Nowy wynalazek. Powoduje natychmiastowe krzepnięcie krwi. A teraz artystyczne szycie.

- Muszę przyznać, że jest pan dobry - stwierdził Max.

Harry zdołał wyjąć papierosa i zapalić go lekko drżącymi rękami.

- Rany boskie - jęknął.

Schroeder starannie zaszył ranę, a następnie zakleił ją przylepcem, otarł twarz pacjenta i cofnął się.

- Ciekawy zabieg. Jestem zadowolony z siebie.

- Widzę, że zna się pan na swojej robocie - mruknął Max.

Schroeder wziął ze stolika niewielkie pudełko, Max wstał, a sanitariusz zdjął z niego zakrwawiony fartuch.

- Kiedy środek znieczulający przestanie działać, poczuje pan ból. To ampułki z morfiną. Trzeba

odłamać koniec. Wystarczy lekko pociągnąć.

- Jest pan niezwykle uprzejmy. - Max schował pudełko do kieszeni bryczesów. - I co teraz?

- No, jeśli macie ochotę, w jadalni czeka lunch. Proszę jeść tylko miękkie rzeczy, pułkowniku. O ile wiem, pułkownik Hartmann ma później względem was jakieś plany.

Harry dźwignął się na kulach.

- Czuję, że potrzebuję po tym drinka - rzekł.

- Ty potrzebujesz drinka? - uśmiechnął się krzywo Max i objął go ramieniem. - Zawsze byłeś samolubnym draniem.

Max, Harry, Elsa i Bubi mieli jadalnię tylko dla siebie. Baronowa przeraziła się na widok Maxa.

- Co oni ci zrobili?

- To konieczne, Mutti. Harry ma bliznę, więc i ja muszę ją mieć.

Wychodziła z siebie.

- Oszpecili ci twarz! I słuchajcie, coś mi przyszło do głowy. Nawet jeśli to się uda, nawet jeśli Max zrobi to, co ma zrobić... w jaki sposób ucieknie?

- Właśnie, Hartmann. Jak? - powiedział Harry, nakładając sobie ziemniaki.

- No, będzie miał dostęp do lotniska. Zapewne zdoła odlecieć którymś lysanderem.

- A jeśli to okaże się niemożliwe?

- Mamy agentów w ambasadzie Portugalii w Londynie. Portugalskie statki nadal przyplývają do Liverpoolu i pamiętaj, że ten kraj jest neutralny. Zapewne zdołamy przerzucić Maxa na jednym z nich.

- Rejs do Lizbony? - prychnął Harry. - Kiedy wszystkie porty będą ściśle strzeżone po śmierci Eisenhowera?

Zapadła cisza.

- Nie można mieć wszystkiego - przerwał ją Max.

Elsa zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz wziąć udział w tym szaleństwie?

- Chyba nie mam innego wyjścia, Mutti. Przecież widziałaś film. Muszę myśleć o tobie.

- Nie! - krzyknęła. - Nie zrzucaj winy na mnie. Nie zniosę tego.

Wstała i wybiegła z pokoju.

Usiadła pod oknem w swojej sypialni, nerwowo paląc papierosa, i opowiedziała o wszystkim Rosie Stein.

- To dranie, bez wyjątku. Spodziewają się, że będę współczuła Bubiemu Hartmannowi, ale dlaczego? Przecież posyła Maxa na pewną śmierć. To po prostu niewiarygodne.

- Skoro reichsführer Himmler w pełni kontroluje sytuację, co można zrobić? - powiedziała ostrożnie Rosa.

- Pojadę do Berlina. Porozmawiam z fuhrerem.

- Baronowo, muszę to powiedzieć. Po pierwsze, jesteśmy tu więźniami, więc nie zdoła pani dotrzeć do Berlina. Po drugie, fuhrer słucha Himmlera, nie pani. - Rosa potrząsnęła głową. - W końcu przekonała się pani, czym naprawdę jest Trzecia Rzesza.

Elsa spojrzała na nią.

- Przecież musi być jakiś sposób na to, by ocalić moich synów.

- Nie, baronowo, nic nie można zrobić.

Zapukano do drzwi. Rosa otworzyła je i wszedł Bubi z majorem Mullerem. Elsa zmierzyła ich chłodnym spojrzeniem.

- Chcę zobaczyć moich synów.

- Teraz to niemożliwe, baronowo - odparł Bubi. - Operacja się rozpoczęła i są bardzo zajęci. Nie można im przeszkadzać.

- Nalegam. Nie mogę pozwolić, żeby to zrobili.

Bubi spodziewał się tego. Wiedział, że jej postępowanie może zagrozić całej akcji. Zrobił głęboki wdech.

- Z żalem informuję panią, że na bezpośredni rozkaz reichsführera Himmlera nie może pani zobaczyć synów aż do zakończenia tej sprawy. Zechce pani się spakować, zostanie pani przeniesiona do domku myśliwskiego na skraju posiadłości.

- Odmawiam.

Wstała i popatrzyła na niego wyzywająco.

- W takim wypadku mam rozkaz przewieźć panią do Berlina, w razie potrzeby siłą. Jeśli chce pani tu pozostać, to tylko w domku myśliwskim, gdzie nie będzie pani przeszkadzać.

Usiadła. Nagle wyglądała o wiele starszej.

- Nie, wygraliście. Przeniosę się. Czy mogę zobaczyć moich synów? Tylko raz.

- Kiedy Max wyruszy, będzie pani mogła zobaczyć się z Harrym. Tylko tyle mogę zrobić. - Bubi zwrócił się do Mullera. - Proszę towarzyszyć baronowej, majorze.

- Oczywiście, pułkowniku.

Bubi wyszedł na korytarz i drżącymi rękami zapalił papierosa, czując obrzydzenie do siebie.

- Dobry Boże - szepnął - kiedy to się skończy?

Poszedł do biblioteki, gdzie Harry rozmawiał z Maxem.

- Dobrze - powiedział. - Najpierw fotografie. Zobaczmy, co masz, Harry.

Harry niechętnie wyjął portfel.

- To ja i Molly Sobel przed wejściem do "Savoya".

- Co tam robiliście?

- Tańczyliśmy w River Room.

- Jak nazywała się orkiestra?

- Carrol Gibbons i "Orpheans".

- Bardzo dobrze. Ładna dziewczyna.

Harry popatrzył na Bubiego i dopiero po chwili zaczął mówić dalej.

- To Molly i ja w Cold Harbour. Znów Cold Harbour. Ze c Acland, szyperski łodzi ratunkowej, z którym rozmawiałeś przez radio, Max. Julie Legrande, gospodyni. Brygadier Munro i Jack Carter, jego adiutant.

Bubi robił notatki.

- Mam akta z Berlina - wtrącił. - Zdjęcia Munro oraz informacje o jego organizacji. Zobaczmy, co nam się przyda. Szczegóły związku z Molly Sobel, opis Cold Harbour i Eisenhowera, jego kwatery głównej w Southwick House, działanie służb kurierskich. - Westchnął. - Przed nami długi dzień, panowie. Lepiej zaczynamy.

Obaj bracia z posępnymi minami zaczęli studiować akta.

Domek myśliwski był dość wygodny. W salonie znajdował się kominek i belkowany strop, a w sypialni staromodne dębowe meble, kolejny kominek i duża łazienka. Rosa rozpakowała walizki, a Elsa niespokojnie krążyła po pokojach.

W salonie był barek. Baronowa wypita dużą brandy, ale alkohol zamiast ją uspokoić, jeszcze pogorszył sytuację. Nalała sobie następny kieliszek i usiadła. Powoli zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Przez całe życie miała pozycję i władzę, oraz - dzięki Abemu Kelso - pieniądze. Weszła na górę, do sypialni. Rosa rozpakowywała mniejsze torby; właśnie kładła biżuterię na toalecie. Wyjęła walthera.

- Gdzie mam go położyć, baronowo?

Elsa wyciągnęła rękę.

- Ja się tym zajmę.

Wróciła na dół i położyła walthera na kanapie. Wszystko skończone. Max był już właściwie martwy, Harry'ego zabiją zaraz potem, a wszystko przez nią; jej synowie robili to tylko ze względu na nią. Gdyby jej nie było, sytuacja - oczywiście - by się zmieniła. Chociaż lekko zamroczona brandy, zrozumiała, co powinna zrobić. Podniosła walthera, odciągnęła suwadło i znów odłożyła broń.

- Rosa, pozwól tu! - zawołała.

Po chwili przyszła pokojówka.

- Tak, baronowo?

- Zadzwoń do chateau. Poproś pułkownika Hartmanna, żeby natychmiast tu przyszedł.

- Tak, baronowo.

Dyżurny sierżant zawiadomił Bubiego, który siedział w pokoju służącym jako mesa dla oficerów. Był z nim Muller i Schroeder.

- Nie mam czasu - powiedział. - Dość mam już na głowie.

- Pójdziemy z panem - stwierdził Muller i uśmiechnął się do Schroedera. - Będzie to dla pana pouczające doświadczenie.

Przed domkiem stali dwaj wartownicy, a inni patrolowali teren. Elsa, patrząc przez okno, zobaczyła nadjeżdżającego kubelwagena, podeszła do kanapy i usiadła. Schowała walthera między poduszkami i zapaliła papierosa. Czekaając, otworzyła szampana i zawołała Rosę.

- Nalej mi szampana.

- Oczywiście, baronowo.

- Kiedy ich przyjmę, idź do kuchni i nie wychodź.

- Jak pani każe, baronowo.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Rosa otworzyła. Wszedł Bubi, a za nim Muller i Schroeder.

- Słucham, baronowo. Jest jakiś problem? - zapytał.

- Jedyne waszego istnienia, wy nazistowskie świnie - powiedziała. - Oraz problem mojej egzystencji. W końcu beze mnie nie mielibyście czym szantażować moich synów.

Wycelowwała walthera, a Bubi, przeczuwając, co zamierza, zawołał:

- Nie!

Rzucił się w bok i stojącego za nim Mullera trafiły dwie pierwsze kule, odrzucając go w tył, podczas gdy Bubi rozpaczliwie chował się za drugą kanapą. Schroeder otworzył kaburę, wyrwał mausera i odruchowo wystrzelił trzy razy, rzucając Elbę, baronową von Halder, na oparcie kanapy.

Bubi wstał i pochylił się nad Mullerem. Podniósł głowę.

- Nie żyje.

- Ona też - stwierdził Schroeder, pochyliwszy się nad Elbą. Spojrzał na pistolet. - Jeszcze nigdy nikogo nie zabiłem.

- Nie pańska wina. Ona chciała umrzeć.

Załomotano do drzwi. Hartmann wpuścił sierżanta i dwóch żołnierzy. Stanęli jak wryci.

- Major Muller i baronowa nie żyją - rzekł Bubi i odwrócił się do Schroedera. - Przejmuję dowodzenie. Ani słowa o tym, co zaszło. Ani baron, ani pułkownik Kelso nie mogą się o tym dowiedzieć.

- Dlaczego, pułkowniku?

- Baron niechętnie podjął się tego zadania, tylko dlatego, aby ocalić matkę przed najwyższą

karą za przestępstwa przeciwko Rzeszy. Jak zareagowałby, gdyby wiedział, że ona nie żyje?

- Ach, teraz rozumiem - kiwnął głową Schroeder. - Zajmę się tym. - Podeszedł do telefonu i zawahał się. - A co z pokojówką, pułkowniku?

Bubi zaklął i pobiegł schodami na górę, lecz po Rosie Stein nie było już śladu. Zszedł i zajrzał do kuchni, a potem wrócił.

- Była tu jeszcze jedna kobieta, służąca. Każ patrolom wszcząć poszukiwania - nakazał sierżantowi.

- Natychmiast, pułkowniku.

Sierżant skinął na swoich ludzi i wybiegł.

Bubi zrobił głęboki wdech, myśląc o przebywającym w Paryżu reichsführerze. To może zaczekać. Zapalił papierosa i pojechał kubelwagem z powrotem do chateau.

Patrząc przez uchylone drzwi od kuchni, Rosa widziała i słyszała wszystko. Śmiertelnie przerażona myślała tylko o ucieczce. Chwyciła z wieszaka stary prochowiec, włożyła go i otworzyła kuchenne drzwi.

Wtedy po raz pierwszy dopisało jej szczęście, gdyż wszystkie patrole, zwabione odgłosem wystrzałów, pobiegły do frontowych drzwi. Zaczekała, aż wokół będzie pusto, a potem przebiegła przez trawnik do furtki w murze. Przeszła przez nią i po drugiej stronie znalazła gęsty zagajnik. Zrobiła głęboki wdech i pobiegła ile sił w nogach.

Max i Harry nadal byli w bibliotece, kiedy przyszedł tam Bubi. Zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Wciąż tutaj?

- I jeszcze długo tu będziemy - odparł Max. - Przed chwilą w ogrodzie wybuchło jakieś zamieszanie. Widziałem przez okno patrole.

- Tak, podobno w lesie zauważono intruzów. Zapewne kłusownicy. Nabrałeś pewności siebie?

- Chyba żartujesz. Piekielnie dużo oczekujesz, Bubi. Na przykład, czy mam pocałować Molly? Kobiety trudno zwieść. Mogę wyglądać tak samo, ale mogę mieć inny smak.

- Twoja twarz jest w takim stanie, że będzie się bała cię dotknąć - uspokoił go Harry.

Bubi zapalił papierosa.

- Róbcie swoje. Uda ci się, Max.

- A świnię mogą latać. Pamiętaj, Bubi, że ani ja, ani Harry nie robimy tego dlatego, że uważamy to za słuszne. Po prostu nie możemy znieść myśli, że nasza matka mogłaby skończyć na rzeźnickim haku.

- Wiem, wiem, ale przy odrobinie szczęścia szybko będzie po wszystkim. Polecisz do Cold Harbour, Munro natychmiast ściągnie cię do Londynu. Eisenhower zechce cię zobaczyć... na pewno. Na Boga, będziesz bohaterem dnia. Hayes Lodge w Londynie, Southwick House w Portsmouth, to bez różnicy. Tam i z powrotem, Harry, w parę dni. Moi portugalscy dyplomaci już otrzymali instrukcje, żeby załatwić ci statek.

- Lepiej powiedz mi, kim oni są.

Bubi wyjaśnił rolę braci Rodrigues i Sarah Dixon, a potem napisał jej adres na kartce.

- Czy oni wiedzą, o co chodzi?

- Bardzo dokładnie, a także wiedzą, kim jesteś. Eisenhower nic ich nie obchodzi. Bracia biorą w tym udział dla pieniędzy, a Sarah Dixon jest z Ira.

- Powiedz mi o niej coś więcej.

Bubi otworzył teczkę i wyjął arkusz papieru.

- Wszystko masz tutaj.

Max kiwnął głową.

- Oczywiście, jest jeszcze inne wyjście z sytuacji. Harry'emu zapewne także przyszło do głowy. Bliźnięta, jak wiadomo, łączy swego rodzaju telepatia. Co o tym myślisz, bracie?

- Och, mówisz o tej chwili chwały, kiedy postanowisz zginąć za fuhrera i Rzeszę, na oczach wszystkich wyjmiesz pistolet w gabinecie Eisenhowera, zastrzelisz go i umrzesz pod gradem kul?

- Właśnie. - Max zwrócił się do Bubiego. - Proste i wygodne. No nic. Kiedy wyruszam, Bubi?

- Myślałem o czwartej rano. Ukradniesz mojego storcha z lotniska, a do Cold Harbour jest zaledwie godzina lotu. Pogoda nie będzie nadzwyczajna, ale około piątej nadejdzie świt.

- Brzmi zachęcająco. No to do roboty.

- Kilka przestrelin z broni maszynowej w kadłubie uwiarygodniłoby tę historię - rzekł

sarkastycznie Harry.

- Doskonały pomysł. - Bubi wstał. - Na waszym miejscu powtórzyłbym wszystko jeszcze raz. Jeśli chcecie, możemy o dziewiątej zjeść kolację.

- I pożegnać się z Mutti - rzucił Max do Harry'ego.

Tutaj zaczynały się kłamstwa.

- Obawiam się, że to niemożliwe - rzekł Bubi. - Łagodnie mówiąc, wasza matka sprawiała trudności. Himmler dał wyraźny rozkaz, że do czasu rozpoczęcia operacji ma pozostać w odosobnieniu. Przenieśliśmy ją do domku myśliwskiego na krańcu posiadłości. Nie możecie się z nią zobaczyć, Max.

- Daj spokój, Bubi.

- Kiedy wylecisz, pozwolę twojemu bratu ją odwiedzić. - Bubi o mało nie udławił się tym kłamstwem. - Nic więcej nie mogę zrobić.

Zapadła cisza. Max wzruszył ramionami.

- Och, do diabła. Bierzmy się do roboty. Zostaw nas, Bubi.

Hartmann wyszedł.

- Czas ucieka, Max. Wymyśliłeś już coś? - odezwał się Harry.

Max ponuro pokręcił głową.

- Musimy tańczyć, jak zagrają, i zobaczymy, co się stanie.

- Chryste. - Harry milczał przez chwilę, a potem powiedział: - Gdyby do tego doszło... gdyby nie było innego wyjścia... Myślisz, że naprawdę mógłbyś to zrobić?

- Widziałeś ten film - odparł Max. - Te dwie kobiety wierzgające nogami, z oczami wychodzącymi z orbit... A wiesz, co było najgorsze?

Harry skinął głową.

- Kiedy się wypróżniły.

- Harry, poszedłbym do piekła i samego diabła, żeby coś takiego nie spotkało moją matkę.

Mniej więcej w tym samym czasie w Londynie Fernando i Joel Rodrigues pojawili się w

mieszkań Sarah Dixon. Lacey i ekspert-fotograf, konstabl nazwiskiem Parry ze Scotland Yardu, śledzili ich i wykonali serię zdjęć obu Portugalczyków. Później poszli za nimi po Westbourne Grove do włoskiej restauracji, w której Sarah od lat spotykała się z Fernando.

- Dziwne - powiedział Lacey - ale ja już gdzieś widziałem tę kobietę.

- W tych blokach mieszka sporo ludzi - odrzekł Parry.

- Wspaniale. Jesteś naprawdę wielkim detektywem. Osobiście zawsze lubię brać sprawę za łeb. Wyjmij film i załóż nową rolkę. Chcę natychmiast oddać negatyw do wywołania. Zaraz wracam.

Wszedł do restauracji, bardzo zatłoczonej, stanął na końcu baru i zamówił kieliszek wina. Zatrzymał przechodzącego kelnera. Okazał swoją legitymację.

- Niech pan przeczyta.

Kelner zrobił wielkie oczy.

- W czym problem, detektywie?

- Jak się nazywasz?

- Franco.

- Dobrze, Franco. Jeśli powiesz mi to, co chcę wiedzieć, nie zamknę cię. Capisce? Ci dwaj mężczyźni i kobieta w rogu. Kim oni są?

- Ta dama to Sarah Dixon, pani Sarah Dixon. Wyższy mężczyzna to senhor Rodrigues z ambasady Portugalii. Przychodzą tu od lat. Ona mieszka w pobliżu.

- A ten drugi?

- Nigdy przedtem go nie widziałem.

Lacey poklepał go po ramieniu.

- Grzeczny chłopiec. Ani słowa, wszystko normalnie. Jasne?

- Jak słońce, panie oficerze.

Lacey odwrócił się, wyszedł i znalazł Parry'ego po drugiej stronie ulicy. Parry dał mu film.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście. Zostań tu, idź za nimi, kiedy skończą, i zadzwoń. Ja zaniosę ten film do Yardu i dam do wywołania. - Odwrócił się, przystanął, a potem znów odwrócił. - Jezu Chryste, właśnie

przypomniałem sobie, gdzie ją widziałem.

Munro siedział przy kominku w swoim mieszkaniu przy Haston Place, popijając grog i przeglądając akta, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Munro.

- Tu Carter.

- Jest dziesiąta, Jack. Chciałem wcześniej pójść spać. O szóstej rano mam być w biurze.

- Mamy problem, brygadierze.

Takiego hasła używali w sytuacjach alarmowych.

- Poważny? - zapytał Munro.

- Bardzo poważny. Jest u mnie nadinspektor Riley i jeden z jego ludzi. Chyba powinien pan z nimi porozmawiać.

- Przyjeżdżajcie jak najszybciej, Jack.

W restauracji, przy kawie, Sarah z Fernando i Joelem omawiali sytuację.

- Czy to cię niepokoi? - spytał cicho Fernando.

- Śmierć Eisenhowera? - Potrząsnęła głową. - On nic dla mnie nie znaczy. Prawdę mówiąc, kiedy w czterdziestym roku Niemcy mieli dokonać inwazji, wyglądało, jakby miały ziścić się wszystkie irlandzkie marzenia.

- Sarah, kocham cię - powiedział Fernando - ale gdyby Hitler okupował Anglię, na pewno posłałby swoje czołgi na Dublin.

- Może, ale to nie zmienia obecnej sytuacji. Zrobimy wszystko, żeby pomóc temu Niemcowi udającemu własnego brata. Sprawdźcie, czy w londyńskim porcie stoją jakieś portugalskie statki. Będzie mu trzeba pomóc przy ucieczce.

- On nigdzie nie ucieknie - rzekł Fernando. - Kiedy zabije Eisenhowera, zginie. Ponadto nie wiemy, kiedy tu się zjawi.

- Niebawem - poinformowała. - No nic, chodźmy. Jutro mam ranną zmianę. Zostajesz,

Fernando?

Pochylił się i pocałował ją.

- To pierwsza noc Joela po przyjeździe. Muszę się nim zająć.

Zapłacił rachunek i opuścili restaurację. Przeszli na Westbourne Grove i odprowadził ją pod blok.

- Dobranoc, kochanie - powiedziała Sarah. - Zobaczymy się wkrótce.

Ukryty w bramie Parry sfotografował całą scenę specjalnym aparatem bez lampy błyskowej. Sarah weszła do budynku, a obaj bracia poszli Westbourne Grove.

- Lubisz tę kobietę? - zapytał Joel, kiedy szli po Queensway.

- Lubię? Ja ją kocham - odparł Fernando. - Gdybym mógł, jutro bym się z nią ożenił.

- Ożenił? Jest od ciebie o dziesięć lat starsza.

Zeszli do stacji metra Bayswater.

- Zawsze lubiłem dziewczyny, dużo seksu i seks z nią jest niezły, ale to nie wszystko - wyznał Fernando. - Ona jest więcej warta niż wszystkie baby, z jakimi sypiałem, razem wzięte.

- Nie moglibyście mieć dzieci.

Stali na peronie.

- Ty wolisz mężczyzn, Joelu, i to twoja sprawa, a miłość do tej kobiety to moja sprawa - powiedział Fernando.

Nadjechał skład, weszli do wagonu, a Parry za nimi.

W salonie mieszkania Munro Sean Riley przedstawił Lacey. Jack Carter nalał szkockiej z wodą sodową do szklaneczek i przyniósł je na tacy.

- Przyda się panu jeden głębszy, brygadierze.

- O rany. - Munro wziął szklaneczkę. - No dobrze, niech usłyszę najgorsze.

Riley opowiedział o przybyciu Joela Rodriguesa na Croydon i berlińskich stemplach w jego paszporcie. Potem szczegółowo wyjaśnił rolę Lacey w całej sprawie i opisał ostatnie wydarzenia. Pstryknął palcami, a Lacey podał mu kartonową teczkę, którą nadinspektor otworzył i wyjął z niej

zdjęcia.

- Oto bracia Rodrigues, brygadierze, oraz dama.

- Fernando jest tu niemal od początku wojny, niedawno został starszym attache handlowym - zabrał głos Jack Carter. - Jego brat, Joel, attache handlowy ambasady w Berlinie, niespodziewanie został przeniesiony do służby kurierskiej między Lizboną a Londynem.

- A kobieta?

Jack Carter zawahał się.

- Detektyw Lacey ją rozpoznał. Jego obowiązki w Wydziale Specjalnym wymagają częstej obecności w głównej kwaterze Soe.

- O czym ty mówisz, do diabła? - zdumiał się Munro.

- Ona pracuje przy Baker Street - wyjaśnił Lacey. - Jak powiedział major Carter, rozpoznałem ją.

- Dobry Boże! - Munro wstał, podszedł do kredensu i nalał sobie następną whisky. - Powiedzcie mi resztę.

Carter skinął na Seana Rileya, który zabrał głos.

- To tylko wstępne ustalenia, brygadierze. Jutro wszystko dokładnie sprawdzimy. Ta kobieta to pani Sarah Dixon, wdowa po George'u Dixonie, który umarł na raka. Urodziła się w Londynie, ojciec Anglik, matka Irlandka. Jej panieńskie nazwisko brzmi Brown. Dziadek, Patrick Brown, był aktywistą Ira w Powstaniu Wielkanocnym w tysiąc dziewięćset szesnastym. Rozstrzelany przez brytyjskich żołnierzy. Przez pewien czas pracowała w Ministerstwie Wojny, potem, rok temu, została przeniesiona do kwatery głównej Soe. Urzędniczka w sekretariacie, bez dostępu do istotnych informacji.

- Bez dostępu? - Munro wyglądał tak, jakby miał dostać apopleksji. - Skąd, do diabła, możemy być tego pewni, jeśli chodziła sobie po gmachu? I jak się tam w ogóle znalazła? Czy nikt jej nie weryfikował?

Carter westchnął.

- Obawiam się, że nadal to sprawdzamy. Mogła po prostu zostać... przeoczona.

- Dobry Boże.

- Brygadierze - wtrącił Carter - przecież to nie ma sensu. Już przed laty zniszczyliśmy siatkę Abwehry w Wielkiej Brytanii i większość ich agentów przeszła na naszą stronę. Nie został ani jeden.

Munro sącył whisky, marszcząc brwi.

- Jeżeli dobrze pamiętam, Jack, wiele lat temu... nie za twoich czasów... otrzymaliśmy raport. Informowano nas, że niejaki major Klein z dowództwa Sd w Berlinie złamał wszelkie przepisy i stworzył w Anglii własną siatkę.

- Wiem o tym, ale to tylko plotki. Czytałem ten raport. Nie było w nim żadnych konkretów.

- A jeśli to nie plotka? Jeżeli pozostali jacyś uśpieni agenci? Co wtedy, Jack?

- Czy mamy ich zgarnąć, brygadierze? - spytał Riley.

- Nie, bracia Rodrigues powołaliby się na immunitet dyplomatyczny. Wtedy moglibyśmy ich najwyżej deportować.

- A kobietę?

Munro potrząsnął głową.

- Na razie wystarczy ścisła inwigilacja, nadinspektorze. Każdy jej kontakt musi zostać odnotowany. Przydzielcie do tego waszych najlepszych ludzi. - Zwrócił się do Cartera. - Ostrożnie sprawdź przy Baker Street, Jack. Przeprowadź jedną z regularnych kontroli całego personelu. To zamaskuje nasze prawdziwe motywy.

- Oczywiście.

Munro wstał.

- Musicie dać z siebie wszystko. To może być coś poważnego.

Kiedy Bubi zszedł do jadalni na kolację, doznał szoku. Przez moment sądził, że to Harry stoi przy kominku, a potem zobaczył Amerykanina w bluzie Luftwaffe z Krzyżem Rycerskim, siedzącego na kanapie, o którą oparł kule.

- Mój Boże - rzekł Bubi. - To niewiarygodne.

- Lepiej w to uwierz - burknął Max. - Czy Muller nie przyłączy się do nas?

- Nie, wezwano go do Saint-malo, a Schroeder jest zajęty. Jakiś wartownik złamał nogę. Możesz podawać - zwrócił się do żołnierza przy drzwiach.

- Właśnie, giń godną śmiercią, ale z pełnym żołądkiem. - Max usiadł przy stole. Kiedy Harry dołączył do niego, spytał: - O czymś zapomnieliśmy?

- Nie przejmuj się. Jest jeszcze parę osób, których nie rozpoznasz. Na przykład generał Sobel. Rozluźnij się i pozwól im mówić.

- Postaram się. - Max zerknął w okno. - Popatrz, jak leje. Biedni marynarze, na morzu w taką pogodę.

- Raczej biedni piloci. - Harry podniósł kieliszek z winem. - Nie przychodzi mi do głowy żaden odpowiedni toast.

- Może, aby Bóg miał nas wszystkich w opiece? - zaproponował Max.

Rosa była kompletnie załamana i przemoknięta. Zrobiło się tak ciemno, że wpadała na drzewa. Błyskawice przecinały niebo, na moment rozświetlając mrok, i nagle w kolejnym rozbłysku dostrzegła ścieżkę oraz jakąś chatę. Powłokła się do niej, znalazła drzwi i otworzyła je. W środku było cieplej, a kiedy znów błysnęło, zobaczyła stos bierwion i zagrody, w których nie było zwierząt. Na podłodze leżały sterty słomy, a deszcz zacinał przez otwarte okna i bębnił o dach. Zdjęła pelerynę i powiesiła na przegrodzie, a potem położyła się na sianie i nagarnęła je na siebie. Pachniało przyjemnie. Zamknęła oczy, po czym natychmiast zapadła w sen.

Max pożegnał się z Harrym o trzeciej, a Bubi zawiózł go w ulewnym deszczu na lotnisko. Zaparkował kubelwagena w jednym z hangarów. Storch stał na deszczu. Max, w wojskowym płaszczu narzuconym na ramiona, zapalał papierosa, kiedy podszedł do niego starszy sierżant w czarnym mundurze pancernych oddziałów Ss.

- Wiesz, co robić - powiedział Bubi.

Sierżant major odwrócił się do jednego ze swoich ludzi i wyciągnął rękę. Żołnierz podał mu schmeissera. Sierżant wyszedł na deszcz i pociągnął serią po kadłubie storcha, blisko ogona, a potem następną, po prawym skrzydle. Wrócił.

- Wspaniale - mruknął Bubi do Maxa. - Chyba wystarczy.

- Chwila prawdy. - Max wyciągnął rękę. - Daj mi swojego walthera, Bubi, oraz zapasowy magazynek.

Bubi zmarszczył brwi.

- Zabrałem go wartownikowi, którego ogłuszyłem, a potem zastrzeliłem drugiego.

- Rozumiem - rzekł Bubi. - Oczywiście.

Wyjął z kabury pistolet z zapasowym magazynkiem. Max dwukrotnie wystrzelił w powietrze.

- To powinno wystarczyć.

Wsunął broń i magazynek do kieszeni płaszcza.

- No to leć. - Bubi podał mu rękę. - Przykro mi.

- To nie twoja wina. Lecę.

Podszedł do samolotu, gdzie starszy sierżant czekał, żeby otworzyć mu drzwi kabiny. Max wrzucił do środka płaszcz, odwrócił się i skinął głową Bubiemu, po czym wsiadł. Drzwi się zatrzasnęły. Uruchomił silnik. Po chwili śmigło zaczęło się obracać, coraz szybciej. Deszcz bębnił o owiewkę kabiny, lecz jak zwykle, Max poczuł uniesienie. Właśnie do tego był stworzony. Do latania.

Storch posunął naprzód i obrócił na wiatr. Z budynków lotniska padało słabe światło, ale to Maxowi zupełnie wystarczało. Z rykiem przemknął po pasie, ściągnął stery i wzbił się w ciemność.

15

Przeciwny wiatr spowalniał go, ale lot przebiegł bez zakłóceń. Przez czterdzieści minut Max zachowywał ciszę radiową, a potem wywołał kontrolę lotów.

- Cold Harbour, Cold Harbour, słyszycie mnie?

Niemal natychmiast otrzymał odpowiedź.

- Tu Cold Harbour, słyszę cię głośno i wyraźnie. Kim jesteś?

- Pułkownik Harry Kelso uciekający w cholerę z Bretanii w skradzionym storchu. Przewidywany czas przybycia dwadzieścia minut.

- Zostań na nasłuchu.

Pełniący służbę kapral Raf-u był wstrząśnięty; sięgnął po telefon i zadzwonił do Julie Legrande. Odpowiedziała chwilę później, zaspanym głosem.

- O co chodzi?

- Tu radio. Mam łączność z pułkownikiem Kelso. Zdaje się, że uciekł storchem z Francji.

- Mój Boże. - Julie całkiem się obudziła. - Zaraz tam będę.

Wstała z łóżka, ściągnęła nocną koszulę i sięgnęła po ubranie.

Na trzystu metrach świt rozjaśnił niebo dziwnym światłem nad wielkim kocem szarych chmur. Max zszedł na sto sześćdziesiąt, pod sobą miał mroczne i wzburzone morze. Siedział, pewnie trzymając stery, w dziwny sposób ciesząc się każdą chwilą, ponieważ leciał - a tylko to się dla niego liczyło.

W szarym blasku poranka był doskonale widoczny, stanowiąc idealny cel dla jakiegoś zabłąkanego spitfire'a czy hurricane'a. Nie miałyby szansy. W ciągu kilku sekund zniknąłby z nieba. Zaśmiał się. Cóż to byłby za koniec tej nieszczęsnej historii; w ten sposób jednak nie pomógłby matce, Harry'emu, a nawet biednemu Bubiemu. Himmler miał ich wszystkich w garści.

Zgłosiła się Julie.

- Harry?

- Zbliżam się do brzegu. Tak, to ja, Julie.

- To cud!

- Będę u was za dziesięć minut - powiedział. - Trochę potłuczony, ale poza tym nietknięty, jak mawiają nasi brytyjscy przyjaciele.

- Czekam na lotnisku. Zadzwońię do Londynu, do Munro.

- Tak, zbudź tego starego drania. Koniec, bez odbioru.

Telefon na nocnym stoliku obudził Munro i wprowadził go w zły humor.

- Kto tam o tak nieludzkiej porze?

- Tu Julie. Coś niesamowitego. Zgłosił się Harry Kelso. Uciekł storchem z Bretanii. Ląduje za dziesięć minut.

Munro spuścił nogi na podłogę.

- Dobry Boże, jesteś pewna?

- Sama z nim rozmawiałam, brygadierze.

- Co mówił?

- Powiedział, że jest poobijany, ale poza tym nietknięty.

- Cały Harry. Zaraz lecę lysanderem z Croydon. Będę u was najszybciej jak się da.

Przez chwilę się zastanawiał, a potem zszedł do mieszkania poniżej, wszedł i potrząsnął śpiącym w łóżku Jackiem Carterem. Powiedział mu.

- Nie mogę w to uwierzyć - rzekł Carter.

- Ruszaj się, Jack. Zadzwoń do służby kurierskiej na Croydon i zamów lysandera.

- Zaraz to zrobię, brygadierze. - Carter wstał i sięgnął po sztuczną nogę. - Czy Molly wie?

- Oczywiście, że nie. Zaraz jej powiem, ale w życiu są ważniejsze sprawy niż miłość, Jack.

Wrócił na górę, zapukał do drzwi jej sypialni i wszedł do środka. Nie spała już od dłuższej chwili, ale od czasu zaginięcia Harry'ego w ogóle źle sypiała.

Usiadła.

- Wujek Dougal? Co się stało?

- Mam zdumiewające wieści, moja droga - odparł i usiadł na skraju łóżka.

Max nadleciał od morza i ujrzał w dole cel. Cold Harbour wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Harry - łódź ratownicza zacumowana w zatoce, pub, chaty i wreszcie dwór oraz jezioro. Przeleciał nad czubkami sosen, opadł na trawiaste lądowisko i podkołował do hangaru, gdzie czekało kilka osób z personelu naziemnego, chroniąc się przed deszczem. Kiedy wyłączył silnik i otworzył drzwi, pobiegli do niego. Z lekkim rozbawieniem zobaczył czarne kombinezony Luftwaffe i furazerki Raf-u.

- To cholerny cud, pułkowniku - powiedział sierżant i wszyscy stłoczyli się wokół niego, poklepując go po plecach. - Pańska twarz nie wygląda najlepiej.

- Och, przeżyję. Uderzyłem się przy upadku lysandera. - Max udał, że ogląda kadłub storcha. - Trzeba będzie trochę nad nim popracować, Flight. Można powiedzieć, że startowałem pod ostrzałem, ale maszyna dobrze się spisała. Szybko się zjawiliście.

Wyjął ze storcha niemiecki wojskowy płaszcz i narzucił go na ramiona.

- Och, to pani Legrande. Powiedziała, że zaraz będzie i już jest.

Julie podjechała dżipem, zahamowała i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie masz pojęcia, jak miło cię widzieć, Harry Kelso. Mój Boże, twoja twarz!

- Dlatego cię nie ucałuję. Boli. - Zdobył się na uśmiech. - Mogę jednak jeść i wiesz co? Jestem głodny jak wilk.

- Zabiorę cię "Pod Wisielca". Porządne angielskie śniadanie. Zec zawsze wcześniej rozpala ogień.

Zaczęło jeszcze mocniej padać.

- No już, chodź.

Usiadł na fotelu pasażera. W schowku była paczka papierosów Senior Service i zapalniczka.

- Mogę się poczęstować?

- Zawsze sądziłam, że ich nienawidzisz. Nigdy nie widziałam, żebyś palił coś innego jak playery - zauważyła, kiedy otworzył paczkę.

Szybko znalazł odpowiedź.

- Julie, kochana, po tym, co przeszedłem, mogę palić wszystko.

Uśmiechnęła się.

- Tak, mogę to sobie wyobrazić.

Skręciła w High Street.

Max, pomyślnie przeszedłszy pierwszy egzamin, oparł się wygodnie, pod wpływem adrenaliny widząc wszystko jasno i wyraźnie.

Zec Acland klęknął przy kominku, starannie podkładając kolejne drwa, a potem odwrócił się, kiedy otworzyły się drzwi i do baru weszła Julie, a za nią Max. Zec nigdy w życiu nie był równie zdumiony. Wstał.

- No, niech mnie licho, pułkownik, a myśleliśmy, że już po panu.

- Prawie, ale niezupełnie.

- Pana twarz mocno ucierpiała.

- Mogło być gorzej.

- Słyszałem nadlatujący samolot.

- To byłem ja. Zdołałem ukraść storcha i uciec.

- To nie mogło być łatwe. - Zec nabił fajkę.

- Musiałem zastrzelić jednego ze strażników. - Max wyjął z kieszeni walthera. - Jak to na wojnie.

Zec sposepniał.

- Cholerna wojna. Nie ma końca. No nic, już niedługo. Wkrótce nadejdzie dzień D... podobno tak to nazywają. Sądzę, że mimo wczesnej godziny zasłużył pan na drinka.

- Zrobię śniadanie - zaproponowała Julie. - Będę was słyszeć w kuchni. Dzwoniłam już do Munro. Przyleci tutaj.

Zec nalał whisky do dwóch szklaneczek i dodał trochę wody.

- Chciał znać szczegóły? - spytał Max.

- Nie, ale i tak nie mogłabym mu ich podać. Sama ich nie znam - odchrzyknęła Julie.

Zec oparł się z drugiej strony baru.

- Co tam się stało?

Max starał się trzymać faktów. Pomyślnie przerzucenie Jacaуда, zestrzelenie przez dwa Me-109. Patrol Ss, który uratował mu tyłek.

- Nie widzę Tarquina - zauważył Zec.

- Tarquin przepadł, Zec. Lysander eksplodował zaraz po tym, jak z niego wyskoczyłem.

- Naprawdę mi przykro.

Julie pojawiła się w drzwiach kuchni.

- To okropne.

- Takie jest życie - ciągnął Max. - Zabrali mnie do Chateau Morlaix. Potłukłem sobie twarz przy upadku; blizna pękła, ale mieli tam dobrego lekarza. Pozszywał mnie. Traktowali mnie nieźle. Ta jednostka pancerna Ss przypadkiem niedawno wprowadziła się do chateau.

- A co potem? - zapytała Julie.

- Mówili, że mam być przewieziony do Berlina. Opodal wioski znajduje się baza paliwowa z pasem startowym; tam miał wylądować samolot.

Sam zaczął nabierać przekonania do tej bajeczki.

- Wiedziałem, że jeśli do tego dojdzie, będę skończony. Ucieczka powiodła mi się przez czysty przypadek. Jadłem kolację z komendantem i powiedziałem, że nie czuję się dobrze, więc lekarz dał mi pudełko z ampułkami morfiny. Oczywiście, pod drzwiami mojego pokoju stał wartownik. Udałem, że idę spać, ale leżałem na łóżku i postanowiłem, że po trzeciej nad ranem spróbuję uciec. Była tam bardzo staromodna łazienka, z oknem wychodzącym na taras, który miał schody wiodące do ogrodu.

- Nie było wart? - zapytał Zec.

- Patrole krążące wokół posiadłości, to wszystko. Zszedłem po schodkach, skręciłem za róg, a tam zobaczyłem kubelwagena, przy którym kierowca palił papierosa. Wziąłem półceglówkę z obrzeża klombu, zaszedłem go od tyłu i dałem mu w łeb. Zabrałem walthera. Włożyłem jego wojskowy płaszcz i czapkę, po czym odjechałem.

Julie przyniosła talerze z jajecznicą na boczku i grzankami. Postawiła je na stole.

- Bierz się do jedzenia - zachęciła. - Co było potem?

- Pojechałem na lotnisko pod Morlaix. Jest niewielkie. Coś jak Cold Harbour, tylko lądowisko ma dłuższe. Można na nim posadzić większość maszyn.

Z apetytem pochłaniał jajecznicę.

- W jednym z hangarów był messerschmitt, a na lotnisku stał storch. Lało jak z cebra i nigdzie nie widziałem wartowników. Pewnie wszyscy schowali się w hangarach. Podjechałem do storcha, wysiadłem i otworzyłem drzwi. Miał pełny zbiornik. Nagle pojawił się wartownik, biegł w moim kierunku, więc go zastrzeliłem. Wsiadłem, zapuściłem silnik i wykonałem najszybszy start w moim życiu. Pojawili się następni strażnicy. Ostrzelali mnie ze schmeisserów, ale nie uszkodzili maszyny, więc jestem tutaj.

Skończył jeść i usiadł wygodnie.

- Teraz potrzebuję tylko dużego kubka kawy.

- Kawy? - zdziwiła się Julie, odchodząc z talerzami. - Przecież przerzuciłeś się na herbatę?

Drugi błąd.

Max uśmiechnął się.

- Od zeszłego piątku poili mnie tylko kawą, Julie. Ci z Ss chyba nie słyszeli o istnieniu herbaty, ale masz rację.

Precz z kawą!

Znalazłszy się we dworze, rozegrał wszystko bardzo ostrożnie, pozwalając, by Julie zaprowadziła go do pokoju, z którego poprzednio korzystał Harry. Dokonał tego udając, że źle się czuje.

- Twarz boli mnie jak diabli. Chyba potrzebny mi zastrzyk.

Na szczycie schodów wzięła go za rękę i zaprowadziła prosto do sypialni. Położył płaszcz na łóżku i wyjął pudełko z morfiną, które dał mu Schroeder.

- Pozwól - Julie oderwała czubek ampułki. Zdjął kurtkę munduru, a Julie zrobiła mu zastrzyk. - Twoje spodnie są w opłakanym stanie - stwierdziła. - W lewej nogawce dziura na trzydzieści centymetrów. Zobaczmy, co mamy w magazynie.

Magazyn. Tak, Harry wspominał o nim.

- Pójdę z tobą.

Zdziwił się na widok takiej ilości mundurów i broni, ale zdołał ukryć zdumienie. Julie przejrzała półki i znalazła parę spodni khaki.

- Dla oficerów brytyjskiej armii - podała mu je. - Wystarczą do czasu, aż dotrzesz na Haston Place. Na pewno masz tam zapasowy mundur.

Haston Place. Pod numerem trzecim. Mieszkanie na parterze, Carter zajmuje pomieszczenia na dole. Sypialnia Munro po prawej od schodów, dalej pokój Molly, a następnie Harry'ego - trzecie drzwi, przy oknach. Salon naprzeciwko schodów. Dziesięć minut marszu do głównej kwatery Soe przy Baker Street.

- Och, mam ich tuziny - powiedział. - Pójdę się przebrać.

- Zobaczmy się w bibliotece.

Dziesięć minut później zszedł po szerokich schodach. Biblioteka po lewej, stołowy po prawej, kuchnia za zielonymi drzwiami naprzeciw. Zastał Julie przy kominku. Podkładała drwa. Spojrzała na niego.

- Jak się czujesz?

- Znacznie lepiej. Morfina szybko działa.

- Oby niezbyt szybko. Nie chcemy, żebyś skończył jak pewien wiktoriański poeta: ciężko uzależniony.

- Mam w życiu tylko jeden nałóg. Latanie.

- Tak, wszyscy o tym wiemy. Muszę iść do pubu i włożyć do piekarnika zapiekankę na lunch dla załogi. Pewnie chcesz odpocząć?

- Ja nigdy nie odpoczywam, Julie. Pójdę z tobą. Spacer rozjaśni mi w głowie.

- Pojedziemy, a później pospacerujemy po plaży. Przyda ci się płaszcz.

- Tak, wezmę go.

W sypialni narzucił płaszcz na ramiona. Walther ciążył mu w prawej kieszeni. Wyjął pistolet i przez chwilę zastanawiał się, gdzie go schować, ale ten ciężar dziwnie go uspokajał. Włożył zatem pistolet z powrotem do kieszeni i zszedł po schodach. Kiedy dotarł na dół, Julie wyszła z biblioteki, ubrana w stary płaszcz i берет.

- Wyglądasz dziś rano jak typowa Francuzka.

- I dobrze. Właśnie miałam telefon od Munro. Jego lysander zaraz startuje. Zabiera ze sobą Jacka. Molly chciała przylecieć, ale dziś rano ma kilka operacji.

Dziwne, ta przemożna ulga.

- I tak wkrótce się z nią zobaczę.

Julie wzięła go pod rękę.

- Tak nie można, Harry Kelso. Powinieneś szarpać smycz. Ach, ci mężczyźni. - Wzruszyła ramionami. - Nie rozumiem cię. Za grosz romantyzmu. No już, chodźmy.

Zec i jego załoga krzatali się na łodzi. Max stanął na skraju przystani, przyglądał im się, a oni wołali do niego.

- Dobrze, że pan wrócił, pułkowniku! - krzyknął jeden, a drugi, olbrzym ze zmierzwioną czupryną i brodą, dodał: - Przykro nam z powodu Tarquina.

Dziwne. W pubie wszedł za bar i wziął sobie dwie paczki playersów. Zapalił jednego i stanął w drzwiach, obserwując Julie przy pracy. Wstawiła tacę z pasztecikami do piekarnika i zamknęła drzwiczki.

- Zrobione - odwróciła się. - No dobrze, chodźmy na ten spacer.

Zaczął się przypływ, lecz u stóp urwiska była szeroka plaża, a na cyplu wydmy najeżone szczeciniastą trawą.

- I jak się teraz czujesz? - zapytała.

- O wiele lepiej. Dlaczego pytasz?

- Och, jesteś trochę przygaszony, to wszystko.

Zdołał się uśmiechnąć.

- Nie wiem, czy tak się to określa, ale chyba można powiedzieć, że miałem dość przygnębiające przeżycia.

- Głupio powiedziałam.

Wzięła go pod rękę i poszli dalej razem.

Kontakt z tą kobietą, fakt, że zaakceptowała go tak samo jak Zec Acland i jego ludzie, sprawiały Maxowi przyjemność. Dawały mu pewność siebie i okazję, by złapać drugi oddech. A Eisenhower i cel twojego przybycia? Jak najdalej odepchnął od siebie tę myśl.

Usiedli na stercie zbutwiałego drewna.

- Ożenisz się z Molly, Harry? - spytała Julie.

- Masz na myśli, jeśli ona mnie zechce? - zaśmiał się.

- Och, na pewno cię zechce.

- Sądzę, że ludzie nie powinni pobierać się w czasie wojny, szczególnie ktoś taki jak ja. Na przykład ta katastrofa lysandera. Miałem cholerne szczęście, że przeżyłem. Prawdę mówiąc, już dawno powinienem nie żyć. Latanie to ryzykowne zajęcie, Julie.

- Nie dla ciebie, już nie.

- Co masz na myśli?

- Zdziwiłabym się, gdyby jeszcze kiedyś pozwolili ci latać. Jesteś uziemiony, Harry. Przynajmniej ja tak uważam. Jak powiadają jeńcom, dla ciebie wojna się skończyła.

Siedział, rozważając jej słowa.

- Chyba możesz mieć rację. Zobaczymy - rzekł, a wtedy znad morza nadleciał lysander.

Zerwała się na równe nogi.

- Przyleciał Munro. Lepiej wracajmy.

Munro i Jack Carter siedzieli w bibliotece, przy kominku, naprzeciw Maxa, uważnie słuchając historyjki, którą opowiadał już wcześniej Julie i Zecowi.

- Zdumiewające - mruknął Munro, kiedy skończył.

- Pierwszy meldunek Jacauda mówił o jednostce pancerniej Ss, która niespodziewanie zajęła chateau - dodał Jack.

- Miałem szczęście, że tam byli - stwierdził Max. - Paliłem się. Czy Jacaud nie zdołał zdobyć więcej informacji?

- Nie - odparł Munro. - Jego raport mówił, że Ss zajęło chateau i wioskę, otaczając cały teren szczelnym kordonem.

- O ile pan pamięta, w drugim raporcie wspominał o junkersie lądującym na lotnisku - przypomniał mu Jack. - Jednak nikt nie zdołał podejść dostatecznie blisko, żeby zobaczyć, co się tam działo.

- Och, mogę wam to wyjaśnić - rzekł Max. - Tamtejszy komendant, major Muller, mówił, że przywieźli zapasowe silniki do dwóch jego czołgów.

- Biedny Muller - rzekł Munro. - Twoja ucieczka nie będzie dobrze wyglądała w jego aktach. No nic, skończ kanapki i lecimy na Croydon. Dzwoniłem do Teddy'ego Westa.

Wicemarszałek Teddy West - brak zdjęcia.

- Jak on się ma? - spytał Max.

- Jest uszczęśliwiony. Przyleciał z Southwick House, by dołączyć do Eisenhowera w Hayes Lodge. Pozostawiłem jemu przekazanie dobrych wieści głównodowodzącemu. Jestem pewien, że Ike zechce cię zobaczyć.

- Czekam na to z niecierpliwością - rzekł Max.

Munro wstał.

- Dobrze, że znów jesteś wśród nas, nawet jeśli wyglądasz tak, jakby ciężarówka przejechała ci po twarzy. Molly przesyła pozdrowienia. Pomyślałem, że pójdziemy na kolację do River Room. Będzie miała wtedy wolne. Zaprosimy jej ojca. Urządzimy przyjęcie. Trzeba uczcić twoje zmartwychwstanie.

- Nieźle się zapowiada.

- Dobrze, więc chodźmy.

Rosa Stein przespalała co najmniej dwanaście godzin, śmiertelnie zmęczona. Kiedy w końcu zbudziła się, deszcz wciąż bębnił o dach. Wstała, podeszła do drzwi i wyjrzała. Las spowijała mgła, ale ścieżka była dobrze widoczna. Rosa nie miała pojęcia, gdzie jest - kompletnie straciła orientację. Doszła do wniosku, że na razie powinna zostać tutaj - przynajmniej było tu sucho i ciepło. Złożonymi dłońmi nabrała deszczówkę tryskającą z rynny, napiła się, a potem obmyła twarz.

Nie mogła zapomnieć tych okropnych chwil w domku myśliwskim. Załkała rozpaczliwie, wróciła do sterty siana i położyła się. Po chwili znów zasnęła.

Kiedy wylądowali na Croydon, było wczesne popołudnie i Maxa znowu uratował przypadek, ponieważ kiedy razem z Carterem wysiadali z lysandera, major powiedział:

- Idzie wicemarszałek West.

Max odwrócił się, a Munro wyszedł na spotkanie Westa.

- No, jest tutaj, Teddy. Obawiam się, że jego twarz wygląda jak ruiny zamku po przejściu Cromwella, ale jakieś straty muszą być.

West uściskał Maxa.

- Ty łobuzie. Nigdy więcej mnie tak nie strasz.

- Postaram się - odparł Max.

- Do licha, skończą się nam medale.

- Wieczorem jemy kolację w River Room - zakomunikował Munro. - Molly, jej ojciec, Jack i ja. Może się przyłączysz?

- Zrobię, co będę mógł. Wspaniały pomysł, ale w tej chwili witam was i żegnam. Mam zobaczyć się z Ike'em w Hayes Lodge. Możecie mnie podrzucić.

- Z przyjemnością - odparł Munro i poszedł przodem.

Przy Haston Place Max bez trudu odnalazł pokój Harry'ego. Rzucił wojskowy płaszcz na łóżko i sprawdził zawartość garderoby. Znalazł wiszące tam zapasowe mundury, na półkach koszule, skarpetki i buty.

Zapukano do drzwi i stanął w nich Carter.

- Brygadier pojechał na Baker Street, ale prosił, żebym podrzucił cię do Guy's Hospital. Chce, żeby Molly cię zbadała. Szczerze mówiąc, przeraził go widok twojej twarzy. Ma rację, Harry.

Możesz mieć złamanie albo coś.

- Kiedy jedziemy?

- Już zaraz. Molly zaczyna operować o wpół do piątej. Sama przyjedzie do River Room.

- Dobrze, będę miał czas wrócić, żeby się przebrać.

- Mnóstwo czasu, stary.

- Zatem chodźmy.

W izbie przyjęć Guy's Hospital było tłoczno, jak zawsze. Jack podszedł do biurka recepcji.

- Pułkownik Kelso do doktor Sobel. Jesteśmy umówieni.

- Zgadza się, majorze. - Recepcjonistka chwyciła za telefon. - Jest tu pułkownik Kelso.

Odłożyła słuchawkę.

- Rozmawiałam z rentgenem. Zaraz ktoś tu przyjdzie.

Rzeczywiście, nie czekali długo. Pojawił się młody człowiek w białym fartuchu, ze szklanym okiem i poharataną twarzą.

- Pułkownik Kelso? Ale się panu oberwało. Tędy. - Uśmiechnął się mile do Cartera. - Możesz iść z nami, jeśli chcesz, kochasiu. - Zauważył sztuczną nogę majora. - O rany, ale z nas dobrana trójca, no nie? Nawiasem mówiąc, nazywam się Walker.

- Gdzie oberwałeś? - zapytał Max.

- W lancasterze nad Berlinem. Byłem tylnym strzelcem. Zacząłem drugą kolejkę lotów, kiedy dostałem odłamkiem w twarz. Mówię ci, kochasiu, chyba zwariowałem, pakując się w coś takiego.

- Jak my wszyscy.

Walker zerknął na jego medale.

- Pan jednak szczególnie, jeśli wybaczy mi pan, że to mówię. Tutaj - dodał, otwierając drzwi.

Max położył się na stole i robił, co mu kazano, a Jack Carter usiadł w kącie. Walker zrobił zdjęcia, wesoło pogwizdując, a potem zniknął w drzwiach do sąsiedniego pokoju. Wrócił po dziesięciu minutach, niosąc rentgenogramy.

- Żadnych złamań, pułkowniku. Wszystko w porządku, tylko pańska twarz wygląda jak poćiec surowego mięsa. Teraz zaprowadzę pana do doktor Sobel. Podoba mi się pański mundur i te

skrzydełka Raf-u. Był pan Jankesem w Raf-ie, prawda?

- Zgadza się.

- Widziałem ten film z Tyrone'em Powerem. Kupa bzdur, ale facet był niezły.

Max starał się nie roześmiać, a Jack najwidoczniej miał ten sam problem. Walker otworzył drzwi.

- Tutaj.

Molly w białym fartuchu, ze stetoskopem na szyi, siedziała za biurkiem. Zerwała się.

- Mój Boże, Harry.

- Och, wszystko w porządku - rzekł Walker i położył na biurku zdjęcia. - Nic mu nie jest, pani doktor, żadnych złamań. Nie zdejmowałem opatrunku, bo nie ma takiej potrzeby. - Odwrócił się. - Wszystkiego najlepszego, panowie, ale posłuchajcie mojej rady i trzymajcie się z daleka od Berlina.

Wyszedł.

- Pójdę i zaczekam w recepcji - powiedział Jack.

- Nie trzeba - odparł Max.

- Nie, nie, stary.

Carter wykuśtykał z gabinetu.

- Myślę, że on cię kocha - stwierdził Max.

- A ja kocham ciebie, Harry Kelso.

Wyszła zza biurka i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Ostrożnie, kochanie. Obawiam się, że muszę pohamować namiętność. Boli mnie trochę, jeśli nie biorę morfiny.

- Jaką dawkę?

- Nie wiem. Chirurg z Ss dał mi opakowanie z ich apteczki. Zostawiłem je przy Haston Place.

- Nie bierz więcej, dopóki nie sprawdzę. - Nagle uderzyła go w pierś zaciśniętymi pięściami. - Nie rób mi tego. Nigdy więcej. Przeszłam piekło.

Przytulił ją i pogładził po włosach.

- Przepraszam.

Czule pocałował ją w czoło. Odsunęła się.

- A to co? - spytała, lekko marszcząc brwi. - Czułość i romantyzm u wielkiego Harry'ego Kelso?

- Wiesz, jak mówią na filmach? Tam było piekło - odparł gładko Max. - Może się zmieniłem.

- Uwierzę, jak zobaczę.

Wzięła rentgenogramy, położyła je na podświetlaczu i włączyła światło. Po chwili kiwnęła głową.

- Nie ma złamania. - Odwróciła się. - Opowiedz mi, co się stało.

Zrobił to, trzymając się tej samej historyjki o pęknięciu rany przy zderzeniu. Posadziła go i skierowała lampę na jego twarz.

- Tak jak poprzednio, można to zrobić tylko tak... szybko.

Zerwała przylepiec, a Max syknął.

- Mein Gott! - jęknął i w tej samej chwili zrozumiał swój błąd. - Zawsze tak mówiliśmy, Max i ja, kiedy byliśmy dziećmi, chociaż Mutti uważała, że to bluźnierstwo.

Przyjęła to bez zastrzeżeń i obejrzała szwy.

- Dobra robota.

Dokładnie to samo powiedział Schroeder Harry'emu w Morlaix.

- Miło mi to słyszeć.

- Tak jak ostatnio, nie chcę, żebyś nosił plaster. Użyję spreju. - Zrobiła to i wytarła nadmiar kawałkiem waty. - Grzeczny chłopiec.

- Tylko dla ciebie.

- Teraz musisz już iść. Mam dość skomplikowaną operację. Zobaczymy się później w River Room. Dobre jedzenie i wino, Carrol Gibbons i tańce.

Uściskała go mocno.

- Nie sądziłam, że znów będziemy tam razem. Jedyne problemy w tym, że nie mam czasu wpaść do domu, żeby włożyć porządną sukienkę.

- Tylko przyjdź. To wystarczy.

O szóstej, wróciwszy do pokoju, Max zaryzykował i zadzwonił do Sarah Dixon. Wydawało się, że do tej pory powinna już wrócić z pracy do domu, ale nikt nie podnosił słuchawki. Włożył czysty mundur i przejrzał się w lustrze.

- Bardzo ładny, Harry - mruknął. - Prawie tak elegancki jak nasz.

Kiedy wszedł do salonu, Jack Carter nalewał whisky przy kredensie.

- Chcesz się napić, Harry?

Wszedł Munro w galowym mundurze.

- Ja chętnie wychylę jednego. Mój Boże, Harry, twoja twarz wystraszyłaby każdego. - Jednym haustem wychylił whisky. - No to chodźmy na wczesną kolację. Jutro mam mnóstwo roboty.

W River Room dostali okrągły stolik pod oknem i w oczekiwaniu na przybycie Molly z jej ojcem Munro zamówił szampana dla siebie, Harry'ego, Cartera i Westa.

- Za ciebie, Harry - podniósł kieliszek. - Mam wrażenie, że już wykorzystałeś wszystkie dziewięć żywotów.

- Zobaczymy - odrzekł Max.

- Nie, nie zobaczymy - wtrącił West. - Na rozkaz Ike'a jesteś uziemiony. Koniec z lataniem.

Maxowi nie spodobało się to tak samo, jak nie spodobałoby się Harry'emu.

- Chce się ze mną widzieć?

- Tak, nie wiem tylko kiedy. Tom Sobel pewnie będzie wiedział. Ike jest teraz w Hayes Lodge, ale jutro rano lecę z nim do Southwick.

- Ty pilotujesz?

- Owszem, stary pies jeszcze dycha.

Molly z ojcem precyzyjnie się do nich między stolikami. Tym razem Max nie miał żadnych problemów, gdyż ten szeroko uśmiechnięty mężczyzna musiał być generałem Sobelem. Mocno uścisnął dłoń Maxa.

- Nie potrafię powiedzieć, ile to dla nas znaczy. Ike wpadł w euforię. - Generał podsunął Molly krzesło. - Chce się z tobą widzieć, Harry, ale dziś wieczorem nie miał wolnej chwili. Jest zavalony robotą. Chciałby, żebyś przyłączył się do niego jutro rano na Croydon. Powiedział mi, że Teddy będzie pilotował maszynę. Lecę z nimi, a on chce, żebyś nam towarzyszył.

- Chętnie.

Max pewną dłonią sięgnął po kieliszek, lecz miał zamęt w głowie.

O Boże, tak szybko?

W końcu, gdy zapadł zmierzch i przestało padać, Rosa Stein opuściła chatę i poszła ścieżką, zupełnie otepiała. Niewiarygodne, ale po kwadransie dotarła do jakiejś farmy. Dym unosił się z komina, w oborze ryczało bydło. Z zabudowań wyszła młoda kobieta, niosąc wiadra z mlekiem. Była nią Marie, radiooperatorka Jacauda. Przystanęła, patrząc na Rosę.

- Kim jesteś? Czego chcesz? - zawołała po francusku.

Rosa dowłokła się do niej i wybuchnęła płaczem.

- Pomóż mi, pomóż - wykrztusiła po niemiecku.

Marie nie znała niemieckiego i ledwie liznęła angielski. W tym języku musiały się porozumieć, bo Rosa nie mówiła po francusku, ale posługiwała się łamaną angielszczyzną.

- Jesteś Niemką? - zapytała Marie. Rosa kiwnęła głową. - Skąd się tu wzięłaś? Jesteś Żydówką?

Rosa potrząsnęła głową.

- Chateau Morlaix.

Marie postawiła wiadra.

- Ss. Moja pani nie żyje.

Rosa znów zaczęła szlochać, a Marie chwyciła wiadra. Ruchem głowy wskazała chatę i ruszyła do drzwi, a Rosa poszła za nią.

Max tańczył z Molly na zatłoczonym parkiecie, ale szło mu znacznie gorzej niż bratu. Pomogło mu to, że było tam tyle ludzi, co tłumaczyło jego niezdarne ruchy.

- Przepraszam. Nie idzie mi zbyt dobrze - mruknął, wpadłszy na nią kolejny raz.

- W porządku. Przeszedłeś piekło, Harry. - Przytuliła się do niego. - Wuj Dougal wspominał, że podobno straciłeś Tarquina.

- Obawiam się, że tak. Przepadł w rozbitym lysanderze. Mam szczęście, że tu jestem. Gdyby nie Ss... - Wzruszył ramionami. - Uratował mnie diabeł, Molly.

W tym momencie na skraju parkietu pojawił się szef sali i skinął na nich.

- Nie do wiary. Ilekroć jestem tu z tobą, zawsze jest tak samo - jęknęła Molly.

Podeszła do szefa sali, porozmawiała z nim i odwróciła się do Harry'ego.

- To znowu poczciwy stary Guy's. Nie mogą się beze mnie obejść.

- Zaczekam, aż wrócisz - powiedział, gdy podchodzili do stolika.

- Nie liczyłam na to. Jeśli skończę po północy, zostanę w szpitalu. - Dotarli do stolika i zapytała: - Zgadnijcie, co się stało?

Molly odjechała służbowym samochodem Munro, a West zaproponował pozostałym, że podrzuci ich swoim.

- Słuchajcie, mam ochotę na spacer - zakomunikował Max przed wejściem do "Savoya". - Nie wiem, jak to powiedzieć, ale jestem trochę wytrącony z równowagi.

- To całkiem zrozumiałe, drogi chłopcze - rzekł Munro. - Przejdź się, uspokój. Zawsze możesz wziąć taksówkę. Ostatnio londyńscy taksówkarze nigdy nie odmawiają Amerykanom. No wiecie, oni dają spore napiwki. Generał Sobel chyba nie weźmie mi tego za złe.

Sobel uścisnął Maxowi dłoń.

- Zobaczymy się rano na Croydon.

- Będę tam.

Wszyscy weszli do służbowego wozu Westa i odjechali. Max złapał pierwszą lepszą taksówkę.

- Wie pan, gdzie jest Westbourne Grove, Bayswater?

- Oczywiście, szefie.

- W porządku, zawieź mnie - rzekł Max i wsiadł.

Na farmie Marie posłała po Julesa, który należał do oddziału Jacauda. Wyjaśniła mu sytuację, a Jules siedział słuchając i patrząc na Niemkę, która przysiadła na drugim końcu stołu, trzymając na kolanach córkę Marie. Na stole rozsiadł się niedźwiadek, ten sam, którego Jacaud pozwolił zabrać Marie dla dziecka.

- W chateau zdarzyło się coś złego, ale ja nie jestem w stanie dowiedzieć się od niej co.

- Jacaud dobrze mówi po niemiecku - powiedział Jules.

- Tak, wiem, tyle że pojechał do Rennes na spotkanie z członkami tamtejszej organizacji.

- To prawda, ale wraca nocnym pociągiem. Prosił, żebym o drugiej rano czekał na niego z gazolene na dworcu Beaulieu.

Gazolene nazywano ciężarówkę napędzaną gazem wytwarzanym z węgla drzewnego, spalanego w piecu umieszczonym w tylnej części pojazdu. Marie kiwnęła głową.

- Dobrze, odbierz go i powiedz mu, żeby natychmiast tu przyjechał. Myślę, że mamy kłopoty.

Taksówka podwiozła Maxa na Westbourne Grove. Max zapłacił kierowcy i bez trudu znalazł boczną uliczkę wiodącą do bloków mieszkalnych. Przystanął przy wejściu, sprawdził nazwisko i nacisnął przycisk dzwonka.

- Tak? - odezwała się po chwili Sarah Dixon.

- Pani Dixon? Nadszedł dzień zapłaty.

- Proszę wejść. Drugie piętro - odparła spokojnie.

Pchnął drzwi i wszedł. W bramie naprzeciwko Parry dwukrotnie uchwycił go na kliszy, jako jedną z czterdziestu ośmiu osób sfotografowanych tej nocy. Był znudzony, zmarnięty i nieszczęśliwy.

- Cholerny Jankes - mruknął. - Pewnie do jakiejś dziwki. Niektórzy to mają szczęście.

Sarah Dixon wpuściła Maxa do mieszkania i zaprowadziła do saloniku. Otworzyła paczkę papierosów i poczęstowała go.

- Jest pan prędzej, niż oczekiwaliśmy.

- A więc Joel Rodrigues dotarł tutaj?

- Och tak. Doskonale wiem, kim pan jest, baronie.

- Powie pani Fernando Rodriguesowi, żeby jak najszybciej przekazał wiadomość, że dotarłem na miejsce. Rano spotkam się z Eisenhowerem.

- I wtedy go pan zabije?

- To zależy od okoliczności. Ma to dla pani jakieś znaczenie?

- Szczerze mówiąc, jest mi to obojętne. Dawno temu stanęłam po waszej stronie. To fakt. Gdzie zatrzyma się pan na noc?

- Przy Haston Place, u brygadiera Munro. Nie możecie skontaktować się tam ze mną, więc to ja będę kontaktował się z wami.

- Dobrze. Mogę tylko życzyć panu szczęścia. - Otworzyła mu drzwi. - Dobranoc.

Kiedy przechodził przez frontowe drzwi, Parry mruknął "Szybki numer" i znów go sfotografował.

Max skręcił w Westbourne Grove, poszedł w kierunku Queensway i zatrzymał taksówkę.

Była prawie trzecia rano i Max spał spokojnie przy Haston Place, a Molly w Guy's Hospital, kiedy w Bretanii prowadzona przez Julesa gazolene dowiozła Jacauda na farmę Marie. Zastukał do drzwi i wpuściła go. Wszyscy troje weszli do kuchni i Jules podłożył do ognia.

- Zrobię kawę - zaproponowała Marie i podeszła do pieca.

- Gdzie ona jest? - zapytał Jacaud.

- W łóżku.

- Zbudź ją. Jules może zrobić kawę.

Jacaud usiadł na końcu stołu i zapalił gitane'a. Tarquin siedział na drugim końcu. Jacaud spojrzał na niego żałośnie.

- Tobie to dobrze.

Kiedyś był profesorem filozofii na uniwersytecie, ale teraz nikt by się tego nie domyślił.

Wychudła twarz, nie ogolony podbródek, mroczne oczy człowieka, który wielokrotnie zabijał i dawno zapomniał o filozofii. Człowiek, który przestał wierzyć w ludzi. Jules przyniósł mu kawę z mlekiem, a po chwili Marie przyprowadziła Rosę.

- Usiądź i posłuchaj mnie - powiedział Jacaud dobrą niemczyzną. - Nikt nie zrobi ci krzywdy, jeśli powiesz mi prawdę.

Rosa, w nocnej koszuli otrzymanej od Marie, usiadła na krześle przy stole.

- Powiedz, kim jesteś i o co tu chodzi.

Piętnaście minut później nadal siedział tam, marszcząc brwi.

- Co powiedziała? - spytała w końcu Marie. Jacaud zwięźle przedstawił jej i Julesowi relację Rosy.

- To szaleństwo - mruknął Jules. - Jeden brat udający drugiego, żeby zabić Eisenhowera? Nie wierzę.

- Mam pomysł - rzekł Jacaud. - Podstawiliśmy twoją znajomą, Helene, żeby pieprzyła się z tym lekarzem z Ss, Schroederem.

- Zgadza się.

- Wciąż to robi?

- O ile wiem.

- Natychmiast idź do niej z Julesem. Jeżeli Niemiec tam jest, przyprowadźcie go do mnie. On może potwierdzić słowa tej kobiety.

W ten sposób dwadzieścia minut później kapitan Schroeder, smacznie śpiący w objęciach ponętnej Helene, zbudził się, czując zimną lufę colta na szyi i zobaczył stojącego przy łóżku Julesa.

- Wstawaj i ubieraj się albo rozwalę ci łeb.

Przestraszona Helene usiadła na łóżku, a Jules uśmiechnął się.

- Nie ty, kochanie. Dobrze przysłużyłaś się Francji. Śpij dalej.

Schroeder, przekonany, że stoi w obliczu śmierci, był nader chętny do współpracy. Siedział przy stole i mówił:

- Musicie zrozumieć, ona chciała umrzeć. Ja tylko się broniłem, kiedy zabiła majora Mullera i próbowała zastrzelić pułkownika Hartmanna.

- No dobrze, powiedz to jeszcze raz. Wszystko o tych braciach, wszystko.

Kiedy Schroeder skończył, Marie spytała po francusku:

- Był pomocny?

- O tak - odparł Jacaud. - Nie wie wszystkiego, ale dość, by potwierdzić to, co ona mówiła. Sporządzę meldunek. Musisz natychmiast przesłać go do Soe przy Baker Street do wiadomości brygadiera Munro.

Pokręciła głową.

- To niemożliwe. Nie nawiążemy łączności do siódmej rano.

- No dobrze, więc o siódmej. Teraz zjedźmy coś.

- A co z tym draniem z Ss? - zapytał Jules. - Mam go zastrzelić?

- Dobry Boże, nie - odparł Jacaud. - Alianci wylądują za parę tygodni. Przyda nam się lekarz.

O wpół do siódmej wicemarszałek West jechał służbowym samochodem na Croydon. Było deszczowo i mgliście, chociaż na ulicach panował niewielki ruch. Nagle z bocznej uliczki wypadła jakaś furgonetka dostawcza. Szofer Westa niewiele mógł zrobić. Próbował ominąć furgonetkę, odbił się od jej boku, wjechał na krawężnik, po czym wpadł na ceglany mur. Westa rzuciło w bok i uderzył głową w słupek nadwozia. Szoferowi nic się nie stało; wysiadł i otworzył tylne drzwi. West wygramolił się z samochodu, stanął na deszczu, ocierając chusteczką krew z twarzy, podczas gdy jego kierowca sprawdzał furgonetkę i wyciągał z kabiny znajdującego się w szoku mężczyznę w kombinezonie.

Po chwili obok służbowego wozu Westa zatrzymał się policyjny radiowóz, z którego wysiadł policjant. Drugi pozostał w samochodzie. Rozmawiał przez radio.

Policjant obejrzał głowę Westa.

- Trzeba to zszyć. Wezwiemy karetkę.

- Nie trzeba, konstablu. Jestem wicemarszałek West i o siódmej muszę być na Croydon, żeby polecieć do Portsmouth z generałem Eisenhowerem.

Policjant wyprężył się na baczność.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe. Nie w pańskim stanie.

- Właśnie. Połączcie się przez radio z Croydon. Powiedźcie im, co się stało. Wiadomość dla Ike'a. Jestem tylko lekko ranny, ale nie mogę lecieć. Bądź dobrym chłopcem i zrób to zaraz.

- Oczywiście.

Policjant wrócił do samochodu i przekazał informację koledze. W oddali słychać już było sygnał nadjeżdżającej karetki. West ciężko oparł się o ceglana ścianę, klnąc cicho i przyciskając chusteczkę do głowy.

Na spowitym mgłą lotnisku Croydon Tom Sobel pił kawę i ponuro spoglądał przez okno. Max wyszedł z operacyjnego.

- Według prognozy meteo nad Southwick jest niezła pogoda i żadnych kłopotów z lądowaniem. Chmury i deszcz, ale bez wiatru. Nie będzie problemu ze startem.

- No, to wspaniale, ale gdzie, do diabła, jest Teddy West?

W tym momencie wydarzyły się dwie rzeczy. Przed barak podjechał samochód, z którego wysiadł Eisenhower, a z operacyjnego wypadł podporucznik, trzymając w ręku depeszę, którą podał Sobelowi.

- Pilne, generale.

Sobel przeczytał ją i spojrzał na wchodzącego uśmiechniętego Eisenhowera.

- Złe wieści, generale. Teddy West miał wypadek w drodze na lotnisko. Nic poważnego, ale musi jechać do szpitala.

- Do licha! - mruknął Eisenhower. - Tom, jak wiesz, mamy ważną konferencję w Southwick. Monty, sztabowcy. To decydująca narada. Możesz szybko znaleźć innego pilota?

Max doszedł do wniosku, że los mu sprzyja.

- Przecież macie go, generale. Ja polecę.

Eisenhower odwrócił się i podał mu rękę, posyłając ten słynny uśmiech.

- Naprawdę miło mi pana widzieć, pułkowniku. Co za wyczyn. Z chęcią o nim usłyszę, ale czy naprawdę jest pan w stanie polecieć? Proszę wybaczyć, ale pańska twarz wygląda okropnie!

Max wyciągnął rękę.

- Pewne jak skała, generale. Nie ma problemu.

Ike zerknął na Sobela.

- Jak sądzisz, Tom?

- Jeżeli pułkownik Kelso twierdzi, że może lecieć, ja nie mam nic przeciwko temu.

Ike skinął głową.

- Dobrze, pułkowniku, ruszajmy.

- Sprawdzę lysandera, generale - rzekł Max. - Nie powinno być z nim żadnych problemów. Czeka na nas.

Poszedł do przedsiönka, zdjął niemiecki płaszcz wojskowy i włożył lotniczą kurtkę. Do jednej kieszeni wepchnął walthera z zapasowym magazynkiem, do drugiej ampułki z morfiną, zapiął kurtkę i wyszedł.

Munro i Jack wcześniej wyruszyli do siedziby Soe. W kantine podawano niezłe śniadania. Ze względu na nogę Jacka Munro wezwał służbowy samochód i przejechali pustymi ulicami. Na Baker Street dotarli za kwadrans siódma.

- Sprawdzę moje biurko, Jack - powiedział Munro. - Zobaczymy się o ósmej w kantine.

Poszedł na górę, a Jack dotarł do swojego gabinetu. Zastał tam czekającego detektywa Parry'ego.

- Wcześniej dziś.

- Lacey kazał mi jak najwcześniej przekazywać panu wszystkie zdjęcia z obserwacji tej całej Dixon. Skończyłem zmianę o północy i postanowiłem skorzystać z waszego laboratorium zamiast iść do Yardu. Przespałem się tutaj.

Jack wprowadził go do gabinetu.

- Coś ciekawego?

- Ani śladu braci Rodrigues. W tym bloku jest około czterdziestu mieszkań. Wchodzący ludzie mogą odwiedzać którekolwiek z nich, a sfotografowaliśmy sporo gości.

Jack usiadł.

- Zobaczymy.

Parry kolejno kładł zdjęcia na biurku.

- Nie ma nikogo interesującego - zaśmiał się. - Chyba mieszka tam kilka dziwek. Mam tutaj nawet jakiegoś amerykańskiego oficera.

Jack Carter spoglądał na fotografię, nie wierząc własnym oczom.

- O mój Boże! - jęknął i zerwał się z fotela. - Natychmiast połącz się z Seanem Rileyem. Powiedz mu, że mają tu być z Laceyem na wczoraj.

- Chce pan powiedzieć, że trafiliśmy na złotą żyłę, majorze?

- Zrób to - odparł Carter i wyszedł.

Pochylony nad papierami Munro podniósł głowę i spojrzał na wchodzącego Jacka.

- No, Jack, jesteś wyraźnie wzburzony.

- Myślę, że pan też zaraz będzie, brygadierze.

Położył zdjęcie na biurku. Munro obejrzał je i powiedział spokojnie:

- Wyjaśnij to.

- Zrobione tej nocy, brygadierze, około dziesiątej. Przy wejściu do apartamentu Sarah Dixon. - Zawahał się i dodał: - Już po "Savoyu".

- Oczywiście, wiem. Tylko dlaczego, Jack? To nie ma sensu.

Ktoś zapukał do drzwi i weszła sierżant z łączności, trzymając w ręce depeszę.

- Właśnie otrzymaliśmy wiadomość od Jacauda z Bretanii, brygadierze. Nie kodowaną, zaznaczoną jako niezwykle pilna.

Munro przeczytał depeszę i spojrzał na dziewczynę.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Nikt. Osobiście odebrałam meldunek.

- Zachowaj to dla siebie. Możesz odejść.

Wyszła.

- Brygadierze? - spytał Jack Carter.

- To nie jest Harry Kelso, Jack. To Max, jego brat, i ma zabić Ike'a. Przeczytaj sam.

Podniósł słuchawkę.

- Połączcie mnie z Croydon.

Po chwili rozmawiał z operacyjnym.

- Lot generała Eisenhowera? Już poleciełi?

Posłuchał chwilę, a potem odłożył słuchawkę.

Jack, ogłuszony, oddał mu depeszę.

- Co robimy?

- Eisenhower właśnie odleciał, bez Teddy'ego Westa, który miał wypadek w drodze na lotnisko. Głównodowodzący, Tom Sobel i pułkownik Max, baron von Halder, za sterami.

- O mój Boże - jęknął Jack.

- No nic, nie traćmy ducha. Łap za drugi telefon i zamów mi lysandera do Southwick. Sprawa najwyższej wagi.

- Brygadierze, a jeśli...

- Jeśli on zastrzeli Ike'a i Toma Sobela, po czym poleci do Francji? Musimy mieć nadzieję, że tego nie zrobi, ponieważ nic nie możemy na to poradzić. Polecę za nimi. Teraz bierz się do roboty.

Jack przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, a Munro zadzwonił do Southwick House i poprosił do telefonu szefa tamtejszej ochrony, majora żandarmerii Verekera. Natychmiast go połączono.

- Vereker, znamy się od dawna, więc zaufaj mi.

- Naturalnie, brygadierze.

- Niedługo przyleci tam lysander z Ike'em, generałem Sobelem i pułkownikiem Kelso jako pilotem.

- Już mnie o tym powiadomiono.

- To będzie dla ciebie trudne, ale oto co musisz zrobić. Jak tylko wylądują, aresztujesz Kelso w oparciu o ustawę o bezpieczeństwie państwa. Lecę tam do was i przywiozę ci nakaz.

Vereker, od wielu lat pracujący w różnych rodzajach policji, od dawna przestał się czemukolwiek dziwić.

- Mam postępować dyskretnie?

- W najwyższym stopniu. W tej fazie operacji nie chcę, aby dowiedział się o tym

głównodowodzący. W razie czego powiedz, że już lecę.

- Może pan na mnie liczyć, brygadierze.

- To paskudna sprawa - mruknął Munro, z przerażeniem myśląc o tym, jak bardzo może okazać się paskudna.

- Rozumiem - odparł Vereker i rozłączył się.

Wrócił Jack.

- Samolot zamówiony, a samochód czeka. Mam lecieć z panem?

- Nie, pilnuj interesu. Porozmawiaj z ambasadą Portugalii. Spróbuj zgarnąć braci Rodrigues, chociaż myślę, że ambasador powoła się na immunitet dyplomatyczny i odeśle ich do domu. Niech Riley aresztuje tę Dixon. Masz kilka nakazów aresztowania in blanco. Wystaw jeden na nią.

Wstał i sięgnął po czapkę.

- Potwierdź Jacaudowi, że odebraliśmy jego meldunek, nic więcej. Skontaktujesz się z nim później, kiedy dowiemy się, na czym stoimy.

Poprawił czapkę.

- Zwrócił pan uwagę, kto dowodzi w Chateau Morlaix, brygadierze? - spytał Carter. - Bubi Hartmann, jeden z najlepszych umysłów SD.

- Oczywiście, Jack. Ten człowiek przejął obowiązki Kleina w Berlinie. Wszystko pasuje, ale tak to już zwykle bywa. Nawiasem mówiąc, możesz powiedzieć tej Dixon, że jej nie powiesimy, o ile będzie z nami współpracować.

Otworzył drzwi.

A Molly?

- Rany boskie, Jack - mruknął Munro i wyszedł.

Max leciał lysanderem przez kłębiaste obłoki na tysiącu sześciuset metrach. Wyżej były jeszcze bardziej gęste - wielkie i czarne, zacinające deszczem. Eisenhower i Sobel siedzieli z tyłu, pokrzykując do siebie przez ryk silnika.

Maxem targały sprzeczne emocje. Spotkał głównodowodzącego, wymienił uścisk dłoni, rozpoznał go, lecz ten człowiek nic dla niego nie znaczył. Nagle uświadomił sobie to, co w tym

czasie Munro mówił do Cartera; że wystarczyłoby wyciągnąć walthera, odwrócić się i strzelić Eisenhowerowi między oczy. Musiałby jednak zabić również Sobela, ojca Molly, przez co także i ona stałaby się ofiarą tej nieszczęsnej historii. Co powiedziałby Harry, gdyby Max przyleciał do Morlaix z dwoma trupami, w tym ojca jego ukochanej? Ponieważ Harry ją kochał, chociaż usiłował to ukryć: poznawszy Molly, Max był tego pewien.

Z drugiej strony co z Mutti? Tutaj chodziło o nią. Jeśli nie zabije Eisenhowera, ona zginie i Harry też - nie miał co do tego złudzeń.

Co więc powinien zrobić? Polecieć do Southwick i czekać na następną okazję, co zapewne doprowadziłoby do jego własnej śmierci? Zrobić to teraz i odlecieć? Nigdy w życiu nie czuł się tak okropnie. Przecież powiedział Harry'emu, że poszedłby do piekła, aby uratować matkę - więc skąd to dziwne wahanie?

W chwilę później los zdecydował za niego. Nagle usłyszał donośny huk i Lysander zakołysał się w strumieniu skondensowanych gazów, pozostawionych przez czarny cień, który przeleciał nad nimi i odbił w lewo.

- Mój Boże, co to? - zapytał Eisenhower.

- Nocny myśliwiec Junkers - wyjaśnił Max. - Nadal przylatują czasem z Francji, szukając celów nad południową Anglią. Ale powinien już jeść śniadanie. Trzymajcie się, panowie.

Instynkt pilota kazał mu gwałtownie zanurkować, opaść trzysta metrów niżej. Junkers zaszedł go z tyłu i strzelił, przebijając lewe skrzydło i rozbijając osłonę kabiny. Myśliwiec odleciał, zataczając szeroką pętlę.

- Jest dla nas zbyt szybki! - zawołał Max do pasażerów. - My jesteśmy dla niego zbyt wolni.

Junkers zawracał osiemset metrów dalej, a Max zameldował przez radio:

- Lysander Jeden zmierzający do Southwick, jestem atakowany przez junkersa nad South Downs.

Junkers znów nadleciał. Max ostro odbił w lewo i strumień pocisków chybił. Nagle całkowicie opanował nim instynkt urodzonego pilota; nie zdołał oprzeć się pokusie.

- Dobra, draniu, zobaczymy, z czego cię zrobili - mruknął.

Zanurkował, zwiększając szybkość, na siedemset metrów, potem na trzysta, aż w dole pojawiły się lesiste wzgórza Downs. Junkers chybił, przeleciał nad nim i znów nadleciał. Max zszedł na dwieście, nagle, niespodziewanie, opuścił klapy - stara sztuczka, którą posłużył się już wielokrotnie.

Lysander niemal stanął w powietrzu, a pilot junkersa, gwałtownie skręcając, aby uniknąć zderzenia, stracił kontrolę nad sterami i runął na ziemię. Nad lasem wykwitł grzyb płomieni. Max ściągnął stery, zwiększył pułap i wyrównał maszynę na trzystu metrach. Odwrócił się.

- Z tyłu wszystko w porządku? - zapytał.

Eisenhower i Sobel byli oszołomieni i nagle Max pojął: oto odpowiednia chwila. Nie będzie miał lepszej okazji. Mógł wyjąć broń, zastrzelić obu i odlecieć do Francji.

Jednak nie miał takiego zamiaru.

W ciągu ostatnich dwóch minut coś się zmieniło, podjął decyzję, nawet się nad tym nie zastanawiając. W przypiływie podniecenia wywołanego pojedynkiem zrozumiał, że jest tak, jak powiedział Bubiemu: był pilotem. Nie mordercą.

Odwrócił się i wezwał Southwick.

- Junkers spadł. - Podał pozycję. - Będę tam za piętnaście minut.

Sto metrów od portugalskiej ambasady Jack Carter czekał, siedząc na tylnym siedzeniu służbowego samochodu.

Spiesznie podążający chodnikiem siwowłosy człowiek w granatowym garniturze i płaszczu przeciwdeszczowym narzuconym na ramiona nazywał się da Cunha i był pułkownikiem dowodzącym ochroną ambasady. Carter otworzył drzwi i da Cunha wsiadł.

- Kopę lat, Jack. Mówiłeś, że to pilne.

- Bo tak jest. Fernando i Joel Rodrigues są opłacani przez nazistów w Berlinie.

Da Cunha otworzył usta, a Jack podniósł dłoń.

- Nie ma żadnych wątpliwości. Mogę dostarczyć ci wszelkie dowody.

Pułkownik wyjął z cygarniczki papierosa i zapalił.

- Powołają się na immunitet dyplomatyczny, Jack.

- Chcesz powiedzieć, że ty to zrobisz? W porządku. Wiemy o nich wszystko, co chcemy wiedzieć. Nie są nam do niczego potrzebni. Wsadź ich dziś wieczorem do dakoty lecącej do Lizbony i powiedz, żeby tu nie wracali. Nigdy.

- Dziękuję, Jack. Jesteś bardzo uprzejmy.

- Mogę sobie na to pozwolić. Wygrywamy wojnę. Och, powiedz też Fernando Rodriguesowi, że mamy jego dziewczynę. Ona nie jest Portugalką.

- Zostanie stracona?

- Co by nam to dało?

Jack sięgnął ręką i otworzył drzwi, a da Cunha wysiadł i odszedł szybkim krokiem.

Kiedy Jack wrócił do biura, Sarah Dixon już podpisywała zeznanie. Sean Riley siedział obok niej, Lacey pod oknem.

- Macie wszystko?

Riley skinął głową.

- To ten bliźniak-Niemiec. Potwierdziła to, ale mamy dla ciebie jeszcze bardziej dramatyczne wieści. Dopiero co mieliśmy telefon. Kiedy leciał z Ike'em do Southwick, zostali zaatakowani przez szwabski samolot. Wygląda na to, że pokazał mu kilka sztuczek i spuścił Szkopa na ziemię.

Carter wcale się nie zdziwił.

- No cóż, to jeden z największych asów Luftwaffe, a ta misja od początku mu nie leżała. Czytałeś meldunek z Francji, który ci zostawiłem?

- Tak, biedny facet i wszystko na darmo. Chcę powiedzieć, że te dranie i tak zastrzeły jego matkę.

- Nadal jednak mają jego brata.

- I co teraz, proces? - wtrąciła się Sarah Dixon.

- Wielki Boże, nie - rzekł Carter. - Nie jest pani aż tak ważna. Oczywiście, pozostanie pani w zamknięciu. Po wojnie... zobaczymy. Nawiasem mówiąc, przekazałem wiadomość Rodriguesowi. Powiedzą mu, że aresztowaliśmy panią. On i jego brat dziś wieczorem zostaną odesłani do Lizbony.

- Ładnie z pana strony - uśmiechnęła się. - Mogę odejść?

Riley i Lacey wyprowadzili ją, a Jack usiadł i zastanowił się, a potem napisał wiadomość dla Jacauda, informując go o ostatnich wydarzeniach. Ponownie zamyślił się i dodał kilka instrukcji. Zadzwoił po gońca, usiadł, marszcząc brwi, po czym znów chwycił za telefon.

- Major Carter. Potrzebny mi samochód do Guy's Hospital. Tak, za pięć minut.

Na lądowisku Southwick grupa oficerów sztabowych i personelu Raf-u rzuciła się do lądowania, zaledwie zdążył się zatrzymać. Eisenhower podniósł rękę i odprawił ich.

- Nic mi nie jest, tak samo jak generałowi Sobelowi, dzięki najlepszemu pilotowi, jakiego widziałem w życiu. - Odwrócił się do Maxa i uciszył zebranych. - Pułkownik Kelso, na mocy uprawnień przysługujących mi jak głównodowodzącemu, w trybie natychmiastowym przyznaję panu Distinguished Service Cross. - Ucisnął dłoń Maxowi i zwrócił się do Toma Sobela. - Lepiej już chodźmy. Mamy mnóstwo roboty.

Sobel objął Maxa.

- Jestem z ciebie dumny, synu, a Molly będzie jeszcze bardziej dumna. Słuchaj, mieliśmy ciężki ranek. Może zjesz coś w mesie oficerskiej. Odpocznij. Ike na pewno zechce z tobą później porozmawiać.

- Świetnie - odparł Max. - Chętnie to zrobię.

Sobel odszedł za Eisenhowerem, a personel naziemny RAF-u przystąpił do oględzin lysandera. Max drżącą ręką zapalił papierosa. Co się teraz stanie z Elszą i Harrym? Nagle zaczął mu kielkować w głowie pewien pomysł. Rozpadało się. Jakiś major żandarmerii podszedł do niego i rozłożył parasol.

- Muszę dostarczyć pana suchego, pułkownik, brygadierowi Munro. Wkrótce tu będzie.

Max od razu zrozumiał, że go rozszyfrowali.

- O co chodzi?

- Nazywam się Vereker i dowodzę tu ochroną. Ci dwaj kaprale to moi ludzie.

Max spojrzał i zobaczył dwóch rosyłych żołnierzy w charakterystycznych czerwonych czapkach żandarmerii.

- Nie wiem, co się tu dzieje, ale mam rozkaz aresztować pana w oparciu o ustawę o bezpieczeństwie państwa.

- Ciekawe.

- Wiem, że ma pan broń, pułkownik. Byłbym zobowiązany, gdyby zechciał mi ją pan dyskretnie oddać.

- Och, zawsze jestem dyskretny. - Max wyjął z kieszeni kurtki walthera oraz zapasowy magazynek i oddał Verekerowi. - Proszę.

Vereker wsunął pistolet do kieszeni.

- Bardzo rozsądnie, pułkownik.

- Nigdy w życiu nie zrobiłem niczego rozsądnego - rzekł Max. - I co teraz?

- Hmm, nie narobił pan zamieszania ani nie wsiadł na wysokiego konia...

- I o czym to świadczy?

- Będąc policjantem od dwudziestu lat, zarówno w Scotland Yardzie jak w armii, powiedziałbym, że jest pan winny jak cholera tego, co panu zarzucają. Ale nie mnie o tym decydować. To należy do brygadiera Munro.

- Co mamy robić do czasu jego przybycia?

- Może napijemy się czegoś w mesie?

- Sądzi pan, że można mi zaufać?

- Och, tak myślę. W końcu, dokąd mógłby pan uciec?

- Nigdy nie wypowiedział pan prawdziwszych słów, majorze - uśmiechnął się Max. - Niech pan prowadzi.

Vereker dał mu wolną rękę. Stał przy barze z whisky i egzemplarzem "Timesa", podczas gdy Max usiadł pod oknem, również popijając whisky, paląc papierosa i rozważając sytuację. Co takiego odkrył Munro i w jaki sposób? Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Już po wszystkim i niech Bóg ma w opiece matkę oraz Harry'ego, chyba że... Twarz bolała go jak diabli, więc wyjął pudełko z ampułkami. Vereker w mgnieniu oka znalazł się przy nim.

- Co to takiego?

- Morfina - odparł Max. - Boli mnie twarz. Rana jest świeża i bardzo mi dokucza. Proszę, niech pan sam to zrobi.

Vereker obejrzał opakowanie.

- Niemieckie?

- Ściśle mówiąc, wyposażenie Ss. Oni dostają wszystko co najlepsze.

Vereker zawahał się, a potem odłamał koniec ampułki i wbił w przegub wyciągniętej ręki Maxa.

- Na Boga, chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Ja także.

W tym momencie wszedł Dougal Munro, przystanął i podszedł do nich.

- Oo, brygadier - skostatował pogodnie Max.

Munro nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

- Majorze, od tej chwili obowiązuje pana ustawa o zachowaniu tajemnicy państwowej. Skorzystamy z pańskiego biura.

Po chwili Munro zasiadł za biurkiem Verekera i wyjął z kieszeni złożony papier.

- Oto nakaz aresztowania, majorze, w oparciu o ustawę o bezpieczeństwie państwa.

Vereker przeczytał dokument i ze zdumieniem popatrzył na brygadiera.

- Przecież jest wystawiony na pułkownika Maxa von Haldera.

- Zgadza się. Pułkownik Kelso w ubiegłym tygodniu rozbił się w Bretanii i kilka dni później uciekł stamtąd i powrócił triumfalnie w skradzionym Luftwaffe storchu. Tyle, że to nie był Harry Kelso, tylko jego brat bliźniak.

Vereker był oszołomiony. Słyszał o bracie Kelso, ale...

- Po co?

- Aby zamordować generała Eisenhowera.

- Przecież to szaleństwo, brygadierze. Właśnie uratował mu życie, dając najbardziej zdumiewający pokaz pilotażu, o jakim ktokolwiek słyszał.

- Jest niesamowity, prawda? - Munro zwrócił się do Maxa. - Kiedy przyszło co do czego, nie mógł pan tego zrobić, tak?

- Och, myślałem o tym, żeby odwrócić się i zastrzelić go, ale musiałbym zabić również Sobela, a tego nie mogłem uczynić, nie ojca Molly. Widzi pan, Harry ją kocha. - Max zapalił papierosa. - A potem pojawił się tamten junkers. Dziwne. Gdybym był fatalistą, pozwoliłbym mu zrobić swoje i wszyscy trzej zginęlibyśmy razem. Idealne rozwiązanie.

- Nie jest pan jednak fatalistą?

- Nigdy nie byłem. Zawsze będę walczył do końca, a kiedy ten drań wszedł mi na ogon... - Znów wzruszył ramionami. - Jestem pilotem myśliwskim. To było odruchowe. - Roześmiał się. - I wtedy coś się stało. Kiedy junkers spadł, siedziałem za sterami i powiedziałem sobie: oto kim jesteś, Max. Pilotem, nie mordercą. Możesz być zabójcą, ale nie tego rodzaju. - Znów się zaśmiał. - Nawiasem mówiąc, miałem na koncie trzysta dziewięć samolotów. Teraz mam trzysta dziesięć.

- Chyba rozumiem.

- W wyniku tego moja matka i Harry mają poważne, bardzo poważne kłopoty. - Zmarszczył

brwi. - Chwileczkę, brygadierze. Nie powiedział mi pan, jak mnie zdemaskowaliście.

- Śledziliśmy braci Rodriguesów i niech mi pan nie mówi, że nie wie, kim oni są. Oni doprowadzili nas do Sarah Dixon, która niestety pracowała w głównej kwaterze Soe. Policyjny fotograf robił zdjęcia wszystkim wchodzącym do jej budynku, w tym i panu. Był pan nieostrożny.

- Hmm, w tych sprawach jestem amatorem.

- A potem otrzymaliśmy meldunek od mojego najważniejszego agenta w rejonie Morlaix i teraz wiem już wszystko. O Himmlerze, Bubim Hartmannie. Och tak, wiemy o Bubim, pana matce, Harrym oraz o strasznym dylemacie, przed jakim postawił was Himmler.

- Skąd może pan o tym wiedzieć? Zostałem przeniesiony do chateau w tajemnicy, moją matkę również w sekrecie przewieziono tam z Berlina.

- Pokojówkę pana matki, Rosę Stein, znaleziono błąkającą się w lesie. Dzięki Bogu, natrafiła na moich ludzi. To, co im powiedziała, dziś rano znalazło się na moim biurku.

- Rosa? Błąkająca się w lesie? O czym pan mówi, do licha?

Munro powiedział mu.

Max siedział, osowiały i spięty. Vereker otworzył szafkę, nalał brandy do szklaneczki i podał mu ją. Max przełknął trunek i z krzywym uśmiechem spojrzął na Verekera.

- Teraz już wiecie, o co walczyacie.

- Przykro mi, pułkowniku.

- Postarajcie się, żeby dobrzy faceci wygrali i nalejcie mi jeszcze jeden.

Podstawił szklaneczkę i Vereker nalał mu brandy.

- Mnie też jest przykro - powiedział Munro.

- To nasza wina. Ja myślałem wyłącznie o lataniu, moja matka myślała tylko o nazwisku von Halder i naszej pozycji. Hitler doszedł do władzy, a my siedzieliśmy cicho i płynęliśmy z prądem. - Odwrócił się do Verekera. - Powtarzaliśmy sobie, że nie jesteśmy nazistami, majorze, ale skończyło się to tym, że zestrzeliłem ponad trzysta samolotów dla Trzeciej Rzeszy.

Nikt nic nie mógł na to powiedzieć; Vereker schował butelkę z powrotem do szafki.

- A najgorsze jest to, że to jeszcze nie koniec. Ci dranie wciąż mają Harry'ego.

- Bubi Hartmann okłamał pana.

- Tak, Bubi skłamał. Chyba jednak trochę go rozumiem. Widzicie, on ma żydowskie pochodzenie i Himmler dowiedział się o tym. Miał go w garści, tak samo jak nas. Zagroził jego ojcu i ciotce. Macie pojęcie, co oni robią? Wieszają ludzi na strunach fortepianowych, mężczyzn i kobiety. Reichsführer to prawdziwy demokrat.

- Mój Boże - rzekł Vereker. - Co za świnia.

- Powiedziane jak przystało na Anglika. - Max drżącą ręką wyjął papierosa, a Vereker podał mu ogień. - I co teraz, londyńskie więzienie Tower?

- Cold Harbour - rzekł Munro. - Nasza rozmowa przedłużyła się i musimy odlecieć, zanim przyśle po pana Ike. Polecimy lysanderem, którym tu przyleciałem.

- Mam lecieć z wami, brygadierze? - zapytał Vereker.

- Nie ma potrzeby, już nie. Powie pan Ike'owi, że musiałem przeprowadzić oględziny szczątków junkersa i potrzebowałem ekspertyzy pułkownika Kelso. Nie ma pan nic przeciwko temu kłamstwu?

- Nie, brygadierze.

- Dobrze i proszę nie zapominać o ustawie o zachowaniu tajemnicy państwowej. To wszystko nigdy się nie zdarzyło.

- Skoro pan tak twierdzi, brygadierze.

Pilotem lysandera był podporucznik Hare, bardzo młody i darzący Maxa nabożnym podziwem. Latał przeciętnie, ale wystarczająco dobrze, aby dowieźć ich na miejsce, tak że wczesnym popołudniem przelecieli nad Cold Harbour i wykonali twarde lądowanie.

- Ogromnie przepraszam, pułkowniku - rzekł Hare. - Kiepskie lądowanie.

- Każdemu się zdarza - pocieszył go Max i poszedł za Munro.

Julie podjechała dziptem i wysiadła.

- Miło znów was widzieć. Mamy jeszcze czas na lunch. Łódź wypłynęła na ćwiczenia, ale Zec jest tutaj i zostało jeszcze kilka pasztecików.

- Dlaczego nie? - powiedział Munro. Zwrócił się do Maxa. - Odpowiada ci to, Max?

- Jak pan powiedział, dlaczego nie?

- Max? Cóż to znowu? - zapytała Julie.

- Zejdźmy z tego przeklętego deszczu, wsiądźmy do dżipa i pojedźmy "Pod Wisielca", a wszystko ci opowiem.

Jedynym gościem w pubie był Zec, który siedział przy kominku, czytając jakąś książkę. Spojrzał na wchodzących i uśmiechnął się.

- Dobrze, że wróciliście.

- Pozwól, że ci przedstawię. Pułkownik baron von Halder, brat Harry'ego Kelso.

- Dobry Boże - jęknął Zec Acland.

Max wszedł za bar i wziął sobie paczkę playersów. Zapalił jednego i ze znużonym uśmiechem wrócił do stolika.

- Niech pan mówi, brygadierze. Ja w tym czasie przespaceruję się, jeśli można. Rozumie pan, że przyda mi się chwila wytchnienia. Zjem później.

- To zwariowana historia, ale było tak... - zwrócił się Munro do pozostałych, kiedy zamknęły się drzwi za Maxem.

Kiedy skończył, Julie powiedziała:

- To naprawdę okropne. Jego biedna matka.

- Nigdy nie słyszałem niczego podobnego - zauważył Zec. - Tylko co pan tu robi, brygadierze? Zgodnie z prawem powinien go pan zabrać do Londynu. Nawet nie powiadomił pan o tym generała Eisenhowera.

- To prawda i sam nie wiem, co ja tu robię - westchnął Munro. - W tej robocie człowiek staje się kłamcą. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że możemy w jakiś sposób wykorzystać tę sytuację, chociaż jeszcze nie wiem jak.

Otworzyły się drzwi i wszedł Max. Ta część jego twarzy, której nie pokrywał siniak, zarumieniła się trochę.

- Chętnie rozprawię się z jednym z tych pasztecików. Jestem głodny jak wilk.

- Do tego kufelek piwa - powiedział Zec. - Przyłączę się do pana.

- Ja także - dorzucił Munro. - Łagodnie mówiąc, miałem dość pracowity ranek i nie zdążyłem zjeść śniadania.

Julie podała paszteciki z nerek i ziemniaki, a oni zabrali się do nich w milczeniu.

- Zastanawiam się nad jednym - przerwał ciszę Zec. - Jeżeli Eisenhower nadał panu Dsc za uratowanie mu życia, to czy może odebrać to odznaczenie, ponieważ jest pan po przeciwnej stronie?

- Frapujący problem - rzekł Munro. - Wątpię, by wcześniej ktokolwiek brał go pod uwagę.

Usłyszeli warkot.

- Cóż to znowu?

Julie podeszła do drzwi i spojrzała.

- Lysander - oznajmiła.

- Ciekawe kto to?

- Mam pojechać i sprawdzić?

- Nie, dokończ lunch. Ktokolwiek to jest, wkrótce tu przyjdzie - stwierdził Munro i znów zajął się jedzeniem.

Jakieś piętnaście minut później usłyszeli zajeżdżającego pod dom dżipa. Po chwili otworzyły się drzwi i do pubu wszedł Jack Carter, a za nim Molly.

- Nie obwiniaj Jacka, wujku Dougalu. Zmusiłam go, żeby mnie tu przywiózł.

- Natychmiast odesłałem lysandera - oznajmił Carter.

- Mam nadzieję. Niedługo nam ich zabraknie.

- Otrzymaliśmy wiadomość z Southwick. Generał Eisenhower próbuje skontaktować się z panem.

- Hmm, nic o tym nie wiem i na razie nie można mnie znaleźć.

- Dałeś dziś rano piekielny pokaz latania - powiedział do Maxa Jack.

- Wszystko zostaje w rodzinie. Tak samo jak Harry. Umiemy tylko latać.

- Chciałabym z tobą porozmawiać - odezwała się Molly. - Mogę, wujku Dougalu?

- Sądzę, że to da się zrobić.

Wyszła z pubu, a Max za nią. Poszli na koniec przystani, gdzie ona siadła na ławeczce, a on oparł się o poręcz. Czuli się sobie dziwnie bliscy.

- Jack opowiedział mi całą tę zwariowaną historię. Przykro mi z powodu twojej matki.

- Mnie też. Przykro mi też z powodu Harry'ego, który wciąż tam tkwi.

- Powiedz mi, jak on się miewa.

- Bardzo go kochasz, prawda?

- O tak.

- A więc czekają cię ciężkie chwile. Wiem, ponieważ przeżywają je wszyscy, którzy mają ze mną do czynienia.

- To bez znaczenia. Miłość nie kieruje się rozsądkiem. Miłość wyklucza rozsądek. Odpowiedz mi.

- Czuł się nieźle. Miał paskudnie złamaną lewą nogę w kostce, ale kapitan Schroeder wykonał niezłą robotę... tak samo jak z moją twarzą.

- Lekarz nazywał się Schroeder?

- Lekarz z Ss, więc był cholernie dobry.

- Co zrobił z twoją twarzą?

- Podał mi środek miejscowo znieczulający, uderzył metalową sztabą i rozciął policzek skalpelem. Harry siedział i patrzył na to. Był wyraźnie nieszczęśliwy.

- Okropne to wszystko. - Pokręciła głową. - Zabić Eisenhowera...

- Gdybyś tylko widziała ten film z egzekucji tak zwanych zdrajców, który kazał nam oglądać Himmler. Struny fortepianowe wrzynające się w szyję, odchody spływające po nogach. Już widok mężczyzn był okropny, ale kobiety... - Potrząsnął głową. - To niewiarygodne. Tę operację musieliśmy przeprowadzić wspólnie, inaczej nie miałyby szans powodzenia. Potrzebowałem pomocy Harry'ego, żeby wyjść cało.

- Rozumiem, naprawdę. Ironia losu polega na tym, że gdyby to ktoś inny pilotował samolot Eisenhowera, generał prawdopodobnie byłby już martwy. - Wstała. - Na pewno można coś zrobić.

- Wysłać komandosów? - Max pokręcił głową. - Na zorganizowanie takiej akcji potrzeba czasu. Bracia Rodrigues szybko wrócą do Portugalii dzięki immunitetowi dyplomatycznemu. W końcu zameldują o wszystkim SD na Prinz Albrechtstrasse, choćby w nadziei na odrobinę forsy. Bóg wie, co stanie się z Harrym. W najlepszym razie Himmler ściągnie go do Berlina.

Szli przystanią, do której wpływała łódź. Ktoś zawołał do nich machając ręką i Max

odpowiedział tym samym.

- To straszne - wykrztusiła ze łzami w oczach. - Czuję się taka bezsilna i nic nie można zrobić,

Max położył dłoń na jej ramieniu.

- Och, sam nie wiem. Zastanawiałem się nad tym, Molly. A gdybym znów stał się dumą Luftwaffe? Wziął odpowiedni mundur z magazynu Julie i przekradł się na lotnisko pod osłoną ciemności? Tam stoją dwa storchy. Za godzinę byłbym w Morlaix, wylądowałbym w bazie paliwowej i zobaczył, co da się zrobić.

- To szaleństwo. Poszedłbyś na pewną śmierć.

- Pewna śmierć czeka teraz Harry'ego. Przynajmniej byliśmy razem.

- A więc gdybyś mógł, przywiózłbyś go?

- Musiałbym. On teraz nie może latać.

- Mrzonki. To niemożliwe.

Kiedy doszli do pubu, Jack Carter wychodził z Julie.

- Mam rozkaz odwieźć cię do domu, stary. Zamknięte drzwi, kraty w oknach i tak dalej.

- Czemu nie - mruknął Max. - I tak nie mam dokąd iść.

Zajął miejsce na tylnym siedzeniu dżipa, Carter usiadł obok Julie i odjechali.

Munro opierał się o bar, rozmawiając z Zecem przy szklaneczce whisky, kiedy weszła Molly. Odwrócił się do niej.

- Wszystko w porządku?

- Sama nie wiem. Rozmawialiśmy, wiele mi wyjaśnił i martwi się o Harry'ego. Powiedz mi, po co go tu ściągnąłeś?

- Zbyt wiele wydarzyło się zbyt szybko. Pomyślałem, że lepiej zamelinować go tutaj i zaczekać, aż opadnie kurz.

- A więc nie masz pojęcia, jak pomóc Harry'emu?

- To niemożliwe.

- Max tak nie uważa.

- Naprawdę? - wtrącił Zec Acland.

Munro zmarszczył brwi.

- Opowiedz mi o tym - rzekł i tak też zrobiła.

17

Max spędził długie popołudnie na ponurych rozmyślaniach w sypialni, którą przydzielił mu Carter. Była dość wygodna, chociaż staroświecko umeblowana, i miała kraty w oknach. Deszcz niestrudzenie bębnił o szyby. Nie miał co robić, mógł tylko rozmyślać, a na to nie miał już ochoty. Na półce znalazł kilka powieści i wybrał "Rebekę" Daphne du Maurier ze względu na scenerię kornwalijskiego wybrzeża. Czytał przez godzinę, leżąc na łóżku, ale po tak ciężkim dniu w końcu zapadł w sen.

O wpół do siódmej przyszedł po niego Jack Carter.

- Czas na kolację, stary. Nie zapomnieliśmy o tobie.

- Bardzo to uprzejmie z waszej strony - odparł Max i zszedł za nim do biblioteki, gdzie zastał Munro, Zeca Aclanda i Molly siedzących przy kominku.

- Jesteś - rzekł Munro. - Na co masz ochotę, na whisky?

- Prawdę mówiąc, chętnie napiłbym się brandy.

Carter nalał mu, a Molly wstała z fotela.

- Pozwól, że obejrzę twoją twarz. - Zrobiła to i pokiwała głową. - Mogło być gorzej. Boli?

- Niezbyt. Właściwie jej nie czuję.

- Nie bierz więcej morfiny. To niebezpieczny specyfik.

- Dzięki za konsultacje, pani doktor. - Max wziął od Cartera szklaneczkę z brandy. - I co teraz?

- Nie jestem pewien - rzekł Munro.

- Pytałem, czy mój następny przystanek to więzienie Tower. Zawsze uważałem, że to odpowiednie miejsce dla takich jak ja.

- Drogi chłopcze, nigdy nie było nikogo takiego jak ty - warknął gniewnie Munro. - Do licha, Max, wciąż myślę o tobie jako o Harrym.

- Przykre, prawda? Ciekawe, co powiedział na to Eisenhower?

- On jeszcze o tym nie wie. Cała ta sprawa to dynamit, jak powiadają nasi amerykańscy przyjaciele. Prawdę mówiąc, sam nie wiem, co robić. Rozgłos jest ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzymy, nie kilka tygodni przed inwazją.

Julie wyrzała z kuchni.

- Kolacja na stole.

Zec wstał.

- Zawsze myśli mi się lepiej z pełnym żołądkiem - stwierdził i poszedł pierwszy.

Usiedli za stołem i z apetytem zajadali zupę marchewkową, solę z Dover, ziemniaki z sosem i sałatkę. Prawie nie rozmawiali.

- Jesteś chlubą Francji, moja droga - zwrócił się w końcu Munro do Julie.

- Hmm, bez przesady, brygadierze. Właśnie zabrakło nam kawy. Musicie pić herbatę.

- Powiedziała prawdziwa Angielka. Przejdźmy do biblioteki.

- Dopiero jak posprzątam ze stołu - uśmiechnął się Max. - Pozwolisz, Julie? - zapytał i zaczął składać talerze.

- To nie dla ciebie zajęcie, baronie - zaprotestował Munro.

- Owszem, ale on jest dżentelmenem - docięła mu Julie, pomagając Maxowi.

- Ustawiła pana na właściwym miejscu, brygadierze - orzekł Zec. - Na pana miejscu poszedłbym napić się brandy.

Kiedy ponownie zebrali się w bibliotece i Julie podała herbatę, atmosfera stała się bardziej napięta. Molly przerwała niezręczną ciszę.

- Nikt nic nie mówi. To śmieszne, jak w jednej ze sztuk Agathy Christie, kiedy Hercules Poirot zbiera wszystkich w bibliotece, żeby wyjawić im, kto jest mordercą.

Max zaśmiał się.

- Doskonałe porównanie, tyle że my wiemy, kto jest mordercą. To ja.

- Bzdura - rzekł Zec, nabijając fajkę. - Widziałem kilka tych sztuk. Mordercą zazwyczaj jest

lokaj albo wikary.

- Racja - przytaknął Munro. - Jednak w tym wypadku jest nim baron.

- Zgadza się, ale, szczerze mówiąc, mam już tego dość. - Max wstał. - Kiedy już zdecydujecie, co ze mną zrobić, dajcie mi znać, ale teraz chyba wrócę do pokoju. Jack?

Carter wstał i sięgnął po laskę.

- Oczywiście, stary.

Kiedy Jack wrócił, wszyscy siedzieli w milczeniu, nie padło ani słowo. Podeszedł do kredensu i nalał sobie whisky.

- Za zdrowie wszystkich, a jeśli wybaczy mi pan, że to mówię, to niesamowity facet i nic mnie nie obchodzi, że jest asem Luftwaffe.

- Dobry Boże, człowieku, przecież straciłeś przez nich nogę pod Dunkierką - przypomniał mu Munro.

- Zgadza się i chętnie bym ją odzyskał, ale wojna to wojna. Cholernie głupia gra, nad którą nie panujemy.

- To jednak jest tylko jej drobny epizod - powiedziała Molly - i możemy nad nim zapanować. - Zwróciła się do Munro. - Co zamierzasz, wujku Dougalu?

- No dobrze, poddaję się. Nalej mi jeszcze jedną brandy, Jack, a ja streszczę wam bardzo interesującą rozmowę, jaką Molly przeprowadziła wcześniej z Maxem von Halderem.

Kiedy skończył, zapadła cisza. Przerwał ją Carter.

- Wierzy pan, że on poleciałby do Morlaix i spróbował uratować brata?

- Na litość boską, Jack, rusz tym swoim byстрыm umysłem - wybuchnęła Molly. - To wybitny człowiek, arystokrata, który miał wszystko. Medale? - Wzruszyła ramionami. - A jakież one mają znaczenie? Szantażem zmusili jego i jego brata do uczestnictwa w tym okropnym planie. Potem zamordowali mu matkę.

- Zdaniem Rosy Stein, sama szukała śmierci - wtrącił Munro.

- Owszem, ale z tego, co słyszałem, wynika, że to była daremna próba ocalenia synów - przypomniał mu Zec.

- Co Hartmann przemilczał - dodała Molly. - Podła zdrada, z jakichkolwiek działań pobudek.

- A teraz Harry w tym przeklętym chateau czeka na dalszy rozwój wydarzeń - wtrąciła Julie. - Który łatwo przewidzieć. Himmler bez namysłu każe go zamordować. Mówimy o uosobieniu zła.

- Tymczasem my siedzimy beczynnie - przypomniała Molly.

Znów zapadła cisza. Munro zapadł w posępną zadumę.

- To dobrzy chłopcy, brygadierze. Zaslужują na szansę, obaj - powiedział spokojnie Zec bez cienia emocji.

Munro kiwnął głową.

- Macie rację, oczywiście, wszyscy. Nie szukam wymówek, ale chciałbym wierzyć, iż w głębi serca wiedziałem o tym przez cały czas i dlatego sprowadziłem Maxa tutaj, zamiast zawieźć go do Londynu.

- Co robimy? - zapytał Carter. - Powie mu pan?

- Dobry Boże, nie, to stanowczo za proste jak na mój pokrętny umysł. Pozwolimy mu uciec. - Zwrócił się do Julie. - Zrobisz to dla mnie, dobrze?

- Oczywiście, brygadierze.

- Ty trzymaj się z daleka, moja droga - nakazał Molly. - Włożyłaś w to zbyt wiele serca.

W Chateau Morlaix Bubi Hartmann, młody Freiburg - pilot Me-109, i Harry kończyli kolację. Harry miał na sobie mundur Luftwaffe. Niewiele mówiono. Bubi był zamyślony, nadal czekał na wiadomości z Anglii i niepokoił się zniknięciem Schroedera. Freiburg, jak zawsze, był onieśmielony w obecności dwóch pułkowników. Ponieważ latał z Maxem, Bubi musiał wyjaśnić mu sytuację; że Harry jest jego bratem, co było widoczne jak na dłoni, ale nie wyjawiał mu, co ma zrobić baron von Halder.

Zakończyli posiłek kawą z koniakiem i Harry sięgnął po kule.

- Wrócę do mojego pokoju - oznajmił.

- Odprowadzę cię - rzekł Bubi.

Weszli po schodach i Bubi skinął na stojącego tam esesmana, który otworzył drzwi.

- A co z moją matką, Bubi? - zapytał Harry. - Kiedy ją zobaczę?

- Jutro, Harry, obiecuję.

- Nie wiem dlaczego, ale ci nie wierzę.

- Przykro mi z tego powodu.

Bubi odwrócił się, a Harry wszedł do pokoju. Był dziwnie niespokojny; podszedł do okna i spojrzął przez kraty, myśląc o Maksie i zastanawiając się, co się z nim dzieje. W końcu usiadł na łóżku, po czym zdjął prawy but. Lewą nogę miał w gipsie, z którego wystawały palce. Nie zdejmował bluzy od munduru, gdyż w pokoju było zimno. Położył się na łóżku, patrząc w sufit, i po chwili zasnął.

Bubi siedział w kącie salonu, pijąc więcej brandy, niż powinien, a Freiburg w drugim rogu nerwowo kartkował jakąś gazetę. Wreszcie wstał.

- Chyba położę się dziś wcześniej, pułkowniku.

- Dobrze ci to robi - rzekł Bubi. - Zobaczymy się rano.

Freiburg udał się na spoczynek, a gdy Bubi sięgnął po butelkę koniaku, zadzwonił telefon. Hartmann zmarszczył brwi, patrząc na zegarek. Dziesiąta. Kto to może być?

Podniósł słuchawkę.

- Jest do pana telefon, Herr Standartenfuhrer - zakomunikował telefonista.

- Kto dzwoni?

- Hmm, najwyraźniej jakiś Francuz, chociaż dobrze mówi po niemiecku. Upiera się, że musi porozmawiać z panem osobiście. Twierdzi, że ma ważne informacje.

- Połącz mnie.

- Pułkownik Hartmann? - spytał Jacaud.

- Kto mówi?

- Och, można powiedzieć, że kieruję ruchem oporu w tej części Bretanii. Mój przyjaciel, brygadier Munro, o którym pewnie pan słyszał, skontaktował się ze mną przez radio, nie raz, ale dwukrotnie.

Bubi o mało się nie udławił.

- Czego chcecie?

- Niczego - odparł Jacaud. - Tylko podzielić się informacjami. Rozumiem, że następujące nazwiska coś panu mówią. Bracia Rodrigues, którzy po aresztowaniu powołali się na immunitet dyplomatyczny, właśnie lecą z powrotem do Lizbony. Pani Sarah Dixon przebywa w areszcie, tak samo jak baron von Halder. A teraz dobra wiadomość. Baron leciał z Eisenhowerem do Southwick, kiedy zaatakował ich zabłąkany junkers. Uwierzy pan, że baron doprowadził do tego, że drań runął na ziemię? Uratował życie Eisenhowerowi.

- Niech cię szlag trafi! - jęknął Bubi.

- Pana na pewno to czeka. Ten wielki dzień jest już bliski. Och, przy okazji, dzięki za Schroedera. Kiedy rozpoczną się walki, bardzo nam się przyda.

Jacaud rozłączył się. Bubi siedział, ściskając słuchawkę, a potem powoli odłożył ją. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie, gdy zrozumiał wszystkie konsekwencje tego, co mu przed chwilą powiedziano. Już po wszystkim. Był skończony. Nie miał złudzeń co do ceny, jaką trzeba w tym interesie zapłacić za niepowodzenia.

Wstał i nerwowo zapalił papierosa, przechadzając się tam i z powrotem po pokoju. Max w rękach Anglików, a jego brat na piętze. Zastanawiał się nad tym, ale co miał uczynić? Zapukać do drzwi i powiedzieć: "Aresztowali twojego brata i - przykro mi - ale okłamaliśmy cię, twoja matka została zastrzelona, zanim Max odleciał do Kornwalii"? Z drugiej strony, mógł jeszcze coś zrobić. Miał bezpośrednią łączność z Berlinem. Jeśli dopisze mu szczęście, Trudi została na noc przy Prinz Albrechtstrasse.

Rzeczywiście, została. Leżała na wąskim łóżku polowym w rogu sekretariatu, czytając gazetę. Odebrała telefon i natychmiast rozpoznała jego głos.

- To ja, Trudi.

- O co chodzi, pułkowniku?

- Posłuchaj. Totalna klęska, bracia Rodrigues, Dixon i Max, wszyscy aresztowani. Wiesz, co to oznacza.

- O mój Boże!

- Wynoś się stamtąd, Trudi. Wykorzystaj swoją pozycję jako mojej sekretarki i uciekaj. Tylko tyle mogę zrobić. Byłbym wdzięczny, gdybyś ostrzegła mojego ojca.

Zaląła się łzami.

- To okropne. Co powie Reichsfuhrer?

- Ważne jest to, co robi.

- Godzinę temu widziałam go w kantine.

- Mówisz, że on tam jest?

- Och tak. Bombardowanie zaczęło się dziś wczesnie. Został tu na noc.

Bubi poczuł dziwną ulgę.

- Do diabła, załatwmy to od razu. Połącz mnie z nim, Trudi i...

- Tak, Bubi.

- Uciekaj najszybciej, jak potrafisz, moja kochana. Kilka minut później Himmler rzekł:

- A więc ma pan dla mnie dobre wieści, standartenfuhrer?

Bubi, któremu nagle stało się wszystko jedno, odparł:

- Wprost przeciwnie, reichsfuhrerze, wyłącznie niedobre.

Zapadła cisza, a potem Himmler rzucił:

- Mów.

Co też Bubi zrobił, z perwersyjną przyjemnością opisując szczegóły, takie jak uratowanie przez Maxa życia Eisenhowerowi przy spotkaniu z Ju-88. Kiedy skończył, zapadło głucho milczenie.

- Ten plan od samego początku był poroniony, ale przyznaję, że pomimo głębokich zastrzeżeń dałem się porwać pańskiemu entuzjazmowi - stwierdził w końcu Himmler. - Śmierć tej podłej baronowej dowodzi, że dopuścił się pan rażących uchybień w pełnieniu obowiązków, a teraz sam baron von Halder wpadł w ręce Anglików.

Bubi miał ochotę powiedzieć: "Wypchaj się, ty stuknięty skurwielu".

- Czy ma pan dalsze instrukcje, Herr Reichsfuhrer? - spytał zamiast tego. - Co mam zrobić z pułkownikiem Kelso?

- Nic. Skontaktuję się z kwaterą główną gestapo w Paryżu. Jutro przyleci tam samolot ze standartenfuhrerem Fassbinderem na pokładzie. Odbierze Kelso i przyleci z nim do Berlina.

- A ja, Herr Reichsfuhrer?

- Może pan przylecieć z nimi. Potem zobaczymy się i porozmawiamy o przyszłości.

Rozłączył się, a Bubi odłożył słuchawkę. Właśnie usłyszał wyrok śmierci na siebie i Harry'ego Kelso. Wieko trumny opadło. Wziął butelkę brandy i poszedł na górę, do swojego pokoju.

Oczywiście, nie powinien pić, ale do diabła z tym. Wypił kolejny kieliszek, zdjął pas z kaburą. Wyjął z niej mausera, zważył go w dłoni i uśmiechnął się. Standartenführera Fassbindera czeka niespodzianka. Bubi nigdy nie lubił tej świni, a lepiej zginąć z bronią w ręku. Wyciągnął się i zapadł w pijacki sen.

Max leżał na łóżku i palił papierosa, kiedy skrzypnęły otwierane drzwi. Zerknął na zegarek. Była druga w nocy.

- Max, to ja - Julie włączyła światło i Max usiadł.

- Co się stało?

Przysiadła na skraju łóżka.

- Cholerna sytuacja. Nikt nie wie, co robić. Oprócz Molly.

- O czym ty mówisz?

- Kiedy poszedłeś, rozmawialiśmy w bibliotece i Molly opowiedziała nam, co mówiłeś jej na przystani. O wykradzeniu storcha, żeby polecieć do Bretanii po Harry'ego.

- A co na to Munro?

- Uważa, że to szaleństwo. - Wzruszyła ramionami. - Ja tak nie sędzę.

- Dlaczego, Julie?

- Walczyłam z Niemcami w Resistance. Zrujnowali życie mojego męża. Uciekliśmy, ale on wkrótce umarł i Munro znalazł mi tę pracę. Nie lubię Niemców, ale, niech mi Bóg pomoże, lubię ciebie, Max, i chyba trochę podkochuję się w Harrym, chociaż lepiej nie mów o tym Molly.

- Ona jest kobietą. Na pewno już o tym wie.

- No nic, zasługujecie na szansę, ty i Harry. Jeśli jesteś tak szalony, żeby polecieć, pomogę ci. Sprawdziłam storcha, którym przyleciałeś. Ma pełny bak. Spodziewali się, że zabierze go ktoś z Dywizjonu Samolotów Wroga.

- Czy na lotnisku są warty?

- Nie ma takiej potrzeby. Personel naziemny jest w łózkach, ale powiedziałabym, że nosisz nieodpowiedni mundur do tego, co zamierzasz zrobić.

- Zdecydowanie.

- Chodźmy więc.

W magazynie przebrał się w mundur Luftwaffe. Znalazła nawet Krzyż Żelazny, który zawiesiła mu na szyi.

- Przykro mi, ale nie mamy Dębowych Liści ani Mieczy.

- Drobiazg. - Podeszedł do stołu z bronią. - Mogę?

Wybrał walthera.

- Polecasz go?

- Szczególnie z tłumikiem. Zaprojektowany specjalnie dla Ss.

- Oni mają wszystko co najlepsze.

Wsunął magazynek w kolbę i nakręcił tłumik na lufę.

- Broń na niedźwiedzia, jak zwykł mawiać dziadek do mnie i Harry'ego, kiedy jako chłopcy jeździliśmy na biwaki. Wezmę zapasowy magazynek.

Wraz z pistoletem wsunął go w kieszeń na mapy lotniczych bryczesów, wziął furazerkę, starannie umieścił ją na blond czuprynie i przejrzał się w lustrze.

- Oto duma Luftwaffe.

- Jeżeli jesteś gotowy, sprowadzę cię na dół. Zejdziemy tylnymi schodami.

Poszedł za nią do sieni przed kuchnią. Julie otworzyła tylne drzwi, po czym wyszli i przeszli przez podwórko do furtki w murze. Po drugiej stronie czekał dziup. Usiadła za kierownicą, a Max obok niej.

- Trochę mglisto i niski pułap chmur - zauważył, kiedy uruchomiła silnik.

- Sprawdziłam prognozę pogody. Tak będzie nad kanałem, ale podobno po drugiej stronie ma być jasna, księżycowa noc.

- Już drugi raz w tym tygodniu podejmuję się niemożliwego zadania. Moja matka uważała, że zamach na Eisenhowera jest niewykonalny, że lecę na pewną śmierć.

- Jeszcze żyjesz.

- Ledwie, ledwie. Czy to szaleństwo, Julie?

- Boże dopomóż, nie wiem.

Zapalił papierosa.

- No dobrze, mam godzinę, żeby dostać się tam i oszukać personel na lotnisku Morlaix, dziesięć minut na dojazd do chateau. Uwolnić Harry'ego, wrócić na lotnisko i znów godzina lotu. Mogę wrócić tu o piątej, jeśli plan się powiedzie, a wartownicy na lotnisku oraz kontroler lotów zaakceptują słynnego Czarnego Barona. Widzisz, oni nie wiedzieli, co miałem zrobić.

- Miejmy nadzieję, że się nie dowiedzieli.

- Chyba zaryzykuję i założę, że Bubi trzymał wszystko w tajemnicy.

Storch stał na lotnisku. Podjechała, wysiedli i podeszli do niego. Wokół było cicho. Max otworzył drzwi, sięgnął po spadochron i założył go.

- To bez znaczenia, ale trudno wyzbyć się starych przyzwyczajęń. - Pocałował ją w policzek. - Bóg z tobą, Julie.

- Bóg z tobą, Max.

Usiadł na fotelu pilota i odwrócił się z uśmiechem.

- Nawiasem mówiąc, gdzie Munro?

Zaskoczył ją.

- Naprawdę nie wiem.

- Daj spokój, Julie.

Uśmiechnął się i zamknął drzwi. Uruchomił silnik i podkołował na koniec pasa. Po chwili wzbił się w noc.

"Pod Wisielcem" Zec podłożył do kominka. Jack Carter i Molly siedzieli w kąciku, a Munro stał przy barze. Wokół siedziała załoga łodzi ratowniczej. Jeden z nich przemówił w imieniu wszystkich.

- O co tutaj chodzi, Zec? Mówiłeś, że coś się dzieje. W tym momencie usłyszeli warkot przelatującego nad pubem i kierującego się nad morze storcha. Ktoś zapytał:

- Co to było, do diabła?

Zec zerknął na Munro, który skinął głową.

- To pułkownik Kelso poleciał do Francji, żeby kogoś zabrać - wyjaśnił Zec.

Usłyszeli podjeżdżającego dzipa. Po chwili Julie zjawiała się w pubie i podeszła do Munro. Powiedziała mu coś przyciszonym głosem. W końcu Munro kiwnął głową, a potem odwrócił się.

- To zapewne najbardziej ryzykowna misja, jaką kiedykolwiek podjęto z Cold Harbour. Zdecydowanie samobójcza. Gdyby mu się powiodło, zobaczymy go tu około piątej. Może mu być potrzebna pomoc na morzu. Trudno przewidzieć.

- Dlatego chcę, żebyście byli pod ręką, łachudry - powiedział Zec. - Ktoś się sprzeciwia?

Jeden z mężczyzn roześmiał się.

- Rany boskie, Zec, podłóż do ognia, zamknij się i tasuj karty. - A potem zwrócił się do Julie: - Przydałaby się też zapiekanka albo dwie.

Uśmiechnęła się.

- Masz ją. Mogłabyś mi pomóc, Molly?

- Oczywiście. - Molly poszła za nią do kuchni.

- Jeśli ktoś chce się napić, to teraz. Najwyżej po kuflu - rzekł Zec. Wyjął z kieszeni karty i zwrócił się do Munro: - W co chce pan zagrać, brygadierze?

- W pokera - odparł Munro. - Mam słabość do dobieranego pokera. Niestety, gram tylko na pieniądze.

Odpowiedział mu chóralny śmiech, ktoś zestawił dwa stoliki i wszyscy stłoczyli się wokół.

Max nawiązał kontakt z Morlaix dopiero wtedy, kiedy znalazł się osiem kilometrów od bazy. Przeleciał z Kornwalii do Bretanii na wysokości stu sześćdziesięciu metrów, mocno trzymając stery. Był opanowany i spokojny, wcale się nie bał.

- Lecę po ciebie, Harry - mruknął. - Lecę.

W chateau Harry poruszył się i zbudził, patrząc w sufit, a potem sen uciekł, gubiąc się w zapomnieniu. Harry leżał na łóżku, z jakiegoś powodu spięty i wzburzony. Sięgnął po papierosa.

Dyżurnym kontrolerem lotów w Morlaix był sierżant Greiser. Nie miał co robić, nie było żadnych lotów, ale regulamin wymagał, żeby ktoś pilnował radiostacji. Siedział tam i ziewał, kiedy

usłyszał głos Maxa.

- Morlaix, słyszycie mnie?

Greiser sięgnął po mikrofon.

- Głośno i wyraźnie. Kim jesteś?

- Baron von Halder w misji specjalnej. Będę u was za pięć minut. Nikogo nie informować o moim przybyciu. Działam na bezpośredni rozkaz reichsführera Himmlera. Bez odbioru.

Greiser, mocno podekscytowany, włączył światła lądowania, wyszedł z baraku i pobiegł w deszczu do hangaru, gdzie stał Me-109. Zastał tam młodego wartownika ze schmeisserem na ramieniu.

- Co to za zamieszanie? - zapytał żołnierz.

- Nadlatuje storch.

- O tej porze? Kto nim leci?

- Pilnuj swoich spraw - burknął Greiser.

Storch wylądował jak po sznurku, podkołował do hangaru i stanął. Max wyłączył silnik, wysiadł, po czym podszedł do nich.

- Nazwisko? - zapytał.

- Greiser, panie baronie. - Sierżant strzelił obcasami. - To dla mnie zaszczyt.

Max wyjął papierosa, a Greiser podał mu ogień.

- Powiem ci coś, Greiser. To misja specjalna. Mam zabrać pasażera z chateau. Macie tu jakiś pojazd, z którego mógłbym skorzystać?

- Służbowego kubelwagena, panie baronie. Ja poprowadzę.

- Nie trzeba. Jesteś potrzebny tutaj. Wrócę za pół godziny. Pokaż, gdzie jest wóz.

Greiser zaprowadził go do drugiego hangaru, w którym stał kubelwagen. Max wskoczył za kierownicę i uruchomił silnik.

- Jesteś dobrym żołnierzem, Greiser, i tak napiszę w raporcie dla reichsführera Himmlera.

- Dziękuję, panie baronie.

Greiser znów trzasnął obcasami i oddał honory, a Max odjechał.

Przed chateau żołnierz z Ss kulił się w budce wartowniczej słabo chroniącej przed deszczem. Max zahamował przed szlabanem.

- Na litość boską, podnieś go. Jestem baron von Halder. Właśnie przyleciałem i jestem zmęczony.

Młody żołnierz nie pytał o nic. Zobaczył mundur Luftwaffe, Krzyż Żelazny, powlókł się do szlabanu i podniósł go. Max przejechał po podjeździe, zatrzymał wóz przed głównym wejściem i zgasił silnik. Przy drzwiach, w portyku, stał kolejny wartownik.

- Jestem baron von Halder. Oczekują mnie - mruknął Max. Ten żołnierz był starszy wiekiem i bardziej doświadczony.

- Przepustka, panie baronie.

- Oczywiście.

Max wyjął z kieszeni na mapy walthera z tłumikiem i strzelił mu między oczy. Przeciągnął ciało w cień, po czym otworzył frontowe drzwi i wszedł do środka. Przy stoliku siedział młody kapral. Podniósł wzrok, a wtedy Max dwukrotnie strzelił mu w serce, rzucając go na oparcie krzesła, które przechyliło się do tyłu.

Było bardzo cicho. Max stał tam przez chwilę, po czym ruszył po schodach. To było jak we śnie, zupełnie nierealne, ale działało się naprawdę. Nigdy w życiu nie był tak zdecydowany, tak silny. Poruszał się pewnie, jak kot, krocząc cicho po wyłożonym chodnikiem korytarzu w kierunku pokoju brata. Wartownik siedział na krześle i czytał książkę. Jego schmeisser leżał na podłodze. W ostatniej chwili podniósł głowę, a Max przytknął mu lufę do czoła i strzelił; krew i odłamki kości opryskały ścianę, a esesman osunął się z krzesła. Klucz tkwił w drzwiach. Max przekręcił go i wszedł.

- Harry, to ja.

Leżący na łóżku Harry nie wierzył własnym oczom. Usiadł.

- Max? Co tu się dzieje, do diabła?

- Słuchaj. Dostałem się do Anglii i wszyscy mnie zaakceptowali. Zec, Munro i Carter, nawet Molly. Potem wszystko poszło źle. Śledzili braci Rodriguesów i Sarah Dixon, a ci doprowadzili ich do mnie. Zostałem aresztowany w Southwick i Munro zabrał mnie do Cold Harbour.

- A jak się tu znalazłeś?

- Ukradłem storcha i przyleciałem. Zamierzam zabrać cię z powrotem. Myślałeś, że zostawię cię tutaj? Himmlerowi?

- A co z Mutti?

- Mutti nie żyje. Zastrzelili ją, jeszcze zanim odleciałem. Okłamali nas, Harry. Bubi kłamał.

- O Boże, nie! - jęknął Harry.

- Później będziemy ją opłakiwać. Chodźmy.

Harry włożył but, wziął kule i wstał. Pokuśtykał za Maxem, mając zamęt w myślach, a wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Dotarli do szczytu schodów, kiedy otworzyły się drzwi łazienki i wyszedł z niej zaspany Freiburg w piżamie. Przystanął i spojrzał na nich.

- Mój Boże, Max, to ty.

Max mógł go zastrzelić. Zamiast tego dwukrotnie zdzielił go w skroń i Freiburg runął jak kłoda.

- Chodź - powiedział do Harry'ego i zeszli po schodach.

Na dole Harry zobaczył zwłoki kaprala, ale Max już otworzył drzwi, za którymi widać było wystające z cienia nogi zastrzelonego wartownika.

- Nie bierzesz jeńców, Max.

- Nie dziś wieczorem - odparł Max. - Wynośmy się stąd w cholerę.

Pomógł Harry'emu wsiąść, usiadł za kierownicą i odjechał. Wartownik przy bramie natychmiast wyskoczył z budki i podniósł szlaban. Wyjechali na drogę, po czym Max zwiększył szybkość, kierując się na lotnisko.

Podjechał do storcha i pomógł wsiąść Harry'emu.

- Rzuć te kule, dobrze?

- Jeśli tak mówisz, bracie.

Max pomógł mu wejść do samolotu, zamknął drzwi i obszedł maszynę. Kiedy wsiadał, przybiegł Greiser.

- Mogę coś dla pana zrobić, panie baronie?

- Nie, dziękuję. Świetnie się spisałeś - odparł Max.

Podkołował na koniec lotniska, wykręcił na wiatr i pomknął po pasie startowym. Po chwili storch uniósł się w powietrze i zniknął w ciemnościach.

Bubiego zbudziło łomotanie do drzwi. Wstał z łóżka, otworzył je i do środka wtoczył się Freiburg z zakrwawioną twarzą.

- Na litość boską, co się stało? - zawołał Bubi.

- Był tutaj, baron z bratem.

- Oszalałeś.

- Nie, przysięgam. Widziałem Maxa von Haldera w mundurze Luftwaffe, a jego brata o kulach, jak szli po schodach. Chciałem skorzystać z toalety, więc poszedłem do łazienki. Wyszedłem, a oni tam stali. Baron ogłuszył mnie pistoletem, a wartownik przed pokojem Kelso nie żyje.

Bubi odepchnął go, pobiegł korytarzem do schodów, spojrział na dół i zobaczył martwego kaprała. To mu wystarczyło. Wrócił do swojego pokoju, szybko wyjął mundur z szafy i rzucił go na łóżko.

- Ogłoś alarm i niech natychmiast podstawią mój samochód przed frontowe drzwi - nakazał, zdejmując piżamę.

Pięć minut później zbiegł po schodach, mijając znoszących trupy esesmanów i wskoczył do samochodu.

- Na lotnisko - rzucił kierowcy.

Na pewno pojechali na lotnisko, tylko tak Max mógł się tu dostać. Mój Boże, obaj znów razem. Nawet Himmler byłby zadowolony. To zmieniłoby wszystko.

Nachylił się i klepnął kierowcę w ramię.

- Szybciej, niech cię szlag, szybciej!

Zec rzucił karty.

- Mam dość, brygadierze. Wygrałeś chyba z dziesięć funtów.

- Nic na to nie poradzę, że gram lepiej od was.

- Tak, akurat. Na morzu wyczuwam różne rzeczy, brygadierze, które przynosi mi wiatr, a teraz czuję, że nie powinienem tu siedzieć. Mam przeczucie, że możemy być potrzebni, a jeśli się nie mylę, powinniśmy czekać dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów stąd.

Munro nie wahał się.

- Zdaję się na twoje doświadczenie.

- Wypływamy natychmiast. Ruszać się!

Wszyscy skoczyli do drzwi, a Molly wstała, chwytając torbę.

- Możesz mnie potrzebować, Zec.

- Dobra z ciebie dziewczynka.

- Do licha, nie zostanę tutaj - stwierdził Munro i wstał. - Pilnuj interesu, Jack.

- Na nic bym się wam nie przydał, brygadierze - odparł Carter. - Łódź to nie miejsce dla człowieka ze sztuczną nogą.

Odwrócił się do Molly i pocałował ją w policzek.

- Powodzenia, kochanie.

Nie powiedziała ani słowa, tylko odwróciła się i poszła za innymi. Zapadła cisza. Przy barze pozostał sam Carter i Julie.

- Czas na modlitwę - powiedziała.

- Hmm, tak, ale przydałaby się też duża whisky - odparł. - Jeśli ci to nie przeszkadza.

Na lotnisku Bubi wyskoczył z samochodu i pobiegł przez pas. Otworzył drzwi baraku łączności. Greiser obrócił się na krześle.

- Był tu baron von Halder?

- No... tak, Herr Standartenfuhrer. Wylądował storchem, powiedział, że wykonuje misję dla reichsführera Himmlera i pożyczył kubelwagena. Dwadzieścia minut temu wrócił z pasażerem i ponownie wystartował.

- Ty imbecyлу! - Bubi odwrócił się i pobiegł do hangaru z Me-109. Storch to powolna maszyna, natomiast Me-109 był nowocześniejszy i o wiele szybszy. Wystarczy ich dogonić i zagrozić zestrzeleniem, jeśli nie zawrócą. Nadal mógł opanować sytuację.

Wgramolił się do kabiny, nie trując się zakładaniem spadochronu, włożył hełmofon i uruchomił silnik. Ryk messerschmitta wstrząsnął ścianami hangaru. Bubi wykołował na koniec pasa, obrócił maszynę na wiatr i wystartował.

Przekazana przez Julie prognoza pogody okazała się dokładna, bo gdy storch znalazł się nad morzem, chmury rozeszły się, odsłaniając księżyc, wyraźny i wielki, jasno świecący.

- Dobrze się czujesz? - spytał Max Harry'ego, który miał na głowie drugi hełmofon.

- Nigdy nie czułem się lepiej.

Max uśmiechnął się.

- Udało nam się, bracie. Przykro mi z powodu Bubiego, ale chciałbym zobaczyć minę Himmlera.

- Ja też. - Harry zerknął na wskaźniki. - Oceeniłbym przewidywany czas przybycia na trzydzieści minut.

Usłyszeli przeciągły ryk i storchem wstrząsnęły turbulencje, gdy Me-109 przeleciał nad nimi i zajął pozycję na ich prawym skrzydle. Rozpoznali w słuchawkach głos Bubiego.

- Wracaj, Max, zabawa skończona. Nie mogę ci na to pozwolić. Oznaczałoby to wyrok śmierci dla mnie i moich bliskich.

- A co z naszą matką, Bubi? Skłamałeś.

- To nie była moja wina, przysięgam.

- Szkoda - odparł Max. - Ale stało się. Daj spokój, Bubi, naprawdę chcesz, żebym zawrócił i poleciał z powrotem do Morlaix?

- Jeśli tego nie zrobisz, zestrzelę cię.

- Bubi, zawsze cię lubiłem, ale w dawnych czasach nad Francją, jeszcze przed bitwą o Anglię, wcale nie byłeś taki dobry. Jak sądzisz, bracie?

- Powiedz mu, żeby się odpieprzył - mruknął Harry.

- Słyszałeś, Bubi. Jeżeli chcesz nas załatwić, to do dzieła. Będzie szybciej, niż zawisnąć na strunie fortepianowej na rzeźnickim haku.

Zanurkował i na pięciuset metrach Bubi wszedł na ogon storcha. Posypały się kawałki skrzydeł i kadłuba. Max nadal schodził w dół, a Harry zapytał:

- Znowu ta stara sztuczka?

- Niedawno uratowała Eisenhowera. Przypomnij mi, żebym ci kiedyś o tym opowiedział.

Na dwustu trzydziestu metrach Bubi znów nadleciał. Storch zadygotał, a Max jęknął pod wpływem potężnego uderzenia w plecy. Opuścił klapy, storch prawie zawisł w powietrzu, a Bubi

Hartmann runął do morza.

- Nigdy nie zawodzi - jęknął Max. - Widziałeś?
- Przypomina mi Rocky'ego i nasze pierwsze lekcje - rzekł Harry. - Gdzie bylibyśmy bez nich?
- Dawno martwi - wykrztusił Max i krew popłynęła mu z ust.
- Jezu! - krzyknął Harry.
- Wywołaj Cold Harbour - wycharczał Max - bo szybko tracimy moc. Nie dociągniemy.
- Cold Harbour, Cold Harbour - mówił Harry - zgłoś się. Tu pułkownik Kelso i jego brat, w mocno uszkodzonym storchu.

Odpowiedziała im łódź ratownicza.

- Tu Zec, pułkowniku, jesteśmy trzydzieści kilometrów od brzegu z "Lively Jane". Podajcie nam waszą pozycję.

Harry zrobił to.

- Mój brat jest ranny. Rana jest ciężka i gaśnie nam silnik.
- Będziemy tam, chłopcze, niecałe pięć kilometrów dalej.

Storch opadał ku czarnej powierzchni morza, dobrze widoczny w blasku księżyca. Na wschodzie świt zarumienił niebo. Cała załoga "Lively Jane" jednocześnie zobaczyła samolot i powitała go chóralnym okrzykiem. Molly i Munro opierali się o reling na dziobie. Łódź mknęła po rozkołysanym morzu, podskakując na falach. Storch był już dobrze widoczny; leciał kilometr dalej, ciągnąc za sobą smugę dymu.

Na stu dwudziestu metrach silnik zgasł i śmigło znieruchomiało. Zapadła cisza, w której słyszeli tylko świst wiatru. Max znów zakaszłał.

- Włóż kamizelkę.

Harry włożył ją, a potem wyjął spod fotela drugą.

- Teraz ty, Max.
- Nie ma sensu. Tonę we własnej krwi.

Opadli już na trzydzieści metrów, a potem niżej, muskając grzbiety fal. Max ustawił storcha bokiem i wylądował równolegle do fal. Samolot osiadł na wodzie. Szybko wlewała się wszystkimi

otworami. Harry otworzył drzwi i odpiął pas. Storch już tonął. Harry spróbował odpiąć pas Maxa, ale nie zdołał.

Max znowu zakasłał i ponownie krew popłynęła mu z ust.

- Ty głupcze. Już po mnie. Wynoś się stąd.

- Max! - krzyknął Harry. - Na litość boską!

Baron Max von Halder zebrał resztki sił i uderzył go w szczękę. Harry wyleciał przez otwarte drzwi, fale pochwyciły go i uniosły. Za jego plecami szybko zbliżała się "Lively Jane", lecz Harry nie odrywał oczu od storcha. Lewe skrzydło zagłębiło się w wodę, maszyna przechyliła się i zdołał jeszcze dostrzec postać brata za sterami, zarys jego sylwetki, a potem samolot zapadł w toń, znikając na zawsze.

Dwaj marynarze skoczyli do wody i podholowali Harry'ego do burty, gdzie wiele rąk wciągnęło go na pokład. Osunął się bezwładnie i ktoś narzucił mu koc na ramiona.

- Harry, to ty, prawda? - zapytał Munro.

- Spójrz na moją twarz, do cholery.

- Co się stało?

- Max mi przyłożył. Bubi Hartmann dogonił nas w messerschmitcie. Postrzelał storcha jak sito. Max oberwał pociskiem z działka w plecy, a potem strącił Bubiego. Koniec historii.

- Mój Boże.

Molly objęła go ramieniem.

- Chodź na dół, muszę cię zbadać.

- Po co, żeby powiedzieć, że powinienem nie żyć? Wiem o tym od lat. Mój brat na pewno też o tym wiedział. A teraz zginął.

Twarc Harry'ego była nieruchoma jak kamień.

- Wiesz co, Molly, kochana? Szczęście opuściło mnie, kiedy straciłem Tarquina. Jestem już żywym trupem. Wstał i zszedł pod pokład.

Cold Harbour

1998

18

Minął prawie rok, zanim wróciłem z Denise do Cold Harbour - ale cóż to był za rok! Poszukiwania prawdy o Harrym i Maksie Kelso zaprowadziły mnie do wielu miejsc. Akta Pentagonu, Archiwum Państwowe w Londynie, akta Luftwaffe w Niemczech, Portugalia, Madera. Oczywiście, bardzo pomógł mi mój kuzyn, Konrad Strasser, stary pracownik gestapo. Niewiarygodne, ile zdołał dowiedzieć się przed śmiercią. Stałem w deszczu na jego pogrzebie w Hamburgu i żałowałem go bardziej niż większość tam obecnych.

Archiwum Państwowe ma surowe przepisy w kwestii ujawniania ściśle tajnych informacji. Bardzo często utajnia się je na trzydzieści, czterdzieści, a nawet na sto lat. Z drugiej strony to zdumiewające, ile można się dowiedzieć, jeśli zna się odpowiednich ludzi. Na przykład wytropiłem wspaniałego osiemdziesięcioletniego Amerykanina, który latał w Raf-ie, zakończył służbę jako pułkownik w Us Air Force i po wspaniałej karierze w międzynarodowym świecie biznesu, przeszedł na emeryturę w Anglii. Dobrze znał Harry'ego Kelso i tak jak on, latał jako kurier. Uzyskane od niego informacje były bezcenne, szczególnie to, co powiedział mi o nim jako o człowieku.

Nie muszę mówić, że wszyscy pierwszoplanowi aktorzy tego dramatu nie żyli. Brygadier Dougal Munro, Jack Carter, który zakończył służbę w stopniu pułkownika, Teddy West, który został marszałkiem i otrzymał tytuł szlachecki. Generał Eisenhower dawno nie żyje, tak samo jak Tom Sobel, który zniknął razem z dakotą lecącą nad kanałem La Manche dwa tygodnie po lądowaniu w Normandii.

Niesamowite szczęście dopisało mi, kiedy szukałem niejakiego majora Verekera z żandarmerii wojskowej. Umarł na raka w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku, ale znalazłem jego córkę, wdowę mieszkającą w Falmouth. Była tak uprzejma, że spotkała się ze mną i wyjaśniłem jej, co wiem. Siedziała chwilę w przytulnym saloniku, zastanawiając się, a potem podeszła do biurka i wyjęła grubą kopertę.

- Przed laty znalazłam ją w papierach po ojcu. Teraz pewnie nie ma to już znaczenia. Może pan

przeczytać, jeśli pan chce.

Tak też zrobiłem i odkryłem szczegółowe sprawozdanie z wydarzeń, jakie miały miejsce w Southwick, kiedy aresztował Maxa na rozkaz Dougala Munro.

Dlaczego Madera? To proste. Fernando i Joel Rodrigues byli skończeni w portugalskiej dyplomacji. Otworzyli bar w Alafamie, starej dzielnicy Lizbony, a potem jeszcze jeden w Estorilu. Po zakończeniu wojny w Europie Sarah Dixon zwolniono z więzienia. Wreszcie jakieś szczęśliwe zakończenie. Wyjechała do Portugalii i wyszła za Fernanda. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym przenieśli się na Maderę, gdzie otworzyli bar z restauracją.

Dawno już nie żyła, gdy odwiedziłem tę piękną wyspę, ale Fernando - chociaż osiemdziesięciodziewięcioletni - trzymał się niewiarygodnie dobrze, nadal rządząc swoim miniaturowym imperium restauracji i barów, a także liczną rodziną.

Wysłuchał mnie i roześmiał się, kiedy skończyłem.

- Wie pan, czytałem pańskie książki przełożone na portugalski i sędzę, że to dobry temat.

- Równie dobry jak inne?

- Tyle że ten jest prawdą - znów się zaśmiał. - Co tam, stoję jedną nogą w grobie. Nikomu nie zaszkodzę, jeśli wyjaśnię panu kilka spraw.

Co też uczynił i umarł kilka miesięcy później.

Samolotem, który Denise wynajęła w aeroklubie Goodwood, był jednosilnikowy Archer. Powód naszej wycieczki był prosty. Posłałem maszynopis mojej książki Zecowi Aclandowi w Cold Harbour. Nie była jeszcze skończona, nadal pozostały pewne nie wyjaśnione kwestie, ale chciałem usłyszeć jego opinię. Poprzedniego dnia zadzwoniłem do niego z naszego domku w Chichester, by zapytać, czy możemy go odwiedzić.

I tak lecieliśmy na zachód, nad Southampton, wyspą Wight po ołowianym, zapowiadającym deszcz niebie, wspominając wydarzenia, które opisywałem w książce. Rozmyślałem o czterdziestym roku, o nadlatujących samolotach Luftwaffe, maszynach Raf-u wylatujących im na spotkanie, o bitwie o Anglię, o Harrym i Maksie, o dzielnych młodych ludziach po obu stronach, z których przeszło połowa zginęła. Przygnębiała mnie myśl o wszystkich tych spoczywających na dnie kanału samolotach, z których jeden niewątpliwie krył szczątki pułkownika Maxa von Haldera.

Na horyzoncie przetoczył się grom. Denise położyła maszynę w skręt i wyleciała znad morza nad Cold Harbour. W dole ujrzeliśmy wioskę, gospodę "Pod Wisielcem", chaty, łódź ratowniczą "Lady Carter" przycumowaną na przystani. Przelecieliśmy nad dworem, jeziorem i drzewami, po czym wylądowaliśmy na trawiastym lotnisku. Denise podkołowała do pozostałych po wojnie hangarów, gdzie czekał stary land-rover i oparty o niego Zec Acland. Wyłączyła silnik i wysiedliśmy.

Zec podszedł do nas, a ona pocałowała go w policzek.

- Wcale się pan nie postarzał.
- Umiesz prawić komplementy, dziewczyno. Pewnie macie Tarquina?
- Och, tak - odparła.
- Weźcie go ze sobą. Wpadniemy "Pod Wisielca" na kanapki i drinka. Musimy porozmawiać.
- Chętnie - powiedziałem.

Usiadł za kierownicą landrovera, my dołączyliśmy do niego, niosąc Tarquina w nowym wodoszczelnym worku, po czym ruszyliśmy.

Kiedy jechaliśmy po High Street, "Lady Carter" odbiła od przystani i wypłynęła w morze.

- Co się dzieje? - zapytałem. - Odebrali wezwanie?
- Nie, to tylko ćwiczenia. Muszą utrzymywać się w formie. Simeon jest surowym szyprem.

Stanęliśmy przed gospodą, wysiedliśmy i weszliśmy do środka. Nie było tam nikogo, ale dopiero dochodziła jedenasta. Mimo to na kominku płonął ogień i doznałem dziwnego déjà vu, nie tylko dlatego, że byliśmy tu już z Denise w tak dramatycznych okolicznościach, ale z powodu tego wszystkiego, co się tu wydarzyło. Dougal Munro, Jack Carter, Molly, Julie Legrande, Max i Harry...

- Betsy? - zawołał Zec.

Wyszła z kuchni.

- Hej, cześć.
- Jesteśmy głodni. Daj nam coś. - Odwrócił się do Denise. - Można na niego spojrzeć?
- Oczywiście.

Rozpięła torbę, wyjęła Tarquina i posadziła go na barze.

Zec usiadł i spoglądał na niego przez dłuższą chwilę; nagle dostrzegłem, że ma łzy w oczach.

- Ty cudowny, mały draniu - powiedział.

Denise objęła go.

- W porządku, Zec, nie denerwuj się.
- Masz rację, nie ma sensu.

Betsy przysłała, niosąc na tacy górę kanapek i mnóstwo sałatki.

- Chleb jest własnego wypieku, szynka domowa i bez kości. Co podać do picia?

- Dla mnie herbata - odparła Denise. - Pilotuję.

- Ten gość lubi szampana - stwierdził Zec - więc otwórz tę butelkę, którą wstawiłem do lodówki. Ja też się napiję.

Rzuciliśmy się na kanapki. Były wspaniałe.

- Co sądzisz o tym maszynopisie, który ci przysłałem? - zagadnąłem Zeca.

- Całkiem niezły - odparł i parsknął śmiechem. - Nie, do licha, był po prostu fascynujący. Jest w nim jednak kilka luk.

- Na przykład?

- Nie napisałeś, co stało się z Julie Legrande.

- Nie zdołałem się dowiedzieć.

- Mogę ci wyjaśnić. Po wojnie wróciła do Francji i umarła na białaczkę w Paryżu. Byłem na jej pogrzebie.

- Rozumiem. - Napiłem się szampana. - Mówiłeś o kilku lukach. A inne?

- Niech uzupełni je lady Carter. W południe oczekuje nas we dworze.

Denise przestała jeść.

- Lady Carter? Tak nazywa się łódź.

- Słusznie. Jej mąż ufundował nową łódź dziesięć lat temu, tuż przed śmiercią. RNLI nadała jednostce taką nazwę.

- Lady Carter? - zdziwiłem się.

- Żona Jacka Cartera. Sir Jacka Cartera, od kiedy umarł jego ojciec. Jack zakończył wojnę w stopniu pułkownika. Osiadł tutaj i kupił Grancester Abbey.

- A lady Carter? - zapytałem, chociaż już znałem odpowiedź.

- Tutejsi ludzie nazywali ją lady Molly, ponieważ nazywała się Molly Sobel. Przez wiele lat prowadziła tu praktykę lekarską. Święta kobieta.

Denise spojrzała na mnie pytająco, a potem znów zwróciła się do Zeca.

- Mieli dzieci?

- Na Boga, nie. Jack oberwał pod Dunkierką i stracił nie tylko nogę, jeśli mnie rozumiecie. Nie, o dzieciach nie było mowy. Chociaż to nie miało znaczenia, nie po Harrym.

- Co się stało? - zapytałem.

- Niech ona wam opowie. - Wstał i spojrział na zegarek. - No, chodźmy. Czeka na was. I zabierzcie Tarquina.

Dojechawszy do Grancester Abbey, nie próbował wchodzić frontowymi drzwiami, ale powiódł nas na tyły domu, w siąpiącym deszczu, a potem na taras nad cudownym rozarium. Drzwi na taras stały otworem, deszcz pluskał o kamienie, a Zec wprowadził nas do pomieszczenia, które niewątpliwie było biblioteką. Była tam, siedziała na kanapce przy kominku.

Miała osiemdziesiąt lat, aureolę siwych włosów, wciąż młodą twarz, miłe rysy oraz prostą, lecz elegancką suknię. Oderwała wzrok od maszynopisu, mojego maszynopisu, po czym odłożyła go.

- Czytam po raz trzeci. Poznałam pana ze zdjęć na okładkach książek.

- Lady Molly. - Uścisnąłem jej wyciągniętą dłoń. - Moja żona Denise.

Posadziła Denise obok siebie.

- Mieliście szczęście, moja droga, ale mówią też, że jesteś doskonałym pilotem.

- Dziękuję.

- Pewnie potrafisz chodzić po wodzie. Tak mówił Harry. - Poklepała dłoń Denise. - Jestem zafascynowana książką. O tylu sprawach nie miałam pojęcia. - Zawahała się. - Mogłabym zobaczyć Tarquina?

Denise rozpięła torbę, wyjęła misia i podała jej. Lady Molly spojrzała na niego, wzruszona.

- Och, Tarquinie! - Przycisnęła go do piersi i miała łzy w oczach. - Gdzie go znaleźliście? Harry myślał, że spłonął we Francji, w eksplodującym lysanderze.

- Munro pod koniec wojny szukał go przez swojego agenta, Jacauda - odparłem. - Ten powiedział mi, że znaleźli Tarquina na miejscu katastrofy i radiooperatorka, kobieta imieniem Marie, zabrała go dla córki.

- A potem?

- Marie zginęła w szeregach Resistance po inwazji aliantów. Dziecko adoptowali krewni i ślad po Tarquinie zaginął.

- Do czasu, aż odkryliśmy go na półce antykwariatu w Brighton - wtrąciła Denise. - Nigdy się nie dowiemy, jak tam trafił. Jego imię podróżowało z nim.

Zapadła cisza. Powiedziałem z wymuszoną swobodą:

- Brakuje mi ważnej informacji. Co dokładnie przydarzyło się Harry'emu później. Staralem się dowiedzieć, ale napotkałem mur milczenia.

Uśmiechnęła się.

- No cóż, musieliśmy powiedzieć Eisenhowerowi. Postanowiono utajnić całą tę historię. Opinia publiczna nie mogła się dowiedzieć, że głównodowodzący był w niebezpieczeństwie tuż przed lądowaniem we Francji. Zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Harry otrzymał DFC Maxa i nadal wykonywał loty kurierskie oraz sporadyczne zadania dla Munro. Nigdy nie miał dość, zawsze chciał latać, nawet kiedy zrobili go pułkownikiem. Po kraksie na kanale i śmierci Maxa nigdy nie był taki, jak przedtem. Mówił, że jest żywym trupem. Chyba chciał to udowodnić. Myślę, że chciał być z Maxem. Widzicie, oni byli identyczni, po prostu nie do rozróżnienia. Nikt nigdy nie wiedział, czy ma do czynienia z Maxem, czy z Harrym.

Denise ujęła jej dłoń i spytała łagodnie:

- Co się stało?

- Głupi przypadek, po prostu głupi przypadek. Pod sam koniec wojny. Wuj miał jakiegoś niemieckiego generała po niewłaściwej stronie Renu. Harry zgłosił się na ochotnika do lotu stąd na arado z oznakowaniami Luftwaffe. Wylądował, zabrał Niemca i przeleciał nad Francją. Zostali zaatakowani przez mosquito Raf-u i mocno postrzelani.

- I spadli do kanału? - podsunąłem.

- Och nie, pogoda była kiepska, Harry zanurkował, zgubił mosquito i doleciał do Cold Harbour. Byłam tu z wujkiem, Jackiem i Julie. Było deszczowo i mgliście, arado zatrzymał się i wyłączył silnik. Kiedy otworzyliśmy drzwi, niemiecki generał bełkotał coś na tylnym fotelu, a Harry siedział martwy za sterami.

Patrzyła w dal z udręką na twarzy, a Denise uścisnęła ją i Tarquina. W końcu lady Molly wzięła się w garść.

- To, że znów zobaczyłam Tarquina, tyle dla mnie znaczy.

- Wrócił do domu - powiedziała Denise. - Tu jest jego miejsce.

- Och, nie, nie mogę go przyjąć. - Lady Molly zawahała się. - Może mogłabym go wypożyczyć? Czy tak byłoby dobrze? Czasowa pożyczka?

- Oczywiście - odparła Denise.

Molly skinęła głową.

- Jestem wam wdzięczna. - Wstała. - Pozwólcie za mną. Jest coś, co powinniście zobaczyć.

Narzuciła płaszcz na ramiona, wzięła Tarquina pod pachę, a Zec poszedł z nimi. Ze stojaka w przedpokoju wziął dwa parasole, dał nam jeden, a drugi trzymał nad Molly, ponieważ znów zaczęło padać. Denise i ja poszliśmy za nimi; żona lekko ścisnęła moje ramię.

Po drugiej stronie był krzemienisty mur starego kościółka z szarego kamienia, cyprysy i kępa buków. Zec otworzył furkę i weszliśmy na typowy wiejski cmentarz. Było bardzo cicho, lecz nagle z buków poderwały się z gniewnym krakaniem wrony.

- Hałaśliwe dranie - mruknął Zec.

Poszliśmy wąską ścieżką między nagrobkami. Niektóre z nich były najwidoczniej bardzo stare; od czasu do czasu napotykalismy wizerunek Anioła Śmierci lub gotycką rzeźbę. Wreszcie stanęliśmy pod cyprysem, w odległym kącie cmentarza. Grób był dobrze utrzymany, ze świeżymi kwiatami i starannie przyszyroną trawą. Nagrobek wykonano z kornwalijskiego marmuru, ze złożonym napisem. Wyglądał na świeżo odnowiony.

- Jesteśmy na miejscu.

Uśmiechnęła się i mocno przytuliła Tarquina.

Napis głosił: "Marzec 1945. Pamięci ukochanego pułkownika Harry'ego Kelso i jego brata, pułkownika barona Maxa von Haldera. W końcu razem. Towarzysze broni."

Deszcz wzmógł się i Zec przysunął się bliżej, trzymając nad nią parasol. Kiedy tak stał, obejmując ją ramieniem, wydawał się niewzruszony jak opoka. Denise i ja kuliliśmy się pod naszym parasolem; żona usiłowała powstrzymać łzy.

Lady Molly odwróciła się.

- Nie płacz, moja droga. To było dawno, dawno temu i teraz, kiedy nie ma to już znaczenia, powiem wam coś, o czym nawet Zec nie wie.

Zec zmarszczył brwi, zdziwiony, a my staliśmy w ulewnym już deszczu, czekając.

- Jak wiecie, w tysiąc dziewięćset trzydziestym, kiedy ich ojciec zginął, a chłopcy mieli po dwanaście lat, Elsa umówiła się z Abem Kelso, że wróci do Niemiec ze starszym synem, Maxem, a Harry pozostanie u dziadka.

- Zgadza się - powiedziałem.

- Harry podał mi inną wersję wypadków. Powiedział mi o tym niedługo przed śmiercią.

Zawsze miałam wrażenie, że przeczuwał własną śmierć. Często mówił mi, że nie ma pojęcia, co robiłby po wojnie.

- O czym pani mówi? - zapytałem.

Tymczasem Denise, z kobiecą intuicją, już domyśliła się, zaszlochała i mocno ścisnęła moje ramię. Lady Molly mówiła dalej.

- Kiedy powiadomiono chłopców o tej decyzji, stanęli przed poważnym problemem. Nie podobał im się ten pomysł, a ponadto musieli rozwiązać jeszcze jedną kwestię. Tarquina, misia, który latał nad Francją z ich ojcem. Kto go dostanie? Chłopcy załatwili to między sobą. Abe i ich matka nie mieli o tym pojęcia.

- Co zrobili?

- Zdecydowali, że Tarquin powinien pozostać w Ameryce, w rodzinnym domu ich ojca, do którego powrócił po wojnie. Potem rzucili monetę, kto pojedzie z matką do Niemiec.

Zec był zdumiony, a Denise wykrztusiła:

- O Boże!

- Tak, moja droga - rzekła Molly. - Harry Kelso był baronem von Halderem, a Max był Harrym Kelso.

Była to najdziwniejsza rzecz, jaką słyszałem w życiu i zaparło mi dech. To Denise rzekła:

- W końcu razem... lecz w pewnym sensie, nigdy się nie rozstali.

- Właśnie - uśmiechnęła się lady Molly. - Chodźmy już.

I pomaszerowała przodem, a Zec trzymał nad nią parasol.

Wróciwszy do domu, zaproponowała nam herbatę, ale wymówiliśmy się.

- Pogoda zmienia się na gorsze - powiedziała Denise. - Musimy lecieć.

Pożegnaliśmy się, poszliśmy do landrovera i Zec odwiózł nas na lotnisko. Wysiedliśmy z samochodu, a on uścisnął nam dłonie i pocałował Denise w policzek.

- Uważaj, dziewczyno.

- To był dla ciebie szok - stwierdziłem. - Usłyszeć coś takiego.

- Niezupełnie. W ostatecznym rozrachunku, jakie to ma znaczenie?

Wsiedliśmy do archera, Denise po lewej stronie, a ja zamknąłem drzwi. Włączyła zapłon i zawarczał silnik, a deszcz lunął jeszcze mocniej i na morze napłynęła mgła.

- Lepiej ruszajmy - zdecydowała Denise. - Będzie jeszcze gorzej.

Z rykiem przemknęliśmy po pasie startowym i unieśliśmy się w szare niebo, wzlecieliśmy na trzysta metrów, a wtedy nagle skręciła w prawo.

- Co robisz? - zapytałem.

- Chcę popatrzeć ostatni raz.

Wykręciliśmy nad morzem i znów przelecieliśmy nad lądem, lecz wszystko zasnuła już mgła. Nie dostrzegliśmy ani śladu Cold Harbour. Jakby go nigdy nie było.